

AGNIESZKA

PIETRZYK

TERYTORIUM

To były zwykłe ćwiczenia terytorialsów.
Do czasu, aż zginął przypadkowy człowiek...



TERYTORIUM

AGNIESZKA PIETRZYK

TERYTORIUM



Copyright © Agnieszka Pietrzyk, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Marta Kujawa

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk, Lidia Kozłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © Claudio Testa | Unsplash

Fotografia autorki: © Monika Juraszek

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67551-22-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Rodzicom. Jesteście najwspanialszymi rodzicami na świecie.

Cała prawda i trochę fikcji o ludziach, którym dano broń do ręki.

Główni bohaterowie:

PODPULKOWNIK SZYMON BUKOWIECKI — dowódca Czterdziestego Trzeciego Batalionu Lekkiej Piechoty w Braniewie

MAJOR ROCH SERAFIN — zastępca dowódcy

SIERŻANT TITO — żołnierz Wojsk Obrony Terytorialnej

PLUTONOWY BARTOSZ NOWICKI — żołnierz Wojsk Obrony Terytorialnej

KAPRAL ARTUR DERKACZ — żołnierz Wojsk Obrony Terytorialnej

INSPEKTOR KRYSZTOF SUM — funkcjonariusz Komendy Powiatowej Policji w Braniewie

KOMISARZ DOMINIK JAMRÓZ — funkcjonariusz Komendy Powiatowej Policji w Braniewie

MŁODSZY ASPIRANT NIKITA SOKOŁOW — funkcjonariusz Komendy Powiatowej Policji w Braniewie

STARSZA POSTERUNKOWA AGATA MAŁEK — funkcjonariuszka Komendy Powiatowej Policji w Braniewie

MAGDALENA TUSZYŃSKA — pasażerka

CZEŚĆ PIERWSZA
Żołnierze

Rozdział I

ARTUR MIAŁ OCHOTĘ WYCIĄGNAĆ REKĘ i wyrwać mgłę z powietrza, by przywrócić konturom wyrazistość, a kolorom czysty ton. Postąpił kilka kroków do przodu i znalazł się na krawędzi lasu. Tutaj mgła nabrała intensywności, nieograniczana przez pnie wisiała nad ziemią gęsta i wilgotna. Wyteżył wzrok, ale niewiele więcej zobaczył. Zsunął plecak i rozpiął go jedną ręką. Od razu natrafił palcami na okulary taktyczne. Zgodnie z obietnicą producenta miały zagwarantować bardziej przejrzysty i wyraźny obraz. Włożył je i zamrugał. Rzeczywiście widział nieco lepiej, dostrzegał kształty jakichś budynków.

Nagle zamarł, bo na karku poczuł dotyk zimnego metalu. Lufa broni, to nie mogło być nic innego. Oddech mu przyspieszył, krew pulsowała w skroniach. Swój karabinek miał przewieszony przez pierś. Nie zdoła go użyć. Gorączkowo myślał nad innym sposobem odparcia ataku.

— Kapralu Derkacz, jesteś martwy.

Słowa te padły za jego plecami, a wypowiedziane zostały szeptem.

— Pierdol się, Tito! Przestraszyłeś mnie — warknął Artur, poprawiając okulary.

Nie odwrócił się, nie musiał, dobrze wiedział, kto się za nim znajduje. Sierżant Tito, do niedawna starszy ratownik, a obecnie celowniczy. Lepiej wychodziła mu obsługa karabinu maszynowego niż ratowanie ludziom życia, a teraz się okazało, że ma jeszcze jeden talent, umie poruszać się cicho jak kot. Artur nie dowierzał, że go w porę nie usłyszał. Przecież w lesie panowała idealna cisza, nawet gdyby z gałęzi spadła kropla wody, jego ucho powinno to wychwycić.

— W czasie wojny byłbyś już martwy — szeptał sierżant. — Pamiętaj, w trakcie rozpoznawania terenu trzeba pilnować tyłów.

— Plutonowy Nowicki miał to robić. Szedł za mną w odległości trzydziestu metrów.

— To dziwne, bo ja go nie widziałem.

— To gdzie on, kurwa, jest?

Kapral Artur Derkacz odwrócił się i zobaczył duże czarne oczy sierżanta. Zdumiewające były te nienaturalnie ciemne tęczówki. Mgła i szarość

poranka wydawały się jeszcze podkreślać ich czern.

— Może poszedł na fajkę albo opróżnić pęcherz — oznajmił Tito.

— Albo, kurwa, znowu gada ze ślubną. Paru godzin nie może bez niej wytrzymać. Na miejscu dowódcy już dawno bym go z batalionu wypierdolił.

Kapralowi z wściekłości zadrgała górna warga. On się starał, bo wiedział, że wynik zadania spadał na nich wszystkich. Za to inni podchodzili do sprawy z lekceważeniem, nie rozumieli swojej roli w formacji, nie docierało do nich, że wszyscy razem tworzą wartość bojową. Jeden z nich nawali i cały batalion leży trupem, przynajmniej w czasie wojny.

Kilkanaście metrów dalej, od strony lasu, rozległy się kroki, sekundę później we mgle zamajaczyła szczupła i wysoka postać w mundurze polowym z karabinem niedbale przewieszonym przez ramię.

— Co, chłopcy? Czekacie na mnie?

— Chłopcy, to są, kurwa, w przedszkolu, tu jest wojsko, tu jest obrona terytorialna.

Plutonowy Nowicki niezdarnie zapinał pasek hełmu pod brodą.

— Arturo, czego się tak pieklisz? Nie słyszałeś, że zdenerwowany żołnierz to zły żołnierz?

— Arturo to ja będę na śniadaniu, a teraz jestem kapral Derkacz. Czy to jest dla was jasne, plutonowy?

Nowicki uniósł rękę, parodiując oddawanie honorów.

— Jasne, kapralu, sorry, chciałem powiedzieć: podpułkownik.

Derkacz zamierzał coś powiedzieć, ale sierżant go uprzedził:

— Wracamy do rozpoznania terenu. Bierzcie się do roboty. Czas nam ucieka. — Wskazał na karabin zwisający z ramienia plutonowego. — Przewieś go przez plecy, bo zaraz zgubisz.

Nowicki wykonał polecenie. Wszyscy odwrócili się w stronę budynków. Po chwili sierżant Tito wycofał się do lasu, a kapral Derkacz ruszył przed siebie. Z każdym krokiem zabudowania rosły, ujawniając kolejne szczegóły architektoniczne. Dostrzegł małe okienka i czerwoną dachówkę, potem schody biegnące równoległe do ściany. Nie oglądał się, wierzył, że tym razem plutonowy Nowicki go zabezpiecza. Zaczął powoli okrążyć budynek, wypatrując ruchu bądź niepokojącego kształtu. Liczył kroki, miało mu to pomóc w prawidłowym określeniu długości ściany. Zwolnił, gdy zbliżał się do rogu budynku. Nasłuchiwał chwilę, a potem wyjrzał zza muru. Raptownie cofnął się, bo widok go zaskoczył. Podwórko powinno być puste, robili przecież rozpoznanie terenu w opuszczonym od dwudziestu lat

gospodarstwie rolnym, tak powiedział podpułkownik Bukowiecki. Tymczasem na posesji stał volkswagen golf, jego ciemna karoseria wyłaniała się z mgły. Jeden rzut oka wystarczył kapralowi, aby spostrzec, że nie jest to wrak. Skąd wziął się tutaj ten wóz? Gdyby była jesień, to samochód mógłby należeć do grzybiarza. Mieli jednak luty, w dodatku zimny mglisty dzień, nawet miłośnicy leśnych wędrówek raczej pozostali w łózkach. Przyszło mu do głowy, że golf to podpucha podpułkownika, aby sprawdzić ich czujność. Serce mu waliło. Coraz ciekawsze stawało się to rozpoznanie. Powinien wycofać się i zameldować sierżantowi Tito o zaobserwowanym obiekcie. Najważniejsze zadanie terytorialsa to nie dać się zauważyć. Odwrót był więc najlepszym krokiem. Kusiło go jednak, aby dowiedzieć się czegoś więcej. Mógłby zerknąć na blachy golfa albo sprawdzić, czy wóz jest pusty. Niemal przykleił się do ściany i sunął ku samochodowi. Miał nadzieję, że mgła jest wystarczającą zasłoną. Okulary taktyczne zjeżdżały mu z nosa, to chyba z powodu tej wilgoci w powietrzu. Zdjął je i schował do kieszeni. Karabinek do tej pory trzymał przewieszony przez pierś. Teraz wziął go do ręki. Zgiął się wpół i przemknął w stronę wozu, na jego tył. Wtem coś usłyszał, jakiś hałas dobiegający z wnętrza golfa. Ktoś w nim był. Dreszcz ekscytacji przebiegł mu po plecach. Uniósł lufę i zbliżył się do drzwi kierowcy. Liczył na to, że ten ktoś wewnątrz wozu na widok wycelowanej w siebie broni machinalnie podniesie ręce w geście poddania.

Derkacz zamarł. Oddech zatrzymał mu się w tchawicy, powodując chwilowy ucisk w piersi. Spadł na niego nagły strach, będący ostrzeżeniem przed realnym niebezpieczeństwem.

Ktoś celował do niego z wnętrza samochodu. Bardzo wyraźnie widział lufę pistoletu. To nie był żart, jak przed kilkunastoma minutami, gdy sierżant Tito wymierzył w jego kark. Tutaj na serio ktoś chciał go zabić. Mięśnie zadziały szybciej od mózgu, tak przynajmniej wydawało się kapralowi, gdy odbezpieczał broń i zaciskał palec na spuście. Huknęło. Jego ciało poddało się sile odrzutu. Potrzebował paru sekund, żeby się otrząsnąć. Patrzył na dziurę w szybie i przyswajał sobie fakt, że strzelił do kierowcy. Złapał za klamkę i otworzył drzwi golfa. Mężczyzna leżał z głową odrzuconą w bok, brakowało części czaszki, wszędzie była krew. Kapral miał wrażenie, że jego oczy dzielą przestrzeń na kilka planów, bo dopiero po sekundzie dojrzał postać skuloną na drugim fotelu. Pasażer golfa otworzył drzwi i wypadł na zewnątrz. Zaczął uciekać między budynki.

Tempo miał kiepskie, Derkacz wiedział, że go dogoni, biegał najszybciej z całego batalionu, a co najważniejsze, był wytrzymały. Nie musiał się spieszyć.

Zza rogu wypadł plutonowy Nowicki. Dopadł do kaprała, nadal mierzącego w wóz. Przez chwilę patrzył na zwłoki kierowcy.

— Ja pierdolę! On nie ma głowy! — powiedział cicho z jękiem w głosie. Nagle wrzasnął: — Co ty, kurwa, zrobiłeś? Zabiłeś go! Ty kretynie!

— Zamknij się — warknął kaprał.

— Kurwa, Arturo, zastrzeliłeś człowieka! Pójdiesz siedzieć!

— Nie pójdę. Uratowałem swój tyłek i twój też.

— Co ty pierdolisz?

Kaprał wskazał na ciało kierowcy.

— Chciał mnie zastrzelić. Ty byłbyś drugą ofiarą.

— Dzieciaku, przecież to są tylko ćwiczenia.

Derkacz się skrzywił, bo plutonowy nie ogarniał sytuacji. Dobrze, że chociaż on sam wiedział, co dalej robić.

— Powiadom dowództwo i sierżanta, a ja zatrzymam tego drugiego.

— Jakiego drugiego?

— Było ich dwóch. I nie stój tak na środku, tamten też może mieć broń.

Derkacz ruszył między budynki, trzymając przed sobą karabinek. Był poruszony, krew tętniła mu w skroniach, ale panował nad sytuacją, jak przystało na żołnierza. Biegł szybko i zygzakiem, na wypadek, gdyby pasażer golfa chciał strzelać. Omiatał wzrokiem przestrzeń, szukając w coraz rzadszej mgłę sylwetki człowieka. Dojrzał go na drodze prowadzącej do gospodarstwa, a położonej równolegle do linii drzew. Odległość między nimi malała z każdym pokonywanym metrem. Nagle z lasu wypadła postać w mundurze i hełmie, przemieszczała się błyskawicznie. Kaprał rozpoznał sierżanta Tito. Zwolnił, dając szansę koledze do pochwylenia uciekiniera. Chwilę później pasażer golfa leżał na miękkiej ziemi, a sierżant stał nad nim okrakiem z wymierzoną w dół lufą. Derkacz podchodził wolnym krokiem, przyglądając się rozciągniętemu ciału. Dostrzegł dość długie i rude włosy, a także kształtne biodra. Nie było wątpliwości, że to kobieta.

Rozdział II

WÓZ DOWODZENIA WTOCZYŁ SIĘ na podwórko opuszczonego gospodarstwa. Wysiadł z niego bardzo wysoki mężczyzna w mundurze. Jego ruchy były lekko spowolnione, co mogło być spowodowane rozmiarami ciała albo niedawną drzemką. Podpułkownik Szymon Bukowiecki wyprostował plecy, przeciągając się dyskretnie. Zgarbiony żołnierz to nędzny żołnierz, a wizerunek to podstawa wojskowego regulaminu. Powiódł wzrokiem po zabudowaniach i z dezaprobatą pokręcił głową.

Najlepiej wyglądał murowany budynek gospodarczy z czerwoną dachówką i małymi okienkami. Drewniana stodoła nadawała się tylko do rozbiórki, nawet niewielki wiatr rozniósłby tę konstrukcję pozbawioną ścian szczytowych i wielu desek na froncie. Dom też prezentował się żałośnie, jego bryła zdawała się zapadać w głąb ziemi, dach świecił dziurami, a okna straszły czernią, inne były zabite płytami.

To jednak nie budynki go interesowały, lecz stojący na podwórku samochód, przy którym wartość trzymał major Roch Serafin. Bukowiecki zbliżył się do swojego zastępcy.

— Niemieckie blachy — mruknął, zerkając na numer rejestracyjny wozu.

Szyba w drzwiach od strony kierowcy miała pośrodku dziurę rozchodzącą się promieniście, a na fotelu znajdował się mężczyzna z odstrzeloną górną częścią czaszki.

— Mamy trupa i problem — oznajmił major. — Derkacz to cywil, trzeba będzie zawiadomić policję.

— Cywilem to on jest w domu, a tutaj żołnierzem, i to dobrym. Ale masz rację, bez policji się nie obejdzie. Chociaż wolałbym tu widzieć żandarmerię.

Znane było zamiłowanie podpułkownika do najmłodszej formacji Wojska Polskiego. W żołnierzach obrony terytorialnej widział najlepszy materiał do formowania posłusznej i oddanej ojczyźnie grupy społecznej, bo zbudowanej na regionalności. Wpajał tym chłopakom, że szkoli ich po to, aby mogli bronić własne rodziny, znajomych i sąsiadów, a nie dygnitarzy czy ogólnie obywateli. Przynosiło to efekt, bo wiadomo, że każdy człowiek

za bliskich gotów jest oddać życie. Teraz podpułkownik nie umiał pozbyć się dumy z faktu, że jeden z jego ludzi odważył się pociągnąć za spust w momencie zagrożenia.

— Derkacz twierdzi, że ten gościu do niego mierzył z pistoletu — oznajmił Serafin.

Podpułkownik wydał pełne usta.

— No to ma za swoje. Nie celuje się do człowieka w polskim mundurze.

Na pociągłej twarzy majora pojawił się cień wymuszonego uśmiechu.

— Nawet się z tobą zgadzam, tylko że przy tym gościu nie ma żadnego pistoletu.

Podpułkownik pochylił się ku wnętrzu golfu, szukając wzrokiem broni. Zastępca miał rację, nigdzie jej nie było. Zaklął cicho i przyjrzał się zwłokom. Martwy mężczyzna był ubrany w dżinsy i rozpiętą puchową kurtkę, spod której wystawała bluza, ponadto miał na sobie sportowe obuwie, zbyt lekkie na tę porę roku. Mimo uszkodzonej górnej części głowy ocenił wiek kierowcy na jakieś czterdzieści lat.

— Kto to jest? — zapytał krótko.

Serafin wzruszył ramionami.

— Nie wiemy.

— Ktoś go przeszukał?

— Myślałem o tym, ale psiarze będą się rzucać, jak go zaczniemy macać. W prokuraturze też uznają nas za debili, że niby nie znamy przepisów.

— Kto by się nimi przejmował. Przeszukaj go!

Zastępca przystąpił do sprawdzania kieszeni w ubraniu trupa. Po chwili wyciągnął zapalniczkę oraz paczkę papierosów Mińsk.

— Niemiec jarający białoruskie fajki? — zagadnął major.

Podpułkownik pokręcił przecząco głową.

— Germańskie blachy i kiepy zza wschodniej granicy to pasuje do naszych. Stawiam na to, że to Polak.

Serafin przeszedł na drugą stronę wozu i pochylił się do wnętrza. Otworzył skrytkę i zaczął szperać. Po chwili wyciągnął telefon. Próbował go uruchomić, niestety bezskutecznie.

— Jest zabezpieczony pinem — oznajmił, odkładając aparat na miejsce.

— Pozostaje nam pogadać z pasażerką — stwierdził dowódca. — Gdzie ona jest?

Zastępca wskazał głową na dom.

— Tam, plutonowy Nowicki jej pilnuje.

— No to idziemy porozmawiać z panią.

Podpułkownik Bukowiecki musiał się mocno schylić, żeby jego dwieście pięć centymetrów wzrostu zmieściło się we framugę drzwi. Wojskowe buty zadudniły na drewnianej podłodze. Przeszli przez ciemną i wilgotną sień. Kierowali się do pomieszczenia na prawo, skąd wyskoczył pręgowany kot.

W pokoju przy stole siedziały naprzeciw siebie dwie osoby. Ruda dziewczyna zaciskała dłonie na kolanach, a młody mężczyzna w mundurze trzymał karabinek. Przypominali statystów czekających na wskazówki reżysera.

— Plutonowy — odezwał się podpułkownik, wyrywając żołnierza z zastoju.

Nowicki zerwał się i zasalutował dowódcy. Pasażerka golfa skuliła się, a jej brązowe tęczówki krążyły niespokojnie po twarzach przybyłych.

— Jak się nazywasz? — zapytał podpułkownik Bukowiecki.

Zwrócił się do niej na ty, bo wyglądała bardzo młodo, dałby jej nie więcej niż dwadzieścia lat. Dziewczyna milczała, patrząc na niego rozszerzonymi lękami źrenicami.

— *Wie heisst du?* — powtórzył pytanie po niemiecku, choć przeczuwał, że ma przed sobą Polkę. Przeniósł spojrzenie na plutonowego Nowickiego. — Rozmawiałeś z nią?

— Ja mówiłem, ona nie. Wydaje mi się, że rozumie wszystko, ale nie chce mówić.

Podpułkownik znowu spojrzał na kobietę. Bała się. W jej źrenicach widać było niemal zwierzęcy popłoch. Muszą ustalić, kim jest ona i kierowca, żeby wiedzieć, co dalej robić.

— Przeszukaj ją! — rozkazał Nowickiemu.

Dziewczyna drgnęła i mocniej ścisnęła dłońmi kolana.

— Ja? — zdziwił się żołnierz.

— Tak ty, plutonowy. Przeszukaj ją!

Nowicki podrapał się po głowie, nie dowierzając, że jemu powierzono tę czynność. Odłożył karabinek na stół, ale widząc potępiający wzrok dowódcy, szybko go podniósł i przewiesił przez plecy.

— Proszę wstać — zwrócił się do dziewczyny.

Nie poruszyła się. Plutonowy posłał niepewne spojrzenie przełożonym. Jego obawy były uzasadnione. Żołnierz obrony terytorialnej nie miał prawa nikogo przeszukiwać. Takiego prawa w stosunku do cywilów nie miała nawet żandarmeria.

— Plutonowy, wykonaj rozkaz! — rzucił mocnym głosem Bukowiecki.

Nowicki zbliżył się niepewnie do dziewczyny. Ta skrzyżowała ramiona na piersiach i wystraszonymi oczami przesuwiała po ich twarzach. Złapał ją za ramiona i uniósł z krzesła. Skuliła się, naciągając poły czarnej kurtki. Teraz widać było, że szare spodnie są na nią za duże, bo zwijały się nad cholewkami wysokich butów.

— Czego mam szukać? — zapytał Nowicki, odwołując się do wykonania rozkazu.

— Broni palnej i dokumentów — odpowiedział podpułkownik.

Plutonowy nie zdążył nic zrobić, bo dziewczyna włożyła rękę w kieszeń kurtki i wyjęła walthera. Trzymała go lufą w dół i bez palca na spuście. Nie miała zamiaru do nich strzelać, ale mimo to major Serafin sięgnął po wista i wymierzył w kobietę.

— Odłóż pistolet na stół! — rozkazał.

Wykonała polecenie, po czym włożyła dłoń do drugiej kieszeni i wyjęła etui na dokumenty. Również położyła je na stole.

Major schował wista do kabury, a podpułkownik Bukowiecki niespiesznie podniósł walthera i sprawdził zawartość komory nabojeowej oraz magazynka, wyjmując z niego wszystkie pociski. Było ich czternaście, jednego brakowało. Umieścił z powrotem amunicję w magazynku.

— To twój pistolet? — zwrócił się do dziewczyny.

Nie odpowiedziała. Podpułkownik przystąpił do przeglądania dokumentów. W dowodzie osobistym i prawie jazdy widniało to samo imię i nazwisko: Magdalena Tuszyńska. Zaskoczył go wiek dziewczyny, dwadzieścia osiem lat. Nie była już dzieciakiem.

— No to, pani Magdo, czyj jest ten walther? I kim jest ten mężczyzna z golfa?

Nie usłyszał odpowiedzi. Dziewczyna opuściła głowę. Podeszedł do niej przegowany kot i zaczął ocierać się o jej nogi.

— Chyba pani rozumie, że doszło do fatalnego zdarzenia. Pani towarzysz mierzył do żołnierza, dlatego zginął. Bardzo nam przykro z tego powodu.

Dalej milczała, ale nie dlatego, że była w szoku, i nie dlatego, że paraliżował ją strach, po prostu nie chciała im wyjawiać, co tu robiła.

Bukowiecki postanowił na razie nie naciskać. Podał majorowi dokumenty, sam wziął pistolet. Wychodząc z pokoju, rzucił do plutonowego:

— Pilnuj jej!

Weszli do pomieszczenia po przeciwnej stronie sieni. Belkowany sufit wisiał tak nisko, że podpułkownik odruchowo wciskał głowę w ramiona. Zerknął na okno zabite jakąś płytą. Dobrze byłoby ją zerwać albo chociaż odchylić, pozwoliłoby to pozbyć się woni stęchlizny i wpuścić trochę dziennego oświetlenia, bo na razie musieli się wspierać dwiema wojskowymi latarkami. Snop światła padł na komodę pozbawioną szuflad i drzwiczek.

Do pokoju wsunął się jak cień sierżant Tito i postawił na komodzie butelkę wódki i dwa duże kieliszki.

— Co z kapralem Derkaczem? — zapytał podpułkownik.

— Nosi go. Gdyby teraz Ruscy weszli, toby ich rozpierdolił. Dla pewności zabrałem mu karabinek, ale zdążył oddać jeszcze dwa strzały w pień sosny.

— Dobry chłopak — mruknął Bukowiecki, myśląc o Derkaczu.

Miał słabość do tego żołnierza. Takich armia potrzebowała, pewnych swej wartości, niezdrowo odważnych i niekiedy bezczelnych. Kapral patrzył starszym prosto w oczy i lubił wojskowy dryl. Bukowiecki postanowił, że nie da zrobić mu krzywdy.

Drzwi skrzypnęły nieprzyjemnie, gdy Tito wyszedł z pomieszczenia. Dowódcy mieli chwilę, aby porozmawiać i podjąć decyzję. Bukowiecki pewnym ruchem rozlał alkohol i podniósł swój kieliszek na wysokość ust. Spojrzał na zastępcę z wyrazem oczekiwania. Tamten jednak nie odrywał wzroku i palca od tabletu. Wypił więc sam. Delektował się palącym trunkiem spływającym do żołądka. Cudowne uczucie. Relaksujące.

— Planujesz wymienić pełne magazynki na puste? — zapytał niepewnie major, nadal patrząc w ekran.

— Nie planuję. Wojsko terytorialne ma wiedzieć, że ma broń, a nie zabawki.

Zastępca kiwnął głową z uznaniem. Po takim zdarzeniu wielu dowódców odebrałoby żołnierzom ostrą amunicję.

— Znalazłem profil Magdy Tuszyńskiej na dwóch portalach społecznościowych — zakomunikował major Serafin, przysiadając na krawędzi drewnianej skrzyni. — Nasza dziewczyna pracuje w bibliotece w Poznaniu. Napisała, że kocha książki i szybkie samochody. Ze zdjęć wynika, że lubi też chodzić po górach.

— Czyli wygląda na to, że jest nikim. Znakomicie. Spróbuj jeszcze ustalić, kim są jej rodzice.

Podpułkownik rozejrzał się po pomieszczeniu. To gospodarstwo stało puste od ponad dwudziestu lat, ale obecność mebli i innych sprzętów, choćby wiader i skrzynek po piwie, dowodziła, że ktoś tu pomieszkiwał, przynajmniej latem. Mogła to być miejscówka okolicznej młodzieży. Zaczął się przechadzać. Butem odsunął wiadro, które stało mu na drodze.

— Musimy zrobić wszystko, żeby media się nie dowiedziały, bo nas zjedzą na przystawkę. I tak mamy złą prasę.

Major na moment oderwał wzrok od tabletu.

— Nie taką złą, to głównie internauci nas nie lubią. Nazywają nas armią bezrobotnych, ale co się dziwić, skoro ci kretyńcy z ministerstwa nadal każą prowadzić rekrutację w urzędach pracy.

Bukowiecki zatrzymał się przed dziurą w ścianie. Tu prawdopodobnie kiedyś znajdował się włącznik światła.

— Teraz jesteśmy armią bezrobotnych, a jeśli ludzie dowiedzą się o dzisiejszym zdarzeniu, będziemy armią morderców.

Mieli problem i obaj zdawali sobie z tego sprawę. Sytuacja wyglądała nieciekawie i należało ją jak najszybciej rozwiązać dla dobra armii i dla dobra ich samych. Za czyn kaprała odpowiadali dowódcy, a więc konsekwencje mogą być takie, że tracą stanowiska i stopnie. Dowództwo Wojsk Obrony Terytorialnej poświęci ich, aby ratować dobre imię formacji. Bukowiecki był pewien, że tak będzie, bo sam też na pierwszym miejscu stawiał dobro całej służby.

— Masz rację — syknął major. — Dziennikarze na pewno nas nie oszczędzą.

Podpułkownik już widział w wyobraźni prasowe nagłówki mówiące o psychopatach w służbie terytorialnej.

— To nie może wypłynąć. O dzisiejszym zdarzeniu nikt nie może się dowiedzieć.

— Nie utrzymasz tego w tajemnicy. Cały batalion już wie, co się stało. Chcesz wydać im rozkaz, aby milczeli?

W głosie majora pojawiła się kpina. Podpułkownik musiał się zgodzić ze swoim zastępcą. Zapewne już paru terytorialsów wysłało esemesy do rodzin z sensacyjną wiadomością. Może znalazł się nawet taki, który wspomniał coś w mediach społecznościowych. Niestety, nie było oficjalnego zakazu używania komórek podczas ćwiczeń. Nie było nawet zakazu publikowania selfie. Żołnierze umieszczali więc na swoich profilach fotki z poligonu, zwykle na tle sprzętu wojskowego. Znakomite źródło informacji

dla ruskiego wywiadu. Bukowiecki robił w tej kwestii, co mógł, głównie uświadamiał ryzyko i zalecał ostrożność. Wielu terytorialsów się stosowało, ale całe mnóstwo ulegało manii fotografowania siebie i wszystkiego, co wokół, żeby pokazać to znajomym.

— To gdy media się dowiedzą, zrobimy wszystko, aby kaprala Derkacza wykreować na bohatera, i wykorzystamy do tego naszych żołnierzy. Niech napiszą na swoich profilach, jak kapral uratował kolegów, likwidując zagrożenie.

Major potarł grzbietem dłoni podbródek, co dowodziło, że zastanawia się nad pomysłem dowódcy. Obaj zdawali sobie sprawę z możliwych konsekwencji dzisiejszego zdarzenia. Gdy okaże się, że jeden z terytorialsów zastrzelił zwykłego obywatela, to politycy pod naciskiem opinii publicznej gotowi są odebrać im niezawodne karabinki Grot, w zamian dadzą jakieś gówno na plastikowe kulki. Jeśli tak by się stało, to z formacji odejdą setki dobrych strzelców, a nowi nie przyjdą, bo przecież tym, co ich przyciągało do obrony terytorialnej, była ostra amunicja.

— Bardzo by nam pomogło, gdyby ta ruda dziewczyna potwierdziła, że kierowca golfa chciał zabić żołnierza albo lepiej kilku żołnierzy — oznajmił Serafin.

— No to przekonamy ją do złożenia takich zeznań na policji, ale wcześniej trzeba ustalić, co ją łączyło z ofiarą. Jeśli to luźna znajomość, to powinna przychylić się do naszej wersji wydarzeń.

— Chyba nie była z nim mocno związana, bo jakoś po nim nie rozpacza.

— Też to zauważyłem.

Podpułkownik nalał wódki do swojego kieliszka, drugi wciąż był pełny. Kiwnął zachęcająco na zastępcę. Ten podniósł się ze skrzyni i skwapliwie chwycił za alkohol. Wypili.

— Przejrzałem pobieżnie listę jej znajomych na Facebooku, nikt mi nie pasuje do tego gościa w golfie — oznajmił Serafin.

— Daj naszym żołnierzom jego telefon. To nie problem, że jest zablokowany. Mamy kilku speców od tych rzeczy. Poradzą sobie.

Major odstawił kieliszek i znowu usiadł na skrzyni.

— Telefon dam sierżantowi Tito. On już będzie wiedział, komu dalej go przekazać. A może nawet sam się nim zajmie.

Podpułkownik spojrzął na zamknięte drzwi.

— Do telefonu dziewczyny też warto zajrzeć.

— Zajmę się tym — zapewnił Serafin.

Rozdział III

MAJOR SERAFIN WSZEDŁ do polowej sypialni. Nagrzewnice zostały uruchomione, bo było ciepło i sucho. Przyjemna odmiana po wilgotnym i zimnym budynku. Doceniał nowe namioty, żadna chińszczyzna, lecz dobra polska robota, latem się nie nagrzewały, a zimą skuteczniej izolowały przed chłodem. Na szczęście nie musieli walczyć o dobry sprzęt dla terytorialsów. Wszystko, co dostawali, było najlepsze i oczywiście prosto od producenta. Ten namiot nadal czuć było impregnatem, mimo że używali go od kilku tygodni.

Derkacz stanął przed nim wyprężony jak struna.

— Spocznijcie, kapralu!

Żołnierz wypuścił powietrze z wypiętej piersi.

— Panie majorze, melduję, że odblokowujemy telefon. Zaraz będzie gotowy.

Na pryczy siedział sierżant Tito, przed nim stał taboret, a na taborecie laptop, do którego podpięty był aparat. Żołnierz nie odrywał wzroku od monitora. Na jego twarzy nie było widać skupienia, które oddawałoby wagę wykonywanego zadania. Patrzył ze spokojem, a nawet lekkim zniecierpliwieniem. Nagle drgnęła mu lewa powieka.

— Zrobione — oznajmił i odłączył telefon, po czym wręczył go przełożonemu.

Major przysiadł na brzegu sąsiedniej pryczy i uruchomił aparat. Bateria wskazywała dwadzieścia procent mocy. Tyle w zupełności wystarczy. Najpierw wszedł w kontakty. Lista była pusta. Sprawdził ostatnie połączenia. Nie było żadnego. Zajrzał do skrzynki esemesowej, potem do albumu, nic tam nie znalazł. Poczta systemowa nie została ustawiona. Na pulpicie nie widniała ikonka żadnej znanej aplikacji przeznaczonej do komunikowania się.

Kapral Derkacz uderzał butem w taboret. Nie potrafił ukryć zniecierpliwienia. Nic dziwnego, to on pociągnął za spust i teraz chciał wiedzieć, komu odebrał życie.

— I co? — zagadnął niepewnie.

— Nic. Telefon wygląda na nieużywany albo wyczyszczono z niego wszystkie dane.

— Mogę? — Sierżant Tito wyciągnął rękę.

Major podał mu aparat. Tito przesunął palcem po ekranie.

— Sądzę, że telefon został przywrócony do ustawień fabrycznych. Jeśli tak, to jestem w stanie odzyskać część danych, musiałbym tylko poszukać w sieci odpowiedniego programu.

— Zajmij się tym! — polecił zastępca dowódcy.

— Rozkaz, panie majorze, ale uprzedzam, że to trochę potrwa. A na razie sprawdzimy, jaki numer ma ten telefon. Artur, do ciebie zadzwonimy. Podaj swój numer!

Derkacz podyktował dziewięć cyfr, a sierżant wybrał je na telefonie. W jednym z plecaków odezwał się sygnał. Kaprał wy dostał z niego aparat i odczytał numer.

— I co teraz? — zapytał, bo dotarło do niego, że ten szereg cyfr niewiele mu mówi.

— Właściwie nic — mruknął Tito. — Gdybyśmy znali kogoś w policji, to już mielibyśmy nazwisko właściciela tego numeru i wiedzielibyśmy, gdzie aparat się logował. Szkoda, że psy mogą tak dużo, a my tak mało.

Major Serafin podzielał opinię sierżanta. Żołnierzom w Polsce wolno było strzelać do tarczy, biegać po lesie, skakać ze spadochronem i poza tym niewiele więcej, a przecież to od nich zależało bezpieczeństwo kraju. Podniósł się z pryczy.

— Jak coś wyciągniesz z tego aparatu, to dawaj znać.

Skierował się do wyjścia. Zatrzymał go kaprał Derkacz.

— Majorze, czy podpułkownik już zawiadomił policję?

— Jeszcze nie, na razie próbujemy ustalić, kim jest ofiara.

— A ta ruda dziewczyna, kim jest?

— Nikim. Z nią nie powinno być problemów.

Chłopięca twarz kaprała zaczerwieniła się.

— Co to znaczy, że z nią nie powinno być problemów?

— To znaczy, że zezna, iż jej kolega chciał cię zabić.

— Taka jest prawda. Widziałem wymierzoną we mnie lufę.

— No właśnie, czyli dziewczyna powie policji prawdę.

Serafin wyszedł z namiotu. Zaczynało kropić i zrobiło się zimniej. Wsiadł do wozu dowodzenia. Pięć minut później zaparkował na podwórku opuszczonego gospodarstwa. Od razu zauważył podpułkownika

Bukowieckiego stojącego na rozsypujących się schodkach pod mizernym daszkiem. Dowódca palił. Gdy major do niego podszedł, tamten oznajmił:

— Dziewczyna nie ma przy sobie telefonu. Dziwne, prawda? Dzisiaj młodzi ludzie zrosnięci są ze swoimi aparatami, a ta nie zabrała swojego. Przyjechała z Poznania pod Braniewo, pod ruską granicę, i nie wzięła telefonu?

Serafin podzielał opinię podpułkownika. Coś nie w porządku było z Magdą Tuszyńską i kierowcą golfa. Należało ustalić, co takiego. Być może będą mieli szczęście i okaże się, że ten zastrzelony mężczyzna to groźny przestępca, może nawet uprowadził tę ładną rudą dziewczynę, a oni, żołnierze obrony terytorialnej, z narażeniem własnego życia ją uwolnili.

— Musimy ją przekonać, żeby z nami porozmawiała — oznajmił podpułkownik i rzucił peta na schodek, po czym go przydeptał.

Rozdział IV

TO BYŁA ZIMNA I GĘSTA MŻAWKA. Nie spływała po ubraniu, bo krople były zbyt małe. Nieubłaganie wsiąkała w tkaninę, przenikając przez jej kolejne warstwy. Kurtka Magdy Tuszyńskiej była zapewne bardzo ciężka od wody i dawała niewiele ciepła, co było widać po posiniałej twarzy dziewczyny i jej drżących ustach.

— Gdzie jest twój telefon? — zapytał podpułkownik Bukowiecki.

To było pierwsze pytanie, jakie zadał, choć siedział naprzeciwko Magdy od dziesięciu minut. Przez ten czas tylko na nią patrzył i palił kolejnego kiepa. Znajdowali się przed domem. Dla własnej wygody polecił wystawić dwa krzesła. On i dziewczyna siedzieli, a major Serafin i plutonowy Nowicki stali. Żaden z nich nie mókł, bo włożyli płaszcze przeciwdeszczowe, ale Magda z każdą minutą nasiąkała wodą i wyglądała na coraz bardziej zmarzniętą.

— Gdzie jest twój telefon? — powtórzył pytanie, gdy nie odpowiedziała. — Nie sądzę, żebyś go zapomniała zabrać z Poznania. Bo to tam mieszkasz, prawda? Specjalnie go zostawiłaś, nie chciałaś, żeby logowanie się aparatu zdradziło, gdzie byłaś w ten weekend. Mam rację?

Wytarła wodę z twarzy. Futerko wokół kaptura już jej nie chroniło, namokło, i to z niego krople ściekały na policzki. Poruszyła sinymi ustami, jak gdyby chciała coś powiedzieć, jednak żadne słowo nie wydostało się z jej krtani.

— Wolałabyś porozmawiać z policją? Nie z nami?

Nieznacznie przytaknęła. Tego podpułkownik się nie spodziewał. Myślał, że dziewczyna ma coś do ukrycia, coś na tyle poważnego, żeby unikać kontaktu z psami. Byli dwadzieścia kilometrów od granicy z obwodem kaliningradzkim, stawał na przemyt papierosów z Rosji do Niemiec, w końcu golf był na germańskich blachach. Mogło też chodzić o narkotyki, o afgańską heroinę, która zalewała rynek rosyjski w ogromnych ilościach. Rosjanie przez lata oskarżali Amerykanów, że ci przychylnie patrzą na produkcję heroiny w Afganistanie, bo wiedzą, że trafi ona do Putina. Teraz, gdy talibowie odzyskali nadzór nad uprawą opium, sprawa wyglądała jeszcze gorzej. Jakiś czas temu pojawiły się medialne doniesienia, że Ruscycy

pomogą przemytnikom, aby narkotyk szedł dalej do Europy, żeby tylko nie zostawał u nich, chcieli stać się krajem tranzytowym dla afgańskiej heroiny. Może właśnie to się działo i tych dwoje z golfa przyjechało po odbiór jakiejś większej ilości narkotyku, stąd pistolet i wyczyszczony telefon. Co prawda w samochodzie nie było walizki z kasą, ale to bez znaczenia, bo są inne formy rozliczania transakcji. Magda Tuszyńska dała znak, że jest gotowa gadać z psami, i tym samym rozwaliła mu całe założenie o przemyśle.

— Jesteś pewna, że chcesz porozmawiać z policją?

Znowu przytaknęła.

— Nie chcesz nam powiedzieć, kim był kierowca golfa, ale mam rozumieć, że policji to powiesz? Nawet jeśli im nie powiesz, to oni szybko to ustalą, choćby po numerach rejestracyjnych wozu albo po numerze telefonu, który znaleźliśmy w schowku. Czyli my też za parę godzin będziemy znać tożsamość twojego kolegi. Proponuję, żebyśmy skrócili czas oczekiwania na tę informację, powiedz nam teraz, jak się on nazywa i kim jest, no i co tu robiliście.

Magda pociągnęła nosem, a potem po raz pierwszy usłyszeli jej lekko chrapliwy głos:

— Przyjechaliśmy tu na randkę.

Bukowiecki parsknął głośnym śmiechem. Kątem oka zobaczył, że na pociągłej twarzy majora też pojawia się uśmiech, jedynie plutonowy stojący za dziewczyną zachował powagę.

— Ale mnie rozbawiłaś. Na randkę z Poznania pod ruską granicę, do opuszczonego gospodarstwa w Robuzach. Nie lepiej było pojechać do jakiegoś przytulnego pensjonatu nad Wartą? No dobrze, uznajmy, że to była randka. Wiemy już, po co tu przyjechaliście. Powiedz jeszcze, jak się nazywa twój kochaś i kim jest, czyli czym się zajmuje, gdy nie pieprzy się z tobą.

Dziewczyna usiłowała wytrzeć mokre ręce o mokrą kurtkę. Bezsensowne działanie świadczące o zdenerwowaniu.

— Nazywa się Siergiej, jest Białorusinem — mówiła, szcękając zębami.

Bukowiecki przywołał w pamięci paczkę papierosów Mińsk, które Serafin znalazł w kieszeni trupa. Co prawda pół Europy paliło takie fajki, ale marka mogła też potwierdzać narodowość kierowcy.

— Kłamiesz, dziewczynko — oznajmił spokojnie podpułkownik.

— Nie kłamię — zaprzeczyła, trochę zbyt szybko.

— Kłamiesz. Gdyby twój towarzysz był cudzoziemcem, to miałby przy sobie dokumenty, a nie ma. Obywatel Unii Europejskiej mógłby się poruszać po Polsce bez papierów, ale nie Białorusin.

Patrzyła na niego wielkimi brązowymi oczami.

— Na pewno ma paszport. Źle szukaliście.

Mogła mieć rację. Przeszukali zwłoki i schowek, uznając, że dokumenty trzyma się pod ręką. Bagażnik też otworzyli, ale tam ograniczyli się do rzucenia okiem.

— Przeszukaj bagażnik! — rozkazał plutonowemu.

Żołnierz oddalił się do stojącego kilka metrów dalej golfa. Dziewczyna odprowadzała go wzrokiem, obróciła się nawet na krzesło, aby widzieć, co będzie robił.

— Podadaś imię swojego kochasia, Siergiej. A nazwisko?

Zamyśliła się, jak gdyby w odmętach wystraszonej pamięci usiłowała odnaleźć to jedno słowo. Poruszyła ustami, sprawdzając jego brzmienie.

— Kozłow — oznajmiła po dłuższym czasie.

— Wymyśliłaś to nazwisko — stwierdził spokojnie podpułkownik.

— Nie — zaprzeczyła, znowu zbyt pośpiesznie.

— Wymyśliłaś je. To bardzo łatwe nazwisko: Kozłow, nawet w stresującej sytuacji nie powinnaś mieć problemu z jego przypomnieniem, a ty się zastanawiałaś kilkanaście sekund.

Magda zerwała się z krzesła i wyciągnęła przed siebie zaciśnięte pięści.

— Czego ode mnie chcecie? Nic złego nie robiliśmy, a wy go zastrzeliliście. Jesteście mordercami!

— Siadaj!

Krótkie polecenie wydane żołnierskim tonem zadziało natychmiast. Dziewczyna opadła na krzesło. Zbliżył się do nich plutonowy Nowicki.

— Panie podpułkowniku, melduję, że dokonałem czynności przeszukania bagażnika. Znalazłem niedużą torbę. Był w niej polar, kanapki, kiełbasa i słoik dżemu, po zapachu oceniam, że to śliwkowy. Dokumentów brak. Poza tym w bagażniku znajduje się zapasowe koło, trójkąt ostrzegawczy i gaśnica.

Bukowiecki uniósł lewą brew w teatralnym wyrazie zdumienia.

— A zatem Siergiej Kozłow poruszał się po obszarze Unii Europejskiej bez paszportu, bez prawa jazdy, posługiwał się telefonem, z którego wyczyszczono wszystkie dane, no i miał pistolet. Dziwny gość. Może szpieg?

Albo przestępca? Powiesz nam, dziewczynko, czym się zajmował twój chłoptaś?

Magda się trzęsła. Namoknięte kurtka i spodnie stały się termiczną pułapką, która schładzała ciało.

— Zimno mi. — Skierowała wzrok na dom. — Chciałabym się schować.

— W tej ruderze też jest zimno i śmierdzi. Ale możemy cię zabrać do naszego samochodu i włączyć ogrzewanie. Zawieziemy cię do naszej bazy, tam dostaniesz suchą kurtkę i będziesz mogła napić się gorącej kawy. Poczestujemy cię również wojskową grochówką. Najpierw powiedz, jak się nazywa kierowca golfa i co tu robiliście.

— Przyjechaliśmy tu na randkę, a on się nazywa Siergiej Kozłow.

Podpułkownik musiał przyznać, że dziewczyna jest twarda. Za nic nie chciała powiedzieć prawdy, jej postawa była jednak nieracjonalna, bo przecież policja w ciągu kilku godzin ustali, kim jest kierowca golfa. Dlaczego więc tak się zapierała? Chciała zyskać na czasie? A może po prostu bała się powiedzieć im prawdę, bała się ludzi w mundurach Wojska Polskiego, którzy bez wahania naciskali na spust. W zestawieniu z nimi policjanci mogli się wydawać ostoją bezpieczeństwa. Postanowił wykorzystać jej strach. Wyciągnął wista z kabury i przyłożył Tuszyńskiej do czoła. Odbezpieczył broń. Charakterystyczny zgrzyt metalu rozbrzmiał w szumie deszczu jak zapowiedź tragedii.

— Mój żołnierz zastrzelił twojego kochasia, ja mogę zastrzelić ciebie. Potem was oboje zakopimy w lesie tak głęboko, że nikt nigdy nie znajdzie waszych ciał. Samochód odprowadzimy do koszar, wcześniej odkręcimy tablice, może za kilka lat ktoś się zainteresuje wrakiem. To dla nas najlepsze rozwiązanie, bo śmierdząca sprawa przestanie istnieć. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Magda znieruchomiała. Przerazenie tak bardzo sparaliżowało jej ciało, że nawet ustało drżenie mięśni wywołane chłodem. Plutonowy Nowicki sapnął ciężko i zszedł z linii strzału. Nie chciał zostać trafiony kulą, która przeleciałaby przez jej czaszkę. Uwierzył, że dowódca mógłby zabić bezbronną kobietę. Jeśli żołnierz uwierzył, to dziewczyna tym bardziej powinna.

— Kim jest kierowca golfa i co tu robiliście?

— Przyjechaliśmy po fajki — powiedziała, a jej głos nabrał płaczącej tonacji.

— Po jakie fajki?

— Białoruskie.

— Po białoruskie papierosy pod ruską granicę? Coś ci się, dziewczynko, pomyliło.

— Przysięgam, że po białoruskie. Siergiej od roku przywozi je do Poznania, kilka osób je dla niego sprzedaje na targowisku i w klubach nocnych. Jakiś jego kolega miał nam wczoraj je tutaj przywieźć, bo oni chyba przerzucają większe ilości, a Siergiej po znajomości dostawał kilka tysięcy paczek. Coś jednak nie wyszło, bo ten człowiek się nie pojawił.

Bukowiecki wciąż trzymał lufę przy czole Magdy.

— Gdzie jest jego paszport?

— Nie mam pojęcia. Myślałam, że ma go przy sobie.

— A gdzie ty masz swój telefon?

— Siergiej kazał mi zostawić w domu. zaproponował, żebym pojechała z nim dla towarzystwa. Jestem tu pierwszy raz. Przysięgam, nigdy w tym wcześniej nie uczestniczyłam.

— Postąpiła pani bardzo nierozsądnie — wtrącił się major Serafin. — Gdyby straż graniczna przeszukała wasz samochód, to pani też mogłaby zostać posądzona o przemyt.

— Ale my nie mieliśmy przekraczać granicy.

— Straż graniczna może kontrolować pojazdy na terenie całej Polski. Nie wiedziała pani o tym?

— Wiedziałam, ale Siergiejowi zawsze się udawało. Powiedział, że straż graniczna nas nie skontroluje, że to mało prawdopodobne. Uwierzyłam mu. Chciałabym wrócić do domu.

Rozpłakała się. Podpułkownik odsunął lufę od jej czoła.

— Co powiesz, gdy policja zapyta, jak zginął kierowca?

— Powiem to, co chcecie.

— Powiesz, że twój kolega celował do żołnierza.

— Tak, celował do niego, chciał go zabić, bo się wystraszył, spanikował na widok człowieka w mundurze i z karabinem. Pomyślał, że to obława na przemytników, i dlatego chciał strzelać.

Już nie patrzyła ze strachem, lecz z nadzieją. Nadal jednak wyglądała żałośnie, broda drgała jej od płaczu i z zimna. Osiągnęli cel. Urobili ją. Nie powinna im zaszkodzić, gdy pojawi się policja. Podpułkownik schował wista do kabury.

— Plutonowy, zawieź panią do bazy i dopilnuj, żeby dostała kawę i posiłek.

Nowicki musiał ją podtrzymać, bo chwiała się na dygoczących nogach. Zaprowadził ją do terenowego auta z oznaczeniami Wojsk Obrony Terytorialnej i pomógł wsiąść. Sam zajął miejsce za kierownicą, chwilę później ruszyli.

Podpułkownik wstał i podniósł krzesło, na którym siedział. Major wziął krzesło Magdy. Obaj weszli do domu. Z ich przeciwdeszczowych płaszczy skapywała woda.

— Myślisz, że powiedziała prawdę? — zapytał Serafin.

— Sądzę, że tak. Była wystraszona jak nazista pod Stalingradem. Właściwie nie wyszło najgorzej, kapral Derkacz zastrzelił przemytnika, który chciał go zabić.

Bukowiecki wyjął telefon i wybrał numer komendy policji w Braniewie. Przedstawił się, podając stopień, następnie poinformował oficera dyżurnego o tragicznym zdarzeniu podczas ćwiczeń terytorialsów.

— Przyjadą za trzydzieści minut — oznajmił, gdy się już rozłączył.

Serafin strząsnął wodę z płaszcza. Duże krople stworzyły mokrą plamę na brudnej podłodze. Nagle zamarł z wyciągniętą ręką.

— Kurwa, ona nas oszukała.

Bukowieckiemu przebiegł po plecach dreszcz niepokoju. Co takiego przeoczył?

— O co chodzi? — zapytał, wkładając papierosa do ust.

— Ten facet nie jest Białorusinem.

— Skąd to wiesz?

— W tym telefonie był ustawiony język polski, a powinien być białoruski. Nawet jeśli znał polski i aparat kupił w Polsce, to i tak powinien przestawić język, po prostu dla wygody. Karta SIM też była polska, ale to okej, bo z tego, co mówiła Ruda, to często bywał w Poznaniu albo tam nawet mieszkał.

Bukowiecki zaciągnął się papierosem i powoli wypuścił dym. W tym, co mówił Serafin, było dużo sensu, ale wyjaśnienie mogło też być inne. Kierowca golfa nie przestawił języka, bo to nie był jego telefon osobisty. Miał jedynie posłużyć do jednorazowego, przestępczego użycia.

CZEŚĆ DRUGA
Policja

Rozdział I

W SOBOTNI PORANEK NA KOMENDZIE było pustawo, ale kawą pachniało jak w każdy inny dzień. Starsza posterunkowa Agata Małek z papierowej torebki wyjęła spory kawałek piernika.

— Sama upiekłam — oznajmiła, podsuwając ciasto koledze.

Młodszy aspirant Nikita Sokołow chętnie się poczęstował. Już nie raz miał okazję się przekonać, że Agata ma rękę do wypieków.

— Co dzisiaj masz do roboty? — zapytała, siadając po drugiej stronie biurka.

— Idę pogadać z Lenarczykową. Zgłosiła, że jej grożą.

— Znowu? Boże! Tą kobietą powinien zająć się lekarz. Trzeba zawiadomić opiekę. Niech coś wreszcie zrobiją.

— Najpierw z nią pogadam.

— Rozmawiałeś z nią pół roku temu i z jej sąsiadami też. A co w ogóle powiedzieli chłopcy z patrolu?

— Stwierdzili, że to wariatka. Ja bym się jednak przyjrzał sprawie.

Agata się uśmiechnęła i dłońmi objęła kubek z kawą.

— Sokół, przyznaj, że chcesz, aby Lenarczykowa po twojej wizycie poczuła się lepiej.

Nikita przełknął kolejny kawałek piernika.

— Chcę, żeby poczuła się bezpieczniej. Od tego przecież jest policja, aby zapewnić bezpieczeństwo obywatelom.

Ostatnie słowa wypowiedział z udawanym patosem. Też uważał, że Lenarczykowa jest poważnie zaburzona, a jej oskarżenia wobec sąsiadów są bezpodstawne. Nic nie wskazywało na to, że jej grożą śmiercią. Nie chciał jednak zostawiać kobiety samej sobie. Parę miesięcy temu zdołał ją uspokoić, może teraz też się uda.

Starsza posterunkowa spojrzała na okno. Po szybie spływały krople deszczu.

— Żeby tylko dzisiaj nie spadło na nas nic grubego. — Kubek stuknął zbyt mocno, gdy go odstawiała. Objęła się ramionami. — Mam złe przeczucie. Żeby to tylko nie było samobójstwo.

Sokołow również skierował wzrok na okno.

— No w taką pogodę to tylko się powiesić.

Agata się wzdrygnęła.

— Przestań. Ja chcę mieć dzisiaj spokój w robocie.

— Dobry piernik.

Palcem zgarnął okruszki z talerza.

— Taki niewyszukany — mruknęła. Była jednak zadowolona, że mu smakuje. — W Mołdawii też jedzą pierniki?

— Też.

Starsza posterunkowa często wypytywała go o Mołdawię, nawet o historię tego kraju. On sam interesował się raczej tamtejszą przestępczością. Co jakiś czas przeglądał w internecie mołdawskie kroniki kryminalne i sporządzał statystyki. Potem je uzupełniał tam na miejscu, w Kiszyniowie, gdy odwiedzał dziadka. Dobrym źródłem informacji byli zwykli Mołdawianie, bo lubili się przechwalać skalą działań swoich przestępców. Dziadek też miał taki zwyczaj. Dwa lata temu z dumą mówił mu o nielegalnej fabryce, w której montowano helikoptery. Pytał wtedy zaczepnie: „Nikita, czy w tej twojej Polsce byłoby coś takiego możliwe?”. Sokół ze szczerą skruchą przyznawał, że nie.

Agata odchrząknęła, wygładziła spódnicę i wstała.

— Muszę przejrzeć dokumentację w sprawie tego wyłudzenia.

Młodszy aspirant wskazał głową na tablicę policyjną.

— Widziałaś, co Bolo nam przyczepił?

Podeszła do tablicy. Wisiał na niej rysunek wykonany mazakami. Przedstawiał rękę trzymającą pistolet. Z lufy wystawały trzy kwiatki. Pod rysunkiem widniało słowo: „Dziękuję”.

— Czy dobrze zgaduję, że to syn Bola narysował?

— Tak.

— Bolo musiał mu powiedzieć, że ty wpłaciłeś najwięcej kasy na jego operację.

— No co ty, przecież te podziękowania są dla nas wszystkich.

Na biurku zadzwonił telefon. Pierwsza sięgnęła po słuchawkę. Słuchała przez chwilę, a jej twarz nabierała powagi.

— To dyżurny, tak? — zapytał Sokół, gdy już się rozłączyła.

— Tak, mamy zgłoszenie.

— Samobójstwo?

Westchnęła.

— Dużo gorzej. To postrzał ze skutkiem śmiertelnym.

Nikita kiwnął głową, jak gdyby wszystko było jasne.

— Ten postrzał to w lesie?

— W Robuzach.

— Czyli w lesie. Stawiam na to, że znowu jakiś myśliwy postrzelił kumpla.

Rozdział II

KOMISARZ DOMINIK JAMRÓZ od dwóch miesięcy uwielbiał sobotnie poranki, bo spędzał je głównie w domu z żoną i dziećmi. Stał przy kuchennym stole i kroił czerwoną paprykę, przysmak ich syna. Córka lubiła wszystko, nawet owsiankę. On sam ostatnio też jadał zupy mleczne, żeby dawać dobry przykład dzieciakom.

Do kuchni wbiegł Olek. Był jeszcze w piżamie. Włosy wywijają mu się we wszystkie strony. Zuza chciała mu je podciąć, ale Dominik się nie zgodził. Syn miał podobną czuprynę jak on, tylko że blond, a Dominik wciąż pozostawał brunetem.

— Tata, dzisiaj mam trening.

— To idź się ubieraj, bo jeszcze musisz śniadanie zjeść. I spakuj plecak!

— Mama już mnie spakowała.

Chciał powiedzieć, że takich dużych chłopców mamy nie pakują na trening, ale darował sobie. Syn tryskał radością, a to było najważniejsze. Olek złapał kawałek papryki i wybiegł z kuchni. Po chwili w głębi mieszkania rozległ się dźwięczny śmiech córki.

Dominik układał paprykę na szynce, obok pomidora. Im bardziej kolorowe kanapki, tym chętniej Sylwunia je jadła.

— Nieźle ci idzie — oznajmiła Zuza, przekraczając próg.

Zawiązywała szlafrok w pasie.

— Dzięki. Staram się.

Pogłaskała go po plecach.

— Zastanawiam się, czy jechać na ten zjazd do Torunia.

— A dlaczego miałabyś nie jechać?

— Skarbie, przypominam ci, że mamy dzieci.

— Ja z nimi zostanę — zapewnił. — Wszystkim się zajmę. Nie martw się.

Zrobiła smutną minę.

— Będą za mną tęskniły.

— Będą — potwierdził Dominik. — Ja też będę tęsknił, ale damy radę.

Zuza postawiła na stole cztery kubki.

— Mam ochotę jechać. Miałabym okazję, żeby pochwalić się Sylwią i Olkiem. Mam w telefonie mnóstwo ich zdjęć.

Roześmiał się.

— Twoje koleżanki już z Instagrama wiedzą, że mamy wspaniałe dzieci.

— To nie to samo. Teraz ja też będę mogła opowiadać anegdoty o dzieciakach, o tym, co lubią, a czego nie. Na poprzednim zjeździe mogłam mówić tylko o tobie, teraz będę mogła też o córce i synu.

Dominik podszedł do żony i położył dłonie na jej ramionach. Pomyślała, że chce ją pocałować, bo wysunęła kusząco usta.

— Musisz się liczyć z tym, że usłyszysz tam trudne pytania.

— Jakie pytania? To tylko zjazd absolwentów.

— Twoje koleżanki na pewno będą się dopytywać, dlaczego nie zaadoptowaliśmy młodszych dzieci.

Zuza dotknęła jego nosa swoim.

— To dla mnie nie jest trudne pytanie. Nie zamieniłabym Olka i Sylwii na żadne niemowlę. Kocham te nasze dzieciaki.

Zadzwoiła jego komórka. Niechętnie odsunął się od żony i podniósł telefon. To młodszy aspirant Sokołow telefonował.

— Co tam? — rzucił Jamróz lekkim tonem do słuchawki.

— Mamy trupa — oznajmił Nikita bez zbędnego wstępu.

Komisarz ścisnął mocniej telefon. Skoro Sokół dzwonił, to nie mogło być samobójstwo ani wypadek samochodowy. Zanosilo się na coś poważniejszego.

— Możesz powiedzieć mi coś więcej?

— Zgłoszenie jest od obrony terytorialnej. Ich żołnierz kogoś zastrzelił.

Dominik pomyślał, że zapewne chodzi o nieostrożne obchodzenie się z bronią, w wyniku czego jeden terytorials zastrzelił drugiego. Muszą jednak wykonać wszelkie czynności pod kątem umyślnego doprowadzenia do śmierci.

— Zaraz będę.

Rozłączył się. Zuza patrzyła na niego ze skupieniem w twarzy.

— Co się stało?

— Wypadek na ćwiczeniach terytorialsów — wyjaśnił powściągliwie.

Do wypadku cię wzywają?

— No tak.

— Aha, rozumiem, czyli chodzi o śmiertelny wypadek.

Potwierdził ruchem głowy.

— Muszę jechać — oznajmił takim tonem, jak gdyby od razu prosił o wybaczenie.

— Skoro musisz...

Posłała mu ciepły uśmiech na znak, że nie ma żalu. Skierował się do przedpokoju. Odwrócił się przy drzwiach.

— Zawieziesz Olka na trening? — zapytał z prośbą w oczach.

— Zawiozę.

— Zapakuj mi jeszcze dwie kanapki. Zjem po drodze.

Rozdział III

INSPEKTOR KRYSTIAN SUM konsumował szóste jajko. Zostały mu jeszcze dwa. Mocno posolił płynne żółtko i zagłębił w nim łyżeczkę.

Brakowało mu pomysłu na tę sobotę. Na pewno pójdzie na basen, ale co z pozostałą częścią dnia? Kiedyś nie miał problemu z wolnym czasem. To było wtedy, gdy zajmował się sklejaniami modeli okrętów i żaglówek. Może powinien wrócić do modelarstwa? Lepiej nie, bo znowu dopadnie go depresyjne poczucie, że modele statków są jedynie namiastką rzeczy nieosiągalnych.

Rozległ się dźwięk przychodzącego esemesa. Rozejrzył się za telefonem. Zobaczył go na parapecie obok pudełka po pizzy. Może ta wiadomość zapowiada jakieś działanie, które wypełni mu weekend. Zgniół skorupkę po jajku i wstał. To Tamara do niego napisała z pytaniem, czy dzisiaj ją odwiedzi. Nie miał ochoty spędzić dnia w łóżku, odpisał więc, że jest zajęty. Przez chwilę czekał na kolejnego esemesa od przyjaciółki, ta jednak milczała. Chyba nie zależało jej bardzo na wspólnym wieczorze.

Gdy czyścił zęby, zadzwonił telefon. Wypluł pastę do umywalki i odebrał.

— Nie odpoczniesz dzisiaj — zakomunikował mu Dominik Jamróż.

Poważny ton komisarza wskazywał, że jest coś na rzeczy.

— Dobrze spałem i czuję się całkiem wypoczęty. Mów, o co chodzi.

— Mamy ofiarę śmiertelną postrzału.

Inspektor zakręcił kran. Trup zawsze generował ogrom pracy. Jeśli się za to weźmie, to rzeczywiście nie odpocznie.

— Chcesz, żebym pokierował oględzinami?

— Dobrze by było. Zapowiada się trudne śledztwo.

— Zaraz przyjadę.

Nie takiego zajęcia oczekiwał, ale w ostateczności to będzie lepsze niż oglądanie kolejnego serialu.

Przypiął kaburę. Zanim wyszedł z mieszkania, zgarnął jeszcze skorupki po jajkach i wrzucił je do kosza. Gwiżdżąc, zbiegał po schodach.

— Proszę pana, mam sprawę.

Kobieta w puchowej kurtce usiłowała zastąpić mu drogę na chodniku. Zwolnił i obrzucił ją nieprzychylnym spojrzeniem. Znał ją z widzenia.

Mieszkała gdzieś w pobliżu.

— Słucham — rzucił chłodno.

— Chodzi mi o właścicieli psów. Zrobilibyście coś z tymi, którzy nie sprzątają kup po swoich psach.

Kobieta mówiła oskarżycielskim tonem, jak gdyby on sam był jednym z tych okropnych właścicieli czworonogów.

— Mówi pani, że nie sprzątają?

— Tak. Wszędzie leżą te kupy.

Inspektor Sum się rozejrzał, jak gdyby rzeczywiście poszukiwał psich zanieczyszczeń.

— Nic nie widzę. Proponuję, żeby pani nagrała komórką filmik, jak właściciel się oddala po tym, jak jego pies nasrał na chodnik. I potem zgłosi to pani do nas.

Usta kobiety rozchyliły się w niemym oburzeniu. Inspektor ruszył do swojego forda.

— Burak — rzuciła za jego plecami.

Uśmiechnął się w duchu. Zwykle gorzej go nazywano. Odwrócił się jeszcze do kobiety i zawołał:

— Kupy nie musi pani zabezpieczać, bo sama kupa nie jest żadnym dowodem.

Rozdział IV

— Co właściwie wiemy? — zapytał inspektor Krystian Sum.

Siedział za kierownicą wysłużonego radiowozu. Obok niego miejsce zajął komisarz Dominik Jamróż i to do niego było skierowane to pytanie.

— Terytorialni kogoś postrzelili, niestety śmiertelnie.

— Tak to się kończy, gdy dzieciakom daje się broń. Kogo odstrzelili?

— Nie wiem. Mamy jechać do opuszczonego gospodarstwa w Robuzach. Tam się rozeznamy, w czym rzecz.

— Dlaczego my jedziemy jako pierwsi, a nie prewencja? To oni są od rozwijania taśm, a nie my.

— Bo to wojsko zgłosiło zdarzenie. Sprawa jest poważna. Mamy działać w dyskrecji i z dużą ostrożnością.

Inspektor skrzywił usta, demonstrując niezadowolenie.

— Jak chcieli dyskrecji, to mogli żandarmerię wezwać. U nas zdarzenie to zdarzenie. Będziemy robić swoje, nas tajemnica wojskowa nie obowiązuje. Powiadomiłeś techników?

— Tak, medyka sądowego też, a komendant osobiście zadzwonił do prokuratury. Wszyscy są w gotowości i czekają na nasz sygnał.

Stary radiowóz sunął drogą powiatową tysiąc trzysta osiemdziesiąt pięć. Minęli Płoskinię i skręcili w prawo. Po jednej stronie pojawiła się czerwona cegła ponemieckich budynków, po przeciwnej ciągnęły się pola, po chwili po obu stronach drogi wyrosły drzewa. Inspektor nie lubił tego lasu, zarośniętego, krzaczastego, w którym zresztą więcej było pokrzyw niż drzew. W ogóle nie lubił tej okolicy, za dużo tu przestrzennego bałaganu. Nawet prywatne działki z młodym lasem wydawały się skażone tutejszą bylejakością. Wiele dałby za to, żeby móc wsiąść na jacht i wyruszyć w długą podróż po oceanach. Przestrzeń, gdzie woda łączy się z horyzontem, to by zadowoliło jego zmysły. Niestety, był tylko policjantem i musiał wozić się w starym radiowozie po wiejskich drogach.

Wjechali na podwórko opuszczonego gospodarstwa. Gdy wysiedli, zimny wiatr szarpnął ich kurtkami. Wiało przez ostatnich czterdzieści osiem godzin i wyglądało na to, że to jeszcze nie koniec. Inspektor nie cierpiał takiej pogody, aż się nie chciało wierzyć, że to połowa lutego. Gdzie mróz?

Gdzie śnieg? W tych okolicach wszystko było do dupy, nawet aura. Machinalnie się rozglądał i zapisywał w pamięci fakty, które powinny znaleźć się w protokole. Niebieski golf stał przodem do drogi wyjazdowej i równolegle do budynku mieszkalnego, jakieś osiem metrów od ściany, a zatem kierowca ustawił wóz do wyjazdu, nie zdążył jednak odjechać. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, na fotelu znajdował się martwy człowiek. Ponadto na podwórku stały dwa terenowe samochody Wojsk Obrony Terytorialnej, z czego jeden wyglądał na jakąś wypasioną wersję.

Ze starego domu wyszło dwóch żołnierzy. Jeden z nich przykuwał uwagę znacznym wzrostem. Szli wojskowym krokiem, uderzając mocno ciężkimi butami o ziemię. Goliat przedstawił się jako pierwszy:

— Dowódca Batalionu Lekkiej Piechoty w Braniewie, podpułkownik Szymon Bukowiecki. A to mój zastępca.

Wskazał na mężczyznę o pociągłej nieprzyjemnej twarzy. Tamten się wyprężył.

— Zastępca dowódcy, major Roch Serafin.

Policjanci również podali swoje stopnie i nazwiska, ale bez tego zadęcia, które biło od żołnierzy.

— Panowie, co tu się stało? — zapytał Krystian Sum, kierując wzrok na golfa i tkwiące w nim zwłoki. — Ukradli wam tarcze strzelnicze? Dlatego teraz do ludzi celujecie?

Podpułkownik wypuścił powietrze nosem, wpatrując się w trupa. Jego męska twarz z niepasującymi grubymi wargami wyrażała daleko idące opanowanie.

— Kierowcę zastrzelił mój człowiek, kapral Artur Derkacz.

— Bo co? Dostał taki rozkaz? Czy broń mu sama wypaliła?

— Kapral pociągnął za spust w samoobronie. Gdyby tego nie zrobił, toby zginął. Kierowca wymierzył do niego z walthera.

Inspektor pomyślał, że o pogodzie mówi się z większymi emocjami. Zbliżyli się do golfa. Sum zajrzał do wnętrza, po chwili odwrócił się do komisarza.

— Widzisz broń?

— Nie.

Podpułkownik wyciągnął z kieszeni walthera.

— To jest ten pistolet.

Inspektor nie dowierzał. Żołnierz w stopniu podpułkownika zabrał dowód z miejsca zdarzenia. To niewiarygodne, chyba że istniało jakieś racjonalne

wy tłumaczenie.

— Dlaczego wziął pan tego walthera? — zapytał grzecznie komisarz Jamróz.

Nie pozwolił Sumowi zadać tego pytania, bo wiedział, że ten się nie powstrzyma i sformułuje je z wyraźnym zarzutem.

— To nie ja go zabrałem z golfa. Pasażerka go wzięła. W samochodzie była też kobieta. Gdy kapral strzelił do kierowcy, ona złapała za walthera i zaczęła uciekać. Chyba panów nie dziwi to, że odebrałem jej broń.

— Gdzie jest ta kobieta? — zapytał inspektor.

— W naszej bazie. Półtora kilometra stąd rozstawiliśmy namioty. To tam poleciłem ją zabrać.

— Dlaczego?

— Bo była w szoku. Uznałem, że kawa dobrze jej zrobi.

Podpułkownik wykonał ruch, jak gdyby chciał schować walthera do kieszeni.

— Proszę poczekać, przyniosę torebkę na dowody — odezwał się komisarz, po czym oddalił się pospiesznie do radiowozu.

Inspektor Sum nie odrywał wzroku od miejsca zdarzenia. Policyjne doświadczenie kazało mu szukać nieprawidłowości, dysharmonii, jak gdyby miał przed sobą źle zaprojektowaną inscenizację. Przedziurawiona szyba w drzwiach golfa wskazywała, że to przez nią padł strzał.

— Kto otworzył drzwi do samochodu?

— Kapral Derkacz.

— Po co?

— Nie wiem. Nie pytałem go, ale domyślałem się, że chciał sprawdzić efekt swojego trafienia.

— Gdzie on teraz jest?

— W bazie.

Rozpryski krwi wydawały się wypełniać całe wnętrze samochodu, najwięcej ich było na zwłokach i suficie. To one w pierwszej kolejności przykuły uwagę inspektora Suma, dlatego dopiero teraz zarejestrował w swoim umyśle inny niepokojący widok. Kurtka ofiary była nie tyle rozpięta, co raczej rozchylona, a nawet odstawała od ciała, jak gdyby ktoś szukał wewnętrznych kieszeni.

— Kto przeszukał ofiarę? — zapytał, nie dowierzając, że coś takiego mogło w ogóle mieć miejsce.

— Ja to zrobiłem — odezwał się major Serafin.

— A co pana do tego skłoniło?

— Taki otrzymałem rozkaz.

Major spojrział na podpułkownika, wskazując tym samym, kto mu go wydał.

— Dobra, panowie, o co tu chodzi? Dlaczego go przeszukaliście?

— Żeby poznać tożsamość kierowcy — odpowiedział Bukowiecki.

Inspektorowi Sumowi nie mieściło się w głowie, że ludzie w mundurach Wojska Polskiego mogli zachowywać się tak nieodpowiedzialnie. Skąd oni się urwali? Co mają pod czaszkami? Żeby chociaż wyglądali na gówniarzy, ale to stare chłopy. Podpułkownik mógł mieć czterdzieści lat, major był parę lat młodszy, ale na pewno już po trzydziestce.

— Jesteście zawodowymi żołnierzami?

— Tak — odpowiedział Bukowiecki.

— A ten kapral, który strzelił?

— Jest żołnierzem obrony terytorialnej, w formacji od sześciu miesięcy.

Zbliżył się do nich komisarz Jamróż i odebrał od Bukowieckiego walthera, po czym umieścił go w torebce na dowody.

— W broni brakuje jednego pocisku — oznajmił podpułkownik.

— Zawsze dotykał jej pan w rękawiczkach?

To pytanie Jamroza również było uprzejme.

— Tak, zawsze w rękawiczkach.

— Podpułkowniku, dziękujemy, że aktywnie wspiera pan działania policji — rzucił z przekąsem Sum. — Czy mógłby pan jeszcze oddać dokumenty ofiary?

— Nie miał przy sobie papierów. W schowku i w bagażniku też ich nie było. Pasażerka golfa powiedziała, że kierowca jest Białorusinem i nazywa się Siergiej Kozłow.

Inspektor wzmógł swoją czujność. Kierowca Białorusin nie ma dokumentów? To nie było normalne. Gdy zwykle z miejsca zdarzenia zniknęło coś, co powinno tam być, podejrzanymi stawali się uczestnicy zdarzenia bądź świadkowie. Może ci dwaj w mundurach tylko odgrywali głupich.

— Kiedy doszło do zdarzenia? — zapytał nagle komisarz Jamróż.

Inspektor miał już na ustach to samo pytanie. Było ono uzasadnione w obliczu tego wszystkiego, co zdołali zrobić żołnierze.

— O siódmej szesnastce otrzymałem meldunek od plutonowego Nowickiego, że kapral Derkacz w trakcie rozpoznawania terenu zastrzelił

człowieka.

Sum miał świadomość, że wściekłość rysuje się na jego twarzy. Niemal czuł, jak pionowa zmarszczka między brwiami się pogłębia, nadając mu groźny wygląd. Żołnierze zgłosili zdarzenie dopiero półtorej godziny później. Skrajna nieodpowiedzialność.

— Dlaczego tyle zwlekaliście? Nie przysłużyliście się kapralowi Derkaczowi. Taka zwłoka na pewno wzbudzi podejrzenia w sądzie. Prokurator to wykorzysta i zasugeruje zacieranie śladów albo wymuszanie zeznań na jedynym świadku, czyli pasażerze golfa.

Podpułkownik spojrzał na niego z góry, co ułatwiał mu wzrost, po czym pokiwał głową z pobłażaniem.

— Zawiadomiliśmy policję w najbardziej odpowiednim momencie. Mam nadzieję, że to rozumiesz, inspektorze. Sąd też to zrozumie, prokurator także.

Sum pojął, że nie ma przed sobą kretynów, którzy nie potrafią właściwie ocenić rzeczywistości i dlatego robią głupoty. Ci mężczyźni byli pewni siebie i aroganccy. Przeszukali ofiarę i samochód, przepytali świadka, bo wiedzieli, że nie poniosą żadnych konsekwencji swoich działań. Zapewne uważali, że wolno im robić rzeczy niezgodne z ogólnie przyjętymi normami, bo nosili mundury Wojska Polskiego.

— Gdy tylko przyjedzie radiowóz z technikami i medykiem sądowym, zabierzemy kaprala Derkacza i pasażerkę golfa na komendę w celu przesłuchania — oznajmił inspektor.

— Na komendę? A po co ich wozić, skoro można ich przesłuchać tutaj, przecież przepytywanie świadka i sprawcy na miejscu zdarzenia to zalecana praktyka. Proszę ją zastosować.

— Panie podpułkowniku, niech każdy z nas zajmuje się tym, co potrafi najlepiej. My przeprowadzimy przesłuchania tam, gdzie nam pasuje, a wy możecie dalej rozpoznawać teren.

Inspektor lekceważąco machnął w stronę lasu, dając znać, że tam najchętniej widziałby żołnierzy.

— Już na dzisiaj zakończyliśmy ćwiczenia. Teraz wam możemy służyć pomocą. Gdy zrobicie tu oględziny, zapraszam do bazy. Mamy wygodne namioty i gorącą grochówkę. W sprzyjających warunkach będziecie mogli dokonać przesłuchań.

Swobodny ton podpułkownika i władcze spojrzenie mówiły, że nie pozwoli zabrać żołnierza i kobiety do Braniewa. Inspektor aż się uśmiechnął, bo

zarozumiałość tego trepa wydała mu się komiczna.

Rozdział V

PROKURATORKA OLGA MAJCHRZAK skończyła wczoraj dwadzieścia siedem lat, a od dwóch miesięcy była prokuratorem w braniewskiej prokuraturze rejonowej. Swoją pracę uważała za pełną poświęceń i wyrzeczeń. Poświęcała głównie swój cenny czas na ciągłą naukę. Nocami zgłębiała regulacje wszystkich dziedzin prawa, kodeks karny miała w jednym palcu, ale wcale nie czuła się mądrzejsza. Zdałaby każdy pisemny egzamin na piątkę, ale na sali sądowej wiedza z książek kurczyła się do mikroskopijnych rozmiarów. Może gdyby pracowała w prokuraturze okręgowej w Olsztynie, przy boku swojego ojczulka, byłoby inaczej, przede wszystkim czułaby się wspierana. Obecnie otaczali ją sami zawistni ludzie. Miała wrażenie, że policjanci z powiatowej komendy w Braniewie ją ignorowali. Teraz, gdy wysiadała ze swojej mazdy, którą dostała od rodziców z okazji zdania egzaminu prokuratorskiego, bała się, że w obecności policjantów znowu powie coś głupiego albo wyda im jakieś nedorzeczne polecenie. Żeby tylko nie oczekiwali od niej, że pokieruje oględzinami. Do tej pory jakoś udało się jej tego uniknąć, nawet dwa tygodnie temu, gdy trzy osoby zginęły w karambolu na drodze ekspresowej S22 prowadzącej do przejścia granicznego Grzechotki-Mamonowo, zdołała swój udział ograniczyć do przyjazdu na miejsce zdarzenia i przesłuchania jednego kierowcy. Resztą zajął się inspektor Krystian Sum. Podobno teraz też miał się pojawić.

Zadrzała z zimna i zdenerwowania. Szalik poderwany nagłym podmuchem wiatru uderzył ją w twarz. Łzy stanęły jej w oczach. Nawet pogoda była przeciwko niej. Wysokie obcasy kozaków zapadały się w miękkiej ziemi, gdy zmierzała do policyjnego namiotu rozstawionego na podwórku opuszczonego gospodarstwa. To tam dokonywano oględzin zwłok. Zajrzała do środka i zobaczyła komisarza Dominika Jamroza. Rozpoznała go po bujnych ciemnych włosach. Wiele dobrych rzeczy o nim słyszała. Podobno wraz z żoną zaadoptowali dwoje dzieci, poza tym kiedyś był niezłym pięściarzem. Z tamtych czasów pozostała mu pamiątka: krzywo zrosnięty nos. Dodawało mu to chłopięcego łobuzerstwa w wyglądzie. A tak w ogóle, był zawsze miły, rzecz dość niespotykana

wśród braniewskich policjantów. Komisarzowi towarzyszył medyk sądowy, dwóch techników wyglądających identycznie, jak lustrzane odbicie, na pewno bliźniacy jednojajowi, oraz funkcjonariusz, który przy pierwszym spotkaniu przykuł jej uwagę rosyjskim imieniem i nazwiskiem. Młodszy aspirant Nikita Sokołow stał na drugim końcu namiotu z kamerą w dłoni. Miała wrażenie, że skierował na nią obiektyw, i to ją speszyło. Zaraz zostanie udokumentowana jej nieudolność. Wyprężyła się i zapytała:

— Na jakim etapie jesteście?

Sama usłyszała, że jej głos zabrzmiał zbyt piskliwie, poza tym pytanie było głupie, bo jeden rzut oka wystarczył, aby ocenić sytuację. Na plastikowej macie leżały zwłoki mężczyzny, rozebrane do połowy. Klęczał przy nich medyk sądowy i jeden z techników.

— Jesteśmy w trakcie oględzin zwłok — odpowiedział grzecznie komisarz Jamróz, przesuwając długopisem po protokole.

— Coś ważnego ustaliliście?

Medyk sądowy odwrócił się w jej stronę.

— Jedyнным obrażeniem jest postrzał w głowę. Na lewym boku zaobserwowałem bliznę, prawdopodobnie po nożu, ale ewentualny cios musiał nastąpić kilka lat temu.

Postąpiła krok do przodu, zadowolona, że medyk zwrócił się do niej. Nie robiła na niej większego wrażenia odstrzelona czaszka, chociaż tyle dobrego w obecnej sytuacji. Na ramieniu ofiary zauważyła tatuaż, wyraźny siny kontur orła w koronie.

— To pan kieruje oględzinami? — zwróciła się do komisarza.

— Tak.

— A gdzie jest inspektor Sum?

— Gdzieś tu się kręci z telefonem. Komenda sprawdza dla niego tego kaprała, co pociągnął za spust. Inspektor lubi wiedzieć trochę więcej o ludziach, zanim zaczną ich przesłuchiwać. Sądzę, że właśnie przegląda profile Artura Derkacza na tych wszystkich portalach społecznościowych.

— A czy ja mam kogoś przesłuchać?

Zawstydziła się swojego pytania, bo zadała je takim tonem, jak gdyby zwracała się do przełożonego i prosiła o zgodę na to, żeby porozmawiać ze sprawcą czy świadkiem, a przecież ze wszystkich obecnych tu osób to ona była najważniejsza, to ona miała największe możliwości decyzyjne.

— Pani prokurator, proszę wracać do siebie. Za parę godzin dostanie pani protokoły z oględzin i z przesłuchań.

Ten głos rozległ się za jej plecami, a jego właścicielem był inspektor Krystian Sum. Przepędzał ją jak dzieciaka. Nie miała siły, żeby się postawić. Brakowało jej argumentów; za nią przemawiało stanowisko, a za nim doświadczenie. On umiał się tu odnaleźć, a ona nie.

— W takim razie czekam — oznajmiła i wyszła z namiotu, mijając się z inspektorem.

Chciała wsiąść do mazdy i odjechać. Zatrzymała się jednak na widok zbliżającego się do niej żołnierza. Dwie belki i gwiazdka na naramiennikach wskazywały, że to major. Za chwilę żołnierz potwierdził jej znajomość stopni wojskowych, przedstawiając się:

— Major Roch Serafin. Czy mam przyjemność z panią prokurator Olgą Majchrzak?

— Tak, to ja.

— Mój dowódca, podpułkownik Szymon Bukowiecki prosi o rozmowę z panią. To bardzo ważne.

Major nie był przystojny, w jego pociągłej twarzy było coś nieprzyjemnego, drapieżnego, ale spodobało się jej jego zachowanie, trochę staromodne i szarmanckie.

— Gdzie jest podpułkownik? — zapytała z uśmiechem.

— Proszę za mną.

Weszli do domu. Otoczyła ją wilgoć i ciemność. Więcej światła było w pomieszczeniu na lewo, wpływało przez okno pozbawione szyb. Podpułkownik wyglądał jak wielkolud. Musiał mieć ponad dwa metry.

— Pani prokurator, cieszę się, że zechciała pani poświęcić nam swój cenny czas. Sprawa jest bardzo ważna. Chodzi o honor polskiego munduru. Proszę usiąść.

Podpułkownik odsunął krzesło od stołu. Usiadła. Na blacie stały trzy kubki. Major Serafin odkręcił termos, uwalniając aromatyczną woń kawy. Miła przeciwwaga dla zapachu starego domu.

— Mam nadzieję, że napije się pani z nami kawy. Przepraszam, że z termosu, ale sama pani rozumie, jesteśmy w warunkach polowych.

Wzięła łyk gorącego napoju, smakował rewelacyjnie. Podpułkownik usiadł naprzeciw niej.

— Będę z panią szczery. Chodzi mi o to, co prokuratura powie mediom. Nie chciałbym, żeby na tym etapie śledztwa rzucili się na nas dziennikarze i wydali przedwczesny wyrok na młodego żołnierza.

Olgą przybrała poważną minę.

— Panie podpułkowniku, powinien pan wiedzieć, że na tym etapie prokuratura informuje, iż dla dobra śledztwa nie może udzielić żadnych informacji i że trwają przesłuchania oraz inne czynności.

Ironizowała, a podpułkownik to zauważył, bo uśmiechnął się grubymi wargami.

— Taka informacja z prokuratury bardzo by nas satysfakcjonowała. Gdyby jeszcze zostało wspomniane, że ofiara miała broń...

Olga ukryła zaskoczenie, przykładając usta do kubka z kawą. Komisarz Jamróż nie poinformował jej, że znaleźli broń przy zwłokach. Może po prostu nie zdążył. Przebywała w namiocie kryminalistycznym chwilę. Za parę godzin dowie się wszystkiego z protokołów.

Bukowiecki po krótkiej pauzie kontynuował:

— Gdyby też wspomniała pani mediom, że ofiara celowała do żołnierza, że jest naoczny świadek, który to zeznał.

— Panie podpułkowniku, proszę mnie nie instruować, co mam przekazać dziennikarzom, bo może pan uzyskać przeciwny efekt.

W towarzystwie wojskowych czuła się lepiej niż pośród policjantów. Podpułkownik i major na pewno nie zauważali jej braków.

— Pani prokurator, nie mam zamiaru wywierać presji na prokuraturę, ale uważam, że moim obowiązkiem jest poinformować panią, że zagrożone może być bezpieczeństwo naszego kraju.

Z trudem ukryła westchnięcie będące wyrazem zniecierpliwienia. Podpułkownik mówił dalej:

— Wczoraj dowódca Czwartej Warmińsko-Mazurskiej Brygady Obrony Terytorialnej poinformował mnie, że w czwartek przyjeżdża do nas minister obrony narodowej. To niespodziewana wizyta. Ktoś w Warszawie wpadł na pomysł, żeby szef MON-u wziął udział w uroczystej przysiędze żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej, a nasi niedawno ukończyli szkolenie podstawowe, dlatego przyjedzie tutaj i to już za sześć dni. Wyobraża sobie pani, co będzie, jeśli nagle dziennikarze podadzą informację, że jeden z żołnierzy obrony terytorialnej z Braniewa zastrzelił człowieka?

— Będzie burza, może nie w ministerstwie i nie w waszej formacji, ale w mediach na pewno.

— Ma pani rację, warto byłoby zapobiec tej burzy.

— No to proszę dać znać do MON-u, żeby minister teraz tu nie przyjeżdżał, bo może go spotkać niemiła niespodzianka.

— Pani prokurator, przecież pani wie, że to nie takie proste. Nawet jeśli minister nie przyjedzie, to informacja o terytorialsie strzelającym do ludzi prawdopodobnie wybije się na czołówki wszystkich mediów, a konsekwencje dla naszego kraju mogą być straszne.

Olga nie miała zamiaru ulec naciskom podpułkownika. Rozumiała, że próbował bronić dobrego imienia swoich żołnierzy, ale z tym bezpieczeństwem kraju przesadzał. Poszłaby już do samochodu, gdyby nie ta aromatyczna kawa. Zostało jej jeszcze pół kubka.

— Panie podpułkowniku, wydaje mi się, że nasza obrona narodowa nie zawali się z powodu jednego żołnierza. Nie powinien się pan tak niepokoić.

— Cała obrona nie, ale Wojska Obrony Terytorialnej już tak. Na pewno pani wie, że wielu uważa nas za formację polityczną. Jeśli zmieni się partia rządząca, to ci nowi mogą chcieć nas rozwiązać, a jako argumentu użyją faktu, że terytorialsy są niebezpieczni dla społeczeństwa. Chyba nie muszę pani tłumaczyć, jak ważna jest obrona terytorialna w trakcie wojny. Wojsko zawodowe nie będzie zajmować się cywilami, bo będą mieli inne zadania, ten obowiązek spadnie na nas.

Chciała zapytać, kiedy wojna ma wybuchnąć, ale darowała sobie tę drobną złośliwość.

— Dzisiaj zapoznam się z protokołami z oględzin i przesłuchań. To od nich będzie zależała treść komunikatu dla mediów, a nie od pana sugestii, panie podpułkowniku.

— Pani prokurator, nie mam zamiaru wywierać na pani presji. Jeśli do dziennikarzy ma trafić informacja o dzisiejszym zdarzeniu, to powinna przedstawiać fakty, a te są takie, że do żołnierza obrony terytorialnej celował białoruski przemytnik. Mój żołnierz się bronił, a przy okazji usunął bardzo niebezpiecznego przestępcę.

Olga znowu została zaskoczona informacją. Komisarz Jamróz nie wspomniał nic o białoruskim przemytniku. Nagle coś się jej przypomniało. Orzeł w koronie na ramieniu ofiary. To był na wskroś polski orzeł, wręcz skopiowany z godła. Czuła ogromną potrzebę, aby udowodnić, że też dużo wie, i to więcej od nich.

— Panie podpułkowniku, ktoś wprowadził pana w błąd. Zastrzelony mężczyzna jest Polakiem.

Patrzyła na zdumione spojrzenia żołnierzy, a serce jej rosło z satysfakcji. Ta informacja nie była dowódcom na rękę, bo usta majora Serafina ułożyły

się w najbardziej popularne polskie przekleństwo, choć nie otrzymało ono oprawy dźwiękowej.

— Policja znalazła jego dowód tożsamości? — zapytał podpułkownik.

— Chyba pan rozumie, że nie mogę udzielać takich informacji. Chciałam też panom zwrócić uwagę, że polska narodowość ofiary jest dla nas dogodniejsza. Gdyby to był Białorusin, to czekałby nas konflikt międzynarodowy na wysokim szczeblu. Polscy żołnierze strzelają do białoruskich turystów, tak by to przedstawiano za naszą wschodnią granicą.

Odstawiła kubek z resztką kawy i wstała. Dowódcy też się podnieśli.

— Ma pani rację — przyznał major Serafin. — Proszę jednak mieć na uwadze los kaprała Derkacza. Ten chłopak ma dwadzieścia jeden lat i znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Przystąpił do służby, żeby w razie zagrożenia bronić sąsiadów i przyjaciół, a teraz ludzie mogą go zaszczyć.

Musiała przyznać, że major trafił do niej tym argumentem. Jeśli funkcjonariusze potwierdzą, że żołnierz strzelił, bo ofiara do niego mierzyła z broni palnej, to w razie rozmowy z mediami powinna o tym wspomnieć. To byłoby uczciwe i przede wszystkim ryzyko złamania chłopakowi życia zostałyby ograniczone do minimum. Serafin jednym zdaniem osiągnął to, czego jego przełożony nie zdołał na niej wymusić przez kilka minut.

— Będę miała na uwadze dobro żołnierza — oznajmiła, kierując się do drzwi.

— Pani prokurator, chcielibyśmy też, aby kapral Derkacz został przesłuchany u nas w bazie — oznajmił Serafin. — Nie trzeba go dodatkowo stresować przewożeniem na komendę. Tutaj jesteśmy my, dowódcy i są jego koledzy, terytorialsi. Wszyscy go wspieramy.

— Nie widzę przeciwwskazań. Poza tym przypominam, że kapral podczas przesłuchania ma prawo złożyć wyjaśnienie, może to także zrobić pisemnie. Może też odmówić odpowiedzi na pytania bez podawania przyczyny. Adwokat na pewno go o tym wszystkim poinformuje.

Dostrzegła pręgowanego kota sunącego ostrożnie wzdłuż ściany. Zatrzymała się, aby pozwolić mu swobodnie czmychnąć na zewnątrz przez uchylone drzwi. Major stanął obok niej. Byli teraz sami, bo podpułkownik został w pokoju.

— Dziękujemy pani.

— Nie ma za co — powiedziała odruchowo.

— Jest za co. Od prokuratury zależy, czy ta sprawa będzie miała dalszy ciąg, czy zostanie zakończona. To od pani zależy, czy zostanie napisany akt oskarżenia, to pani złoży bądź nie wniosek do sądu o zastosowanie aresztu tymczasowego. Pani na szczęście rozumie, co w tej sytuacji jest najlepsze dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla tego chłopaka.

Miała ochotę zaprotestować, wyjaśnić, że się nie rozumieli. Owszem, powiedziała, że będzie miała na uwadze dobro żołnierza, ale chodziło jej o komunikat dla dziennikarzy. W kwestii dalszych kroków w postępowaniu przygotowawczym niczego nie może obiecać. Serafin jednak już ścisnął jej dłoń i prowadził w stronę wyjścia.

— Proszę jeszcze powiedzieć inspektorowi, żeby przesłuchał kaprała tutaj i żeby odniósł się do niego przychylnie, a do całej sytuacji z większą wyrozumiałością, tak jak pani.

Wyszła na zewnątrz z mieszanymi uczuciami. Została zmanipulowana, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przyklasnęła rzeczy słusznej. Ta sprawa nie powinna mieć ciągu dalszego. Dostrzegła inspektora Suma stojącego przy radiowozie. Podeszła do niego.

— Co pani tu jeszcze robi?

— Pracuję — rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Stary policyjny wyga znowu dawał do zrozumienia, że jej obecność jest tu zbędna. Wojskowi chociaż się z nią liczyli.

— Proszę przesłuchać podejrzanego tutaj, w bazie wojskowej, nie trzeba go wozić na komendę. W miarę możliwości proszę też pilnować, aby nie ucierpiało dobre imię Wojska Polskiego.

Miała nadzieję, że to oględne wyrażenie zostanie zrozumiane. Nie mogła przecież wprost powiedzieć, że oczekuje znalezienia takich dowodów, które pozwolą jej umorzyć postępowanie na początkowym etapie. Inspektor chyba nie pojął jej sugestii, bo patrzył na nią jak na kosmitę. Widok pionowej zmarszczki między jego brwiami zwykle budził w niej paraliżującą bezradność. Teraz zdołała się zebrać i oznajmiła zdecydowanym tonem:

— Proszę się zastosować do moich poleceń.

Nie oglądając się, ruszyła do mazdy. Przyjechała tutaj wystraszona i bezradna, a wyjeżdżała podbudowana. W końcu jest sprawa, na którą może mieć konkretny wpływ.

Rozdział VI

MŁODSZY ASPIRANT NIKITA SOKOŁOW stał w namiocie kryminalistycznym. Jeszcze raz sfotografował tatuaż na ramieniu ofiary. Gdy się odsunął, zbliżyli się dwaj technicy z czarnym workiem. Wyglądali jak statyści z kryminalnego serialu. Te same twarze z wąskimi ustami, identyczne sylwetki, nieco krępe i niewysokie, nawet ruchy mieli podobne. Bliźniacy, Michał Rybak i Bogdan Rybak, byli profesjonalistami w swoim fachu, mogliby dostać robotę w każdym większym mieście, ale zostali w Braniewie, bo tutaj służył przez czterdzieści lat ich ojciec. Bracia pracowali zwykle w milczeniu, nie komunikowali się między sobą, każdy wiedział, co ma robić. Zdawali tylko raporty do protokołu. Teraz też bez słowa podnieśli zwłoki zapakowane w worek i ponieśli do samochodu.

— Czy Białorusin mógłby wytatuować sobie orła w koronie? — zapytał komisarz Dominik Jamróż.

Sokołow wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Może miał polskie pochodzenie.

— A ty byś sobie wytatuował dwugłowego orła?

— Mołdawski orzeł nie ma dwóch głów.

— Doprawdy? To może niedługo mu druga wyrośnie?

Młodszy aspirant, zwykle drażliwy na punkcie suwerenności Mołdawii, teraz nie zareagował na zaczepkę.

— Myślę, że gdybym już miał się zdecydować na symbolikę narodową, to sprawiłbym sobie dwa orły, na jednym ramieniu polskiego, na drugim mołdawskiego. Białorusin polskiego pochodzenia raczej zrobiłby to samo, a on żadnego innego tatuażu nie miał. Stawiam na to, że to Polak.

— Ja też — mruknął komisarz. — Zwłaszcza, że buty miał od polskiego producenta.

Zbliżał się do nich inspektor Sum. Idąc z pochyloną głową, przypominał rozdrażnionego nosorożca szykującego się do ataku.

— Co się stało? — zapytał Sokołow.

— Leśne dziadki mnie wkurwiły — warknął Sum.

— Przyznaję, ich arogancja jest trudna do zniesienia — rzucił komisarz.

Podsunał inspektorowi protokół i wręczył długopis. Ten się podpisał zamasyście, jak gdyby jego złość znajdowała ujście w palcach.

Dobiegł ich odgłos zamykanych drzwi samochodowych, za chwilę rozległ się warkot silnika. Ściana namiotu kryminalistycznego zasłaniała im widok, ale wszyscy wiedzieli, że to prokurator Olga Majchrzak odjeżdża.

— Przekabacili tę głupią cipę — odezwał się Sum. — Major zabrał ją do tej rudery. Gdy wyszła, to powiedziała, że mam pilnować, aby nie ucierpiało dobre imię Wojska Polskiego.

Sokołow parsknął śmiechem.

— Zawsze uważałem, że ona jest za głupia na tę robotę. Do marketu by się nadawała, ale nie do prokuratury.

— Nie jest głupia. — Jamróż stanął w obronie Olgi Majchrzak. — Brakuje jej jedynie doświadczenia.

— Powiedziała też, że mam przesłuchać kaprała Derkacza tutaj, to znaczy w tej niby ich bazie.

— I co, dostosujesz się? — zapytał komisarz.

— Jeszcze nie wiem, ale świadka trzeba stamtąd jak najszybciej zabrać. Ta kobieta znajduje się w pobliżu sprawcy i jego kompanów, to niedopuszczalne. Sokół, bierz radiowóz i jedź po nią. Gdy technicy tu skończą, to my też tam ruszymy zabezpieczyć karabinek i mundur kaprała.

— Gdzie oni mają tę bazę?

— Gdzieś niedaleko. Zapytaj zielonych, poinstruują cię. Tylko nie ugrzęznij w błocie. Szkoda wozu. Rozsypie się, jeśli będziemy musieli go wyciągać.

Wyszli z namiotu. Wszystkie odcienie szarości załamywały się w przestrzeni między budynkami. Ponure miejsce i dołująca pogoda. Zimno i nagłe porywy wiatru. Deszcz chwilowo nie padał, ich twarze były jednak wilgotne. To od tego dziwnego powietrza, jak gdyby pobliski las kierował na nich swój oddech. Sokół poszedł w stronę radiowozu, ale zaraz zawrócił.

— Jak ona się nazywa, ta kobieta z golfa?

— Nie wiemy — oznajmił Sum.

— Zupełnie nic o niej nie wiemy?

— Nic.

Sokołow uniósł brwi w wyrazie niedowierzania.

— Co tak się dziwisz? — rzucił inspektor ze złością. — Nie ty rozmawiałeś z leśnymi dziadkami i nie wiesz, ile cierpliwości nas kosztowało każde otwarcie gęby. Byłe żuła pod sklepem można naprostować jednym zdaniem, a tutaj...

Komisarz spojrział łagodnymi oczami na kolegów.

— Krystian, nie denerwuj się tak, bo serducho ci stanie i co wtedy zrobimy? A o pasażerce podpułkownik powiedział tylko tyle, że uciekała z miejsca zdarzenia.

Inspektor sapnął z irytacją.

— Że niby uciekała z pistoletem kierowcy. Już to widzę. Przerazona baba pamięta, aby zabrać broń. Takie bajki to nie dla policji.

Z domu wyszedł major Roch Serafin. Przystanął na schodkach i rozglądał się na boki. Przez moment można było pomyśleć, że wypatruje kota, bo uśmiechnął się na widok zwierzaka przyczajonego w szczelinie pomiędzy dwiema deskami stanowiącymi część stodoły. Potem jednak skierował wzrok na funkcjonariuszy.

— No to jadę po świadka — zakomunikował Sokołow.

Nie ruszył się jednak, a Sum już go nie ponaglał. Wszyscy czekali, aż podejdzie do nich major, bo niby po co tam stał i się w nich wpatrywał. Może chciał im coś ważnego powiedzieć w cztery oczy, bez towarzystwa podpułkownika.

Rozległ się dźwięk przychodzącego esemesa. Komisarz wyciągnął telefon z kieszeni, chwilę później na jego pocziwej twarzy, ozdobionej złamanym przed laty nosem, pojawił się szeroki uśmiech.

— Mój syn jest na treningu. Przysłał mi zdjęcie.

Obrócił w ich stronę aparat, pokazując fotografię ośmioletniego chłopca stojącego na tle bramki piłkarskiej.

— Nawet podobny do ciebie — zauważył Sokołow, a w jego niebieskich oczach pojawiło się rozbawienie. — Masz pewność, że nie jesteś jego ojcem biologicznym?

Komisarz się roześmiał.

— Moja żona zapytała o to samo. Musiałbym zobaczyć matkę biologiczną, to może bym sobie coś przypomniał.

— Wiesz, kim są rodzice twojego syna i twojej córki? — dopytywał Nikita szczerze zaciekawiony.

— Wiem, nawet wiem, gdzie mieszkają, ale nie mam zamiaru ich odwiedzać, chyba że Oluś i Sylwunia sobie tego zażyczą. Oby to nie

nastąpiło zbyt szybko.

— A dlaczego twój syn trenuje piłkę nożną, a nie boks? Nie chciałbyś, żeby poszedł w twoje ślady? Poza tym umiejętność przywalenia komuś może mu się przydać w życiu.

Komisarz znowu się zaśmiał.

— A chcielibyście, żeby Zatoka zagrała w końcu w trzeciej lidze? Mój syn tego dokona. Zobaczycie.

— Jak na ciebie patrzę, to aż mam ochotę zostać ojcem — oznajmił Sokołow. — A ty, inspektorze?

— Co ja?

Sum był zaskoczony pytaniem. Całą swoją uwagę skupiał na majorze stojącym na prowizorycznym ganku. Zerkał na niego dyskretnie. W tej chwili w polu widzenia miał też pręgowanego kota, który sunął wzdłuż ściany domu, ale nagle się rozmyślił, bo ostrożnie zaczął podchodzić do namiotu kryminalistycznego. Komisarz także dostrzegł kota, przykucnął i zawołał: Kici, kici. Zwierzak czmychnął między deski stodoły.

— Zastanawiamy się z Zuzą, czy nie kupić dzieciakom kota. Ja jestem za kotem, a ona za chomikiem.

Prowizoryczny namiot zadrżał, gdy uderzył w niego wiatr. Robiło się coraz zimniej. Wilgoć w powietrzu wydawała się gęstnieć. Funkcjonariusze odruchowo dopięli kurtki pod same brody. Na ich twarzach pojawiła się powaga, bo usłyszeli ciężkie wojskowe buty wybijające marszowy krok. Zbliżał się major Roch Serafin.

— Jak tam, panowie? Widzę, że z ciałem już skończyliście.

To nie było zwyczajne zagajenie rozmowy. Serafin wyraźnie oczekiwał ustnego raportu z oględzin. Żaden z policjantów się nie odezwał. Udawali, że obecność majora niewiele ich obchodzi, wcale nie czekali, aż do nich podejdzie.

— Chyba wy trzej się nie narobiliście — kontynuował Serafin, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Domyślam się, że przy zwłokach najwięcej pracy ma medyk sądowy, a wy to tylko się nastoicie. W waszej służbie to trzeba mieć mocne nogi, resztę można wyłączyć.

Sum był zdegustowany. To zwykle żule pytali, który z nich umie pisać, a który czytać. A tutaj prymitywna zaczepka padła z ust oficera Wojska Polskiego. Niebysza.

— Panie majorze, czy ma pan nam coś do powiedzenia na temat zdarzenia, w którym brał udział kapral Derkacz?

Serafin przymrużył wąsko rozstawione oczy, przez co jego twarz nabrała kpiącego wyrazu.

— Proszę mnie nie pytać o zdarzenie, nie byłem jego świadkiem. Na tym etapie wy wiecie więcej niż ja.

— To może chce pan coś dodać na temat tego, co wydarzyło się tutaj później? Podczas tych kilkudziesięciu minut, zanim zawiadomiliście nas?

— O tym mówił już podpułkownik. Nie mam nic więcej do dodania, ale wy zapewne możecie mi o czymś powiedzieć. Chyba już macie wstępne wnioski z oględzin zwłok? Wyszło coś ciekawego?

— Liczysz na to, że będziemy wam raportować wyniki oględzin — zagadnął zaczepnym tonem Sokołow.

— Liczę na dobre relacje, w końcu wszyscy nosimy mundur.

Inspektor już wiedział, że Serafin nie zamierza podzielić się z nimi swoimi spostrzeżeniami za plecami przełożonego. Dalsza rozmowa nie miała sensu.

— Panie majorze, przekroczył pan granicę wyznaczoną przez taśmę policyjną.

— Nie sądziłem, że ta taśma dotyczy mundurowych.

— Dotyczy wszystkich postronnych osób, czyli was też. Ale skoro pan tu już jest, to proszę pokierować młodszego aspiranta do tej waszej bazy.

— To bardzo blisko stąd, zaledwie półtora kilometra, trudno zabłądzić, ale jeśli trzeba, to mogę nawet z aspirantem pojechać radiowozem. My żołnierze zawsze służymy pomocą.

— No to jedziemy.

Inspektor odprowadzał wzrokiem policjanta i żołnierza. Potem utkwiał spojrzenie w ciężkich chmurach wiszących nisko na niebie.

— Coś mi się zdaje, że znów będzie padać. Musimy przyspieszyć oględziny samochodu.

Michał i Bogdan stali już koło golfa, jeden z nich fotografował wewnątrz, skupiając się na rozpryskach krwi na suficie. To właśnie on nagle zawołał:

— Szefie, mamy coś!

— Co takiego?

Sum przybliżył się do technika. Nie wiedział, czy to Michał, czy Bogdan. W myślach każdego nazywał po nazwisku: Rybak. Teraz Rybak podsunął mu pod oczy wyświetlacz aparatu fotograficznego.

— W słupku między przednią szybą a drzwiami kierowcy jest dziura, według mnie po pocisku.

Inspektor skoncentrował się na zdjęciu jak na wizualnej łąmigłówce. Pośród kilku większych i mniejszych plam, których żaden znawca kolorów nie określiłby jako krwiste, dostrzegł okrągły otwór. Rzeczywiście mógł pochodzić od amunicji. To jednak było tylko zdjęcie, mogło wprowadzać w błąd. Wyminął technika i zajrzał do golfa od strony kierowcy. Zobaczył dziurę w słupku. Miał ochotę dotknąć jej palcami, a nawet przyłożyć do niej nos, aby poczuć woń prochu.

— Poszukajcie łuski — polecił, prostując plecy. — Powinna być w wozie.

Komisarz Jamróż stał opodal i zapisywał w protokole czynności techników. Oderwał na moment wzrok od kartki.

— W golfie ktoś strzelał? — zapytał mocno zaintrygowany.

— Na to wygląda.

— Myślisz, że kierowca zdążył nacisnąć spust, zanim żołnierz go zastrzelił?

— Nie wiem. Pocisk tkwi w słupku. Rozumiem, że nie trafił kaprala, ale słupek? Za mocno po ukosie.

— Może nie był zaznajomiony z klamką — skomentował Dominik. — No i mógł być leworęczny.

Sum machinalnie przytaknął, akceptując ten argument.

— Chodź ze mną — rzucił i skierował się do radiowozu.

Komisarz posłusznie szedł za kolegą. Inspektor wyjął z wozu pierwszy dowód, jaki zabezpieczyli na miejscu zdarzenia, czyli pistolet przekazany im przez podpułkownika. Zerwał metryczkę i wydobył z torebki walthera. Najpierw powąchał lufę.

— Z tej broni strzelano w ciągu ostatnich godzin — oznajmił.

— Mam twoje czynności odnotować w protokole? — zapytał Jamróż.

— Tak. — Sum sprawdził komorę i magazynek. — Zanotuj, że jest czternaście pocisków!

Jamróż zamyslił się, uderzając długopisem w kartkę.

— Podpułkownik zwrócił nam na to uwagę. Pamiętasz? Oddając mi broń, powiedział, że brakuje jednego pocisku. Jak gdyby chciał, żebyśmy nie przeoczyli tego faktu.

Pierwsze krople deszczu spadły na protokół.

— Szefie, mamy łuskę! — zawołał Rybak.

Inspektor ruszył do technika. Jamróż za nim. Chwilę później odnotował w protokole czynność zabezpieczania łuski. Palce mu już zmarzły, przez co charakter pisma stracił na czytelności. Wkrótce oględziny przeniosą się do

policyjnego warsztatu. Tam będą musieli rozkręcić wóz, to konieczność ze względu na bliskość granicy z obwodem kaliningradzkim. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ofiara była przemytnikiem.

— Chłopaki, trzeba będzie przyczepić jeszcze raz metryczkę do torebki z waltherem! — oznajmił Sum.

Z kolejnym podmuchem wiatru na dach golfa spadły grube krople deszczu. Podwórko pogrążało się w coraz głębszych szarościach, jak gdyby ziemia i budynki chciały kolorem dorównać ołowianym chmurom. W pobliskim lesie odezwały się wrony.

— Zaraz lunie — mruknął komisarz. Będę musiał schować się pod namiot, bo protokół mi zamoknie.

Inspektor nie zareagował na jego słowa. Palcem pocierał pionową zmarszczkę między brwiami, jak gdyby chciał ją wyprostować. Jamróż wiedział, że to oznaka głębokiej zadumy.

— Co ci leży na wątrobie?

Sum poprawił kaptur, chroniąc twarz przed lodowatym deszczem.

— Nie wydaje ci się, że coś tu trzeszczy? Jak gdyby ktoś podsuwał nam pod nos dowód na to, że Derkacz nie przekroczył granic obrony koniecznej. Strzelił, bo strzelano do niego.

— Myślisz, że to podpułkownik albo major?

— Tak, myślę, że to któryś z nich mógł oddać ten strzał w słupek, aby uwiarygodnić wersję z ofiarą celującą do żołnierza. Czy Rybak zabezpieczył proch powystrzałowy na dłoniach trupa?

— Nie.

— No to zatrzymaj transport zwłok. Trzeba zabezpieczyć ślady GSR. Musimy wiedzieć, czy to ofiara strzelała.

Jamróż przytaknął, szukając w kieszeni telefonu. Chwilę później rozmawiał już z funkcjonariuszem asystującym przy transporcie ciała.

Rybak otworzył bagażnik i przystąpił do przeszukania.

— Szefie, mamy tutaj koło zapasowe, skrzynkę z narzędziami, gaśnicę, kurtkę polarową i produkty żywnościowe. Czy coś zabezpieczamy?

— Rozetnij koło! — polecił Sum.

Jeśli kierowca golfa przemycał narkotyki, to najprawdopodobniej ukrył je w kole zapasowym. Nie była to dobra skrytka, bo w razie podejrzeń policja i straż graniczna zawsze ją sprawdzały. Mogło tam się jednak zmieścić nawet trzy kilogramy towaru i to decydowało o jej popularności.

Jamróż wsunął protokół pod kurtkę, chowając go przed coraz bardziej intensywnym deszczem. Miał już schronić się pod namiot kryminalistyczny, ale zatrzymał się, słysząc charakterystyczny dźwięk. Nadjeżdżały jakieś pojazdy, i na pewno nie były to osobówki. Chwilę później na podwórko wtoczyły się dwie wojskowe ciężarówki. Silniki wyły, koła ugniatały błotnistą ziemię, pozostawiając koleiny. Wystraszony pręgowany kot wdrapał się na pobliską brzozę, ale chyba uznał, że to nie jest najbezpieczniejsze miejsce, bo zeskoczył z pnia i wbiegł na schody prowadzące na poddasze budynku gospodarczego. Z naczep wyskoczyło około pięćdziesięciu terytorialsów, wszyscy z karabinami w rękach. Rozchlapując błoto, rozbiegli się po siedlisku w taki sposób, że otoczyli czterech funkcjonariuszy skupionych wokół golfa. Żaden z żołnierzy nie przekroczył policyjnej taśmy.

Rybak patrzył zdumionym spojrzeniem na zbiorowisko młodych mężczyzn w hełmach i mundurach polowych.

— Co to, kurwa, jest? — mruknął drugi Rybak, łamiąc zasadę: minimum zbędnych słów podczas roboty.

— Podpułkownik pokazuje swoją siłę — odpowiedział inspektor.

Trzasnęły drzwi do domu i na schodkach pojawił się Bukowiecki z papierosem w mięsistych wargach. Polową rogatywką niemal dostawał do wąskiego daszka. Podeszedł do niego jeden z żołnierzy i prężąc się, zasalutował. Składanego meldunku policjanci nie usłyszeli.

— Po co ten cyrk? — zdziwił się Jamróż. — Przecież oględziny poszły po ich myśli.

— To żołnierze, u nich ten górą, kto silniejszy — mruknął Sum.

Musiał przyznać, że na nim ten pokaz siły zrobił wrażenie. Pięćdziesiąt karabinów w rękach pobudzonych chłopaków to był konkretny potencjał bojowy. Nie obawiał się ich jednak. Nie przyjechali tu strzelać, mieli jedynie się pokazać.

Bliźniacy po chwilowym osłupieniu wrócili do swoich czynności. Jeden z nich zbliżył się do Suma i Jamroza, ustawiając się tyłem do żołnierzy. W dużej dłoni trzymał niewielką torebkę. Rozchylił ją, pokazując zielonobrunatny susz.

— Na moje oko to marihuana — oznajmił technik i poruszył torebką w górę i dół. — Nie więcej jak pięć gramów.

— Śmiesznie mało — skonstatował inspektor. — Poza tym to tylko marihuana, a nie heroina.

Rozdział VII

— Ten radiowóz zaraz się rozsypie — stwierdził major Serafin. — Obyśmy dojechali do bazy.

— Dojedziemy — zapewnił młodszy aspirant Nikita Sokołow.

Swobodnie trzymał kierownicę i patrzył na dość wąską, ale na szczęście prostą drogę. Gdyby trafiły im się większe wyboje, faktycznie byłby problem.

— I takim złodem ścigacie przestępców?

Serafin nie odpuszczał, jego uwagi miały charakter docinków.

— Nie ścigamy, nie musimy. Przestępcy, gdy nas widzą, od razu podnoszą ręce w górę.

— Poddają się? Żebyśmy my tak mieli z wrogą armią.

— Z tego, co wiem, to nasz kraj nie znajduje się w konflikcie zbrojnym z innym państwem. A może o czymś nie wiem?

Sokół nie starał się ukryć ironicznego tonu. Nie polubił Serafina, jego wąska twarz kojarzyła mu się z drapieżnym ptakiem. Na niego powinni uważać bardziej niż na podpułkownika.

— Przypominam ci, że jeszcze niedawno byliśmy w Afganistanie i Iraku. Zapewniam cię, że nie pojechaliśmy tam na wczasy. Oczy trzeba było mieć wokół głowy, a palec na cynglu.

— Aha, mówisz o wojnie z terroryzmem. No tak, jeśli nie ma się innego wroga, to i Arab z granatem jest dobry.

Serafin siedział wyprostowany ze wzrokiem wbitym w przednią szybę i tylko cichy świst wydostający się z jego ust wskazywał, że nie jest zadowolony ze słów policjanta.

— A ty należysz do tych, którzy uważają, że terroryzm to wymysł Amerykanów?

— Nie. My policjanci też walczymy z terrorystami, może nie tu, nie w Braniewie, ale to też nasze zadanie i mam wrażenie, że w tej wojnie to my więcej robimy niż wojsko, a na pewno więcej niż obrona terytorialna.

— Nie robicie więcej, po prostu o waszej służbie więcej się mówi. My na głowie mamy jeszcze wielką i zawsze groźną Rosję, a wy co najwyżej ruskich kierowców łamiących przepisy drogowe w Polsce.

Sokołow chciał już powiedzieć, że ci kierowcy to rzeczywistość, a rosyjskie zagrożenie militarne to fantazjowanie. Darował sobie jednak, bo wjechał w leśną drogę. Radiowozem szarpnęło, a koła zakręciły się na błotnistym podłożu.

— Może dalej pójdziemy na piechotę, to jeszcze tylko trzysta metrów — zaproponował z satysfakcją major.

Sokół przyjrzał się drodze. Nie wyglądała najgorzej, była wąska i błotnista, ale na szczęście bez wertepów, przynajmniej na początku. Ruszył. Pół minuty później wjechał na teren wojskowej bazy. Robiła wrażenie. Szesnaście bardzo dużych namiotów ustawionych w kwadrat, zwykle trzy namioty łączyły się w jeden szereg, ale były też wolno stojące. Imponująco prezentowały się pojazdy zaparkowane w dwóch przeciwległych krańcach bazy. Z kilkudziesięciu terenowych osobówek połowa była zasłonięta plandekami, większość z kilkunastu motorów także osłaniały zielone pokrowce, ponadto znajdowały się tutaj cztery duże ciężarówki.

Major wskazał na auta terenowe.

— To ford ranger XLT, nowusienki, dostaliśmy go trzy miesiące temu, a pod pokrowcami stoją jeszcze dwa honkery, idealne do przewożenia sześciu ludzi wraz ze sprzętem.

— Dbają o was — mruknął Sokołow, poczuł się przy tym jak ubogi i niedoceniany kuzyn.

— Ten sprzęt służy przede wszystkim Polsce, żeby była bezpieczniejsza.

Serafin wygłaszał frazesy takim tonem, jak gdyby naprawdę w nie wierzył. Wysiedli z radiowozu.

— Ta kobieta z golfa, jak się nazywa? Wiesz coś o niej? — zapytał Sokołow.

— Magdalena Tuszyńska. Pokazała nam swój dowód osobisty. Jest z Poznania.

— Gdzie ją przetrzymujecie?

Żołnierz wskazał środkowy namiot, przed którym łopotała czerwona flaga z białym orłem w złotej koronie i znakiem Polski Walczącej.

— Tam, w kantynie. Podpułkownik rozkazał dać jej coś gorącego do jedzenia.

Policjant ruszył we wskazaną stronę. Dopiero teraz zdumiała go panująca tu cisza. Kątem oka dojrzał kilku żołnierzy stojących między namiotami. Palili papierosy.

— Ilu was tu jest?

— Batalion liczy trzystu pięćdziesięciu żołnierzy, ale tutaj jest dwustu sześćdziesięciu pięciu, bo kobiety na te ćwiczenia nie przyjechały.

— To gdzie są wszyscy?

— W namiotach. To czas wolny, czyli siedzą w telefonach. Czasami myślę, że o inwazji Ruskich dowiedzą się z telefonów, jak ci już będą pod Warszawą.

Weszli do namiotu. Pokonali przestronną absydę i znaleźli się we właściwym wnętrzu. Znajdowały się tutaj tylko dwie osoby. Młody żołnierz w randze plutonowego wstał z krzesła, odwrócił się w stronę wchodzących i oddał honory.

— Panie majorze, melduję, że nasz gość otrzymał posiłek.

Serafin podziękował za meldunek. Wtedy żołnierz przyjął swobodną postawę, ale już nie usiadł.

Młoda kobieta odstawiła kubek, który trzymała w obu dłoniach, i podniosła się. Drżącą ręką włożyła pasmo włosów za ucho i uśmiechnęła się do młodszego aspiranta. Nie był to uśmiech swobodny.

— Zabierze mnie pan stąd?

— Tak, przyjechałem po panią. Pojedziemy na komendę do Braniewa i tam złoży pani zeznania.

— Może też pani zostać przesłuchana tutaj — odezwał się major. — Są tu odpowiednie warunki. — Zatoczył ręką, wskazując na przestronne wnętrze. — Nikt wam nie będzie przeszkadzał.

Sokołow musiał przyznać, że warunki polowe terytorialsów przewyższały pokój przesłuchań na komendzie. Tutaj było przestronniej, panowało przyjemne ciepło, a krzesła swoim kształtem zachęcały do zajęcia miejsca. Chętnie by tu został i to nie tylko ze względu na lokalowe dogodności. Dobrze byłoby przejść się po namiotach, pogadać z terytorialsami, zorientować się, kto nie lubi dowódcy i jego zastępcy, no i co myślą o czynie swojego kolegi, kaprała Derkacza. Inspektor Sum kazał mu jednak natychmiast zabrać stąd świadka, aby odseparować go od sprawcy. Spojrzał na kobietę. Zdawała się wzrokiem mu mówić, żeby tutaj nie zostawali.

— Jest pani gotowa? Możemy iść?

— Tak. Chciałabym jeszcze tylko odzyskać moje dokumenty.

Zerknęła pospiesznie na Serafina. Ten podał jej wyciągnięte z kieszeni niewielkie czarne etui. Ścisnęła je w dłoni i ruszyła do wyjścia. Młodszy

aspirant wyszedł za nią. Nie miał wątpliwości, że ta kobieta była poddana naciskom. Samo odebranie dokumentów było wyraźną próbą wywarcia na niej presji.

Gdy wsiedli do radiowozu, odetchnęła z ulgą, chwilę później się rozpląkała. Nie był to płacz histeryczny, objawiający się niepohamowanym łkaniem. Łzy lały się z jej na wpół przymkniętych oczu i tylko lewy policzek lekko drgał. Sokół mimowolnie zarejestrował fakt, że to ładna dziewczyna o nienachalnej urodzie. Trzeba było się jej przyjrzeć, żeby zobaczyć oznaki piękna, jak choćby długie i gęste rzęsy.

— Przykro mi z powodu tragicznej śmierci pani przyjaciela — oznajmił stosownym do okoliczności tonem.

— Dziękuję — szepnęła, a po chwili dodała: — To nie był mój przyjaciel.

Obróciła się do tyłu i przez kilka sekund patrzyła na błotnistą drogę okoloną krzakami i drzewami, którą pokonywali powoli.

— Nie jadą za nami — oznajmiła jakby z niedowierzaniem.

— A dlaczego mieliby za nami jechać?

Westchnęła, odpowiedzi jednak nie udzieliła. Może po prostu sama jej nie znała.

— Zechciałaby pani opowiedzieć mi o tym zdarzeniu, do którego doszło w opuszczonym gospodarstwie? Widzę, że jest pani bardzo zdenerwowana, ale proszę chociaż spróbować. Nagram pani wypowiedź. — Jedną ręką trzymał kierownicę, drugą wyjął telefon i uruchomił dyktafon. Podał godzinę, datę i miejsce przesłuchania, a na końcu imię i nazwisko świadka. Położył aparat między nimi. — Proszę mówić.

Zależało mu na tym, aby zrelacjonowała tamto zdarzenie teraz, bo silne emocje gwarantowały autentyczność wypowiedzi. Westchnęła i palcami wytarła łzy z policzków.

— Bałam się, że mnie też zabiją. Ten żołnierz zastrzelił go z zimną krwią. To morderca. Nie widziałam, jak podchodził, po prostu nagle się znalazł przy samochodzie i strzelił. Boże! To było potworne. Głowa mu się dosłownie rozpadła. Ja to widziałam. Mam ślady krwi na kurtce, mam ją też we włosach. — Wsunęła palce w rude pasma, jak gdyby chciała coś spomiedzy nich wydostać. — To straszne, nie wytrzymam tego — zajęczała. — Muszę się umyć i przebrać. Czy mógłbyś mnie zawieźć do hotelu? Jest w Braniewie jakiś hotel?

Dziewczyna skróciła dystans między nimi, zwracając się do niego na ty. Umieściła go na przeciwnym biegunie w stosunku do żołnierzy, ich się

bała, jemu postanowiła zaufać. Pasowało mu to.

— Hotel jest, ale najpierw poprosimy cię o zeznanie do protokołu. Proszę, powiedz mi teraz, co sobie pomyślałaś, gdy zobaczyłaś żołnierza z bronią.

— Co pomyślałam? Nic.

— A co poczułaś?

Magda parsknęła krótkim śmiechem.

— Co poczułam? A jakie ma to znaczenie?

Sokół uważał, że miało, bo jeśli się wystraszyła, to z jakiegoś powodu. Instynktownie mogła poczuć, że zbliża się do nich morderca, ktoś, kto chce ich zabić, a nie człowiek, który sam się wystraszył i dlatego pociągnął za spust. Obrona terytorialna dała broń na ostrą amunicję kilkudziesięciu tysiącom ludzi. Czy oni wszyscy przeszli rzetelne testy psychologiczne? Czy ktokolwiek ich badał? Może ten cały kapral strzelił, bo jest psychopata, chciał kogoś zabić, a najnowsza formacja wojskowa mu to umożliwiła.

— Czy mogłabyś sobie przypomnieć tamten moment, gdy zobaczyłaś żołnierza? Przestraszyłaś się go?

— Nie pamiętam. Chyba tak, bo on pojawił się nagle i od razu strzelił.

— Co było później?

— Uciekłam. Wyskoczyłam z samochodu i zaczęłam biec, ile miałam siły w nogach. Daleko nie uciekłam. Dopadli mnie na drodze prowadzącej do gospodarstwa. Dopiero gdy leżałam na ziemi, zorientowałam się, że jest ich dwóch, ten, który strzelił, i jeszcze jeden, taki bardzo przystojny. — Zachichotała nerwowo. — Wiem, że to głupie. Umierałam ze strachu i przyglądałam się przystojniakowi w mundurze. Ale ty też byś zwrócił na niego uwagę, bo naprawdę miał rzucającą się w oczy urodę. Mówili na niego Tito.

Zamilkła i przymknęła powieki, jak gdyby próbowała odtworzyć wizualną stronę tamtego momentu.

— Co było dalej?

Westchnęła.

— Potem zaczęło się piekło. Straszili, że mnie zabiją i zakopią w lesie, że kierowcę też zakopią, a samochód zabiorą do koszar. Podpułkownik przyłożył mi broń do głowy. Nie sądziłam, że można się aż tak bać.

Sokołowi miał ochotę zatrzeć ręce. Czegoś takiego się spodziewał. Zeznań, które pograżą zarozumiałego majora Serafina. To, co właśnie powiedziała Magda Tuszyńska, nawet bardziej obciążało wojskowych niż zastrzelenie

kierowcy golfa. Dobrze, że to nagrywa, bo nie wiadomo, czy dziewczyna zechce to powtórzyć.

— Chcieli, żebyś powiedziała, że żołnierz strzelił w samoobronie, bo kierowca do niego mierzył z walthera?

— To też, ale chcieli także wiedzieć, kim jesteśmy. W pewnym momencie to się stało nawet najważniejsze.

Dla młodszego aspiranta było to zrozumiałe. Od tożsamości ofiary zależało, czy da się sprawę zamieść pod dywan.

— Wyjawiłaś im, kim jest twój towarzysz?

Odchyliła głowę tak energicznie, że potylicą uderzyła w zagłówek.

— Nie. Nie zrobiłam tego.

Zerknął na nią zaskoczony.

— Ale powiedziałaś im, że to Białorusin i nazywa się Kozłow.

— Wymyśliłam to. Podpułkownik nalegał, straszył, musiałam coś powiedzieć. Czułam, że jeśli wyjawię prawdę, to mi nie uwierzą. Oni oczekiwali ode mnie jakiejś sensacyjnej wersji. Najlepiej, żebym powiedziała, że kierowca był przestępcą, to by im pasowało. Wymyśliłam więc, że to Białorusin, który przemyca papierosy z Rosji i sprzedaje je do nocnych klubów w Poznaniu. O kimś takim kiedyś słyszałam od znajomego barmana. Wiedziałam, że żołnierze nie zweryfikują szybko moich zeznań. Skoro pytali o jego nazwisko, to nie znaleźli przy nim żadnego dokumentu.

— To kim naprawdę jest ofiara?

Magda zaśmiała się nerwowo.

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz?

— Nie wiem. Nic o nim nie wiem, nawet jak miał na imię. Stawiam na to, że był Polakiem, bo po polsku do mnie mówił.

Rozdział VIII

PRAWIE TRZYDZIESTU MĘŻCZYŹN leżało na pryczach, jedni byli w mundurach, inni w samych slipach, niektórzy mieli buty na stopach, wielu trzymało w dłoni butelkę piwa, a na wezgłowiu broń. Jeden z żołnierzy stał naprzeciw leżących kolegów i odgrywał rolę dyrygenta, wspierając się dwoma widelcami niczym pałeczkami. Powietrze w namiocie drgało od wrzasku wydobywającego się z męskich gardeł.

— Co nam pomaga? — ryknął dyrygent.

W odpowiedzi jego towarzysze wywrzeszczeli:

— Zimna odwaga!

— Co nam zawadza?

— Wysilek i praca!

Inspektor Sum stał przez chwilę zaraz przy wejściu z nadzieją, że żołnierze się uciszą i zwrócą na niego uwagę. Po minucie zrozumiał, że to, czego jest świadkiem, to przedstawienie urządzone specjalnie dla policji. Ma poczuć się nieswojo, ma być zdeprymowany. Daremne były ich starania. Ruszył w głąb namiotu i przystawał przy mężczyźnach leżących na pryczach. Pytał o kaprała Derkacza, ale jego głos ginął w ogólnym huku.

— Co jest najważniejsze na wojnie? — zaintonował dyrygent w wojskowym mundurze.

— Ani taktyka, ani odwaga, lecz piwa krata!

Niektórzy unieśli butelki w górę niczym trofea.

— Czym się zajmujemy?

— Pomagamy, ratujemy i spierdalamy!

Nikt nie zwracał uwagi na inspektora, jak gdyby był niewidzialny. Rozejrzał się po ogromnym namiocie, po twarzach żołnierzy, licząc na to, że rozpozna kaprała Derkacza. Miał w pamięci te kilka zdjęć widziane na profilach społecznościowych. One jednak prezentowały oblicze chłopaka w cieniu czapki z daszkiem, dlatego teraz szukał głównie spłoszonego wzroku, spiętej sylwetki i niespokojnych podrygów mięśni mimicznych. Zauważył siedzącego na końcu namiotu żołnierza, który nie brał udziału w przedstawieniu. Pochylał się nad laptopem, podpierając podbródek na

dłoni. Z jednej strony zasłaniała go sterta plecaków, z drugiej miał ścianę, o którą opartych było kilka karabinków. Sum stanął przed nim.

— Kapral Artur Derkacz?

Mężczyzna uniósł głowę i popatrzył czarnymi oczami. Jego źrenice wydawały się nadmiernie czujne, zbyt przenikliwe, przez co spojrzenie miało w sobie coś niepokojącego. Inspektor w pierwszej chwili pomyślał, że znalazł sprawcę, ale na ramieniu żołnierza srebrzyła się krokiewka. To był sierżant, a nie kapral, chyba że panowie zamienili się kurtkami, co mogło być elementem dziejącego się tutaj spektaklu.

— Szukam kaprala Derkacza.

Sum starał się nie krzyczeć, nie chciał poddać się atmosferze, ulec prowokacji, bo o to właśnie chodziło tym dzieciakom poprzebieranym za żołnierzy. Gdy jednak sierżant machnął ręką w stronę gromady terytorialsów i z powrotem pochylił się do monitora, zdecydowanym ruchem zamknął mu pokrywę laptopa. Żołnierz drugi raz nie podniósł na niego oczu. Spokojnie czekał, aż funkcjonariusz się oddali.

Skoro wy tak pogrywacie z policją, to zaraz dostaniecie nauczkę, przekonacie się, że mundur to nie wszystko, trzeba jeszcze mieć głowę na karku. Inspektor przesunął się na środek namiotu i wyjął telefon.

Żołnierz w roli dyrygenta ryknął:

— Co jest dla nas najlepsze?

Terytorialni odpowiedzieli chórem:

— Odwaga jest dobra, wytrwałość lepsza, a gorąca dziewczyna najlepsza.

Sum wyciągnął przed siebie rękę, przystępując do nagrywania bandy rozwrzeszczanych chłopaków. Niech Polska zobaczy, jak terytorialni z Czterdziestego Trzeciego Batalionu Lekkiej Piechoty w Braniewie bronią honoru munduru. Nagle go zamurowało. Stało się coś, czego się nie spodziewał. W jednej sekundzie wszyscy żołnierze włożyli kominiarki w kolorze khaki, a w ich dłoniach pojawiły się telefony. Anonimowa grupa przebierańców zaczęła nagrywać wycofującego się policjanta. Wrzask narastał:

— Nie broń jest najważniejsza, bo męstwo nie trzyma się żelaza, lecz kutasa!

Inspektor znalazł się na zewnątrz. Wściekłość znowu wyryła mu na czole pionową zmarszczkę. Nie mógł sobie darować, że banda chłystków go przechytrzyła. Czuli się silni, bo byli w grupie, mieli też przyzwolenie dowódcy na takie zachowanie. Najchętniej ściągnąłby z województwa

wyspecjalizowaną grupę policji, która wsparłaby go w czynnościach na terenie bazy wojskowej. W tym celu musiałby jednak złożyć wniosek, do którego należałoby dołączyć plan akcji, wskazać, ilu ludzi ma w niej brać udział, jakiej broni użyć, jakiej łączności, jakich pojazdów. Przygotowanie samego wniosku to nawet nie problem, zleciłby to Dominikowi. Problemem było to, że sam wniosek rozpatrzone by za kilkanaście godzin, a wtedy po bazie zostanie jedynie ubita ziemia, a żołnierze będą siedzieć w swoich domach. W armii na pewno nie trzeba było składać pisma, aby iść na akcję.

Spojrzał w stronę radiowozu. W środku siedział tylko Rybak, a zatem Jamróż poszedł rozejrzeć się po bazie. Miał do dyspozycji jedynie ich dwóch, to musiało mu wystarczyć do przeszukania szesnastu namiotów, w których kręciło się prawie trzystu żołnierzy. Nawet nie mógł mieć pewności, czy Artur Derkacz jeszcze tutaj przebywa. Zaklął pod nosem, uświadamiając sobie, że siłą ani sprytem niczego nie zdziała. Zostały negocjacje z nadętym dowódcą batalionu. Za chwilę zobaczył komisarza wychodzącego z namiotu, przed którym wisiała flaga Wojsk Obrony Terytorialnej, towarzyszył mu major Roch Serafin.

— Gdzie jest kapral? — zapytał ostro, gdy tamci się zbliżyli.

— Czeka w kantynie na przesłuchanie. — Uśmiech na pociągłej twarzy Serafina wyglądał na przyklejony. — My jesteśmy gotowi do współpracy z policją. Oczekujemy od was tego samego.

— Od nas dostaniecie rzetelnie poprowadzone czynności śledcze. Niczego więcej nie oczekujcie.

Inspektor rozejrzał się po wypasionych pojazdach ustawionych jak na wystawie najnowszego sprzętu wojskowego. Nigdzie nie dostrzegł cywilnego samochodu.

— Adwokat nie przyjechał?

Uprzejmy i wymuszony uśmiech na twarzy majora zamienił się w kpiące skrzywienie warg.

— Wtajemniczanie kolejnych osób w tę sprawę nie jest wskazane, poza tym kapralowi nie będzie potrzebny obrońca.

— Zostanie mu przydzielony z urzędu. Ta sprawa to zbyt duży kaliber.

— Obrońca zostanie mu przydzielony, o ile śledztwo będzie miało ciąg dalszy, a liczymy na to, że do tego nie dojdzie.

Major stał wyprężony, jak gdyby brał udział w konkursie na żołnierza roku. Całym sobą demonstrował irytującą pewność siebie. Wyzywającym

wygięciem ust zdawał się mówić, że powinni się stąd wynosić, gdyż wszelkie czynności policyjne są daremne, bo postępowanie karne i tak nie zostanie wszczęte.

Sum nie miał zamiaru okazywać irytacji i ulegać prowokacjom. Parę minut temu grupie dzieciaków udało się wyprowadzić go z równowagi i na dzisiaj to wystarczy. Pochylił ramiona i zgarbił się. Chciał w ten sposób zdrwić z nienaturalnie wyprężonej sylwetki Serafina. Nie wiedział, czy tamten to zauważył, może nie, bo nadal stał jak na defiladzie.

— Panie majorze, jeśli prokurator uzna, że kapral nie przekroczył granic obrony koniecznej, sprawę będzie mógł umorzyć, ale do tego momentu my musimy robić, co do nas należy. Chyba pan rozumie, służba.

Serafin przymrużył oczy z wyraźnym rozczarowaniem. Zapewne liczył na większe zdominowanie inspektora policji.

Weszli do kantyny. Stały tutaj cztery duże stoły, każdy na dziesięć osób. Za nimi znajdował się bufet w niewielkiej części zastawiony przekąskami. Młody mężczyzna opierał się łokciem o blat i konsumował ciastko. Nie zareagował na ich wejście. Inspektor pamiętał ze swojej bytności w wojsku, że w czasie jedzenia posiłku nie trzeba się zrywać i oddawać honorów przełożonemu. Nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że żołnierz swoją postawą przede wszystkim jego olewa.

Major Serafin wskazał krzesło przy pierwszym stole. Inspektor nie usiadł, skierował się do bufetu.

— Na pewno chcesz składać wyjaśnienia bez adwokata? — zapytał w miarę przychylnym tonem.

Kapral wytarł okruszki z ust i obrócił się ku niemu. Źrenice miał wielkie i błyszczące jak pięciogroszówki, dziurki od nosa mu drżały, a język przesuwiał się nerwowo po dolnych zębach. Emocje w nim buzowały jak soda wrzucona do szklanki z wodą. Nic dziwnego, zastrzelił dzisiaj człowieka i z każdą godziną coraz bardziej to sobie uświadamiał.

— Nie potrzebuję adwokata — oznajmił hardo.

— Dowódcy powiedzieli ci, że nie potrzebujesz? Czy to twoja decyzja?

— Nie potrzebuję adwokata, bo nic złego nie zrobiłem. Wiem też, że nie muszę z wami rozmawiać i nic mi nie zrobicie.

— To prawda, jako podejrzany masz prawo odmówić odpowiedzi na nasze pytania. Chcesz z tego skorzystać?

— Nie. Powiem wszystko, bo nic nie mam do ukrycia.

Do namiotu wszedł komisarz Jamróz, a chwilę później Rybak z walizką kryminalistyczną. Zatrzymali się przy pierwszym stole, obok majora Serafina. Inspektor i kapral Derkacz też się zbliżyli.

— Sprawdzimy, czy jest na tobie proch powystrzałowy — oznajmił Jamróz.

Derkacz spojrzał na majora, jakby oczekiwał od niego jakiejś wskazówki, jak ma się zachować. Czy czasem nie powinien zaprotestować? Serafin nie dał mu żadnego znaku, zapytał więc:

— Po co to?

— Musimy mieć pewność, że to ty strzelałeś.

— Ale ja się przyznaję, to ja strzeliłem do tego gościa w golfie.

— Przyznanie się to za mało. Musimy mieć pewność, że nie bierzesz na siebie czynu innej osoby, choćby przełożonego.

Kapral zaśmiał się.

— No co wy, przecież nie jestem głupi.

Komisarz wyciągnął protokół i wpisał godzinę pobierania śladów GSR i odnotował, że czynność dokonywana jest w polowej bazie wojskowej półtora kilometra od miejsca zdarzenia. Potem spojrzał na wyprężonego majora.

— Od kiedy jesteście tutaj na ćwiczeniach?

— Od wczoraj.

Kolejne pytanie komisarz zadał kapralowi:

— Czy oprócz tego jednego strzału od wczoraj oddałeś jeszcze jakieś strzały z tej konkretnej broni?

— Tak. Po tamtym strzale, chwilę później, strzeliłem jeszcze w pień drzewa. To było tutaj w bazie. Potem sierżant Tito odebrał mi karabin.

Jamróz zanotował tę informację.

— Pokażesz nam później, do którego drzewa strzelałeś.

Technik przesunął niewielkim tamponem po brwiach kaprala, po czym próbkę umieścił w papierowej torebce.

— Miałeś na sobie rękawiczki? — zapytał komisarz, lustrując sylwetkę żołnierza ubranego w spodnie od munduru, buty sportowe i koszulkę.

— Tak.

— To teraz przyniesiesz te rękawiczki i oczywiście kurtkę od munduru. Miałeś coś na głowie?

— Tak, hełm.

— To go też przynieś.

Inspektor już wcześniej odsunął się o dwa kroki od stołu i przyglądał się wszystkim osobom przy nim zgromadzonym. Teraz zauważył, jak kapral spojrzeniem pyta majora o zgodę na przyniesienie ubrań. Tamten nieznacznie przytaknął i dopiero wtedy żołnierz skierował się do bocznych drzwi będących przejściem do kolejnego namiotu.

— Gdzie jest karabinek, z którego strzelił kapral? — zapytał inspektor Sum.

— W naszym magazynie. Jeśli chcecie go zabrać, to oczywiście go wydamy. Ale przypuszczam, że szybko go nam zwrócicie.

Do kantyny wrócił Derkacz. Hełm niósł na głowie, a kurtkę i rękawiczki przed sobą. Wszystkie rzeczy położył na stole i się odsunął.

— Zabierzecie mi to?

— Tylko zabezpieczymy ślad prochu — odpowiedział Rybak, rozkładając kurtkę od munduru i przesuwając tamponem po jej przodzie na wysokości klatki piersiowej.

— Czyli będę mógł dzisiaj włożyć te rzeczy?

— Tak.

Derkacz odetchnął z wyraźną ulgą. Technik umieścił tampony w papierowych torebkach i przyczepił metryczki.

— To teraz idziemy po broń — zakomenderował Jamróż i skierował się do wyjścia.

Rybak poszedł za nim, a Serafin się zawahał, zapewne chciał asystować przy przesłuchaniu Derkacza.

— Ma pan ważną legitymację adwokacką? — zapytał ostro inspektor, dając do zrozumienia, że nie zgodzi się na to, aby żołnierz składał wyjaśnienie w obecności przełożonego.

Major Serafin wymaszerował z namiotu. Inspektor Sum usiadł za stołem.

— Siadaj! — polecił żołnierzowi.

Kapral zajął miejsce naprzeciwko i przesunął do siebie swój hełm. Położył na nim dłoń. Wyglądał teraz na nieco spokojniejszego niż kwadrans temu.

— Będę nagrywał naszą rozmowę. Jutro ktoś tu podjedzie i dostaniesz do podpisania protokołów z przesłuchania. Jeśli chcesz, możesz złożyć wyjaśnienia na piśmie. Chcesz?

— Nie.

Inspektor położył między nimi swój telefon z uruchomionym nagrywaniem.

— Najpierw podaj imię, nazwisko, wiek, wykształcenie, wykonywany zawód i adres.

— Artur Derkacz, mam dwadzieścia jeden lat, skończyłem ogólniak, mieszkam w Braniewie przy Roweckiego.

— A praca?

— Nie mam roboty na stałe, czasami dorabiam sobie w zakładzie stolarskim.

Te informacje nie były dla inspektora niczym nowym, już do nich dotarł, nawet o pracy w zakładzie stolarskim dowiedział się z profilu Derkacza na serwisie społecznościowym.

— Mieszkasz z rodzicami?

— Z mamą i babcią.

— No dobra, to przechodzimy do rzeczy. Opowiedz, co się tam zdarzyło, w tym opuszczonym gospodarstwie.

— Nie ma czego opowiadać. Robiłem rozpoznanie terenu. Wyjrzałem zza rogu budynku i zobaczyłem samochód. Przemknąłem do niego, ale tak, żeby mnie nikt nie zauważył, szybko i zgięty w pół. Zajrzałem do środka. Zobaczyłem lufę wycelowaną w siebie, no to pociągnąłem za spust. To tyle.

Inspektor kiwnął głową, aby kapral wiedział, że jego krótka relacja została doceniona.

— Co było dalej?

— Otworzyłem drzwi, żeby sprawdzić, czy koleś żyje. Tak się na nim skupiłem, że na początku nie zauważyłem tej dziewczyny, dopiero gdy zaczęła zwiewać. Pobiegłem za nią, ale najpierw kazałem Bartkowi, to jest plutonowemu Nowickiemu, zawiadomić podpułkownika, bo plutonowy akurat wpadł na podwórko. A tę dziewczynę to dopadł pierwszy sierżant Tito, ale ja też bym ją dogonił.

Kapral umilkł.

— A co z tym waltherem? Widziałeś go w samochodzie, gdy otworzyłeś drzwi?

— Nie. Nie rozglądałem się za nim. Potem sierżant Tito powiedział mi, że znaleźli go przy Rudej.

— Chciałbyś coś jeszcze dodać na temat tego zdarzenia?

— Nie.

Teraz przyszedł czas na pytania, które mogą dać odpowiedź, czy to rzeczywiście Derkacz strzelał, a jeśli on, to czy pociągnął za spust, żeby ratować własne życie, a może po prostu chciał kogoś zabić i to zrobił.

— Powiedziałeś, że zobaczyłeś wymierzoną w siebie lufę, a kierowcę widziałeś?

— No nie bardzo.

— Jak daleko znajdowałeś się od wozu?

— Półtora metra.

— Półtora metra i nie widziałeś człowieka? Przełożeni wiedzą, że jesteś ślepy?

— Nie jestem. Mam bardzo dobry wzrok. Przeczytałem całą tablicę, do ostatniego znaku.

— No to jak wyjaśnisz to, że nie widziałeś kierowcy? Schował się?

Kapral zabrał dłoń z hełmu i wrzucił niedbale ramionami.

— Ja go naprawdę nie widziałem. A może go widziałem, tylko tego nie pamiętam.

— Skoro nie widziałeś człowieka, dlaczego pociągnąłeś za spust?

— A pan co by w takiej sytuacji zrobił? — W głosie Derkacza pojawiło się oburzenie. — Miałem czekać, aż mi rozwalą czachę?

— W samochodzie mogło być dziecko z zabawkowym pistoletem.

— Ale to nie było dziecko, to był koleś z najprawdziwszym waltherem. Albo on mnie, albo ja jego. Byłem pierwszy.

W głosie żołnierza po raz pierwszy pojawiła się charakterystyczna nuta świadcząca o chętności się. Inspektor zyskał na pewności, że to kapral Derkacz strzelił, w innym razie nie mówiłby o tym w taki sposób. Wolałby, aby ten chłopak okazał się dobrym człowiekiem o zbyt impulsywnym zachowaniu, niestety, nie zapowiadało się na to.

— Zabiłeś człowieka, sąd może uznać, że przekroczyłeś granicę obrony koniecznej, możesz trafić do zakładu karnego. Nie obchodzi cię to?

Kapral parsknął krótkim śmiechem.

— Żartuje pan, inspektorze. Jeśli żołnierz strzela, to nie jest mordercą, jest bohaterem. Tam u was w policji nie słyszeliście o tym?

Inspektor pochylił się przez stół ku kapralowi.

— Słuchaj, chłopaku, ktoś ci strasznie namieszał w głowie, ale zakładam, że nie jesteś aż tak głupi i potrafisz zrozumieć, że nie mamy wojny i nie wolno żołnierzom strzelać, do kogo popadnie.

Derkacz się cofnął wraz z krzesłem, ale zaraz się podniósł. Górował teraz nad policjantem.

— Nie ma wojny? Co ty o tym wiesz, psie? Wojna trwa zawsze. My jesteśmy w ciągłej walce z wrogiem.

— Siadaj! — polecił inspektor.

Żołnierz opadł na krzesło. Jego źrenice znowu przypominały pięciogroszówki, a skrzydełka nosa drgały. Ten chłopak miał przeoraną psychikę i wystarczyło do tego tylko sześć miesięcy w obronie terytorialnej. Kwalifikował się do profesjonalnej terapii, zwłaszcza teraz, gdy zabił.

— Wystraszyłeś się, gdy zobaczyłeś wycelowaną w siebie lufę?

To pytanie było swoistym kołem ratunkowym. Inspektor rzucił je temu dzieciakowi z nadzieją, że ten skorzysta, że przyzna się, iż strzelił, bo bał się o swoje życie. To będzie w sądzie lepiej wyglądało niż oddanie strzału z zimną krwią.

— Nie wystraszyłem się. Strzeliłem do wroga, który do mnie mierzył. Powinni mi za to dać odznaczenie.

Funkcjonariusz pokiwał głową z politowaniem. Każdy adwokat, słysząc takie słowa z ust klienta, zszedłby od razu na serce.

— Widziałeś twarz swojego wroga?

— Już powiedziałem, że go nie widziałem.

— Czy zauważyłeś coś, co kazało ci uznać, że kierowca golfa do ciebie strzelił?

— Celował we mnie, to mało?

— Czy on strzelił do ciebie?

Derkacz spojrzał na policjanta jak na kretyna.

— Wam w policji wyciągają strzykawkami szare komórki?

— Odpowiedz na pytanie, czy kierowca golfa nacisnął spust.

— Gdyby nacisnął, to byłbym teraz martwy.

— Słyszałeś huk wystrzału z jego broni?

Żołnierz westchnął, wyraźnie zniecierpliwiony.

— Nie słyszałem, on nie strzelił, bo nie zdążył.

— Może jego wystrzał nałożył się na twój? Dlatego nie słyszałeś huku?

— Przecież powiedziałem, że on nie strzelił.

Inspektor nie był pewien, czy kapral powinien słyszeć jednoczesny ze swoim wystrzał z walthera. Eksperyment kryminalistyczny mógłby tę kwestię wyjaśnić. Na razie na prawdopodobieństwie zyskała wersja, że to podpułkownik albo major oddali strzał w słupek przy drzwiach kierowcy z pistoletu ofiary.

— Czy któryś z twoich kolegów widział to zdarzenie?

— Nie. Jedynym świadkiem jest ta ruda dziewczyna. Uważajcie na nią! Nie jest lepsza od swojego kumpla.

Inspektor Sum wzmógł czujność. Żołnierz o czymś wiedział i należało tę wiedzę od niego wydobyć. To nie powinno być trudne, bo lubił się chełpić.

— Zobaczmy, czy pasażerka golfa potwierdzi twoje zeznania.

— Nie potwierdzi — oznajmił stanowczo kapral.

— Dlaczego nie? Musiała widzieć, że kierowca do ciebie celował.

— Nawet jeśli widziała, to będzie kłamać.

— Dlaczego ma kłamać?

Derkacz patrzył na inspektora szeroko otwartymi oczami. Dolna warga drgała mu, a na koszulce pojawiły się plamy potu. Coraz bardziej się denerwował.

— Co pan, kurwa, taki niedomyślny? Przecież ta parka z golfa to wasi klienci, a kryminal zawsze kłamie. Ta ruda dupa też będzie.

— Nasi klienci? A skąd o tym wiesz?

Kapral skrzyżował ramiona na piersiach i uniósł wzrok ku górze.

— Boże! Czy pan tylko udaje debila, czy pan nim jest? — Westchnął głośno. — Czy uczciwy i porządny obywatel celowałby do żołnierza Wojsk Obrony Terytorialnej? Czy w ogóle miałby przy sobie broń? — Kapral oparł łokcie o stół. — Coś panu powiem, inspektorze. Ta ruda dupa nie lubi psiarni. Gdy okazało się, że tu jedziecie, to zaczęła kombinować. Chciała, aby Bartek, to znaczy plutonowy Nowicki, ją wypuścić, bo to on ją pilnował na rozkaz podpułkownika. Czarowała go, robiła słodkie oczy, popłakała się nawet, paplała coś o błędach młodości, ale Bartek nie jest wrażliwy na takie gierki, bo ma żonę. Ruda zaproponowała mu, że pójdzie do toalety, a potem pobiegnie do lasu i plutonowy nie będzie jej gonił. Zaprowadził ją do kibla, a potem grzecznie odprowadził tutaj, do kantyny. Podobno była wściekła. Bardzo jej zależało, aby uniknąć spotkania z wami. Jak pan myśli, inspektorze, dlaczego?

Kapral patrzył na niego hardo, a Sum szczerze zastanawiał się nad usłyszonym pytaniem. Już wcześniej założył, że ta dwójka z golfa to mogą być przestępcy, najprawdopodobniej przemytnicy. Każdy obcy pojawiający się w Braniewie stawał się podejrzanym o przemyt, bo przecież nikt tu nie przyjeżdżał w celach turystycznych. Tu nie było czego zwiedzać, nawet las był brzydki, zarośnięty krzakami i pokrzywami. Te nieliczne ładniejsze drzewa wycięto w ostatnich latach. Ciekawe tylko, co ta dwójka z golfa miała zamiar przemyścić? Policyjny instynkt podpowiadał mu, że to może być grubsza sprawa. Może się nawet okazać, że zastrzelenie kierowcy przez kaprala to banał w obliczu zorganizowanej grupy przestępczej zajmującej

się przerzucaniem przez granicę narkotyków albo ludzi. Właśnie na to stawiał, na heroinę albo na uchodźców. Nie powinien dłużej zwlekać, należało jak najszybciej przesłuchać Magdalenę Tuszyńską. Wyłączył dyktafon i wstał.

Rozdział IX

KOMISARZ DOMINIK JAMRÓZ siedział na chybotliwym krześle, dlatego opierał się łokciami o biurko. Miał na uszach słuchawki i odsłuchiwał przesłuchanie kaprała Derkacza. Gdy zza ściany dobiegał odgłos wiertarki, musiał zatrzymywać nagranie. Zdołał już przesłuchać osiemdziesiąt procent zapisu.

— Nigdy nie pozwolę, aby mój syn wstąpił do obrony terytorialnej — mruknął, gdy młodszy aspirant Nikita Sokołow postawił przed nim kubek z kawą.

— Dlaczego nie? Widziałeś, jakie tam mają samochody i motory?

— Widziałem. Nowoczesne, dobre i drogie.

— No właśnie, a my?

— A my dostaliśmy dwa radiowozy Hyundai Tucson.

Sokół przy akompaniamencie wiertarki teatralnie przewrócił oczami.

— Ty dostałeś? Trzymałeś może raz kluczyki od tego nowego radiowozu? Dali nam tylko na nie popatrzeć przez jeden dzień, a potem wysłali je do Fromborka i Pieniężna. Kurwa, dziesięć gmin składało się na te samochody dla policji, starosta też się dorzucał i Bóg wie, kto jeszcze.

— Jeszcze my — dodał spokojnie Jamróz. — Komendant dorzucił nawet sporo.

— No właśnie, niedługo będziemy robili zbiórkę na mieście na rowery dla nas, a kaczki mają wszystko, tylko palcem kiwną. Żeby chociaż coś pożytecznego robili, las posprząтали albo w domu opieki nocniki ponosili, a oni spotykają się od czasu do czasu na wyjazdowym grillu.

Jamróz zdjął słuchawki i spojrzął na kolegę.

— Nikita, ty mnie zadziwiasz.

— Dlaczego?

— Bo nagle zaczęły cię kręcić finanse komendy, a jeszcze wczoraj nie obchodziło cię, ile tobie płacą.

— Ale tu nie chodzi o kasę, tylko o to, jak nas traktują — rzucił młodszy aspirant, idąc do drzwi.

Jamróz założył słuchawki i powrócił do zapoznawania się z przesłuchaniem kaprała Artura Derkacza. Był przy fragmencie, w którym

żołnierz wspomniał, że Magdalena próbowała przekonać pilnującego ją terytorialisa, aby pozwolił jej się oddalić. Komisarz podzielał przeczucie inspektora, że za pasażerką golfa i kierowcą musi kryć się grubsza sprawa. Wiele będzie zależało od przesłuchania dziewczyny. Uznali, że to Dominik z nią porozmawia. Lepiej radził sobie z przesłuchiwaniami kobiet niż obcesowy w kontaktach Sum.

W tej chwili Tuszyńska siedziała w pokoju obok i piła kawę. Podobno się niecierpliwiła, chciała iść do hotelu, aby się trochę ogarnąć. Komisarz otworzył notes i przystąpił do notowania pytań, które planował jej zadać. Jednocześnie kończył odsłuchiwać przesłuchanie kaprała. Na szczęście wiertarka za ścianą ucichła. Na komendzie borykali się z ciągłymi pracami budowlanymi, głównym tego powodem był brak kasy. Robiono coś wtedy, gdy znalazły się pieniądze. Obecnie wygospodarowano je na policyjną strzelnicę.

Do pokoju ponownie wszedł Nikita Sokołow.

— Przyszły informacje od Niemców — oznajmił, potrząsając plikiem kartek. — Ten golf został wzięty z wypożyczalni samochodów w Dusseldorfie w środę. Dostaliśmy skan umowy.

Rzucił na biurko wydruk. Jamróz od razu go podniósł. Wzrokiem przebiegał po niemieckich słowach, szukając danych personalnych osoby zawierającej umowę z wypożyczalnią. Znalazł. Piotr Matuszek, tak się nazywał klient, był też PESEL i dane z prawa jazdy.

— Świetnie. Kim jest ten Matuszek? Sprawdziłeś go?

— Sprawdziłem. W rejestrze PESEL nie ma takiego ciągu cyfr, dowód osobisty to fałszywka, prawo jazdy też.

— No tak — mruknął komisarz pod nosem.

Czegoś podobnego się spodziewał. Wprawdzie Tuszyńska posługiwała się swoim dowodem tożsamości, ale podrobione papiery jej towarzysza potwierdzały, że może chodzić o przemyt większego kalibru.

— A co nam dały odciski palców ofiary?

— Nic. Nie ma ich w bazie AFIS. Walther też nie został zarejestrowany.

— Nielegalna broń, fałszywe dokumenty, trup o nieustalonej tożsamości, naprawdę niezłe się to zapowiada. Coś jeszcze mamy?

Młodszy aspirant postukał palcem w umowę leżącą na biurku.

— Tutaj jest numer telefonu osoby wypożyczającej golfa, to jest numer polskiego operatora.

— Czy dobrze zgaduję, że karta SIM zarejestrowana jest na fałszywego Piotra Matuszka?

— Tak.

— Gdzie jest jego telefon? Przy nim go nie znaleźliśmy.

— I to jest ciekawe. Wczoraj ten numer logował się w Braniewie, a przez całą noc i rano w pobliżu Robuz.

Komisarz przyłożył palce do skroni.

— Czyli ofiara spędziła noc w tym opuszczonym gospodarstwie.

— Na to wygląda — potwierdził Nikita. — Jego telefon nadal gdzieś tam jest, bo logował się dziesięć minut temu w okolicach Robuz.

— Dobra, bierz chłopaków i jedź przeszukać ten opuszczony dom. Ja nie mogę się stąd ruszyć, muszę przesłuchać Tuszyńską.

Sokół uśmiechnął się tajemniczo.

— To kaczkki mają ten telefon. Oni go wzięli.

— Myślisz?

— Nie myślę, ja to wiem.

— Dobra, Nikita, mów, co wiesz.

— Zawnioskowałem o billing i właśnie przyszedł. Z telefonu zarejestrowanego na Piotra Matuszka łączono się tylko z trzema numerami. Dwa to ruskie karty SIM i to mówi nam, że rzeczywiście chodzić tu będzie o przemyt. A trzeci numer należy do kogoś, kogo już dobrze znamy.

— Do kogo?

— Do kaprała Derkacza.

— Do Derkacza? Nie rozumiem.

Dominik był szczerze zaskoczony. Ten jeden fakt tak bardzo nie pasował do zdarzenia, że nie był w stanie go sensownie wytłumaczyć. Dlaczego kierowca golfa miał dzwonić do kaprała, do swojego późniejszego zabójcy. O co tu chodzi?

— Sądzę, że wyjaśnienie jest bardzo proste — rzucił młodszy aspirant.

— No, jakie? Dawaj!

— Kapral Derkacz zastrzelił kierowcę, a potem go przeszukał. Znalazł telefon i sobie go przywłaszczył z zamiarem opylenia za parę stówek. Gdy przeglądał aparat, wybrał numer, który najlepiej znał, czyli swój własny.

Komisarz przytaknął. To miało sens.

— O której godzinie doszło do połączenia z numerem kaprała?

— O siódmej pięćdziesiąt pięć.

— Czyli możesz mieć rację. Według tego, co mówił podpułkownik, kierowca wtedy już nie żył od co najmniej pięćdziesięciu minut. Trzeba jechać po ten aparat.

— Pojadę, tylko jeszcze dam znać Krystianowi.

— To powiedz mu od razu, że zaraz będę przesłuchiwał Tuszyńską. Chciał być przy tym obecny.

Sokół zgarnął kartki, chwilę później trzasnął drzwiami.

Jamróż wcisnął do kieszeni notes, w którym zdążył zanotować kilka pytań. Zawahał się. Wyciszyć telefon czy zostawić w szufladzie? Postanowił go nie brać. Odruchowo spojrzął na ekran. Ememes od żony. Rozpromienił się na widok sześciolatniej dziewczynki w niebieskich ogrodnickach z wizerunkiem sowy na przodzie. Sylwia się uśmiechała, pokazując szparę w szczęce. Oblał go zimny pot. Gdy wychodził z domu, miała wszystkie ząbki, a teraz brakowało jednego. Pospiesznie wybrał numer żony.

— Co się stało? — zapytał głośnym szeptem, próbując ukryć swój niepokój.

— Nic. A coś miało się stać?

— Sylwunia nie ma ząbka.

— No nie ma, wyleciał jej pierwszy mleczak.

— Sam wyleciał? Nie przewróciła się czasem?

— Nie. Jadła kanapkę i wyleciał.

Wypuścił powietrze z ulgą. Bał się, że córka mogła się przewrócić na rowerze i stąd ten brak zęba.

— Płakała?

— Już chciała, ale powiedziałam jej wierszyk o wróżce zębuszce.

Zdumiał się, że Zuza zna jakiś wierszyk o wróżce, niby skąd?

— Co teraz robicie?

— Malujemy akwarelami, jestem cała w farbach.

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie żonę umazaną na kolorowo po same oczy, choć zapewne tak źle nie było.

— Kiedy wrócisz?

— Niestety, późno.

Ścisnęło go w piersi na myśl, że dzisiaj nie przytuli swoich kochanych dzieciaków, bo jak przyjdzie, to będą już spały. Może jutro zdoła spędzić z nimi cały dzień. Był ojcem od dwóch miesięcy, aż sam się dziwił, że pokochał syna i córkę tak szybko. Myślał, że to potrwa dłużej, że będzie

musiał przyzwyczać się do ich obecności, a tymczasem nie potrafił wyobrazić sobie domu bez nich.

Rozłączył się z żoną, poprawił mankiety koszuli, przesunął dłonią po falujących włosach, następnie udał się do pokoju przesłuchań.

Magdalena Tuszyńska chodziła od ściany do ściany, z jej ruchów emanowało napięcie i protest. Na widok policjanta przystanęła.

— No wreszcie, już myślałam, że o mnie zapomnieliście. Czekam godzinę. Przez ten czas zdążyłabym się umyć w jakimś hotelu i przebrać.

— Gdzie pani ma swoje rzeczy?

— Pyta pan o moją torbę z ubraniami?

Przytaknął.

— Zostawiłam ją w samochodzie moich znajomych, czyli moja torba jest teraz w Kaliningradzie.

Komisarz Jamróz miał spory talent do dostrzegania szczegółów. Niekoniecznie wyłapywał je w wypowiedziach, ale gdy na coś patrzył, to zwykle widział więcej od innych funkcjonariuszy. Nie wiązało się to z doskonałym wzrokiem, raczej ze zdolnością podziału obrazu na części składowe. Teraz więc nie tylko zauważył, że Tuszyńska ma przydługie szare spodnie, zwijające się nad butami, ale też zobaczył plamy, prawdopodobnie po błocie, i coś jeszcze, co go zaskoczyło. Kocia sierść o brunatnej barwie. Przypomniał sobie pręgowanego kota, który szwendał się po opuszczonym gospodarstwie i prychał na policjantów. Ten kot był dziki, Tuszyńska jednak zdołała go obłaskawić, skoro się łąsił do jej nóg. Zapewne potrzebowała na to czasu, bo te zwierzaki nie są ufne, czyli musiała przebywać w gospodarstwie długo, i to nie kilka godzin, lecz co najmniej jeden dzień. Taki banał, kocia sierść, ale dawał mu tyle informacji o tej kobiecie.

Uruchomił wideorejestrator, uprzedził świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i poprosił o podanie danych personalnych.

Nie wyglądała na dwadzieścia osiem lat ani na bibliotekarkę, a taki zawód wykonywała. Panie z biblioteki, które znał, były bardziej eleganckie; po chwili uznał, że to nie o elegancję chodzi, która przejawia się głównie w stroju. Nawet gdyby Tuszyńską ubrać w marynarkę i dać jej gustowne okulary, to też nie pasowałyby do bibliotecznego zespołu. Tej dziewczynie brakowało ogłady w gestach, w poruszaniu się. Zachowywała się jak nastolatka spędzająca dużo czasu wśród chłopaków. Przyszło mu nawet do

głowy, że dobrze prezentowałaby się w mundurze i z karabinem na plecach.

— Służę pani w obronie terytorialnej?

— Ale pan zabawny.

— Proszę, żeby odpowiadała pani na moje pytania, nawet jeśli wydadzą się pani niedorzeczne.

— Okej, przepraszam, po prostu mam już wszystkiego dosyć. To miała być miła wycieczka, a zrobił się z tego horror. Gdy opowiem znajomym, co przeżyłam, nikt mi nie uwierzy. Chciałabym wrócić do domu, do Poznania.

— Ktoś tam na panią czeka?

— Właściwie nie, bo rodzice mieszkają w Obornikach, a znajomi są przekonani, że wrócę w poniedziałek wieczorem.

Dziewczyna mówiła cicho i raczej powoli. W głosie nie było słychać napięcia, ale ono nadal tkwiło w jej drobnym ciele, w nienaturalnie wyprostowanych plecach i lekko podrygujących ramionach.

— No to jest pani żołnierzem obrony terytorialnej? — ponowił swoje pytanie.

— Nie jestem.

— Proszę opowiedzieć, jak to się stało, że znalazła się pani w tym opuszczonym gospodarstwie z człowiekiem, którego podobno pani nie zna.

— Nie znam go, nie wiem nawet, jak się nazywał. Już o tym mówiłam temu policjantowi, który mnie zabrał od tych... — Zawiesiła głos, zastanawiając się nad najbardziej trafnym określeniem. — Od tych bandytów w mundurach — dokończyła przez zaciśnięte zęby. — Czy mam to opowiedzieć jeszcze raz?

— Tak, proszę.

— A więc moja koleżanka ze swoim mężem jechali do Kaliningradu w ten weekend. Zaproponowali mi, żebym pojechała z nimi. Pomyślałam, czemu nie? Na wschodzie jeszcze nie byłam. No to wyruszyliśmy w nocy z Poznania, o szóstej rano byliśmy w Grzechotkach i tam na granicy okazało się, że nie mam wizy. Zapomniałam zabrać z domu. Życzyłam znajomym udanego wyjazdu i wysiadłam z wozu. Zastukałam do trzech polskich tirów, ale żaden kierowca nie chciał mnie zabrać. Jeden powiedział, że powinnam się ładniej ubrać. Chyba mnie brali za tirówkę. Przez jakieś trzydzieści minut szłam pieszo i próbowałam złapać stopa, ale nikt nie chciał się zatrzymać. Nie dziwi mnie to, ciemno jeszcze było. W końcu ten golf stanął, no i wsiadłam. Chciałam dojechać do Braniewa,

a stamtąd dalej pociągiem, ale gdy kierowca powiedział, że jedzie do Niemiec, to zapytałam, czy nie przez Poznań. Okazało się, że przez Poznań. Jakbym w totalotka trafiła. W samochodzie było ciepło, zaczęłam przysypiać. Otworzyłam oczy, jechaliśmy wzdłuż lasu. Po drugiej stronie drogi były pola i mgła. Dawno nie widziałam tak gęstej mgły, jak mleko. Coś mi nie pasowało, szosa była zbyt wąska. Zapytałam, gdzie jesteście. Powiedział, żebym się nie denerwowała, bo tylko na chwilę zjechaliśmy z trasy. On odbierze coś od kolegi i pojedziemy dalej. No i zajechaliśmy do tego gospodarstwa. Naprawdę myślałam, że zaraz z domu wyjdzie jakiś jego znajomy, ale nikt nie wyszedł. Kierowca wysiadł i obszedł wszystkie budynki, w domu był najdłużej. Wrócił do wozu i powiedział, że musimy poczekać. No to czekaliśmy. Trochę zaczęłam się bać, bo dotarło do mnie, że zaraz znajdę się w towarzystwie dwóch obcych typków. A co, jeśli oni okażą się nefajni? Te budynki i podwórko nie wyglądały zachęcająco, to była rudera, no to właściciel gospodarstwa też nie zapowiadał się dobrze. I jeszcze ta mgła, ona też podkręcała mi nastrój. Zastanawiałam się, czy nie wysiąść z samochodu i nie pognać do lasu, ale nie mogłam się na to zdecydować. A później mnie zmroziło, bo on wyjął z kieszeni pistolet i położył go sobie na kolanach. Ze strachu prawie nie oddychałam. No i wtedy pojawił się ten żołnierz i zastrzelił kierowcę.

Tuszyńska umilkła. Dłonie zaciśnięte w pięści trzymała na kolanach, dolną wargę przygryzała, jak gdyby chciała powstrzymać jej drżenie.

Komisarz nie wierzył świadkowi. Kłamała. Ona i kierowca znali się dobrze, razem spędzili noc w opuszczonym gospodarstwie. Jego zdradziło logowanie się telefonu, a ją sierść kota na spodniach.

Przytaknął. Ten gest miał ją przekonać, że dał wiarę jej słowom, i zachęcić do dalszego mówienia.

— Żołnierz zastrzelił kierowcę i co było dalej?

Dziewczyna odetchnęła głęboko, jak gdyby chciała nabrać sił przed dalszą opowieścią.

— Dalej było jeszcze gorzej. Zaczęłam uciekać. Złapali mnie i powalili na ziemię, potem zaprowadzili do domu. Później przyjechał ten wysoki i łysy.

— Podpułkownik — podpowiedział komisarz, bo wydawało mu się, że świadek szuka w pamięci stopnia wojskowego.

— Tak, podpułkownik, no i ten drugi, ten, który wziął moje dokumenty. Zadawali mi pytania, nie odpowiadałam, bo nie byłam w stanie, ścisnęło mnie totalnie w gardle. Dotarło do mnie, że oni nie wiedzą, kim jest

kierowca. Chyba na początku zdawało mi się, że żołnierz go zastrzelił, bo to był jakiś groźny przestępca, ale gdy uświadomiłam sobie, że zabili przypadkowego człowieka, to znowu się wystraszyłam. Chcieli, abym im powiedziała, kim był kierowca golfa, ale ja tego nie wiedziałam. Nie uwierzyliby mi, że zatrzymałam go na stopa. Gdy podpułkownik przyłożył mi pistolet do głowy, to powiedziałam, że to Białorusin, który wozi do Poznania papierosy.

Świadek przycisnęła pięści do klatki piersiowej, gest adekwatny do relacjonowanych przeżyć.

— Mogłaby pani coś więcej powiedzieć o samym zdarzeniu, czyli o zastrzeleniu kierowcy?

— Chyba wiem, o co pan pyta. Podpułkownik starał się na mnie wymusić, abym wam powiedziała, że mój towarzysz chciał zabić żołnierza, że do niego celował, a tamten się tylko bronił i dlatego strzelił.

— A jak było naprawdę? — zapytał komisarz, gdy dziewczyna umilkła.

— Tak naprawdę, to nie wiem. Nie pamiętam, nie widziałam tego.

— Młodszemu aspirantowi powiedziała pani, że żołnierz zabił kierowcę z zimną krwią.

— To prawda, tak powiedziałam, bo wtedy wydawało mi się, że tak było, ale teraz nie jestem pewna.

— Czy kierowca nacisnął spust, czy usłyszała pani wystrzał?

— Huk był, i to straszny.

Dla podkreślenia swoich słów włożyła palce do uszu i przymrużyła oczy.

— Ale czy jest pani w stanie stwierdzić, że był to huk z dwóch broni?

— Nie jestem.

Na tym etapie przesłuchania Tuszyńska wypadła dobrze. Zachowywała się naturalnie. Nawet gdy uciekała wzrokiem na boki czy zaciskała pięści, to te gesty wydawały się spójne z treścią wypowiedzi i całą postawą drobnego ciała w zbyt dużym ubraniu. Niejeden młody funkcjonariusz uwierzyłby w prawdziwość zeznań, tym bardziej że świadek patrzyła ładnymi oczami spod długich rzęs.

Jamróż zamierzał zadać teraz kilka kłopotliwych pytań.

— Czyli zapomniała pani zabrać wizę i paszport?

— Paszport wzięłam. Zapomniałam o wizie.

— O telefonie też pani zapomniała.

— Nie zapomniałam. Komórki nie wzięłam, bo mi się zepsuła na kilka godzin przed wyjazdem. Nie zdążyłam kupić nowej.

Komisarz nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Awaria aparatu była lepszym wytłumaczeniem jego braku niż twierdzenie, że się go zapomniało. Tuszyńska dobrze to sobie wymyśliła.

— Mogłaby pani podać dane personalne tych znajomych, z którymi wybierała się do Kaliningradu?

— Ewa Turko i jej mąż Damian Turko.

— Ich numery telefonów?

— Nie pamiętam, mam je zapisane w komórce.

— Nie ma sprawy, zaraz sami je ustalimy.

Dziewczyna nie przyjęła tej informacji z jakimś większym niepokojem, nawet nieco się rozluźniła, bo rozparła się na krześle, pozwalając plecom przywrzeć do oparcia. Zapewne wiedziała, że jej znajomi potwierdzą przedstawioną przez nią wersję, a może po prostu nie odbiorą telefonu z policji, bo nie mają w zwyczaju odbierać połączeń z nieznanego numeru.

— Pani znajomi przekroczyli granicę?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Zostawiłam ich na odprawie. Myślę, że przekroczyli granicę.

— Jakim samochodem?

— To był ford.

— Jaki ford?

— Nie wiem, numeru rejestracyjnego też panu nie podam, ale przecież możecie sprawdzić, jaki samochód ma Damian Turko.

— Jak się nazywa towarzysz pani podróży?

— Jaki towarzysz?

— Ten z golfa.

— Nie wiem.

— Nie przedstawił się pani? Nie podał imienia?

— Nie.

— Umie pani posługiwać się bronią palną?

— Nie.

— To dlaczego zabrała pani pistolet z golfa?

Tuszyńska wskazała na siebie palcem i szeroko otworzyła oczy w wyrazie zdumienia.

— Ja? Pistolet?

— Podpułkownik powiedział, że miała pani przy sobie walthera.

— To nieprawda.

Jamróż był pod coraz większym wrażeniem. Świadek udzielała dobrych odpowiedzi. Lepiej było wyprzeć się walthera niż tłumaczyć się z tego, że zabrała go zabitemu kierowcy. Oczywiście istniała możliwość, że mówiła prawdę.

— Po przesłuchaniu pobierzemy od pani odciski palców.

— Po co?

— Dla porównania z tymi, które zabezpieczyliśmy na pistolecie.

— Okej. Rozumiem.

— Zabezpieczymy też ślady prochu powystrzałowego na pani dłoniach i rękawach kurtki, także na włosach i brwiach.

Tym razem nie zapytała po co. Oblizwała usta czubkiem języka. Komisarzowi wydawało się, że zrobiła to nerwowo.

— W ten sposób sprawdzimy, czy pani dzisiaj strzeliła z tej broni.

— Ja?

Znowu otworzyła szeroko oczy. Umiała się dziwić, robiła to naturalnie i z wdziękiem.

— Tak, pani.

Komisarz wcześniej nie rozważał takiej ewentualności, ale to ta kobieta mogła celować do kaprała. Ten przecież nie widział, kto trzymał walthera.

— Mam nadzieję, że to nie potrwa długo, to zabezpieczanie śladów. Mam tego wszystkiego dosyć. Chcę wrócić do Poznania.

Tuszyńskiej bardzo się spieszyło, aby opuścić komendę. Nie mogli jej zatrzymać dłużej niż to konieczne, ale mogli dać jej ogon. Jeśli będzie chciała sfinalizować to, czego nie dopięła wspólnie z kierowcą golfa, to będą tego świadkiem. Może to najlepszy pomysł, aby rozpracować przemytników? Zerknął w stronę weneckiego lustra, za którym siedział Krystian Sum. Chciał wiedzieć, co inspektor o tym sądzi.

CZĘŚĆ TRZECIA
Żołnierze

Rozdział I

SIERŻANT TITO POSTAWIŁ NA STOLE butelkę wódki i trzy kieliszki. Gdy dowódca usiedli, też zajął miejsce.

— Polej! — rozkazał podpułkownik Bukowiecki.

Sierżant sprawnie napełnił wszystkie kieliszki.

— Tito, co ty robisz w cywilu? — zagadnął major Serafin. — Pracujesz w barze?

— Panie majorze, informacji o pracy za barem nie podałem w kwestionariuszu.

— Ty w tym kwestionariuszu prawie nic nie podałeś, a mimo to zostałeś przyjęty do służby terytorialnej. Jak to załatwiłeś?

— Panie majorze, niczego nie załatwiałem, a w kwestionariuszu wypełniłem wszystkie obowiązkowe rubryki.

Sierżant odstawił butelkę i spojrzał na podpułkownika. Czekał, aż dowódca pierwszy sięgnie po alkohol. Bukowiecki podniósł kieliszek i wznosił toast:

— Za naszą formację.

— Żeby nam się dobrze działo i strzelało — dodał major.

Wypili. Sierżant dwie sekundy po dowódcach odstawił kieliszek na stół, jak gdyby nie chciał w tym gronie być pierwszym.

— No to Tito, co ustaliłeś z tym telefonem? Wiemy już, kim jest ofiara? — zapytał podpułkownik, sięgając po nadziewaną papryczkę.

— Nie wiemy. Wiemy tylko, że właściciel aparatu kontaktował się z dwoma numerami. Oba mają ruski prefiks. Do pierwszego połączenia doszło w czwartek wieczorem, a do ostatniego dziś bardzo wcześnie rano. Były to połączenia wychodzące i przychodzące.

— Co jeszcze jest w tym telefonie?

— Nic więcej, to znaczy nie odzyskałem żadnych esemesów, multimediiów ani innych danych. Telefon jest wyczyszczony. Sądzę, że służył do działalności przestępczej.

— Na to wygląda — mruknął podpułkownik. — Ciekawe, czy to rzeczywiście handel białoruskimi fajkami, czy coś poważniejszego.

Major nalał wódki do kieliszków. Butelka głośno stuknęła o blat, gdy ją odstawiał.

— Mogą być fajeczki, i to właśnie białoruskie. Kojarzycie ten wielki przemyt, co nasza straż graniczna przechwyciła? Dwa i pół miliona paczek w trzech kontenerach kolejowych, to było na którymś przejściu na Podlasiu. Ja to pamiętam bardzo dobrze, bo wtedy mówiono, że to białoruskie służby stoją za tym przemytem. Myślę, że nasi mocno pilnują granicy białoruskiej i dlatego Łukaszenka przerzuca teraz swoje papierosy przez obwód kaliningradzki.

Tito odruchowo przytakiwał przełożonemu, choć nie do końca się z nim zgadzał. Przede wszystkim Rosjanie nie pozwoliliby, aby ktoś obcy wchodził na ich szlaki przerzutu, przecież ich papierosy konkurowały z białoruskimi o europejskiego odbiorcę, chyba że w tej kwestii dogadały się służby obu reżimów.

Serafin przyjrzał się napełnionym przez siebie kieliszkom, przekręcając głowę raz na lewo, raz na prawo. Coś mu najwyraźniej nie pasowało.

— Tito, tobie wlałem najwięcej, a zamierzałem po równo. Zrób coś z tym! To rozkaz!

Sierżant podniósł butelkę i do dwóch kieliszków dolał alkoholu.

— Panie majorze, melduję, że teraz jest równo.

— Tito, nie mamy wątpliwości, że na co dzień stoisz za barem, ale to dobrze, bo takie umiejętności w wojsku też się przydają.

Wypili i zagryźli nadziewanymi papryczkami.

— A ja stawiałbym na przemyt afgańskiej heroiny — odezwał się Bukowiecki.

Spojrzał na podwładnych, czekając na ich komentarz.

— Heroina? Czemu nie? Może być heroina. — Serafin skwapliwie zgodził się z dowódcą. Po chwili dodał: — Mnie interesuje też, czy psiarze skupią się wyłącznie na zastrzeleniu kierowcy golfa, czy pójdą dalej. Przemytnicy im śmigają pod nosem, a oni śpią. Z taką policją ten kraj zginie.

Na mięsistych wargach podpułkownika pojawił się nikły uśmiech.

— Z nami nie chcieli za bardzo dzisiaj współpracować.

— Też to zauważyłem — przyznał Serafin. — Jeśli ustalą tożsamość ofiary i okaże się, że to jakiś przestępca, to powinni się zainteresować, co tu robił. Ale oni podobno wolą nie widzieć przestępców, bo wtedy mają mniej roboty. Niby noszą mundury jak my, ale my i oni to dwa bieguny.

W namiocie dowódcy robiło się coraz cieplej. Zapewne jakiś szeregowy żołnierz obsługujący nagrzewnicę chciał zapunktować u podpułkownika. Serafin zdjął bluzę, zostając w wojskowym podkoszulku.

— A ty, Tito, co o tym myślisz?

— Myślę, że jesteśmy o krok przed psami. Mamy telefon, który prawdopodobnie posłużył do przestępstwa, a policja nawet nie wie o istnieniu tego aparatu.

— Chyba że ta dziewczyna im powiedziała — zauważył major.

— Nie powiedziała, bo w jej interesie jest pozostać w tej sprawie wyłącznie świadkiem, a nie podejrzaną o przemyt heroiny czy choćby tylko papierosów. Mamy więc telefon i dwa ruskie numery, czyli jesteśmy w kontakcie z przemytnikami.

Czarne jak otchłań oczy sierżanta zdawały się pytać: I co my teraz z tym zrobimy?

— Minister przyjeżdża za pięć dni na przysięgę — oznajmił Bukowiecki z pozorami nie na temat.

Podwładni pojęli, co dowódcy chodzi po głowie, i w duchu przyznawali mu rację. Dobrze byłoby, aby obrona terytorialna czymś się wykazała, bo robienie zakupów starszkom i mierzenie temperatury pacjentom w szpitalach podczas pandemii to trochę za mało. Gdyby wpadli na trop dużego przemytu i go udaremnili, oczywiście we współpracy z policją... Minister miałby co opowiadać na konferencji, a oni dostaliby nominacje na wyższe stopnie, no i może w końcu media niepubliczne zaczęłyby dobrze mówić o wojskach terytorialnych, a do punktów rekrutacyjnych mogłyby nawet ustawić się kolejki.

Podpułkownik położył przed sobą tablet i przesunął palcem po ekranie.

— Przeczytam wam wycpociny smutnego misia. Przyszły dzisiaj z ministerstwa, żebyśmy wiedzieli, co nas czeka na przysiędze. — Odchrząknął, po czym zaczął patetycznym tonem: — „Stajecie się dziedzicami wspaniałych żołnierskich wartości — odwagi, wierności i honoru. To wielki zaszczyt i wyróżnienie. Wierzę, że okażecie się ich godni, podobnie jak zaufania, którym całe Wojsko Polskie cieszy się w naszym społeczeństwie”.

Serafin parsknął śmiechem.

— Poczta Polska cieszy się większym zaufaniem niż my. Wszystko przez to, że ludzie żyją w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. Gdyby sobie zdawali sprawę z zagrożenia, to inaczej by na nas patrzyli.

Bukowiecki przełknął zawartość kieliszka i kontynuował czytanie:

— „Uczyniliście krok, który niesie za sobą dumę ze służby ojczyźnie, ale też wymagać będzie od was wytrwałości, hartu ducha oraz gotowości do wypełniania trudnych obowiązków. Wojsko Polskie potrzebuje takich ludzi jak wy i formacji takiej jak Wojska Obrony Terytorialnej. Nie możemy zawieść tych, którzy czekają na nasze wsparcie”.

Przy stole zapadła cisza. Słowa ministra powinny ich rozbawić, po to podpułkownik je odczytał, aby mogli się teraz pośmiać z nadętej formy przemówienia. Nie było im jednak do śmiechu.

— Smutny misiu ma nas w dupie — stwierdził major. — Te same dyrdymały wysłał do leśników, gdy przy najbliższej rekonstrukcji rządu wręczą mu teczkę ministra środowiska.

Bukowiecki wytarł krople potu z czoła.

— Dla nas najlepiej byłoby, gdyby szefem obrony narodowej został żołnierz.

— O tak! — Serafin westchnął z cieniem głębokiego zrozumienia w oczach. — Wtedy żadne tajemnice wojskowe nie zostałyby przypadkiem opublikowane na stronie ministerstwa — dodał, wyginając z dezaprobatą usta.

Alkohol sprzyjał obopólnemu zrozumieniu, bo Bukowiecki wykonał ruch, jak gdyby chciał poklepać zastępcę po plecach. Zamiast tego wskazał długim palcem na tablet.

— Minister w mundurze mówiłby do nas po żołniersku, a nie jak na apelu w podstawówce. Treść tego przemówienia jest poprawna, ale to samo można powiedzieć inaczej, tak żeby trafiło do serc żołnierzy.

Serafin przytaknął.

— Za pięć dni będziemy musieli osobiście wysłuchać smutnego misia. Przysięga znowu będzie katorgą.

Sierżant Tito obracał w palcach kieliszek i zaglądał do jego wnętrza. Jemu górnołotny ton przemówienia tak bardzo nie przeszkadzał. Teraz przy stole brzmiało to dość pretensjonalnie, ale odczytane na placu w koszarach wzruszy niejednego żołnierza.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Zaskoczył ich ten dźwięk. Nie spodziewali się, że ktoś zadzwoni do kierowcy golfa. Tito wziął komórkę do ręki.

— To jeden z tych dwóch ruskich numerów — oznajmił szeptem, choć sytuacja nie wymagała bezdźwięcznej komunikacji.

Patrzył na podpułkownika, czekając na rozkaz.

— Odbierz! — polecił Bukowiecki.

Sierżant nie ukrywał zaskoczenia. Nie sądził, że aż tak będą ryzykować. Mogą przecież wystraszyć przemytników. Tamci się wycofają, a oni będą mogli zapomnieć o sukcesie w walce z kontrabandą.

— Co mam powiedzieć?

— Proponuję tradycyjnie: halo, a potem udawaj, że wiesz, o co chodzi. Gdyby ten ktoś zorientował się, że nie jesteś kierowcą golfa, to powiedz, że nastąpiła wymiana załogi.

— Nie znam zbyt dobrze rosyjskiego.

— Odbierz, bo zaraz przestanie dzwonić!

To był rozkaz, a tych się nie kwestionuje. Tito przełknął ślinę, aż grdyka mu podskoczyła. Była to jedyna oznaka zdenerwowania. Po chwili przyłożył aparat do ucha.

— Halo — powiedział głośnym szeptem.

To był najlepszy sposób do ukrycia barwy głosu. Pomogło, bo człowiek po drugiej stronie linii nie rozłączył się.

— W co wy, kurwa, gracie?

— W to samo, co wy.

— Wam odpierdoliło, tak mi się wydaje.

Sierżant chrząknął z dezaprobatą, uznając, że ten odgłos będzie najbezpieczniejszym komunikatem. Uniósł też kciuk, co miało znaczyć, że jest dobrze, bo tamten mówił po polsku, choć z mocnym wschodnim akcentem.

Bukowiecki i Serafin pochylili się do przodu, aby słyszeć rozmówcę po drugiej stronie linii.

— Co z tobą? Na gardło ktoś ci stanął butem?

— Nie chcę, żeby ona mnie słyszała.

— Kto jest ta ona?

— No ona.

Mężczyzna milczał. Cisza niebezpiecznie się przedłużała. Mogła świadczyć o tym, że rozmówca coś podejrzewał.

— Ruda śpi. Nie chcę jej obudzić, bo będzie się wściekać — wyjaśnił szeptem Tito.

— Śpi? Co jest z wami? Kurwa!

— Tylko ona kima.

— Co mnie kręcisz? Gadałeś, że ona jest pewna jak flaga rosyjska na Krymie.

— Bo jest. Własne jaja bym jej oddał na przechowanie.

— To dlaczego nie była spotkać się? Nie chciało się pani? A może myślicie się wycofać?

— Pojawiły się problemy... — oznajmił powoli Tito, świadomie nadając swoim słowom nutę niepewności.

— Kurwa, wy problemy macie? Jakie? Ona zgubiła malowidło do oczu i jest tragedia?

Sierżant mimowolnie przypomniał sobie ładne oczy dziewczyny z długimi rzęsami. Na pewno nie były pomalowane.

— Straż graniczna przeszukała nam wóz. Zatrzymali nas za Braniewem i przetrząsnęli każdy schowek.

W słuchawce zapadła cisza, a potem zaniepokojony głos zapytał:

— Znaleźli to?

Tito wymownie milczał.

— Jeśli pograniczniki to znalazły, to ona, ta twoja pani, niech wraca, skąd się wzięła.

— To nie jej wina.

— A czyja? Dziadka Mroza? Umowa to umowa. Mnie mówili, że to ona odpowiada za tamto u was. U nas fachowcy robią, a u was kto? Głupie pindy. Jak to ugadaliście u pograniczników?

— Tradycyjnie, zapłaciliśmy.

— To dobrze. Ale oni znaleźli to? U nas takie miejsca zawsze pewne. Nie zagłęda się do nich. Musimy umówić kolejne spotkanie, aby szybko, zanim wasze pograniczniki zrozumieją, co mieli. Czekać na mnie, zadzwonię.

W słuchawce rozległ się krótki przerywany sygnał. To był koniec rozmowy. Tito odłożył aparat i odetchnął. Podpułkownik rozlał wódkę do kieliszków. Wypili równocześnie jak na komendę.

— Sporo się dowiedzieliśmy — skonstatował Serafin.

Podpułkownik spojrzał na niego z zaskoczeniem.

— Wcale nie. Wiemy tyle samo, co wcześniej. Podejrzewaliśmy przemyt i to się potwierdziło, nic ponad to. Żadnej sugestii, co mieliby przemycać.

— Dowiedzieliśmy się jeszcze, że dziewczyna odgrywa ważną rolę w tym przemyśle — wtrącił sierżant. — Mam wrażenie, że bez niej do niego nie dojdzie. To ona ma moc decyzyjną, ale raczej nie jest żadnym bossem,

raczej stawiałbym na to, że jest zaufanym człowiekiem kogoś bardzo ważnego.

Serafin machinalnie przytaknął.

— Też odniosłem takie wrażenie.

Podpułkownik wskazał palcem na aparat leżący na stole.

— Powinniśmy oddać go policji i pozwolić im działać.

Powiódł wzrokiem po podwładnych. Wyraźnie czekał na ich reakcję, a nawet na ich niezgodę.

Major raptownie odsunął się od stołu wraz z krzesłem. Jego wąska twarz pociemniała, bo znalazła się poza kręgiem światła.

— Te patałachy albo wszystko spieprzą, albo przypadkiem uda im się zatrzymać transport narkotyków i zbiorą niezasłużone laury, a z terytorialsów dalej będą się śmiać w internecie. Nie zgadzam się na to. Nie oddam im tego aparatu. Szkoda, że tę dziewczynę wypuściliśmy z rąk. Teraz doprowadziłyby nas do heroiny.

— Policja ją zaraz wypuści, a może już to zrobili — oznajmił Tito. — Mogę jechać do Braniewa i ją przywieźć tutaj. Raczej nie odjechała gdzieś dalej, musi przecież zamknąć sprawę przemytu. Jej partner nie żyje, ale on nie będzie jej potrzebny do dogadania się z tym Ruskiem.

Major poklepał się po udach.

— No co? Chyba skorzystamy z oferty sierżanta?

Bukowiecki przytaknął.

— Pojedziesz do Braniewa po dziewczynę. Mam nadzieję, że ją znajdziesz. Może jeszcze jest na Moniuszki.

— Znajdę ją na pewno. Braniewo to niewielka miejscina. Jeśli nie będzie jej na komendzie, to przejdę się po barach, bo mogła pójść coś zjeść, potem hotele, pensjonaty i agroturystyka. Daję sobie trzy godziny na jej znalezienie.

— Czy to znaczy, że robimy polowanie na przemytników? — zapytał Serafin, wznosząc kieliszek w stronę podpułkownika.

— Tak, to my ich zatrzymamy, my udaremnimy przemyt heroiny.

— Nie obawiasz się problemów? Zarzutów o przekroczenie uprawnień?

— Nie. Smutny misiu stanie w naszej obronie i jego koledzy też. Obrona terytorialna to ich dziecko, będą mieli okazję pokazać, że formacja robi wielkie rzeczy i ma otwarte oczy na każdy rodzaj zagrożenia. Nikt nie będzie mówił, że weszliśmy w buty policji. Ich ministerstwo i nasze wydadzą komunikat, że współdziałaliśmy. No i nie będziemy musieli się

obawiać, że wyjdzie na jaw, iż terytorials zastrzelił człowieka. Oficjalna wersja będzie taka, że przemytnicy otworzyli do nas ogień, gdy natknęliśmy się na nich podczas ćwiczeń.

Serafin się uśmiechnął, ale ten uśmiech wcale nie dodał wesołości jego nieładnej twarzy.

— Kto wie? Może wtedy rozpoczęłaby się w kraju dyskusja, aby przyznać nam więcej uprawnień? Może ludzie by pojęli, że to dzięki nam po ulicach nie jeżdżą ruskie czołgi i nie biegają muzułmanie z pasami szahida.

— Aż na tyle bym nie liczył. Wystarczy, że zyskamy społeczną aprobatę.
— Podpułkownik obrócił się w stronę sierżanta. — Coś jeszcze zwróciło twoją uwagę w rozmowie z tym Ruskiem?

Żołnierz potwierdził ruchem głowy.

— W tym golfie coś było. Oni coś tam schowali. Może te narkotyki, zapewne jakąś niewielką ilość, którą dostali do przetestowania. Ten Rusek powiedział, że u nich takie skrytki są bezpieczne, nikt do nich nie zagląda, i zdziwił się, że nasza straż graniczna to znalazła.

Bukowiecki spojrział na własny cień kładący się na ścianę namiotu.

— Widziałem, że technik policyjny rozciął zapasową oponę — powiedział cicho, jakby do siebie.

— Zapasowa opona? — Tito się zastanowił, przymykając duże czarne oczy. — Nie. To nie może chodzić o oponę, to żadna skrytka. To musi być inne miejsce. Szkoda, że nie wiemy, co jest przedmiotem kontrabandy.

— Nie stawiasz na afgańską heroinę? — zapytał podpułkownik nieco rozczarowany, że podwładny nie opowiedział się zdecydowanie za jego hipotezę.

— To musi być coś grubego, bo Rusek powiedział, że muszą działać szybko, zanim straż graniczna zorientuje się, na co trafiła. Może rzeczywiście to heroina, chociaż ja bym postawił też na broń chemiczną albo biologiczną. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Ruscy zaopatrywali muzułmańskich terrorystów w Europie w nowiczoka albo węglika.

— To by była wielka rzecz — mruknął podpułkownik. — Trzeba by zasięgnąć języka u naszych specjalistów z wojsk chemicznych, co jeszcze oprócz nowiczoka i węglika mogłoby wchodzić w grę, i jak to się transportuje.

— Ale pytać trzeba dyskretnie — zauważył Serafin. — Bo w innym razie będziemy zaraz mieli na głowie pułk chemiczny z Brodnicy, a przecież to ma być nasz sukces, terytorialsów.

Tito uśmiechnął się, odsłaniając białe równe zęby.

— Już wiem, gdzie jest skrytka w tym samochodzie.

Major pochylił się do przodu, jak gdyby chciał lepiej słyszeć.

— No gdzie? — zapytał ponagłająco.

— Najciemniej jest pod latarnią. Oni tę heroinę albo broń ukryli dosłownie na widoku.

— Chryste, Tito, nie zmuszaj mnie do myślenia, nie dzisiaj.

— W bagażniku jest ta skrytka, a dokładniej w torbie, która tam leżała.

— Ale żeś wymyślił. — Major prawie z pogardą wypowiedział te kilka słów.

Sekundę później kącki jego ust drgnęły i uniosły się nieznacznie. Zrozumiał, o czym mówi sierżant.

— W tej torbie były kanapki, kiełbasa i słoik dżemu. — Tito zaginał palce u prawej dłoni, wyliczając produkty. — Dziwny zestaw, co nie? — zagadnął z zaczepnym uśmiechem. — Kto bierze słoik dżemu na drogę? Zakładam, że to w nim znajdowała się heroina albo broń chemiczna czy biologiczna.

Dowódcy patrzyli na niego z uznaniem.

— Wcześniej powinniśmy na to wpaść — oznajmił Bukowiecki. — Gdybyśmy wiedzieli, że w tym słoiku jest coś schowane, to nie wypuścilibyśmy go z rąk, a tak to oni go mają. — Odchylił się do tyłu, aż krzesło zaskrzypiało. — No i ciekawi mnie, czy inspektor Sum odkrył tę skrytkę.

Serafin zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Znajdą ją dopiero wtedy, gdy któryś z nich wpadnie na pomysł, aby sobie z tym dżemem zrobić kanapki.

Sierżant wstał.

— Muszę na chwilę wyjść w celu skonsultowania się z plutonowym Nowickim — oznajmił i wykonał wojskowy zwrot w stronę drzwi.

Dowódcy go nie zatrzymywali. Serafin przez chwilę wpatrywał się w puste krzesło, na którym jeszcze przed momentem siedział żołnierz.

— Znasz jego imię i nazwisko? — zapytał, kierując spojrzenie na dowódcę.

— Tak, znam. Jan Kowalski.

— Nie dziwi cię, że podał takie dane w kwestionariuszu?

— Nie. Nasi weryfikują każdego kandydata. On naprawdę musi nazywać się Jan Kowalski i wcale się nie dziwię, że chce, aby na niego mówić Tito. Jan Kowalski brzmi mało poważnie.

Major ponownie popatrzył na puste krzesło sierżanta.

— Przyznaj, że coś w nim nie gra, a raczej gra zbyt idealnie.

— Przyznaję. — Podpułkownik rozlał wódkę do dwóch kieliszków i zrobił to równie precyzyjnie jak podwładny. W wojsku pewna ręka i pewne oko to podstawa. — Sądzę, że Tito już wcześniej przeszedł przeszkolenie wojskowe. Dużo umie i dużo wie — oznajmił, odstawiając butelkę.

Na twarzy zastępcy pojawiło się zaniepokojenie.

— Mówisz to tak spokojnie? Przecież to by znaczyło, że do nas został wysłany na przeszeptugi.

— Jeśli Tito jest tu po to, żeby nam patrzeć na ręce, to mi to nie przeszkadza. Ważne, żeby był patriotą jak my i żeby miał te same cele co my, a teraz naszym celem jest zatrzymanie przemytników. Jeśli przywiezie Rudą, to będzie znaczyło, że popiera nasze działania.

Serafin przytaknął.

— Rozumiem. Dopóki sierżant będzie tamtym meldował, że u nas wszystko okej, to go tutaj trzymamy.

— Jest z nami, bo jest dobrym żołnierzem.

W głosie Bukowieckiego pojawiła się stanowczość.

— Jasne — zgodził się pospiesznie major. Po chwili milczenia zagadnął: — Myślisz, że Ruda psom nic nie powiedziała, ale nam wyjawia wszystko o tym przemyście?

— Tak właśnie myślę. My więcej wiemy niż oni i mamy telefon jej współnika. Możemy to wykorzystać.

Ogolona czaszka podpułkownika błyszczała w elektrycznym świetle, ale to nie ona przykuwała uwagę, lecz jego oczy, w których tliła się żądza posłuchu. Nikt w Czterdziestym Trzecim Batalionie Lekkiej Piechoty w Braniewie tak bardzo jak on nie pragnął, aby liczono się nie tyle z nim, co z całą formacją. Pełnili przecież służbę przy rosyjskiej granicy, w razie uderzenia pierwsi będą bronić obywateli. Już teraz ludzie powinni to docenić, spojrzeć na nich inaczej niż dotąd, i on do tego doprowadzi, do powstania nowego wizerunku Wojsk Obrony Terytorialnej. Serafin poczuł się jak cień podpułkownika. Myślał podobnie, miał ten sam cel, jedynie możliwości mniejsze. No cóż, był dopiero majorem.

Rozdział II

NIERUCHOMY I CZARNY LAS OTACZAŁ wojskową bazę niczym mur. Z jego wnętrza płynęła wilgoć, która kładła się na wojskowe namioty i nasycala przestrzeń pomiędzy nimi. Sierżant Tito odruchowo zapiął kurtkę. Odczuwał chłód z wyjątkową siłą, bo kilka minut wcześniej wyszedł z rozgrzanego namiotu dowódcy.

Po deszczowym dniu leśna łąka była rozmiękła, ale nie błotnista. Buty zapadały mu się przy każdym kroku. Takie podłoże miało też swój plus, nie było słycać idącego. Gdyby ktoś chciał się podkraść do bazy, miałby dzisiaj taką możliwość. Rozejrzył się w poszukiwaniu plutonowego Nowickiego. To on miał pełnić teraz wartę na zachodnim skraju bazy. Najpierw dojrzał żarzącą się końcówkę papierosa unoszącą się jakiś metr nad ziemią, a potem poczuł dym. Po kilku krokach ujrzał ciemny zarys sylwetki żołnierza siedzącego na plastikowej skrzynce.

— Plutonowy, wartę pełni się w pozycji stojącej. To wojsko, a nie dom seniora. Poza tym na warcie się nie jara, bo widać cię z odległości stu metrów. Wróg już dawno by cię odstrzelił.

W nikłym świetle żaru papierosowego na twarzy Nowickiego pojawił się uśmiech.

— Dostałem cynk od Ruskich, że dzisiaj nie zaatakują. Będą czekać do siedemnastego. U nich jak u nas, tradycja to świętość. A gdyby rzeczywiście chcieli uderzyć na nas za pięć dni, to nawet byłbym im wdzięczny, bo uchroniłoby mnie to od obiadu u teściów.

— Teściowa źle gotuje?

— Dobrze, ale teść zawsze chce mnie upić. Poza tym on nie lubi Wojsk Obrony Terytorialnej. Nazywa nas harcerzykami.

— Powiedz mu, że harcerstwo to najważniejsze źródło kadr dla polskiej armii.

Tito przykucnął przy Nowickim, wyjął mu z dłoni papierosa i go zgasił.

— Kurde, ty jesteś jak moja żona. Ona też tak robi i jeszcze się przy tym uśmiecha. Zaciągnąłem się do terytorialsów, żeby chociaż przez te dwa dni w miesiącu się do woli najarać, a muszę się tu pilnować bardziej niż w domu.

— Zaciągnąłeś się, żeby dostać te kilka stówek miesięcznie i żeby odetchnąć od wrzeszczących dzieciaków i narzekającej kobiety.

— Tito, kurwa, ty jesteś jak jasnowidz. Czasami boję się obok ciebie przejść, bo wydaje mi się, że mi mózg skanujesz tymi swoimi oczami.

Sierżant się uśmiechnął w duchu. To było banalnie proste rozpracowanie motywacji wstąpienia do służby wojskowej takich ludzi jak plutonowy, na dorobku, bez perspektywy na wyższe zarobki. Wszyscy oni pisali w ankietach, że przystępują do WOT, bo ojczyzna, bo honor i tradycja rodzinna, ale tak naprawdę zależało im na regularnym miesięcznym dochodzie. Niechętnie się do tego przyznawali, bo jak tu można otwarcie mówić, że te kilkaset złotych ma jakiegokolwiek znaczenie, raczej wypadało narzekać na zbyt niski żołd. Tito nie potępiał motywacji finansowej, bo ona nie wykluczała, że kandydat stanie się solidnym żołnierzem.

— Bartek, powiedz mi, ten słoik, który widziałeś w bagażniku golfa, jak on wyglądał?

W ciemnościach lutowego wieczoru dojrzał zdeorientowaną minę plutonowego.

— Ale o co pytasz?

— O słoik z dżemem, jak wyglądał?

— Słoik jak słoik, całkiem normalny. Moja mama robi w takich konfitury.

— Czyli to był dżem domowy, bez etykiетки?

— No, tak. Tak mi się wydaje.

— Duży?

— Litrowy.

— Był cały wypełniony dżemem?

— Nie, trochę brakowało do pełnego. Tito, o co chodzi z tym słoikiem?

— Czy usłyszałeś trzask przy otwieraniu słoika?

— Chodzi ci o to, czy ktoś go otwierał już po zawekowaniu?

Tito przytaknął.

— Tak, był wcześniej otwierany i ktoś wybrał trochę dżemu, bo było takie zagłębienie, jak po nabieraniu łyżką.

Mocny dreszcz wstrząsnął ciałem sierżanta. Słynny nowiczok miał postać płynu, wąglik to proszek. Słoik okazywał się idealną, a przede wszystkim bezpieczną skrytką dla tych substancji, bo przecież nikt nie będzie rzucał słoikiem. Strażnicy graniczni i policjanci w trakcie ewentualnej rewizji obchodziliby się z nim bardzo ostrożnie, a więc jakiś pojemniczek zanurzony w dżemie nie byłby narażony na szkodę. Tito nie znajdował

lepszej skrytki dla broni chemicznej lub biologicznej. Słoik dżemu mógł zafunkcjonować jak matrioszka ukrywająca w swoim wnętrzu kolejną matrioszkę, tego rozwiązania nie dałoby się zastosować w pojemniczkach z kosmetykami, bo te były zbyt małe.

— Sprawdziałem w internecie, czy piszą o zastrzeleniu tego gościa — odezwał się Nowicki. — Nic nie znalazłem. — Wyciągnął paczkę papierosów, przez chwilę ścisnął ją w dłoni, po czym schował do drugiej kieszeni. — Nie daje mi to spokoju.

— Nie sądziłem, że tak zależy ci na rozgłosie.

Plutonowy z irytacją machnął głową.

— Nie o to mi chodzi. Nie daje mi spokoju to, że Arturo zabił tego kierowcę. Tito, co ty o tym wszystkim sądzisz? Strzeliłbyś do człowieka, gdyby do ciebie mierzył?

— Tak, ale bym go nie zabił, jedynie postrzelił.

— A ja bym w ogóle nie strzelał. Gdybym zobaczył wylot lufy, to padłbym na ziemię.

— No to zginąłbyś, leżąc na ziemi.

— Daj spokój! Nawet nie wiadomo, czy ten gość z golfa w ogóle by strzelił. To, że trzymał pistolet, wcale o tym nie świadczy.

— A w czasie wojny też byś tak myślał?

— Nie mamy żadnej wojny. Wszyscy żeście powariowali z tą wojną. Mówicie o niej w kółko, zwłaszcza dowódcy gadają o tej wojnie z Ruskimi, jak gdyby miała jutro wybuchnąć.

— Sam o niej przed chwilą mówiłeś.

— Ale ja żartowałem, a dowódcy całkiem poważnie.

Sierżant westchnął. Lubił Nowickiego, bo to porządny gościu. Szkoda tylko, że taki z niego naiwny idealista.

— Jesteś nauczycielem historii. Lepiej ode mnie powinieneś wiedzieć, że wojna to dziejowa kolej rzeczy, że wcześniej czy później jakaś wybuchnie.

— Zgadza się, ale czasy się zmieniły, to i wojna będzie inna. A oni o tych czołgach i okopach, jak gdyby miał się powtórzyć trzydziesty dziewiąty.

— Oj, Bartuś, niewiele wiesz o wojnie. Niezależnie od czasów ona polega na tym samym. Zabić wroga i zniszczyć jego uzbrojenie. Poza tym my jesteśmy wojsko, a wojsko służy do walki. Nie powinno cię dziwić, że nas mentalnie przygotowują do wojny z Ruskimi, że mówią o niej z taką pewnością.

— Okej, masz rację w tej kwestii, ale tu się dzieją jeszcze inne rzeczy, które mi się nie podobają i innym chłopakom też.

— Co znowu?

Plutonowy milczał.

— O co chodzi? No mów! — ponaglił go Tito.

— Czy ty wiesz o tym, że my nie powinniśmy mieć na ćwiczeniach ostrej amunicji? Naładowane karabiny możemy mieć tylko na strzelnicy. Podpułkownik nie działa zgodnie z przepisami i tym samym naraża nas i postronne osoby. Gdyby nasze magazynki były puste, to nie doszłoby dzisiaj do tej tragedii. Rozmawiałem o tym z kilkoma chłopakami. Też tak uważają.

Tito z niepokojem popatrzył na pogrążoną w mroku twarz plutonowego. Ten chłopak swoimi rozważaniami i rozmowami z innymi terytorialsami mógł zrobić sporo złego. Doprowadzić do cichego buntu w batalionie, a to nikomu nie było potrzebne.

— Nie powinieneś tego robić.

— Czego?

— Podważać słuszności decyzji podejmowanych przez dowództwo. To jest armia, a nie twoja szkoła. Nie rób tego więcej.

— Mam się godzić, aby narażano nasze życie?

— Nikt nas nie naraża. Chcą z nas zrobić dobrych żołnierzy.

— To ja nie jestem dobrym żołnierzem. Ja bym nie nacisnął na spust jak Arturo.

Sierżant poklepał kolegę po ramieniu.

— Bartuś, bo ty jesteś starszy ratownik, twoim zadaniem jest ratować ludziom życie.

Nowicki się odchylił.

— Ej, Tito, od ciebie jedzie wódka. Piłeś?

— Tak, z dowódcą, nie wypadało odmówić.

— Podpułkownik pił? W trakcie służby? Piwo to rozumiem, też tu piję browarek, ale wódka?

Plutonowy był szczerze oburzony, czym rozbawił sierżanta.

— Nie martw się, to była czysta wódka, ona nie plami ani honoru, ani munduru.

— Tito, ten żart jest tak stary jak suchary w magazynie wojskowym w czasie pokoju. My tu mamy ostrą broń: dwieście siedemdziesiąt karabinków, taki arsenał, a dowódca pije?

— Przypominam ci, że nasze motto to „Zawsze gotowi, zawsze blisko”, ale nie ma tam nic, że mamy być zawsze trzeźwi.

Nagle obaj obrócili głowy w tę samą stronę, sprowokowani narastającym dźwiękiem. Światła reflektorów samochodowych przesuwają się w ciemnościach po leśnej drodze regularnie przełamywane stojącymi w szeregu drzewami. Ktoś do nich jechał, zapewne nie na grochówkę. Może to ktoś z Czwartej Warmińsko-Mazurskiej Brygady Obrony Terytorialnej albo nawet z ministerstwa. Zwiedzieli się już o zdarzeniu z udziałem terytorialsów i przyjechali zrobić porządek. Oby nie, bo jeśli każą podpułkownikowi się pakować i zwijać bazę, to mogą zapomnieć o udaremnieniu przemytu, a wtedy ich kraj może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Lepiej, żeby sprawa nowiczoka czy wąglika nie trafiła w ręce tutejszych psiarzy. To rzecz dla wojska, a nie policji.

Tito ruszył w stronę zbliżającego się wozu. Po przejściu kilku metrów już wiedział, że to nie jest pojazd wojskowy. Przyspieszył, bo chciał pierwszy powitać niespodziewanych gości. Inny żołnierz byłby w stanie coś nieopatrznie chlapanąć, a on zachowa ostrożność, mając na uwadze, że może odwiedza ich dziennikarz. Gdy samochód zatrzymał się przed namiotem, w którym mieścił się magazyn sprzętu wojskowego, rozpoznał policyjną osobówkę. Wsiadł z niej tylko jeden człowiek i to było dziwne, bo policjanci zwykle poruszali się w parach, nawet kryminalni. Może nie przyjechał z niczym ważnym, może przywiózł jedynie protokół do podpisania.

Policjant szedł w stronę kantyny, ale przystanął, zauważając sierżanta. Tito już widział tego psa, co prawda z daleka, ale nie miał wątpliwości, że to jest ten, który parę godzin wcześniej zabrał z bazy rudą dziewczynę. Pojawił się też w opuszczonym gospodarstwie, tam przez jakiś czas kamerą dokumentował miejsce zdarzenia i czynności techników.

— Gdzie jest kapral Derkacz? — zapytał funkcjonariusz na powitanie.

— A kto pyta?

— Policja.

— Widzę, że nie leśniczy. Jestem sierżant Tito. A ty?

— Młodszy aspirant Sokół.

— Rekrutujecie do służby po nazwiskach? Sum i Sokół, fajnie. Mam kolegę, nazywa się Ryś. Ma u was jakieś szanse?

— Takie same jak u was. Macie już Derkacza, to i Rysia możecie przyjąć. Gdzie jest kapral?

Z namiotu dowódcy wyszedł major Serafin. Wkładał kurtkę od munduru i szło mu to dość niezdarnie. Było po nim widać spożyty alkohol. Tito zaklął w duchu. Nie było wskazane, aby młodszy aspirant zobaczył zalanego majora. Niestety, nie dało się już tego uniknąć. Zastępca dowódcy zbliżał się do nich chwiejnym krokiem.

— O! Coś zgubiłeś u nas? — zawołał do młodszego aspiranta. Skierował palec na policyjny samochód. — A więc macie na komendzie więcej niż jeden radiowóz, super. Ale ten chyba też jest pełnoletni, co nie?

— Przyjechałem po telefon — oznajmił funkcjonariusz.

— Po jaki telefon? — zapytał Serafin niepotrzebnie poważnym tonem, bo to wskazywało, że dobrze wie, o jaki telefon chodzi. Dałoby się oszukać funkcjonariusza, gdyby dalej drwił.

— Kapral Derkacz zabrał z golfa aparat należący do ofiary. To ważny dowód, powinien go oddać.

— Żołnierz obrony terytorialnej złodziejem? — Major przesadnie udał zdumienie. — Jakie nieładne insynuacje. Powinieneś się wstydić, aspirancie, żeby takie rzeczy mówić o terytorialsach.

Tito się przysłuchiwał i analizował nowe fakty. Sytuacja mocno się skomplikowała. Nie byli już o krok przed policją, bo ta też wiedziała o telefonie ofiary, zapewne od Rudej. Musieli ją porządnie przycisnąć, skoro powiedziała im o rzeczy, która ją samą też mogła pogrążyć. Ciekawe, ile jeszcze wyjawiała? Jeśli podała numer tej komórki, to policja będzie też znała numery, z którymi się łączono, a więc inspektor Sum ma już kontakt do tego Ruska albo niebawem go dostanie od operatora. Wygląda na to, że będą musieli ścigać się z psami w zatrzymaniu przemytników.

— Jeśli dostanę teraz ten telefon, to obejdzie się bez notatki służbowej i bez protokołu odbioru aparatu kapralowi, czyli tak, jakby tej sprawy nie było. Telefon wpiszę do protokołu przeszukania golfa, że tam go znaleźliśmy.

— Aspirancie Sokołow, słyszę w twoim głosie cień szantażu. Czy mi się wydaje?

— Wzywam do oddania aparatu. Wiemy, że jest tutaj. Sprawdziliśmy miejsce jego logowania.

Młodszy aspirant trwał przy swoim postanowieniu odebrania telefonu, ale Serafin nie zamierzał go oddawać i słusznie, bo bez aparatu mogą zapomnieć o schwytaniu przemytników. Rusek zaufa tylko temu, kto odbierze połączenie z tej komórki.

Zastępca dowódcy zakołysał się na ugiętych nogach.

— Aspirancie, dobrze wiesz, że stacje GSM pokazują lokalizację z błędem do kilkudziesięciu metrów, a tu jest las i kilka wiosek zabitych dechami, a stacji przekaźnikowych jak na lekarstwo, błąd może być większy. Szukajcie tego aparatu w opuszczonym gospodarstwie. Może tam jest.

— Chciałbym się zobaczyć z kapralem Derkaczem.

Serafin westchnął.

— A ty dalej swoje. Derkacz nie wie, gdzie jest ten aparat. Nie pomoże ci.

— Kapral miał go w ręku, bo zadzwonił z niego na swój telefon. Potwierdza to billing.

Tito w lutowych ciemnościach pobliskiego lasu nie widział oczu przełożonego, ale domyślał się, że tamten posłał mu potępiające spojrzenie, bo przecież to on wybrał numer Derkacza, i to po co? Aby poznać numer komórki zabranej z golfa, jak gdyby miało coś im to dać.

Major przybliżył się do policjanta.

— Mówię ci, wypierdalaj stąd — syknął.

W wieczornym mroku dwie czarne sylwetki stały naprzeciw siebie z lekko pochylonymi czaszkami. Młodszy aspirant i zastępca dowódcy wyglądali, jak gdyby szykowali się do ataku z główki. Zanosilo się na bezpośrednią konfrontację. Serafin mógłby polec w tym starciu. Fizycznie nic mu nie brakowało, wysoki i sprężysty, ale jego ciało znajdowało się we władaniu alkoholu.

— Wrócę tutaj z kolegami i przeszukamy bazę. Chcecie tego?

— Wojskowych, kurwa, chcesz przeszukiwać?

— Skoro inaczej się nie da.

Młodszy aspirant Sokołow obrócił się, aby wrócić do samochodu, w tym samym momencie major próbował wyminąć go z lewej strony. Doszło do niezamierzonego fizycznego kontaktu, a ten zadziałał jak zapałka wrzucona do kanistra z benzyną. Wybuchło. Serafin posłał cios na szczękę funkcjonariusza. Nie było to mocne uderzenie, spowolnione przez alkohol. W czasie wyprowadzania uderzenia ciałem majora zarzuciło, przez co na krótki moment znalazł się blisko Sokoła. Ten to wykorzystał i zadał mu cios łokciem w żołądek, a potem złapał go za przedramię i mocno szarpnął w dół. Serafin runął na ziemię.

Tito pozwolił sobie na nieme przekleństwo, ruszając jedynie wargami. Nie podobało mu się to, co widział. Wolałby, żeby do tego nie doszło. Major

Wojska Polskiego powalony na głebę przez aspiranta policji. Najgorsze było to, że sierżant musiał zainterweniować.

Skoczył do przodu i wykorzystując energiczne odbicie od podłoża, kopnął Sokoła w piszczel lewej nogi. Sądził, że funkcjonariusz od razu padnie, tamten jednak jedynie odskoczył, dobrze wyczuwając, że największym atutem żołnierza są kopnięcia. Po chwili sam wyprowadził cios nogą, mierząc w kolano przeciwnika. Tito był szybszy, wykonał mocny zamach prawą nogą, trafiając Sokoła w uniesioną goleń, natychmiast powtórzył cios, tym razem w drugą nogę. Policjant zwałił się na ziemię z głośnym jękiem. Sierżant wiedział, że nie zrobił mu wielkiej krzywdy, nie uszkodził trwale ciała, nie naruszył układu kostnego. Ta krótka walka skończy się bardzo bolesnymi siniakami.

Major pozbierał się już i stanął nad ciałem funkcjonariusza.

— No i co, psie? Nadal chcesz tu przyjechać z kolegami i nas przeszukiwać? Nas? Żołnierzy?

Spod namiotu połączonego w jeden szereg z kantyną kilkunastu terytorialsów w milczeniu przyglądało się starciu przełożonego z policjantem, a potem atakowi sierżanta. Teraz podeszli bliżej.

— Tito, kto cię nauczył tak kopać? — zapytał jeden z szeregowych.

— Koledzy w przedszkolu.

Mężczyźni zarechotali.

— Też bym chciał chodzić do takiego przedszkola — padło z ciemności.

Terytorialszi jak na komendę zaczęli się przemieszczać, tworząc półokrąg. Ku przodowi wysunął się jeden z nich i podszedł do podnoszącego się młodszego aspiranta. Przydepnął mu butem dłoń. Sekundę później odskoczył, wyrzucając z siebie potok wylewnych przeprosin okraszonych śmiechem. Koledzy mu wtórowali. Nagle żołnierz padł na plecy. To policjant złapał go za kostkę i energicznym szarpnięciem przewrócił. Tito kiwnął z uznaniem. Ten pies był szybki i zręczny. Sokół podniósł się szybciej od terytorialsza.

— Za czynną napaść na funkcjonariusza na służbie grozi wam do dziesięciu lat. Będziecie siedzieć.

— Jaka napaść? — zdziwił się major Serafin. — Ktoś tu widział jakąś napaść? — zwrócił się do terytorialsów.

Wszyscy zapewnili głośno, że nic nie widzieli. Niektórzy dla potwierdzenia swoich słów odwrócili się plecami. W ciemnościach błysnęła zapałka, zaszeleścił papierek od cukierka, ktoś pociągnął nosem, ktoś inny

odchrząknął. Żołnierze zaczęli wyjmować z kieszeni telefony i pochylić się nad nimi, kompletnie tracąc zainteresowanie funkcjonariuszem. Ten zrozumiał, że jedyna słuszna rzecz, jaką może zrobić, to odjechać. Ruszył więc do wozu. Przemieszczał się powoli, bo kulał. Nagle odwrócił się i rzucił do majora:

— Który z nich to twój chłoptaş? Który robi ci laskę?

Odpowiedziała mu cisza. Terytorialszi zdawali się nie oddychać, ani jeden żołnierski but nie przesunął się po ziemi. Wszyscy zamarli, bo wiedzieli o homofobii przełożonego i spodziewali się teraz mocnego odzewu z jego strony. Major nie tolerował nawet żartów na tematy homoseksualne, a co dopiero mówić o tak otwartej sugestii. Tito sam wyczekiwał w napięciu na reakcję Serafina. Ten się w końcu odezwał:

— Pedałły to są w policji, nie w wojsku.

— To dlaczego u was nie ma ani jednej kobiety? U nas są. Ten wasz batalion wygląda mi na klub gejowski. Spotykacie się w lesie, żeby sobie w tyłki wsadzać.

Znowu zapadła cisza, nawet lutowy wieczór umilkł po słowach policjanta. Ten, nie doczekawszy się reakcji, ruszył dalej do samochodu. Nagle na plecy młodszego aspiranta rzucił się jeden z terytorialsów, kapral Derkacz. Jego śladem poszli kolejni. Funkcjonariusz się nie bronił. Nie miał szans w starciu z kilkoma wysportowanymi mężczyznami. To, co mógł zrobić, to chronić głowę, wcisnął ją więc w ramiona i osłonił rękami. Serafin nie rwał się, aby przerwać okładanie policjanta. Tito przyglądał się i czekał.

— Co wy, kurwa, robicie? Pojebało was?

Z czarnego jak węgiel cienia lasu wyłonił się plutonowy Bartek Nowicki z karabinem trzymanym przed sobą i niezdarnie wycelowanym w kolegów. Jego słowa i niespodziewane pojawienie się podziały. Terytorialszi przestali kopać młodszego aspiranta.

— Przecież to jest policjant. Przyjechał do nas w związku ze śledztwem, a wy zamiast mu pomóc, napadacie na niego? Co z wami?

— Bartek, nie wpierdalaj się, jak nie wiesz, o co chodzi! — rzucił któryś z żołnierzy.

Sierżant Tito uznał, że czas zażegnać konflikt, a skoro major nie zamierzał się za to wziąć, postanowił sam to zrobić.

— Dosyć! Wracajcie do namiotu!

Terytorialszi z kapralem Derkaczem na czele powoli się oddalali.

— Wracaj na wartę! — polecił plutonowemu.

Ten go nie posłuchał, podszedł do leżącego policjanta i pochylił się nad nim.

— Wsadź psa do radiowozu! Niech stąd jedzie — rzucił major do sierżanta i ruszył chwiejnym krokiem do namiotu.

Młodszy aspirant zasyczał z bólu, gdy Tito wraz z plutonowym go podnosili.

— Jestem ratownikiem. Opatrzę pana — zaproponował Bartek.

— Nie trzeba.

— Da pan radę dojechać do Braniewa? — dopytywał plutonowy. Był szczerze zaniepokojony.

— Tak.

Podprowadzili funkcjonariusza do radiowozu. Wsiadł do środka.

— Przykro mi — wyszeptał Bartek, ale policjant raczej go nie usłyszał, bo zatrzęsnał drzwi i uruchomił silnik.

Żołnierze patrzyli na oddalające się światła radiowozu.

— Nadal uważasz, że w batalionie dzieje się dobrze? — zapytał Nowicki.

Sierżant włożył dłonie w kieszenie i zacisnął je w pięści.

— Do tego nie powinno było dojść.

— Tylko tyle? Do tego nie powinno było dojść? Kurwa, przecież major jest napierdolony jak świnia, a chłopaki skopali policjanta. Co tu się dzieje? Ja się na to nie piszę. Wracam, kurwa, do domu.

— Wracasz na wartę — oznajmił spokojnie Tito.

Rozdział III

WIĘKSZOŚĆ CHŁOPAKÓW LEŻAŁA na łózkach polowych z telefonami w rękę. Kilku, stojąc w absydzie, omawiało niedawne zajście z policjantem. Jeszcze dawały o sobie znać silne emocje, bo niektóre głosy balansowały w górnej skali, z niektórych ust padały mocne przekleństwa. Wyglądało na to, że wojskowi mają genetycznie wpisany konflikt z ludźmi w innych mundurach. Zwykle są to mundury obcej armii, ale skoro takich nie ma pod ręką, to zawsze może być mundur polski, ale noszony przez inną służbę.

Sierżant Tito rozejrzał się po namiocie, szukając żołnierza, który mógłby zawieźć go do Braniewa. Dojrzał starszego szeregowego Roberta Lipińskiego, który w cywilu pracował na poczcie. Podeszedł do niego.

— Wstawaj! Jedziemy na wycieczkę.

Żołnierz uniósł wzrok znad telefonu.

— Chętnie się przejadę, ale sorry, nie ty będziesz wydawał mi rozkazy. Muszę to usłyszeć od dowódcy albo zastępcy.

— Dowódcy są zajęci, a sytuacja wymaga, abyś wykonał mój rozkaz.

— Nie pierdol, Tito! Nie opuszczę bazy bez zgody dowództwa.

— Wkładaj buty i zapieprzaj pod namiot Bukowieckiego! Tam czekaj, aż pozwolą ci wejść!

Sierżant opuścił sypialnię terytorialsów. Ogarnął go chłód i leśna cisza wieczoru. Poza łopotaniem flagi na lekkim wietrze żadnego innego dźwięku. Odruchowo poszukał oczami masztu z symbolem suwerenności państwa polskiego. Kilkanaście metrów dalej pionowy kształt przecinał granatową przestrzeń nieba. Ktoś tam stał. Wkrótce rozległo się ciche pogwizdywanie. Tito w prędkich susach dopadł do żołnierza i zacisnął mu przedramię na szyi. Tamten jęknął, ale nie przerwał oddawania moczu.

— Flaga państwowa to nie kibel — syknął Tito. — Osiemdziesiąt lat temu ludzie ginęli, żebyś ty mógł pod nią dzisiaj stanąć z dumą i podniesioną głową. Rozumiesz?

— Tito, kurwa, puszczaj! — wychrypiał żołnierz.

Sierżant zabrał rękę z krtani chłopaka. Tamten złapał łapczywie powietrze. Wokół unosiła się woń moczu.

— Jeszcze raz cię na tym przyłapię, to dowódca się dowie.

— Popierdoliło cię. Wszyscy tu się odlewają. Nie mów, że o tym nie wiedziałeś.

Terytorials poprawił karabin przewieszony przez pierś i oddalił się w ciemność. Sierżant odprowadzał go wzrokiem. Z tego chłopaka nie będzie dobrego żołnierza. Jeśli ktoś nie szanuje symboli narodowych, nie powinien służyć w żadnej formacji wojskowej.

Ruszył do namiotu Bukowieckiego. Obawiał się, że dowódcy mogą nadal pić, a to nie byłoby wskazane z wielu powodów. Przede wszystkim policja znowu może przyjechać. Nie darują im tego telefonu. Przeszukają całą bazę, żeby go znaleźć. Po co mają się tu kręcić przez parę godzin? Należałoby im to sprytnie uniemożliwić, a do tego potrzebna będzie trzeźwa głowa. Odetchnął w duchu, widząc, że na stole nie ma kieliszków ani butelki, zamiast tego stały dwa kubki. Podpułkownik i major pili kawę.

— Co jest, sierżancie? — odezwał się Bukowiecki. — Co ty tu jeszcze robisz? Miałeś jechać po Rudą.

— Melduję, że zamierzam jechać, ale potrzebuję kierowcy, bo piłem. Proszę o wydanie rozkazu starszemu szeregowemu Lipińskiemu, żeby był moim szoferem.

Wysoka postać dowódcy uniosła się od stołu. Jego łyśca głowa znalazła się poza kręgiem światła, bo przewyższała poziom wiszącej u sufitu lampy. Częściowo ocieniony i oświetlony, wyglądał jak legendarny wojownik, przed którym drżą wrogi armie. Często tak się prezentował, głównie dzięki okazałemu wzrostowi, a to bez wątplenia zwiększało szacunek terytorialsów dla dowództwa. Podpułkownik podszedł do sierżanta.

— Przywieź tę dziewczynę jak najszybciej, bo bez niej nie ruszymy. Poza tym musimy przyspieszyć z zatrzymaniem przemytników. Gdy już będziemy ich mieli, to psiarze mogą sobie czekać do woli. Sądzę jednak, że wtedy przestaną się rzucać.

Tito podzielał zdanie dowódcy. Dodałby tylko jeszcze, że w tym wszystkim najważniejsze jest udaremnienie przemytu, bo może chodzić o broń chemiczną lub biologiczną. Życie ludzi w Europie wydaje się zagrożone, a oni jako żołnierze muszą przede wszystkim tę kwestię mieć na uwadze. Zasalutował i wyszedł z namiotu, a razem z nim major Serafin. Robert Lipiński czekał już przed namiotem.

— Starszy szeregowy Lipiński, zawieziesz sierżanta do Braniewa.

Żołnierz z zapalem uniósł dwa palce do daszka czapki.

— Rozkaz, panie majorze.

Ruszyli w stronę zaparkowanych pojazdów. Tito podał starszemu szeregowemu kluczyki od forda rangera i wskazał na wóz.

— To ten.

Lipiński zatarł ręce.

— Jak armia będzie wyprzedawać sprzęt, to sobie kupię takiego.

— To będziesz musiał ładnych parę lat poczekać, to nowe samochody.

— No to poczekam.

Wsiedli. Lipiński położył swój karabin na tylnym siedzeniu i uruchomił silnik. Zanim ruszył, zapytał:

— Nie wydaje ci się, że powinniśmy oddać broń do magazynu?

— A dostałeś taki rozkaz?

— Nie.

— No to nie musimy oddawać.

Tito położył swoją broń na kolanach.

— Po co właściwie jedziemy do Braniewa? — zagadnął starszy szeregowy, gdy już się toczyli po leśnej drodze.

— Po dziewczynę.

— Aha, po dziewczynę, a dla kogo? Dla podpułkownika?

— Można tak powiedzieć.

— A ja myślałem, że on nie lubi dziewczyn. Nie wydaje ci się, Tito, że ktoś w batalionie lekkiej piechoty nie lubi dupeczek, dlatego one z nami nie jeżdżą na większość ćwiczeń?

— I dobrze, że nie jeżdżą. Już widzę, jak byście się obściskiwali po kątach. Nie od tego jest służba. Chociaż może byłyby też plusy. Nie szczalibyście, gdzie popadnie.

Lipiński zachichotał.

— Moja Aśka też jest w obronie. Ona naprawdę jest dobra i taka wysportowana. Zajęła szóste miejsce na mistrzostwach polski w skoku w dal.

— Co ją przygnało do obrony? No i ciebie?

— Mnie obawa przed zwolnieniem z roboty. Pogłoski się pojawiły u nas na poczcie, że będzie redukcja etatów, a ja jestem tam nowym pracownikiem. To Aśka usłyszała gdzieś, że tych, co są w terytorialsach, nie można zwolnić. Sama się zaciągnęła tylko dlatego, żebyśmy częściej byli razem.

— A co z motywacją patriotyczną? — zapytał z przekąsem sierżant.

Głośny śmiech żołnierza wypełnił wnętrze wozu.

— Oczywiście jest. Jak trzeba będzie, to będziemy bić kacapów.

Czarne pnie drzew rozświetlane reflektorami samochodowymi zdawały się rozstępować przed autem. Po trzystu metrach wyjechali na drogę asfaltową. Tu zrobiło się nieco widniej, bo po jednej stronie szosy ciągnęły się pola, a nad nimi wisiało zachmurzone niebo, na którym jednak dało się zauważyć trochę gwiazd. Można nawet było dostrzec niewyraźną linię horyzontu. Starszy szeregowy Lipiński przycisnął pedał gazu.

— Moja Aśka ma dzisiaj urodziny. Może, gdy już będziemy w Braniewie, to skoczę do niej i dam jej buziaka. Chyba nie masz nic przeciw?

Sierżant Tito ujrzał nagle światło, gdy to znajdowało się jeszcze daleko przed nimi. Wytężył wzrok. Światło, a raczej światełko nabierało na intensywności.

— To rowerzysta — oznajmił zaskoczonym głosem starszy szeregowy.

Zdziwienie było uzasadnione, bo co mógł robić człowiek na rowerze o tej porze w pobliżu lasu? Najbliższe gospodarstwo znajdowało się spory kawałek stąd. Światło roweru było już blisko i nagle zgasło. Lipiński zwolnił. Wkrótce reflektory samochodu oświetliły postać na skraju drogi. Ten ktoś machał, usiłując ich zatrzymać.

— Stój! — polecił Tito.

Wyskoczył z forda rangera, trzymając karabin przed sobą. W jego stronę szła Magdalena Tuszyńska. Nie poznał jej od razu, bo miała inną kurtkę, ponadto czapkę. Dość zamaszysty krok i lekko pochylona sylwetka musiały jednak należeć do niej.

— Co za spotkanie! — zawołał, nie starając się ukryć zadowolenia.

Właśnie minęło go żmudne szukanie dziewczyny w Braniewie. Uniosła ręce w geście poddania.

— Nie strzelaj!

Opuścił karabin wzdłuż nogi. Poprawiła czapkę nad czołem i przybliżyła się jeszcze o parę kroków, stając tuż przed nim. Dopiero teraz go poznała.

— Ach, to ty. Też się cieszę, że cię widzę, i nawet nie mam żalu, że dzisiaj rano powaliłeś mnie na glebę.

W półmroku zauważył uśmiech na jej twarzy.

— Dokąd jedziesz?

— Do waszej bazy.

— Do nas? Parę godzin temu chciałaś od nas zwać. Namawiałaś plutonowego Nowickiego, aby dał ci możliwość ucieczki.

— Nie lubię, gdy się mnie przetrzymuje siłą. Chyba da się wcisnąć mój rower do tego wozu?

— Da się.

Włożył jej rower do bagażnika, po czym oboje wsiedli, ona na tylne siedzenie, skąd Lipiński zabrał swoją broń. Zawrócili do bazy.

— Po co do nas jedziesz? — zapytał Tito, obracając się do Rudej.

— Na kolację. Jadłam u was dzisiaj jajecnicę, smakowała mi. Liczę na coś równie smacznego. No i podpułkownik ma coś, co do mnie należy.

— Telefon?

— Tak, telefon.

Dobrze przewidział, że dziewczyna będzie chciała dokończyć to, po co przyjechała do opuszczonego gospodarstwa. Śmierć kierowcy golfa nie była przeszkodą, ale brak telefonu już tak. Tylko za jego pomocą mogła skontaktować się z przemytnikami, po prostu ten Rusek nie odbierze połączenia z innego numeru. Dla nich to dobrze. Oni mieli aparat, a ona wiedziała, o co jest ta cała gra, i mogła zwabić przemytników w konkretne miejsce, gdzie terytorialni ich wyłapią jak ryby w przeręblu.

— Skąd masz ten rower? — zapytał szczerze zaciekawiony.

— Pożyczyłam. Jutro go oddam.

— Jedziesz na nim z Braniewa?

Zaśmiała się.

— Za zimno jest. Przyjechałam taryfą, ale pomyślałam, że lepiej, abym nie wparowała do bazy z taksówkarzem. Z wami nic nie wiadomo, jeszcze byście go zastrzelili. Wysiadłam w tej wcześniejszej wsi i tam pożyczyłam rower. Stał przed domem, a psa na szczęście nie było.

Minęli wartownika i wjechali na teren bazy. Wsiedli. Wokół panował spokój. Kilku żołnierzy paliło papierosy, stojąc przed namiotami, paru innych krążyło z telefonami przy uchu, gdzieś z oddali dobiegało pohukiwanie sowy. Tito polecił zostać dziewczynie ze starszym szeregowym, a sam udał się do namiotu dowódcy. Zameldował przywiezienie Rudej.

— Tito, kurwa, magik jesteś? — warknął Serafin. — Przecież przed chwilą stąd wyjechałeś.

— Panie majorze, melduję, że to się odbyło bez użycia magii. Po prostu natknęliśmy się na Rudą trzy kilometry za bazą. Jechała do nas na rowerze.

— Po telefon? — zapytał podpułkownik.

— Tak, po telefon i na kolację. Tak mi powiedziała.

Bukowiecki z wyraźnym zadowoleniem podniósł komórkę zabraną z golfa i schował do kieszeni. Ten aparat ustawiał ich w bardzo dobrej pozycji w rozmowie z Magdą Tuszyńską. Oni go mieli, a ona go chciała odzyskać.

— Przyrowadź ją i skocz do kuchni! Niech coś smacznego nam przygotują.

— Panie podpułkowniku, czy mam brać udział w tej kolacji i rozmowie?

Dowódca się zawahał.

— Tak — oznajmił, przeciągając samogłoskę, jak gdyby nie był do końca przekonany. — Młody jesteś i przystojniak. Twoja obecność może pomóc. I powiedz, komu trzeba, żeby nagrzewnicę wyłączyli! Zaraz się tu ugotujemy.

Kwadrans później siedzieli w czwórce nad talerzami z pomidorówką. Ruda energicznym ruchem zakładała pasmo włosów za ucho i dmuchała na łyżeczkę, choć zupa wcale nie była gorąca. Jeśli tylko to było oznaką jej zdenerwowania, to dobrze się maskowała.

— Macie dobrego kucharza — odezwała się, przerywając ciszę.

— Ta zupa jest z proszku — zakomunikował chłodno Serafin.

Ruda się uśmiechnęła, a jej twarz wyładniała.

— Panie majorze, nie udało się panu wprowadzić mnie w zakłopotanie. Umie gotować i potrafię odróżnić pomidorową z proszku od domowej.

— Dobrze, że pani smakuje, skoro pokonała pani dwadzieścia kilometrów, żeby zjeść żołnierską kolację — wtrącił Bukowiecki.

Znowu nastąpiło kilka minut ciszy. Dwóch żołnierzy przyniosło kolejne potrawy: chleb, pasztet i kawałki grillowanej kiełbasy. Dziewczyna jadła dalej. Była głodna. Zapewne dzisiaj jej jedynym posiłkiem była poranna jajecznica. To by znaczyło, że po policyjnym przesłuchaniu poświęciła czas wyłącznie na wymianę poplamionej krwią kurtki na nową. Zmieniła też sweter na bluzę. Na to, aby coś zjeść, nie miała już czasu. Spieszyła się do nich po telefon, bo kilka godzin zwłoki mogłoby sprawić, że kontrahenci zza wschodniej granicy stracą cierpliwość i zrezygnują z transakcji.

Dołożyła sobie pasztetu i zagadnęła:

— Ten telefon, co go wzięliście z golfa, to jest mój. Chciałabym go odzyskać. — Serafin i Bukowiecki milczeli, dodała więc: — Na nowy będę musiała wydać pół pensji, chyba to rozumiecie.

— Damy pani kasę na nowy aparat, a ten zostanie u nas — oznajmił podpułkownik, wrzucając do kubka z herbatą dwie kostki cukru.

— Chciałabym mój. Mam w nim dużo ważnych rzeczy.

— Bez przesady, nie ma tego aż tak dużo, właściwie nic w nim nie ma, nawet listy kontaktów. A w ogóle to ma pani mało znajomych, skoro dzwoniła pani tylko pod dwa numery i to z rosyjskim prefiksem.

Magda metodycznie nakładała pasztet na kromkę chleba. Zmarszczone brwi świadczyły, że analizuje słowa Bukowieckiego. Dowiedziała się właśnie, że żołnierze rozpracowali telefon, i zapewne już wiedzieli, że nie chodzi tu o zwyczajny aparat. Uśmiechnęła się do siebie i odgryzła kawałek chleba. Wyglądało na to, że ma pomysł, jak to rozegrać.

— Powiedziałam policji, że nie pamiętam, jak to było z dzisiejszym zdarzeniem na tamtym podwórku, ale w każdej chwili mogę sobie wszystko przypomnieć. Od mojej pamięci zależy, jaki zarzut postawią waszemu żołnierzowi. A to, co sobie przypomnę, zależy od pana, panie podpułkowniku.

— To już nie jest takie ważne, co pani powie policji.

— Dzisiaj rano inaczej pan uważał.

— Rano nie wiedziałem, kim jest pani towarzysz. Teraz wiem.

— A kim on jest? Bo proszę sobie wyobrazić, że ja tego nie wiem. Złapałam go o świecie na stopa, po tym jak musiałam wysiąść z samochodu moich znajomych. Ich przepuszczono przez granicę, a mnie nie.

— Czyli to już nie jest pani białoruski znajomy, który przemycał fajki do Poznania?

— To nie jest mój znajomy. To przypadkowy kierowca.

— To właśnie powiedziała pani policji? Uwierzyli?

— Uwierzyli, bo to prawda.

— I schowała pani swój telefon do schowka wozu, którym jechała pani okazją?

Tito przysłuchiwał się rozmowie. Bukowiecki dobrze ją prowadził, przede wszystkim bardzo spokojnie. Mógł od razu zarzucić dziewczynie, że współpracuje z przemytnikami, ale tego nie zrobił. Wolał ją powoli osaczać, kwestionując jej prawdomówność. Za pół godziny Ruda będzie bardziej skłonna do współpracy niż na początku kolacji.

— Skoro tak ci zależy na tym telefonie, to dlaczego powiedziałaś o nim policji? — zapytał sierżant bardzo życzliwym tonem.

— Nic im nie powiedziałam.

— Musiałaś jednak trochę się wygadać, bo był tu młodszy aspirant Sokołow. Przyjechał po telefon twojego kolegi.

— Ten człowiek nie był moim kolegą, a telefon jest mój i na pewno nie mówiłam o nim policji.

Tito miał nadzieję, że swoim udziałem w dyskusji pomoże rozbroić dziewczynę. Podpułkownik trafnie zauważył, że jest młody i przystojny, a on postanowił, że będzie jeszcze tym dobrym. Ruda miała przy stole dwóch przeciwników i jednego sojusznika o filmowym uśmiechu, który teraz jej posłał wraz z pytaniem:

— Skąd więc policja wie o telefonie?

— To proste — odparła. — Założyli, że kierowca jakiś aparat musiał mieć, a skoro nie było go przy zwłokach ani w samochodzie, to znaczyło, że wy go zabraliście.

— Młodszy aspirant Sokołow szukał tego konkretnego telefonu. Znał jego numer i miejsce logowania. Miał też dostęp do billingów, bo wiedział o wykonywanych połączeniach.

Magda otworzyła szeroko oczy, aż na jej czole pojawiły się zmarszczki. Naprawdę była zdumiona. W tej jednej sprawie sierżant Tito wierzył Rudej. Nie powiedziałyby psom o aparacie służącym do kontaktu z przemytnikami. Oni jednak się o nim dowiedzieli. Skoro nie od niej, to od kogo? Musiał przyznać, że inspektor Sum i jego koledzy nie są tacy beznadziejni. Coraz bardziej prawdopodobne stawało się to, co założył przy wizycie Sokoła. Czekają ich ściganie się z psiarnią o zatrzymanie przemytników i przechwycenie przemycanego towaru.

— A pani skąd wie, że to my mamy ten aparat? Przecież nie od nas — zapytał Serafin mało przyjemnym tonem.

— Od was. Gdy tu jadłam jajecznicę, usłyszałam, jak plutonowy Nowicki rozmawia o tym z jakimś żołnierzem. Nie wyrażali się dosłownie, ale to, co usłyszałam, wystarczyło. — Napila się herbaty i wytarła usta dłonią. — Nie oddaliście telefonu policji, nie chcecie oddać go mi. Domyślam się, że mam go wykupić. Ile chcecie?

Postawna sylwetka Bukowieckiego prężyła się z zadowolenia. Rozmowa zmierzała w idealnym kierunku.

— Chyba pani nie myśli, że chcemy zarobić na tej sprawie?

— A czego chcecie?

— Zależy nam na bezpieczeństwie kraju i obywateli. Naszym celem jest zapobiec nieszczęściu, tragedii, wielkiemu zagrożeniu.

Dziewczyna w hardym odruchu odrzuciła głowę do tyłu.

— Bezpieczeństwo kraju i obywateli? Ale się uśmiełam. Strzelacie do przypadkowych ludzi. To tak dbacie o ich bezpieczeństwo?

— Tamto zdarzenie w gospodarstwie to był nieszczęśliwy wypadek — wtrącił łagodnie Tito. — Nam naprawdę zależy na bezpieczeństwie kraju, a nie na schwytaniu potencjalnych przestępców, nie jesteśmy policją. Z nami możesz czuć się bezpiecznie.

Sierżant nie do końca był przekonany, czy wszedł na ten tor rozmowy, który wytyczył w swojej głowie podpułkownik Bukowiecki. Być może dowódca był na niego wściekły, ale to w tej chwili mniej ważne. Liczyło się urobienie Rudej, a on wiedział, jak to zrobić. Już odniósł zamierzony efekt, bo dziewczyna intensywnie się zastanawiała, czego dowodem były zaciśnięte usta i wzrok wbity w talerz.

— Czego wy ode mnie chcecie? — zapytała nagle.

— Odpowiedzialności — oznajmił Tito.

— Nie rozumiem.

— Dostaniesz telefon i odwozę cię tam, gdzie będziesz chciała, jeśli zapewnisz nas, że działalność twoich przyjaciół z Rosji nie niesie ze sobą zagrożenia terroryzmem ani w inny sposób nie wiąże się z niebezpieczeństwem dla obywateli Polski i mieszkańców Europy.

Oficjalny ton sierżanta Tito rozbawił ją, bo parsknęła krótkim śmiechem.

— No dobra, niech wam będzie. Zapewniam, że działalność moich przyjaciół nikomu nie zagraża. Dostanę teraz aparat?

— Dostaniesz.

Podpułkownik Bukowiecki wyciągnął telefon i położył go przed talerzem dziewczyny, po czym wrócił do konsumpcji grillowanych kiełbasek. Ruda nie mogła uwierzyć, że już po sprawie, że ma to, co jeszcze minutę temu wydawało się nie do osiągnięcia. Patrzyła na aparat i nie dowierzała, że może go tak po prostu wziąć. Nie była głupia, zaczęła doszukiwać się podstępów. Starła się uśmiechać, ale jedynie wykrzywiała nienaturalnie usta. Moment kulminacyjny nastąpił, gdy telefon zadzwonił. Ruda patrzyła na niego jak na odbezpieczony granat.

— Proszę odebrać, to na pewno do pani — zaproponował Bukowiecki.

Wzięła aparat i wstała z krzesła. Rzuciła niespokojne spojrzenie na wyświetlacz i ruszyła do wyjścia. Major Serafin błyskawicznie zastąpił jej drogę.

— Proszę odebrać tutaj i nam pokazać, że nie ma pani nic do ukrycia, że nie spiskuje pani ze złymi ludźmi, którzy zamierzają zrobić coś przeciwko

naszym obywatelom.

— Nie jestem żadnym spiskowcem. Powariowaliście. Odsuń się! Chcę stąd wyjść.

Telefon przestał dzwonić. Teraz w namiocie dźwiękiem dominującym było ciężkie posapywanie Rudej.

Sierżant Tito też wstał od stołu. Zbliżył się do dziewczyny. Znalazła się pomiędzy nim a majorem. Chyba poczuła bezpośrednie fizyczne zagrożenie, bo odskoczyła pod boczną ścianę namiotu i skrzyżowała ręce na piersiach, wciąż ściskając w dłoni telefon.

— Jeśli chcesz, to odwiozę cię teraz do Braniewa. Aparat jednak zostanie u nas. Przekażemy go policji, żeby sprawdzili, z kim masz kontakt i co knują ci ludzie spod ruskich numerów.

Dolna warga dziewczyny drgnęła. Bardzo powoli przesunęła rękę w taki sposób, żeby wsunąć telefon pod bluzę. Machinalnie próbowała go ukryć, czym tylko potwierdziła, że za nic nie chciałaby, aby trafił na komendę.

Tito kontynuował:

— Nie oddaliśmy telefonu psom, bo po co mają wiedzieć, że współpracujesz z przemytnikami. Miałabyś z tego powodu duże problemy. Chcieliśmy ci tego oszczędzić. To taki rodzaj rekompensaty z naszej strony za to, że zabiliśmy twojego kolegę. Sama jednak rozumiesz, że nie możemy narażać na niebezpieczeństwo obywateli. Gdybyśmy wiedzieli, że przemyccie papierosy i alkohol, tobyśmy przymknęli na to oko, nawet moglibyśmy wam jakoś pomóc, choćby zadbać o bezpieczeństwo transportu. Straż graniczna nie kontroluje pojazdów wojskowych, możemy wozić wszystko, nawet nielegalnych imigrantów. Jeśli jednak przemyt dotyczy czego innego, czegoś poważniejszego, to na niego byśmy nie pozwolili. Może darowalibyśmy sobie zawiadomienie psiarni, ale zniszczylibyśmy towar albo dopilnowali, aby wrócił za wschodnią granicę, a tobie pozwolilibyśmy spokojnie odjechać do Poznania. Daliśmy ci szansę na korzystne dla ciebie rozwiązanie tej sprawy, ty jednak nie chcesz z niego skorzystać. Musimy więc przekazać telefon psom, a oni nie będą skłonni iść na jakiś układ. Zatrzymają cię i twoich przyjaciół, i tyle będzie z waszego przemytu.

Ruda przymknęła oczy, jak gdyby zmęczenie wzięło górę. Próbowała ich zmylić, symulując kapitulację.

— Mam dosyć — wyszeptała.

Tito zbliżył się do niej.

— Co przemyccie?

— To co inni. Fajki.

— Co przemyccie? — zapytał ponownie.

— Fajki — odpowiedziała bez wahania cichym głosem.

— No to wszystko okej! — zawołał Serafin. — Wracajmy do stołu.

Major i sierżant usiedli na swoich krzesłach. Dziewczyna stała jeszcze pod ścianą.

— Pani Magdo, prosimy do nas — odezwał się podpułkownik.

Podeszła niespiesznie i usiadła. Nabiła kawałek kiełbasy na widelec.

— To kiedy ma nastąpić przekazanie kontrabandy? — zapytał Serafin.

— Nie wiem.

— To proszę oddzwonić i dogadać szczegóły. My oczywiście będziemy nad wszystkim czuwać. Nie odstępimy pani na krok.

— Jeśli mnie nie odstępicie, to z przekazania fajek nic nie wyjdzie. Nie dadzą mi ich.

— Dlaczego nie? Niech pani im powie, żeby zostawili papierosy w tym opuszczonym gospodarstwie, a pani je odbierze.

Kpiący ton Serafina wibrował w powietrzu i drażnił ich receptory słuchu. Tito musiał przyznać, że zastępca dowódcy potrafił wprawić w irytację już samą intonacją wypowiedzianych słów.

— W jaki sposób się rozliczacie? — zapytał major. — Zauważyłem, że pani nie ma przy sobie gotówki.

— Kwestiami finansowymi zajmuje się ktoś inny. Ja tylko mam odebrać fajki.

— A transport? Nie ma pani żadnego samochodu. Możemy służyć naszą terenówką z kierowcą.

— Dziękuję, wóz terenowy jest za mały. W Suchaczu czeka znajomy z ciężarówką. Przyjedzie, gdy dam mu sygnał.

— No to nie będzie problemu. Proszę zadzwonić do dostawcy fajek.

Odłożyła widelec i wyjęła spod bluzy aparat. Przesunęła palcem po wyświetlaczu.

— Chcielibyśmy słyszeć tę rozmowę — oznajmił Serafin.

Kiwnęła głową na zgodę. Włączyła tryb głośnomówiący i trzymała telefon przed sobą. Słyszeli sygnał oczekiwania na połączenie. Nagle rozległ się męski głos:

— Halo.

— Cześć Kola — przywitała się. — I co tam u ciebie? Co z naszą sprawą?

— Nic.

— Jak to nic?

— No nic. Nasze urzędniki chcieli bardzo dużo. Ot co. Ludzie u nas bez umiaru.

— To fajek nie będzie?

— Nie będzie.

— Mam jechać do siebie?

— Tak.

— Odezwiesz się?

— Nie wiem, to się nie opłaci. Oni chcieli tyle...

— Rozumiem. To na razie, Kola.

Ruda się rozłączyła i położyła aparat obok swojego talerza. Kolejny kawałek kiełbasy nabiła na widelec i zamoczyła w musztardzie. Nie patrzyła na żołnierzy, domyślała się jednak, że wszyscy mają teraz bardzo zdumione miny.

Owszem, zaskoczenie ich zdominowało. Tito był pod wrażeniem przebiegłości Magdaleny. Przez ostatnie pół godziny grała znakomicie swoją rolę. Kłamała, plątała się, wymigiwała od ich propozycji, wzbraniała przed odebraniem połączenia od Ruska i wszystko po to, żeby doprowadzić do z góry zaplanowanego finału. Na początku rozmowy powiedziała: „Cześć, Kola”. To prawdopodobnie było hasło informujące rozmówcę o niebezpieczeństwie, o tym, że są podsłuchiwani. Poza tym Rusek zapewne zdążył wejść na wyższy poziom ostrożności, bo miał do tego przesłanki. Mogło go zaniepokoić choćby to, że jego wcześniejsze próby połączenia nie zostały odebrane.

Podpułkownik wyglądał, jak gdyby przegrał ważną bitwę. Przez pół godziny osaczał kobietę, która ostatecznie go wykiwała. Prawdziwy żołnierz jednak się nie poddaje, on też nie miał takiego zamiaru.

— Pani Magdo, jeśli pani ma ochotę nas opuścić z telefonem w ręku, to nie będziemy w tym pani przeszkadzać. Chciałem jedynie uprzedzić, że w momencie gdy wsiądzie pani z sierżantem do samochodu, ja zadzwonię do inspektora Suma i zasugeruję mu, że powinien sprawdzić, co znajduje się w słoiku z dżemem śliwkowym.

To był celny strzał, bo Ruda skuliła się na krześle niczym trafiona prawdziwą kulą. Chwilę wcześniej tryumfowała, sądząc, że to już ostateczne zwycięstwo, to dlatego kontratak Bukowieckiego tak ją

przygniótł. Tito instynktownie czuł, że dowódca właśnie złamał opór przeciwnika. Dziewczyna westchnęła z rezygnacją.

— Może pan dzwonić do inspektora, ale ostrzegam, że dużo pan straci, ujawniając tak ważną informację.

— Co stracę?

— Nie co, ale ile. Straci pan kilkadziesiąt tysięcy euro. — Ruda przesunęła wzrok na majora i sierżanta. — Każdy z was straci po sto tysięcy euro. Inaczej mówiąc, macie okazję po tyle zarobić, i to dzisiaj. Nie proponuję wam przelewu bankowego, bo po takim zostają ślady, a po co macie się tłumaczyć przed urzędnikami skarbowki. Jeden z moich przyjaciół za kilka godzin może się tu pojawić z walizką pieniędzy.

— Bylibyśmy zainteresowani pani propozycją, ale chcemy wiedzieć, co odpuszczamy. Domyślamy się, że to musi być coś naprawdę dużego. Heroina?

Ruda się uśmiechnęła do podpułkownika.

— To nie heroina, żadne narkotyki.

— To co ma taką cenę?

— Nie musicie wiedzieć.

— Musimy, bo wiedza pomaga nie przegrać.

— Panie podpułkowniku, przecież my nie idziemy na wojnę. Wręcz przeciwnie, zaczynamy współpracę.

— Pani przyjaciele to Rosjanie, a z nimi nie ma współpracy. Oni każdemu mogą wbić nóż w plecy.

W brązowych oczach Rudej mignęło zrozumienie.

— Ze mną pan ma współpracować, nie z nimi.

Serafin odchylił się na krześle, przyjmując swobodną pozycję.

— Ja biorę te sto tysięcy, ale rzeczywiście zastanawiające jest, co takiego mogło zmieścić się w słoiku po dżemie. Na heroinę przymknąłbym oko i na wiele innych rzeczy, ale muszę wiedzieć, co to takiego.

Tito popatrzył ciepło w oczy Rudej.

— Zgadzam się z moimi przełożonymi. Pieniądze też mi się przydadzą.

— Okej, powiem wam, co przemycamy, tylko co, jeśli mi nie uwierzycie?

— Będzie musiała pani nas przekonać — odezwał się podpułkownik. — Poza tym, mając na uwadze bezpieczeństwo kraju, będziemy nadzorować przekazanie towaru, bo jak rozumiem, ma to nastąpić gdzieś w pobliżu.

— Ci po drugiej stronie się nie zgodzą.

— Proszę się nie obawiać, nie będziemy im się rzucać w oczy. Nie musi im pani mówić o naszej obecności.

Dziewczyna założyła włosy za uszy, wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić:

— To nie jest heroina ani nic co mogłoby zagrażać bezpieczeństwu Polski czy Europy. Ja tu jestem w roli eksperta, mam zobaczyć towar, ocenić go i w imieniu zleceniodawcy zdecydować, czy go bierzemy. Wczoraj dostaliśmy próbkę w słoiku. Dżem czekał na nas w tym opuszczonym domu. Wydałam pozytywną opinię i resztę kontrabandy mieliśmy odebrać w częściach, biorąc co kilka godzin po osiemdziesiąt sztuk, w sumie byłoby to siedem transakcji.

— Co to, kurwa, jest? — zapytał szeptem Serafin.

Sierżant Tito zadawał sobie to samo pytanie. Wsłuchiwał się w drżący głos Rudej i czekał w wielkim napięciu na finał.

— Mój zleceniodawca postawił takie warunki odbioru towaru, abym mogła mu się przyjrzeć i zaakceptować. To znaczy, bierzemy te osiemdziesiąt sztuk, ja je oglądam i przekazuję kurierowi oraz daję znać, że za tę partię można zapłacić. Za kilka godzin znowu to samo, bierzemy osiemdziesiąt sztuk, wydaję opinię, płacimy i towar jedzie dalej na zachód Europy. Jeśli coś mi się nie spodoba, jeśli uznam, że próbują mi wcisnąć parę trefnych sztuk, wtedy rezygnujemy z danej partii, z całej osiemdziesiątki.

Bukowiecki położył obie dłonie na stole.

— Od czego pani jest ekspertem? Pani bibliotekarko? Chyba nie przemycacie książek?

Dziewczyna zaśmiała się gardłowo.

— Nie, to nie książki.

— A co?

CZEŚĆ CZWARTA
Policja

Rozdział I

MŁODSZY ASPIRANT SOKOŁOW przyciskał tampon do czoła, a starsza posterunkowa Agata Małek przyklejała plaster na podłużną ranę znajdującą się pod jego lewym uchem.

— Nikita, powinienes udać się do lekarza po fachową pomoc — oznajmiła zaniepokojonym głosem. — Możesz mieć krwiak śródczaszkowy albo nawet wstrząs mózgu.

— Wstrząsu nie mam, bo nie straciłem przytomności.

— Nie wymądrzaj się. Lekarz będzie wiedział lepiej.

Policjant syknął, gdy przekreśliła mu głowę.

— Pójdę, ale głównie na obdukcję. Weekendowe żołnierzyki przekonają się, że nie tyka się gliniarza.

Inspektor Sum siedział naprzeciwko. Zmarszczka między jego brwiami wyglądała jak wykuta w granicie. Niemal odczuwał jej fizyczną obecność na swoim czole. Dotknął palcami pionowej bruzdy, próbując ją rozprostować. Na służbie starał się stosować do dewizy mówiącej, że najpierw trzeba zapanować nad sobą, aby móc zapanować nad sytuacją. Nie zawsze mu się to udawało, zdołał jednak nauczyć się reagować spokojem na szyderstwa i wyzwiska, które słyszał nie raz w trakcie policyjnych interwencji. Teraz było inaczej, to nie jakiś pijaczek opluł funkcjonariusza czy skoczył do niego z pięściami. To żołnierze dopuścili się czynnej napaści, tego nie potrafił przetrwać.

— Prowokowałeś ich? — zapytał, szukając jakiegoś racjonalnego wyjaśnienia.

Może doszło tam do zwyczajnej męskiej bijatyki po zbyt ostrych słowach i nie miało to wiele wspólnego z atakiem na policjanta w trakcie służby.

— Prowokowałem? Tak, prowokowałem ich, bo domagałem się wydania tego telefonu.

— Dlaczego ci go nie oddali? Przecież zaraz zwalimy im się tam i zaczniemy przeszukiwać te ich namioty. Po co im to?

Sokół odsunął tampon od czoła i skrzywił się na widok smugi krwi.

— Ja nie wiem, czy oni nam na to pozwolą. Ich jest prawie trzystu, a ty ilu ludzi jesteś w stanie zebrać?

— Co ty pierdolisz, Sokół, przecież my jesteśmy policja. Dostaniemy nakaz prokuratorski i po prostu tam wchodzimy.

— Jesteś pewny, że ta panienka z prokuratury wyda nakaz przeszukania bazy wojskowej? Bo mi się wydaje, że nie.

— To wejdziemy tam na blachę.

Nikita syknął, przykładając kolejny tampon do czoła.

— Oni mają karabinki Grot. Każdy z nich jest uzbrojony. Dwieście sześćdziesiąt pięć luf.

— I co, kurwa, z tego? Przecież nie złączą do nas strzelać.

Sokół spokorniał. Zdał sobie sprawę, że jego uwaga o karabinach była przesadzona.

— Ciemno było, nie widziałem twarzy, nie rozpoznałbym ich. Wiem tylko, że kapral Artur Derkacz był wśród nich. Pójdę do niego pojutrze do mieszkania. Pogadamy sobie. Myślę, że poda mi nazwiska kolegów. Policzę się z nimi na własną rękę. Przyjdzie im zapłacić po kilka mandatów, to nauczą się szacunku dla policji.

— Oni nie muszą być z Braniewa — zauważyła starsza posterunkowa Małek.

— To nie ma znaczenia. Będą z innych miast, to tamtejsi gliniarze wypiszą im mandaty. Ja bym to zrobił, gdybym dowiedział się, że chodzi o pobicie funkcjonariusza na służbie.

Agata się uśmiechnęła.

— Jeden z tych terytorialsów uczy historii mojego brata. Zawsze mi się wydawało, że to porządny człowiek. Nazywa się Bartosz Nowicki.

— Kojarzę. To chyba on przerwał znęcanie się nade mną. Gdyby to potrwało dłużej, to nie wiem, czy bym nie skończył na wózku albo w trumnie.

Starsza posterunkowa w opiekuńczym geście położyła dłoń na ramieniu Sokoła. Ten podziękował jej uśmiechem. Niby nic takiego, ale inspektor Sum poczuł się nieswojo. Wolałby, żeby to jego Agata obdarzyła czułym gestem. Niestety, nie mógł na to liczyć i wiedział nawet dlaczego. Winne było jego obcesowe zachowanie. Czasami próbował być miły, ale wtedy współpracownicy patrzyli na niego jak na kretyna. Szybko więc wracał do typowej dla siebie postawy dystansu. Kilka tygodni temu starsza posterunkowa Małek szukała kogoś, kto pomaluje jej kuchnię. Parę dni nosił się z zamiarem, aby zaproponować podwładnej swoje usługi. Napomknął, że sam pomalował swoje mieszkanie, i zapytał o metraż jej

kuchni. Kilka dni później wysłał do Agaty esemes, że ma wolny weekend i mógłby wpaść z wałkiem malarskim. Odpisała, że nie trzeba, bo kuchnia już po remoncie.

Sum oderwał wzrok od płaskich bioder policjantki i spojrzał na posiniaczoną twarz Sokoła.

— Powiedz mi, Nikita, dlaczego nie chcieli oddać ci tego aparatu.

— Bo nas nie lubią.

Sum spojrzał na Agatę.

— A ty co o tym myślisz?

— O czym?

Rozchyliła usta w wyrazie zaskoczenia. Nie spodziewała się pytania. Była na służbie dopiero od trzech lat, a w wydziale kryminalnym od sześciu miesięcy, inspektor nie traktował na serio jej kompetencji śledczych.

— Co myślisz o tym, że żołnierze nie oddali nam aparatu ofiary.

— Może jest im do czegoś potrzebny.

— Chyba do dzwonienia — mruknął nieprzyjemnie Sum.

Starsza posterunkowa nie wysiliła swoich szarych komórek. Dobrze, że chociaż poradziła sobie z opatrywaniem młodszego aspiranta.

— Może w tym telefonie coś jest, co kaczkom mogłoby zaszkodzić? — zastanowił się głośno Nikita.

Inspektor zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie sądzę.

Starsza posterunkowa zamknęła apteczkę i zgarnęła zakrwawione tampony.

— Zaprowadzę cię do szpitala. Nie powinieneś iść sam, bo możesz mieć zawroty głowy i problemy z prawidłowym widzeniem.

— Dzięki, ale nie trzeba, to tylko dwa kroki.

— Przy dwóch krokach też można zemdleć. Pójdę z tobą.

Wzięła apteczkę i wyszła z pokoju. Odprowadzili ją wzrokiem.

— Co teraz zrobisz? — zapytał Sokołow.

— Pojadę do bazy po telefon.

Nikita kiwnął głową, jak gdyby wyrażał aprobatę dla tego pomysłu.

— Uważaj na sierżanta, to ten żołnierz ze śniadą gębą i czarnymi oczami. Jak on, kurwa, kopie. Musiał trenować taekwondo albo karate.

Drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem, a w progu stanął komisarz Dominik Jamróz. Miał włosy w dużym nieporządku i rozpiętą pod szyją koszulę.

— Wiecie, dokąd się udała Tuszyńska po wyjściu z komendy?

— Sądzę, że najpierw poszła coś zjeść — odezwał się młodszy aspirant.

— Wcale nie. Najpierw na Kościuszki kupiła kurtkę. Tę, którą miała na sobie, wrzuciła do kontenera na śmieci przy markecie. A potem wsiadła w taryfę i pojechała za miasto, daleko, aż do Płoskini.

Inspektor pokiwał głową z uznaniem. Dziewczyna kierowała się w okolice, w których doszło do zastrzelenia kierowcy. To nie mogło być bez znaczenia.

— No to z kim się spotkała w Płoskini?

— Z nikim. Tam zwinęła rower i pojechała dalej. Nie mogliśmy śledzić jej samochodem. Trochę potrwało, aż znaleźliśmy kogoś, kto by nam użyczył dwa rowery. Ruszyliśmy za nią. Wiecie, dokąd pojechała?

— Do opuszczonego gospodarstwa — oznajmił Sokołow.

— Wcale nie. Do bazy wojskowej.

Posiniaczona twarz młodszego aspiranta stężała w wyrazie niedowierzania.

— Tam? Naprawdę pojechała do nich? Kurczę, przecież się ich bała. Podpułkownik przyłożył jej pistolet do głowy. Gdy ją stamtąd zabierałem, to odetchnęła z ulgą. I ona teraz do nich wróciła? Po co?

— Po telefon — odpowiedział spokojnie Sum.

Komisarz Jamróż przysunął sobie krzesło i usiadł przy kolegach. Na moment uniósł głowę, zerkając na żarówkę, która zalewała niewielkie pomieszczenie zbyt mocnym światłem. Odruchowo zmrużył oczy.

— Rozumiem, że można torturować podejrzanych światłem, ale dlaczego nas? Kaczki w tych swoich namiotach mają lepsze oświetlenie niż my tutaj.

— To dlatego nie oddali mi tego aparatu — odezwał się Sokołow. — Bo wiedzieli, że ona po niego wróci.

Inspektor kiwnął głową, zgadzając się z tym stwierdzeniem.

— Tylko dlaczego wolą go oddać jej, a nie nam? — zastanawiał się głośno Nikita.

— Tu może chodzić o kasę — oznajmił Jamróż. — Zorientowali się, że ten aparat jest ważny dla Tuszyńskiej, i oczekują, że go od nich wykupi.

Sokołow parsknął z oburzenia.

— No nie mów. Mieliby nam utrudnić śledztwo dla kilku stówek?

— Może to nie chodzi o kilka stówek, może Tuszyńska wykupi go za więcej. Jeśli to przemyt na dużą skalę, to może zaproponować kaczkom kilka tysięcy.

Nikita zadumał się, dotykając opuchniętej górnej wargi.

— Nie rozumiem, dlaczego założyliście, że Tuszyńska i jej kompan to przemytnicy. Może oni mieli w planach zupełnie inne przestępstwo.

— Jakie niby? — zapytał zaczepnie Dominik.

Młodszy aspirant wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— No to nie wymyślaj! W Braniewie przemytnik siedzi na przemytniku i przyjezdni to też przemytnicy. Trochę już tu mieszkasz, powinieneś o tym wiedzieć.

Inspektor wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował ramiona na piersiach. Lubił wygodnie siedzieć, ale na tych krzesłach się nie dało. To on najczęściej narzekał na wyposażenie nowej komendy, może dlatego, że pamiętał, z czego korzystali w starym budynku.

— Mój ojciec też przewoził przez granicę ruską wódę, a potem paliwo — oznajmił nagle.

Na wargach Nikity pojawił się cień uśmiechu.

— Twój ojciec? No nie pomyślałbym.

— Nie tylko on, ja też.

— Co ty też?

— Też jeździłem na przemyt z kumplami. Raz nawet spędziłem Wielkanoc na granicy, bo staliśmy prawie trzydzieści godzin w kolejce. Miałem wtedy ochotę pozabijać wszystkich strażników, specjalnie rozbierali co drugi wóz, wcale się nie spieszyli.

Sokół aż się wyprostował. Całe jego ciało wyrażało zdumienie.

— Ty parałeś się przemytem? Ty? Najbardziej ostry pies w całej komendzie? Nie wierzę.

— Nie tylko on, ja też — oznajmił Dominik.

— Ty też? Żartujecie?

Pokręcili przecząco głowami. Bujne włosy komisarza zafalowały, układając się w nową fryzurę.

— I teraz jesteście policjantami, i polujecie na takich jak wy?

Na zmaltretowanej twarzy młodszego aspiranta zaskoczenie mieszało się z oburzeniem.

— Nikita, ty tego nie zrozumiesz, ty nie jesteś stąd. Przymyt w Braniewie to norma, to tradycja, każdy musiał tego spróbować. Ja zostałem mrówką w wieku dziesięciu lat. — Na twarzy komisarza pojawiło się rozczulenie. — Mama zabierała mnie na przemyt. To były piękne czasy. Jeździliśmy

pociągiem do Kaliningradu. Myślę, że kilkaset paczek papierosów przewiozłem do Polski.

Sokołow patrzył na kolegów szeroko otwartymi oczami.

— Nigdy o tym nie mówiliście.

— Po co mówić o rzeczach, o których wszyscy wiedzą — mruknął inspektor.

— Ale jak wy się czujecie, gdy wchodzicie komuś na chatę i zabezpieczacie kilkaset butelek bez akcyzy?

Jamróż machnął z lekceważeniem ręką.

— Weź, Nikita, idź już do tego szpitala, niech coś ci dadzą na głowę.

Do pokoju zajrzała starsza posterunkowa Małek. Miała na sobie służbową kurtkę.

— Idziemy! No już, ruszaj się!

Sokół dotknął ran na czole i za uchem. Była w tym geście nadzieja, że nie będzie musiał korzystać z pomocy lekarza. Wolał zostać z kolegami, bo sprawa nabierała rozpędu.

— Idź! — polecił inspektor. — Niech ci prześwietlą czachę.

Młodszy aspirant wstał, przytrzymując się biurka.

— Dalej chcesz jechać po ten telefon?

— Nie. Teraz skupimy się na Tuszyńskiej. Niech się dziewczyna rozkręci. Odzyskała aparat. Na pewno niedługo z kimś się skontaktuje i umówi spotkanie. Zobaczymy, do kogo nas doprowadzi.

Sokół i Jamróż kiwnęli głowami na znak, że aprobują ten plan. Również Agata, nie do końca zorientowana w sprawie, przyjaznym spojrzeniem wyraziła uznanie dla pomysłu inspektora, a następnym stanowczym gestem nakazała młodszemu aspirantowi udać się za sobą.

— Zaraz wrócę — zapewnił Sokół i ruszył za policjantką.

— Jeśli lekarz będzie chciał cię położyć do łóżka, to masz się zgodzić! — zawołał za nim inspektor.

Drzwi się zamknęły. Jamróż przesunął grzbietem dłoni po kilkugodzinnym zaroście. Miał oczy zaczerwienione ze zmęczenia. Potrzebował kilku godzin snu.

— To niewiarygodne, że terytorialsi dopuścili się czynnej napaści na policjanta. Nie uważasz, że działają wbrew zdrowemu rozsądkowi?

Sum właśnie tak uważał, przytaknął więc.

— Co chcesz z tym zrobić?

— Nic.

— Nawet żadnej skargi do tej całej warmińsko-mazurskiej brygady?

Sum znowu potwierdził ruchem głowy. Jamróż nie mógł się pogodzić z taką postawą. Patrzył na kolegę z wyrzutem.

— Ale tu chodzi o napaść na policjanta na służbie.

— Dominik, czy ty naprawdę wierzysz, że za to zdegradują podpułkownika? Bo ja uważam, że Bukowiecki może spać spokojnie. Nikt mu nic nie zrobi, a przełożeni nawet będą go chronić. U nich dokładnie jak u nas.

Jamróż przetarł zmęczone oczy.

— Nie przeszkadza ci, że wpierdolili jednemu z naszych i jeszcze się śmieją?

— Przeszkadza, dlatego pomogę Sokołowi odegrać się na nich, ale mniej oficjalnie. — Sum wstał. — Kto ma na oku Tuszyńską?

— Dobrowolski jest w pobliżu bazy.

— Dobrze, że on. Solidny chłopak.

Komisarz też tak uważał, o czym świadczył jego przelotny uśmiech.

— Nie pozwoliłem mu podchodzić bliżej, żeby któryś z tych narwańców nie zaczął do niego strzelać. Da mi znać, gdy tylko Tuszyńska ruszy się z bazy. Drugi funkcjonariusz został w Płoskini. Ma być gotowy na wypadek, gdyby trzeba było użyć samochodu.

— A co z billingami?

Jamróż zamyślił się, jak gdyby usiłował przypomnieć sobie jakieś szczegóły.

— Co jest, Dominik? Co z tymi billingami?

— No właśnie wygląda na to, że żołnierze odebrali jedno połączenie, trwało ono prawie trzy minuty. Nie uważasz, że to dziwne?

To było dziwne. Przemycnicy ze wschodu, a prefiks wskazywał na Rosjan, oni byli bardzo ostrożni, nie rozmawialiby z kimś, kogo nie znają.

— Co jeszcze mówią nam billingi?

— Było jeszcze jedno połączenie, tym razem wychodzące. Wtedy Tuszyńska była już w bazie, no i wygląda na to, że to ona zadzwoniła pod ten ruski numer.

— Aha, czyli mogło już dojść do jakichś ustaleń. Pozostaje nam czekać na kolejny krok Tuszyńskiej. Myślę, że w ciągu paru godzin to nastąpi.

Jamróż wstał. Przeciągnął się leniwie, prezentując pod policyjną koszulą mięśnie byłego boksera.

— No to czekamy.

— Będę u siebie — mruknął inspektor i wyszedł z pokoju.

O tej porze na komendzie panowała cisza. Pusty korytarz, zalany intensywnym światłem, z pozamykanymi po obu stronach drzwiami wyglądał nieprzyjaźnie. Sum przymrużył oczy. Jamróż miał rację, powinno się coś zrobić z tym oświetleniem, bo aż bolało patrzeć. Akustyka też była tutaj fatalna. Wsłuchiwał się w swoje własne kroki rozbrzmiewające głucho i z irytującym echem, jak gdyby przemierzał jakąś halę. Nigdy nie przekonał się do nowego budynku. Czuł się źle w zbyt jasnych pomieszczeniach, urządzonych niepraktycznie. Wszedł do swojego pokoju, który cechowała nijakość, jak większość pomieszczeń na komendzie. Dobrze, że chociaż komputery się nie zawieszały jak dawniej.

Usiadł za biurkiem. Uwierała go myśl, że to nie jest jego miejsce. Ten budynek i to krzesło, a przede wszystkim kraj, w którym jedni obywatele w mundurach napadali na innych obywateli w nieco innych mundurach. Wolałby znaleźć się w przestrzeni wielkiej i wolnej od układów, nacisków i ludzkich wad. Wyobraźnia natychmiast wytworzyła obraz jachtu z białą burtą odcinającą się od zielonkawej wody i lśniącym na niebieskim tle nieba trójkątnym żaglem. Powinien teraz płynąć wzdłuż zachodniego brzegu Afryki i delektować się słońcem, a przede wszystkim spokojem.

Odszukał w kontaktach numer do laboratorium kryminalistycznego. Było po osiemnastej, ta placówka zakończyła już swoją działalność, ale pracownik dyżurny o tej porze jeszcze odbierał telefony. Sum nie miał dużej nadziei, że któryś z wysłanych rano dowodów został już zbadany, ale warto sprawdzić, tym bardziej że ich zlecenie otrzymało status priorytetowy, bo wydarzenie nosiło znamiona przestępstwa zagrożonego najwyższym wymiarem kary. Podał numer swojej legitymacji i numer zlecenia, po czym cierpliwie czekał na odpowiedź. Po chwili pracownik dyżurny oznajmił, że ma wynik jednego z dowodów i podał oznaczenie z metryczki. Inspektor nie pamiętał, co to był za dowód, przysunął więc klawiaturę i pospiesznie wpisał numer. Chodziło o ślady GSR zabezpieczone na dłoniach ofiary. Poprosił o odczytanie wyniku. Pracownik laboratorium beznamiętnym głosem oznajmił:

— Stwierdza się brak prochu powystrzałowego.

Inspektor podziękował i się rozłączył. Dopiero teraz dotarła do niego cała niepokojąca wymowa tego wyniku. Zlecił zabezpieczenie śladów GSR po tym, gdy znaleźli w słupku przy drzwiach kierowcy pocisk i gdy powąchał lufę walthera i poczuł ostrą woń prochu. Ktoś z tego pistoletu strzelał

dzisiaj rano i na pewno nie był to mężczyzna z golfa, bo on nie miał na dłoniach prochu powystrzałowego. Konkluzja nasuwała się sama, podpułkownik albo major oddali ten strzał, aby uwiarygodnić wersję z kierowcą celującym do żołnierza.

Wstał z krzesła. Chciał iść do komisarza Jamroza, aby poinformować go o wyniku badania śladu GSR. Cofnął się od drzwi, bo odezwał się telefon na biurku. Dzwonili z zakładu medycyny sądowej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. W ciągu dwudziestu lat służby wysłał tam trochę trupów i nigdy nikt się stamtąd nie kontaktował. Przyszło mu do głowy, że popełnili jakiś błąd w papierach, w zleceniu, może parafki zabrakło w jakimś ważnym miejscu i teraz tam w zakładzie boją się, że nie dostaną kasy za swoją robotę, dlatego dzwonią. Mężczyzna poinformował, że przekazuje słuchawkę profesor Kamińskiej.

— Dzień dobry, inspektorze.

Sum kierowany policyjnym instynktem przeanalizował właściwości osobnicze usłyszanego głosu. Profesor była po pięćdziesiątce i miała przepracowany aparat mowy, bo niektóre sylaby padające z jej ust traciły naturalną dźwięczność.

— Mam na stole zwłoki z odstrzeloną górną częścią czaszki.

Umilkła, jak gdyby czekała na jakiś komentarz z jego strony.

— Coś jest nie tak z tymi zwłokami? — zapytał, czując, że problem nie będzie leżał w dokumentach, lecz w obiekcie sekcji.

— Podstawowa kwestia budzi wiele wątpliwości — oznajmiła, próbując przewyciężyć afonię swojego aparatu mowy. Odchrząknęła. — To jedna z moich ciekawszych sekcji ostatnich lat.

— Mówi pani o ustaleniu przyczyny śmierci? Nie da się potwierdzić, że zginął od postrzału?

— Nie o to mi chodziło. Ten mężczyzna na pewno zginął od postrzału, ale nie jestem pewna, od którego.

Inspektor Sum przysiadł na brzegu biurka. Robiło się ciekawie.

— Pani profesor, czy chce pani powiedzieć, że ten człowiek oberwał dwie kule?

— Tak, właśnie to chcę powiedzieć. Z lewej strony głowy jest duży postrzał, który doprowadził do oderwania sporego fragmentu czaszki. W ranie wlotowej nie ma oparzenia i strefy osmolonej.

Sum zestawiał te informacje z wiedzą pozyskaną podczas oględzin, do której profesor Kamińska nie miała dostępu, a która mogła się okazać

kluczowa dla interpretacji faktów z sekcji.

— Pani profesor, ten strzał padł przez szybę samochodową.

— Domyśliłam się tego. W czaszce znalazłam fragmenty pocisku, co wskazuje na to, iż się rozpadł, trafiając po drodze na jakąś przeszkodę, tą przeszkodą jest zwykle karoseria albo szyba samochodowa. No i szyba rzeczywiście mogła uchronić ranę przed oparzeniem i osmoleniem.

Kamińska zrobiła pauzę. W słuchawce rozległ się szelest przekładanych kartek. Inspektor czekał na sedno rozmowy, bo przecież to, co do tej pory mu powiedziała, nie było niczym wyjątkowym.

— A co z tym drugim postrzałem? — zagadnął, nie doczekawszy się ciągu dalszego.

— No właśnie po przeciwnej stronie czaszki niż strzał z karabinu znalazłam wbite pod wewnętrzną powierzchnię skóry nadpalone cząsteczki prochu. Zaobserwowałam też oparzenia. Wskazuje to na postrzał z broni krótkiej z przyłożenia.

— Ale pocisku z tej broni pani nie znalazła w czaszce ofiary?

— Nie znalazłam.

Sum przygryzł dolną wargę. Nabój dziewięć milimetrów wyjęli ze słupka w golfie, a łuskę znaleźli za fotelem pasażera. Wiedzieli, że ktoś strzelał w samochodzie, ale nie mieli pojęcia, że pocisk trafił w głowę kierowcy. Rana po karabinowej kuli wyrzuconej z lufy z prędkością osiemset dziewięćdziesiąt metrów na sekundę zrobiła takie spustoszenie w czaszce mężczyzny, że nie zauważyli rany po wcześniejszym postrzale. Nie dostrzegł jej też medyk sądowy dokonujący oględzin zwłok na miejscu zdarzenia. Dopiero Kamińska była w stanie to stwierdzić.

— Inspektorze, mam problem z ustaleniem, od którego strzału zginął ten człowiek. Na pewno żył, gdy strzelano do niego z broni krótkiej. Wskazują na to oparzenia na skórze. Przypominam panu, że oparzyć się może tylko żywy człowiek. Nie mam jednak pewności, czy ten strzał go zabił. Nie każde postrzelenie w głowę jest śmiertelne, a w tym wypadku pocisk mógł pójść górną częścią czaszki, choć na to nie mamy dowodu, bo nie da się odtworzyć toru kuli, ale jeśli tak było, to prawdopodobieństwo przeżycia jest spore. A co za tym idzie, nie wiemy, czy ten ktoś z karabinem strzelał do trupa, czy do żywego człowieka. Obawiam się, że nie będę w stanie tego stwierdzić. — Kamińska westchnęła, jak gdyby chciała podkreślić wagę swoich słów. — Oficjalny raport z sekcji dostaniecie dopiero za pięć dni.

Dlatego dzwonię teraz, żeby uprzedzić, że powinniście brać pod uwagę dwie strzelające osoby.

Niemal usłyszał uśmiech w jej głosie. Podziękował za informację i odłożył słuchawkę. No to się narobiło, pomyślał. Oprócz kaprała Derkacza ktoś inny też strzelił do kierowcy golfa. Mógł wykluczyć strzał samobójczy, bo ofiara nie miała na dłoniach prochu powystrzałowego. Kandydat na sprawcę był tylko jeden, Magdalena Tuszyńska. Terytorialsi przyłapali ją dosłownie na gorącym uczynku. Uciekała z golfa, trzymając walthera w rękę, bo kilka minut wcześniej zastrzeliła swojego towarzysza. To ona celowała do żołnierza, może nawet planowała go zabić, bo to nic fajnego być przyłapaną ze zwłokami w jednym samochodzie, tym bardziej że trup miał dziurę w głowie, a ona pistolet w dłoni. Miała ogromne szczęście, że kapral Derkacz strzelił do kierowcy. Odsunęło to od niej podejrzenia, przynajmniej na kilkanaście godzin, a gdyby nie telefon profesor Kamińskiej, to przez kilka dni mogłaby uchodzić wyłącznie za świadka zdarzenia.

Wyszedł z pokoju i dużymi krokami pokonywał korytarz. Dominika Jamroza znalazł w pomieszczeniu socjalnym. Komisarz jadł jogurt z plastikowego kubeczka. Przed nim leżał tablet, na którego wyświetlaczu migał ruchomy obraz.

— Żona przysłała mi filmik, jak nasza córka myje talerz. Dzielna dziewczynka, ona ma dopiero sześć lat, a już bierze się za zmywanie. Mówię ci, Krystian, nic nie daje takiej radochy i kopa do działania jak dzieciaki.

— Gdzie jest teraz Tuszyńska?

— Dalej w bazie. Do Dobrowolskiego dołączył jeszcze jeden funkcjonariusz. Co dwie pary oczu, to nie jedna.

Sum oparł się o futrynę, jak gdyby szykował się do kumpelskiej pogawędki.

— Zadzwoiła do mnie Kamińska z zakładu medycyny sądowej.

W oczach Dominika pojawiło się szczere zaciekawienie.

— Co chciała?

— Właśnie ma na stole kierowcę golfa i ustaliła, że zanim czaszkę rozwaliła mu kula z karabinu, zrobił to strzał w głowę z broni krótkiej.

Komisarz zgniatał pojemniczek po jogurcie. Cichy trzask typowy dla cienkiego plastiku urwał się nagle.

— Co?

— To, co usłyszałeś. Kapral Derkacz prawdopodobnie strzelił do trupa, a pistolet, który widział wymierzony w siebie, musiała trzymać Tuszyńska.

Jamróż podniósł się z za stołu. Jego zaokrąglona twarz ze złamanym nosem wyrażała szczere zaskoczenie.

— To ona zastrzeliła kierowcę? Przecież to bibliotekarka. Aż strach iść książkę wypożyczyć. Co teraz robimy?

Inspektor milczał. Obserwacja Tuszyńskiej mogła doprowadzić ich do grubszego przemytu. Z drugiej strony, mieli podejrzaną o popełnienie morderstwa przy użyciu broni palnej, należało ją zatrzymać i przesłuchać w tej sprawie. Mogli zastosować artykuł dwieście czterdziesty czwarty kodeksu postępowania karnego.

— Dlaczego go zastrzeliła? — zastanawiał się komisarz, chodząc po niewielkim pomieszczeniu i machinalnie przywracając porządek. Wyrzucił do kubła pojemniczek po jogurcie, do szafki schował pudełko z kawą, cały czas mamrotał pod nosem: — Coś mi tu nie pasuje. Zabijając go, naraziła się na wpadkę. — Nagle zatrzymał się przed Sumem. — Wydaje mi się, że powinniśmy po nią jechać do bazy.

Inspektor przytaknął. Też doszedł do tego wniosku. Nie mogą ryzykować, że sprawczyni morderstwa im ucieknie.

Rozdział II

JECHALI POLICYJNĄ OSOBÓWKĄ w stronę Płoskini. Inspektor postanowił, że wjadą na teren bazy dwoma samochodami. Drugi radiowóz czekał na nich zaparkowany przy lesie. Przyhamowali kilkaset metrów przed celem. Drzwi się otworzyły i na tylne siedzenie wsunął się sierżant Dobrowolski. Energicznie zacierał ręce. Komisarz podał mu kamerę.

— Będziesz rejestrował zatrzymanie podejrzaney.

— Dominik, chyba żartujesz? Tym muzealnym eksponatem mam nagrywać po ciemku? Nasze telefony dadzą lepszy obraz.

— Przymknij się, Dobrowolski! — polecił Sum życzliwym tonem, bo przecież uwaga sierżanta była słuszna. — Masz jedynie z kamerą na ramieniu robić dobre wrażenie. Nie martw się, nikt twojego dzieła filmowego nie będzie oglądał.

Powoli wjechali na teren bazy. Reflektorami wydobywali z ciemności kształty namiotów i pojazdów wojskowych. Zatrzymali się pośrodku i wysiedli. Kierowcy pozostali w samochodach. Silników nie wyłączyli, co miało oznaczać, że nie przyjechali tu na długo.

Inspektor i komisarz ruszyli w stronę kantyny. Za nimi podążał sierżant Dobrowolski z kamerą i dwóch funkcjonariuszy. Sum miał nadzieję, że prezentują się profesjonalnie, a tym samym budzą respekt. To był błąd, że Sokół przyjechał tutaj sam po ten telefon. Nagle z ciemności wyłonił się żołnierz, podszedł do nich bardzo blisko. Inspektor rozpoznał te niepokojące czarne oczy. Widział je parę godzin temu, gdy w sypialni terytorialsów szukał kaprała Derkacza. Wtedy ten żołnierz jako jedyny nie brał udziału w prowokacji mającej wyprowadzić policjanta z równowagi. To też przed tym terytorialsem przestrzegał go Sokół, mówiąc, że on kopie, jak gdyby trenował sztuki walki.

— Po co przyjechaliście? — zapytał sierżant, bez zaczepki czy agresji w głosie.

— Po Magdalenę Tuszyńską — odpowiedział Sum. — Wiemy, że tu przebywa.

— Może przebywa, może nie. Ja na ten temat nic nie wiem.

— To może podpułkownik będzie wiedział? — zagadnął Jamróz. — To w końcu dowódca, powinien się orientować, czy na terenie bazy wojskowej przebywa cywil.

— Zapytam podpułkownika. Poczekajcie tutaj!

Sierżant zwrócił się do nich życzliwie niczym do kolegów. Inspektor był pewien, że jest to zasługa kamery trzymanej przez Dobrowolskiego. Terytorialsi bali się kompromitacji, a policyjne nagranie mogło im to zapewnić. Krótco czerpał satysfakcję z faktu, że zabrał ze sobą kamerę. Po kwadransie zrozumiał, że żołnierze, zmuszając ich do czekania, zdołali pokazać, kto tu ma władzę.

— Idziemy! — rzucił do czterech towarzyszących mu policjantów.

Siłą woli tłumił kipiące w nim zdenerwowanie. Arogancja żołnierzy stawiała się trudna do zniesienia. Zamierzał wkroczyć do namiotu, w którym zniknął sierżant. Prawdopodobnie był to namiot dowódcy, bo wisiała przed nim jakaś flaga. W ciemnościach nie widział, co się na niej znajduje. Nie zdążyli tam wejść, drogę zastąpił im podpułkownik Bukowiecki. Trzymał papierosa w dłoni, co sprawiało wrażenie, że wyszedł na dymka, a nie po to, żeby ich powitać. Gęsty półmrok zdawał się zwielokrotniać wymiary jego ciała. Rogatywka unosiła się wysoko nad ziemią, a żarząca się końcówka kiepa zbliżała się ku niewidocznym ustom.

— O! To znowu wy — wymamrotał niewyraźnie, trzymając papierosa między wargami. — Zabłądziliście w lesie? Mamy wam pomóc znaleźć drogę?

Podpułkownik był nastawiony bojowo. Zapewne spodziewał się odwetu za napad na młodszego aspiranta Sokołowa. O dziwo, konfrontacyjna postawa Bukowieckiego uspokoiła Suma. Powtórzył sobie w myślach dewizę, do której tak trudno było mu się stosować: najpierw trzeba zapanować nad sobą, aby zapanować nad sytuacją. Postanowił rozbroić podpułkownika spokojem i grzecznością.

— Przywozimy dobre wieści, głównie dla kaprała Derkacza, ale także dla pana.

— Prokurator zamknęła śledztwo?

— Nie mogła tego zrobić, bo dokumentacja do niej jeszcze nie trafiła. Dobra wiadomość jest taka, że akt oskarżenia nie zostanie skierowany przeciwko kapralowi, bo to nie on zastrzelił kierowcę golfa.

Żarząca się końcówka papierosa wystrzeliła w górę wraz z dłonią.

— A kto?

Spora dawka zaskoczenia mieściła się w tym krótkim pytaniu.

— Magdalena Tuszyńska jest podejrzewana o zastrzelenie tego mężczyzny i na tę okoliczność chcemy ją przesłuchać. Wiemy, że przebywa na terenie bazy. Przyjechaliśmy po nią.

Za plecami Bukowieckiego ktoś się przesuwiał. W ciemnościach widać było czarną sylwetkę. Podpułkownik odchylił lekko głowę w bok i rozkazał:

— Tito, przyprowadź naszego gościa.

Postać znikła w wejściu do namiotu. Bukowiecki rzucił papierosa na ziemię i przydeptał ciężkim butem.

— To dobrze, że kapral Derkacz zostanie uwolniony od zarzutu o morderstwo. Taki rozgłos nie jest nam potrzebny, tym bardziej że za kilka dni przyjeżdża minister.

— W zupełności się z tym zgadzamy, taki rozgłos nie jest potrzebny służbom mundurowym — przyznał inspektor.

Stali przez chwilę w wieczornej ciszy potęgowanej przez ich oddechy i szum lasu. Z namiotu wyszedł sierżant Tito, za nim szła Magdalena Tuszyńska. Dopiero teraz w mroku, rozproszonym jedynie nikłym blaskiem gwiazd wyłaniających się fragmentami zza zachmurzonego nieba, widać było, jak bladą cerą obdarzyła ją natura.

— Co się stało? — zapytała takim tonem, jak gdyby wiedziała, że nie może chodzić o nic poważnego. — Podobno uważacie, że to ja zabiłam tego kierowcę. Tak mi powiedział sierżant. Czy to prawda?

Komisarz Dominik Jamróz wysunął się do przodu.

— Zarzuca się pani zastrzelenie mężczyzny o nieustalonej tożsamości na terenie opuszczonego gospodarstwa w Robuzach. W związku z tym czynem zostaje pani zatrzymana.

— A jednak... — mruknęła pod nosem, zakładając pasmo włosów za ucho. — Miałam nadzieję, że sierżant coś źle zrozumiał, bo przecież to niemożliwe, żeby policja była aż tak głupia.

— Przewieziemy panią do Komendy Powiatowej Policji w Braniewie — kontynuował komisarz. — Tam będzie mogła pani złożyć wyjaśnienie. Ma pani prawo do skorzystania z pomocy adwokata.

— Nigdzie nie jadę — oznajmiła stanowczo.

— Jeśli nie będzie pani chciała dobrowolnie udać się na komendę, doprowadzimy tam panią siłą.

Tuszyńska uniosła pięść w gniewnym geście.

— Nie dam się zrobić. Szukacie kozła ofiarnego, aby uratować tyłek tego kaprała. Wszyscy jesteście tacy sami.

— Zapraszamy panią do radiowozu. Tam sporządzimy protokół z zatrzymania, będzie pani mogła dołączyć do niego swoje oświadczenie.

Odwróciła się do nich plecami, jak gdyby chciała wejść do namiotu. Komisarz stał już przy niej i trzymał za łokieć. Sierżant Dobrowolski przesunął się nieco w bok, żeby mieć lepszy kadr.

Nagle w ciszy nocy rozległ się charakterystyczny dźwięk. Ktoś za ich plecami przeładował broń. Inspektor Sum się obrócił, kamerzysta i dwaj pozostali funkcjonariusze również. Zobaczyli wyłaniającego się z ciemności kaprała Derkacza z wycelowanym w nich karabinem. Gęsty mrok nie pozwolił dostrzec, czy jego palec spoczywał na spuście, ale i tak zrobiło się nieprzyjemnie.

— Opuść broń! — polecił inspektor. — Już powinieneś się nauczyć, że zbyt pochopne celowanie do ludzi nie prowadzi do niczego dobrego.

Kapral nie opuścił karabinu, przesunął jedynie lufą w lewo i prawo, jak gdyby się zastanawiał, którego policjanta odstrzelić jako pierwszego. Sum spojrzał na podpułkownika, oczekując na natychmiastową reakcję. Ten jednak zdawał się nie widzieć niepokojącej sytuacji z żołnierzem. Bardziej interesowało go zamieszanie wokół Magdaleny Tuszyńskiej. Dziewczyna schowała się do namiotu, a sierżant Tito stał w wejściu, uniemożliwiając komisarzowi Jamrozowi zatrzymanie podejrzanej. — Ta pani zostaje u nas — oznajmił stanowczo podpułkownik.

Inspektor nie dowierzał. Zachowanie dowódcy batalionu lekkiej piechoty było bezsensowne. Bukowiecki wziął pod swoje skrzydła kobietę podejrzewaną o morderstwo. Dlaczego? Czy to chodziło tylko o żołnierską butę, żeby pokazać, kto tu więcej może?

Komisarz Jamróz cofnął się o krok i służbowym tonem informował:

— Zgodnie z artykułem sześćdziesiątym piątym kodeksu wykroczeń, kto uniemożliwia bądź istotnie utrudnia policji wykonanie czynności służbowych, podlega karze aresztu, ograniczenia wolności albo grzywny.

Bukowiecki lekceważącym gestem wsadził dłonie do kieszeni.

— No dobra, zapłacimy tę grzywnę. Stać nas na to. A w tej chwili wydaje mi się, że wasz pobyt tutaj już się zakończył. Pakujcie się do samochodów.

Policjanci się nie ruszyli. W ciemnościach rozległy się ciche kroki. Nagle odgłos stąpania po wilgotnej trawie zaczął narastać, kilka par butów zamieniło się w kilkadziesiąt, tupaczy, szurały w charakterystycznym

dźwięku skradania się. Sum nie był strachliwy, ale dreszcz trwogi przebiegł mu po kręgosłupie. Tuż obok słyszał przyspieszone oddechy kolegów. Też czuli, że dzieje się coś niepokojącego. Dostrzegli ciemne sylwetki wyłaniające się z głębokiego cienia. Wyglądały groźnie, jak wyjęte z horroru. Pływały w mroku, wydając jedynie cichy szelest, jakby szum. Nie były nastawione pokojowo, o czym świadczyły ostre kształty luf wycelowane w policjantów. Inspektor z trudem uzmysławiał sobie, że widzi kilkudziesięciu terytorialsów z karabinami w dłoniach. Kurwa, co to jest? — zapytał samego siebie, czując gęstniejące napięcie. Trik z kamerą służbową, którą postanowił zabrać dla przymuszenia żołnierzy do wzorowego zachowania, wydał mu się naiwny. Ci ludzie coraz bardziej go przerażali.

— Wypierdalajcie stąd! — warknął Derkacz.

— Kapralu, nie tak ostro — zainterweniował sierżant Tito.

— Odprowadzić panów policjantów do samochodów! — rozkazał podpułkownik.

Coś zgrzytnęło w ciemnościach. Był to cichy, mechaniczny dźwięk, którego inspektor nie rozpoznawał, ale domyślił się, że któryś z terytorialsów mógł przełączyć na karabinie rodzaj ognia, z pojedynczego na ciągły. Żeby tylko któregoś z tych chłopaków nie poniosły emocje, bo zginał przeszyci kilkudziesięcioma kulami. Tę konfrontację należało przerwać.

— Idziemy! — rzucił Sum do kolegów.

— Słuszna decyzja — oznajmił podpułkownik z wyraźną satysfakcją.

Tryumfował.

Inspektor miał ochotę powiedzieć coś o pajacach poprzebieranych za żołnierzy, ale sobie darował. Jeszcze przyjdzie czas, że się odegra. Szli odprowadzani przez konwój mundurowych. Na przodzie maszerował kapral Derkacz. To on odebrał sierżantowi Dobrowolskiemu kamerę, gdy dotarli do radiowozów. Dwóch żołnierzy trzymało kierowców na muszce. Wsiedli w milczeniu i ruszyli.

— Ja pierdołę, myślałem, że nas zastrzelą — odezwał się jako pierwszy Dobrowolski. — Oni są, kurwa, pojebani.

Funkcjonariusz siedzący za kierownicą zerkał w boczne lusterko, jak gdyby obawiał się, że żołnierze za nimi pojadą. Drugi radiowóz jechał przed nimi ze zbyt dużą prędkością nieodpowiednią do leśnej drogi i panujących

ciemności. Zapewne kierowca był zdenerwowany i jak najszybciej chciał opuścić okolice bazy wojskowej.

— Broń w rękach wariatów — mruknął komisarz Jamróż. — Boże drogi, dali bron modułową cywilom, którzy od święta bawią się w wojsko. A my na komendzie mamy tylko walthery.

— Zdaje mi się, że jednego z nich rozpoznałem — odezwał się Dobrowolski. — Nazywa się Jacek Sanocki. Chodził z moim młodszym bratem do liceum. Wyrzucili go, bo uderzył z główki nauczyciela. On teraz pracuje na stacji benzynowej na Królewieckiej, przynajmniej tam go widziałem kilka tygodni temu. Kurwa! Straciliśmy kamerę! Komendant pojedzie nam po premii.

Inspektor jednym uchem słuchał kolegów i zastanawiał się, dlaczego podpułkownik Bukowiecki uniemożliwił im zabranie Magdaleny Tuszyńskiej.

— Zatrzymaj się! — rzucił do kierowcy.

Radiowóz stanął.

— Co chcesz zrobić? — zapytał Dominik.

— Wysiąść.

— Ale po co?

— Rozejrzę się.

— Idę z tobą — oznajmił komisarz.

— Nigdzie nie idziesz. We dwóch za dużo hałasu narobimy. Czekaj na mnie w Płoskini, drugi radiowóz odeślij do Braniewa.

Zamknął drzwi i przez chwilę patrzył na odjeżdżający samochód, na tylne światła uciekające w ciemność.

Dlaczego podpułkownik uniemożliwił im zatrzymanie Magdaleny Tuszyńskiej? Wydawało mu się, że znalazł odpowiedź na to pytanie i była ona dość prosta. Dziewczyna zamieszana była w przemyt. Bukowiecki na pewno też już się tego domyślił i postanowił zarobić raz a dobrze. Prawdopodobnie planował przejąć kontrabandę, a potem przy pomocy zaufanych żołnierzy rozprowadzi towar albo, co bardziej prawdopodobne, zaproponuje przemytnikom jego wykup. Tuszyńska nie ma teraz wyboru, musi zgodzić się na współpracę z żołnierzami, bo jedyną alternatywą jest cela w policyjnym areszcie.

Inspektor Sum wyłączył telefon. Zbliżał się już do leśnej drogi prowadzącej na teren bazy. Tam na końcu stał wartownik, należało go wyminąć. Postanowił iść lasem wzdłuż drogi, w odległości trzydziestu

metrów od niej. Wszedł między drzewa. Owionął go przejmujący chłód. Wzdrygnął się. Ściółka była wilgotna i lekko ugiwała się pod jego butami, nie wydając żadnego dźwięku. Musiał tylko uważać, aby nie nastąpić na gałąź, która mogłaby pęknąć pod jego butem i zaalarmować wartownika. Niewiele widział, prawie nic, dlatego posuwał się wolno. Nasłuchiwał też odgłosów lasu, bo nigdy nic nie wiadomo, terytorialsi choćby z nudów mogli kręcić się po okolicy. Słyszał jedynie pohukiwania sów. Raz tuż nad jego głową rozległ się głośny trzepot skrzydeł. Pokonał już jakieś trzysta metrów, znajdował się więc bardzo blisko bazy. Drzew w tym miejscu było mniej, co też dowodziło, że zaraz wyjdzie na polanę, na której stało szesnaście wojskowych namiotów. Nagle gdzieś w oddali usłyszał męskie głosy i śmiech.

Poczuł w mięśniach narastające napięcie, a pod butem twardszą powierzchnię. To już nie była ściółka. Właśnie wyszedł z lasu. Po kilkunastu krokach dostrzegł kształt namiotu i poblask wydobywający się z okrągłych otworów okiennych zlokalizowanych w ścianach bocznych. Większość tych otworów była zasłonięta siatkami, ale światło i tak się wydostawało na zewnątrz. Inspektor niemal przykleił się do gładkiej ściany. Robiło mu się gorąco i zimno na przemian. Wciągał powietrze do płuc otwartymi ustami. Płytkie hausty, żeby tylko oddech był równy. Przesuwał się wzdłuż namiotu. Nie liczył na to, że usłyszy jakieś głosy z wnętrza, to było niemożliwe, bo tkanina była gruba, szczelna, impregnowana. Dotarł do końca konstrukcji i wychylił się. Przed sobą miał centralną część bazy, tu stały pojazdy i stąd można było wejść do każdego namiotu. Nikogo nie dostrzegł, poczuł jedynie woń pieczonego mięsa. Terytorialni jedli kolację, może niebawem wyjdą na papierosa albo po prostu się przewietrzyć. Czekał. Minuty mijały, a jemu się zdawało, że jakaś zewnętrzna siła odbiera mu pewność siebie, a w zamian wtlacza w głowę niepokój. To zdarzenie z celującymi do nich żołnierzami zrobiło swoje, a teraz jeszcze ta ciemność zdawała się mieć moc destrukcyjną. Był psem, którego wielu się bało, a on zwykle nie czuł lęku. A teraz... Kurwa, wszystko przez tych pseudożołnierzy i aroganckiego podpułkownika.

Po kwadransie do jego uszu dobiegł dźwięk przytłumionych kroków, a potem charakterystyczny odgłos wydobywający się z głośnika telefonu. Jakiś żołnierz oglądał filmik na komórce. Sum wychylił się zza ściany i zobaczył pochyloną sylwetkę terytorialsa. Po jakimś czasie dołączył do

niego kolejny żołnierz i nastąpiło to, na co czekał, mężczyźni zaczęli rozmawiać.

— Podpułkownik to ma jaja.

— No, ma.

— Psiarze mogą mu podskoczyć.

— No, mogą.

— Też bym tej Rudej nie oddał psom. Niezła jest. Ciekawe, czy już zrobiła loda podpułkownikowi.

— No, ciekawe.

— Jak myślisz, srali w gacie, gdy do nich mierzyliśmy z karabinów?

— Myśle, że tak, nawet coś mi zaśmierdziało.

Rozległ się gromki śmiech. Terytorialsii cieszyli się jak dzieci ze zwycięskiej konfrontacji z policją.

— Miałem ochotę podejść do tego psa z wredną mordą i mu przyłożyć lufę do czoła.

— Który to?

— Ten stary, ma kretyńskie nazwisko: Sum. To największy kutas w policji. Parę lat temu załatwił mojego starego. Wpadł do nas na chatę i zabrał nam cztery wilczury, a potem musieliśmy się tłumaczyć w sądzie z nielegalnej hodowli psów. Ścierwo, zajebałbym go, gdyby mi podpułkownik pozwolił.

Sum uśmiechnął się nerwowo. Nie wszyscy mieszkańcy Braniewa i okolicznych wsi go lubili, ale nie od tego był, żeby go lubiano. Poza tym, jeśli miał być szczery, też nie pałał sympatią do tutejszych ludzi, może dlatego tak łatwo przychodziło mu wszczynanie dochodzeń i sporządzanie aktów oskarżenia, na podstawie których prokuratorzy kierowali sprawy do sądu. Zwyczajnie nie wypadało im zamykać dochodzeń, do których ktoś się tak sumiennie przyłożył. Nie dało się ukryć, że mocno przyczynił się do wielu wyroków skazujących wydanych w Sądzie Rejonowym w Braniewie.

Po kilku minutach do dwóch terytorialsów dołączyło trzech kolejnych. Nadal głównym tematem ich pogawędki był inspektor Krystian Sum.

— Ten chuj zarekwirował moim rodzicom kilka kanistrów paliwa, że niby nim handlowali. Jakie handlowanie? Ja się pytam. Komu mieliby je niby sprzedać? Przecież jeśli ktoś chce na ruskim jeździć, to sobie sam pojedzie i przywiezie.

Pozostali terytorialsii przyznali rację mówiącemu. Inspektor coraz bardziej się niecierpliwił, bo żołnierze nic nie mówili o swoich dowódcach,

a na to liczył, po to tu przyszedł, aby coś o nich usłyszeć. Kolejny z mężczyzn zaczął opowiadać, jak to jego kumpel z Fromborka podczas nalotu policji schował dopalacze do słoika z majonezem i te tępaki ich nie znalazły.

Sum nagle oderwał się od ściany namiotu i powoli się cofał. Wystarczy tego podsłuchiwanie. To, co miał usłyszeć, już usłyszał. Dowiedział się, że policjanci to tępaki. Rzeczywiście zasłużyli na to miano, skoro nie sprawdzili słoika z majonezem. On też był tępakiem, bo torba z żywnością znaleziona w golfie nie wzbudziła jego podejrzeń. Kanapki, kiełbasa i słoik z dżemem. W policyjnym warsztacie rozebrali cały samochód, ale tych produktów nie sprawdzili. Poważny błąd.

Para unosiła się z jego ust przy każdym oddechu. Był już przy pierwszej linii drzew. Spieszył się. Gałązka trzasnęła mu pod butem, potem kolejna. Zaklął w duchu. Znajdował się jeszcze zbyt blisko bazy, aby pozwolić sobie na hałasowanie. Nagle usłyszał jakiś szelest. Mimo przejmującego chłodu zrobiło mu się gorąco. Strach dawał o sobie znać, choć daleki był od panicznego lęku. Wolałby nie wpaść w ręce terytorialsów, z których wielu żywiło do niego uzasadnioną nienawiść. Nasłuchiwał lasu, czekając na kolejny szelest albo na atak. Rozległ się cichy dźwięk. Tym razem go rozpoznał. To był woreczek foliowy, zapewne uwięziony w gałęziach i poruszany przez wiatr. Odetchnął. Był bezpieczny. Ruszył dalej, po kilku krokach dotarło do niego, że wiatr jest zbyt słaby, aby tak mocno szarpać folią. Zatrzymał się. Strach drobnymi pajęczkami przebiegł mu po karku. Skierował wzrok w stronę, skąd dochodził szelest. Za bardzo skoncentrował się na obserwacji i zbyt późno zauważył, że ktoś go zachodzi od tyłu. Wielki ciężar spadł mu na plecy. Runął na ziemię, a na niego człowiek, który go zaatakował. Ucisk na krtani odbierał mu oddech. Tamten go przyduszał przedramieniem, trochę zbyt mocno. Starcie fizyczne zablokowało lęk. Teraz tylko jasna ocena sytuacji i konkretne działanie. Inspektor wiedział, co robić, żeby wyjść cało. Nie szarpał się, nie bronił. Chciał napastnika oszukać zupełną biernością. Udało się, bo uścisk na gardle zelżał. Gdy mężczyzna na nim usiadł, zamierzał już wykonać gwałtowny obrót ciałem, aby go z siebie zrzucić, ale instynkt mu podpowiadał, aby czekać. I słusznie. Po chwili napastnik się podniósł. To wtedy policjant się obrócił, jednocześnie podciągając ciało w górę i wyprowadzając mocne kopnięcie. Trafił zbyt wysoko, bo w brzuch. Mężczyzna zgiał się wpół i zaczął charczeć. Potem padł twarzą do ziemi

i ucichł. Kopnięcie było mocne, ale nie na tyle, aby pozbawić życia. Sum przez chwilę się wahał. Wyciągnął jednak walthera i podszedł do napastnika. Przyłożył lufę do jego karku i odbezpieczył broń. Jeśli tamten był przytomny, to powinien zareagować. Mężczyzna nie drgnął. Inspektor schował broń i pochylił się mocniej, chcąc przekręcić go na plecy. Zrobił to z niemałym wysiłkiem. Miał już szukać tętna na szyi, ale wtedy otrzymał cios w szczękę. Zanim zdołał zareagować, napastnik stanął na nogach. Sum poczuł zimne ostrze przebijające skórę nad obojczykiem i wsuwające się w ciało. Złapał przeciwnika za nadgarstek i pociągnął w tył, wyjmując czubek noża ze swojej szyi. Nogi mu się ugięły. Nie miał pewności, czy to z emocji, czy w wyniku odniesionej rany. Mężczyzna próbował wyszarpnąć rękę z uścisku. Inspektor wykręcił mu ją i odepchnął od siebie. Usłyszał krótki jęk i poczuł, że tamten się osuwa. Nagle rozległo się głucho uderzenie ciała o ziemię. Po kilku niemiłosiernie długich sekundach dotarło do niego, że przeciwnik nie żyje. Wyjął telefon z kieszeni i uruchomił latarkę. Snop światła skierował na mężczyznę. Najpierw zobaczył mundur Wojsk Obrony Terytorialnej, a potem nóż wbity w sam środek gardła. Twarzy już nie dostrzegł, bo zgasił latarkę. Zabił człowieka, zaciukał żołnierza. To było niewiarygodne, wbrew logice, niezgodne z policyjnym profesjonalizmem. Dopiero teraz ogarnął go prawdziwy lęk.

Rozdział III

— Może jednak pójdziesz na SOR? — zaproponował komisarz Jamróz. — Nie będziesz musiał czekać. Policjanta rannego na służbie od razu opatrzą.

— Nie trzeba — warknął Sum.

— Sam namawiałeś Sokoła, żeby szedł do szpitala.

— U niego było podejrzenie wstrząsu mózgu, a u mnie to tylko niegroźna rana kłuta.

Inspektor odkleił opatrunek i ponownie użył antyseptyku. Krew się wciąż sączyła, ale o wiele mniej niż wtedy, gdy przed półgodziną wsiadł do radiowozu. Na szczęście mieli w samochodzie apteczkę, a w niej specjalistyczny opatrunek tamujący krwawienie i wchłaniający wysięk z rany. Wytarł ligniną stróżkę krwi i przykleił czysty plaster. Za kilka godzin zostanie tylko nieznaczne obrażenie.

— Powiesz mi, co się tam stało? Dowiedziałeś się czegoś? — Komisarz odsunął krzesło od stołu i usiadł naprzeciw kolegi. Ten nie spieszył się z wyjaśnieniami. — Jak na razie w starciu z kaczkami mamy same straty. Sokół w szpitalu, a teraz ty.

— Zapewniam cię, że oni mają większe straty.

— Czyli mam rozumieć, że oberwałeś, ale nie pozostałeś dłużny?

Inspektor spojrzał przelotnie na pudełko z kawą, potem na uchylone drzwi szafki.

— Zabiłem jednego z nich.

Jamróz nie uwierzył. Uśmiechnął się.

— Żartujesz?

— Nie.

— No chyba nie chcesz powiedzieć, że naprawdę zabiłeś żołnierza?

— Ja to już, kurwa, powiedziałem. Zabiłem jednego z nich.

Umysł komisarza bronił się przed tą straszną informacją, ale twarde spojrzenie inspektora mówiło mu, że to prawda.

— Jak to się stało?

— Już się wycofywałem. Straciłem czujność. Rzucił mi się na plecy. Na początku sobie z nim poradziłem, ale on wyciągnął nóż. Wykręciłem mu rękę i z całej siły odepchnąłem. Chciałem go jeszcze unieszkodliwić

mocnym kopnięciem, ale on wtedy padł. Nawet mi do głowy nie przyszło, że mógłby się nadziać szyją na ostrze.

Dominik włożył dłonie we włosy i zacisnął na nich palce.

— Kurwa, ale się narobiło — jęknął.

Czuł strach pełzający po kręgosłupie ku górze. Żeby tylko nie zagnieździł mu się w głowie i nie odebrał możliwości racjonalnego myślenia. Takiego przypadku jeszcze na komendzie nie mieli. Żaden z funkcjonariuszy nie przyczynił się do nieumyślnego spowodowania śmierci. Niestety, ten pierwszy raz zapowiadał się bardzo źle, bo ofiarą był żołnierz, a nie awanturujący się recydywista.

— Którego z nich zabiłeś?

— A skąd mam to wiedzieć? Myślisz, że mi się przedstawił?

— Ale chyba nie był to podpułkownik ani major?

Sum parsknął nerwowym śmiechem.

— Gdyby podpułkownik rzucił mi się na plecy, tobym już nie wstał. Tylko na moment włączyłem latarkę w telefonie, ale twarzy nie zdążyłem zobaczyć.

— To zapewne wartownik.

— Nie sądzę. On był bez karabinu, a wartownik musiałyby mieć przy sobie broń.

— Bez karabinu? To dziwne, przecież oni wszyscy cały czas chodzą z bronią podczas ćwiczeń.

— Może gdzieś je odkładają na czas kolacji. Myślę, że musiał mnie przyuważyć, gdy się wycofywałem z bazy, i poszedł za mną. To, kurwa, musiał być jakiś dzieciak, to głównie małolaty bawią się w tę całą śmieszna obronę.

Komisarz się podniósł. Po chwilowym marazmie spowodowanym szokiem i lękiem był gotów do działania. Wiedział, co robić.

— Wstawaj! Jedziemy na SOR. Lekarz musi potwierdzić, że zostałeś zaatakowany nożem. Zaraz zawiadomię bliźniaków. Niech przyjadą i zdejmą z ciebie ślady tamtego żołnierza. Będziemy mieli dowód, że cię napadł. Broniłeś się.

Sum wciąż siedział i patrzył na kolegę z lekką kpina w wykrzywionych ustach.

— Co ty, Dominik, pierdolisz? Policjant wchodzi późnym wieczorem na teren bazy wojskowej i zabija żołnierza. Chcesz z tego zrobić obronę konieczną? Myślisz, że się da?

Jamróż przyznał, że źle to wygląda. Przewidywał ogromne problemy, ale nie mieli innego wyjścia. Musieli podjąć wszelkie kroki przewidziane przepisami prawa, które mogłyby im pomóc.

— Masz lepszy pomysł?

— Tak. Za jakiś czas dostaniemy zgłoszenie z bazy o znalezieniu martwego żołnierza. Myślę, że gdy będą układali się spać, zauważą, że jednego im brakuje. Pytanie, czy znajdą go od razu, czy dopiero rano. Dla nas najistotniejsze jest to, żebyś to ty pojechał na miejsce zdarzenia i kierował oględzinami. Nie zabezpieczycie żadnych ważnych śladów. Pograżyc mnie może nóż, który ten gnojek wbił mi w szyję. Będzie na nim moja krew. Myślę, że wiesz, co masz z tym zrobić.

Komisarz poczuł głęboki sprzeciw. Jego policyjna dusza zaprotestowała, zanim jeszcze rozum przeanalizował propozycję inspektora.

— Rano podpułkownik i major stawali na głowie, żeby wybronić swojego człowieka od zarzutu morderstwa, a teraz nasza kolej.

Sam słyszał rozzalenie w swoim głosie. Nie chciał, żeby jego słowa tak zabrzmiały, ale już nie dało się ich cofnąć.

— Dominik, kurwa, myślałem, że jesteśmy kumplami, że mogę na ciebie liczyć. Trzyście lat razem zapierdalamy, a ty nagle masz jakieś etyczne rozterki?

Jamróż spuścił wzrok, nie mogąc znieść złośliwego grymasu na twarzy kolegi. Ostry głos Suma niemal przebijał mu bębenki w uszach.

— Gdyby chodziło o ratowanie ciebie, ja bym się nie wahał.

To była prawda, inspektor wiele by zaryzykował dla kolegów z pracy. Tylko w ciągu ostatnich kilku miesięcy sprawił, że z systemu zniknęły dwa zgłoszenia, jedno o przyjęciu przez funkcjonariusza korzyści majątkowej, a drugie o nadużyciu władzy przez policjanta w trakcie interwencji domowej.

— Zrobię wszystko, czego ode mnie oczekujesz. Sorry, że odniosłeś inne wrażenie. Szukałem jedynie bardziej uczciwego wyjścia z tej sytuacji, ale masz rację, przekonanie sądu do wersji z obroną konieczną będzie bardzo trudne. Tym bardziej, że wcześniej wyrok wydadzą media. Ty będziesz tym złym, zabiłeś dobrego chłopaka, który zaciągnął się do obrony, aby służyć obywatelom.

Jamróż czuł szum w skroniach, był to efekt nerwowego odprężenia. Podjął jedyną słuszną decyzję, dlatego spokój wypełnił jego napięte ciało, ale był to złudny stan. Organizm informowany przez podświadomość

spinał się przed tym, co go czekało w najbliższych godzinach i dniach. Na nim spoczywała odpowiedzialność za przyszłość kumpla. Nie mógł popełnić żadnego błędu.

— Nie będzie łatwo — oznajmił cicho, jakby do siebie. — Bukowiecki może zawiadomić żandarmerię. Co prawda terytorialni to cywile, ale do zdarzenia doszło na terenie bazy wojskowej.

— Byle nas zawiadomili pierwszych. Ty musisz tam być przed żółtymi.

Na korytarzu rozległy się kroki, po chwili w drzwiach stanął młodszy aspirant Nikita Sokołow.

— Szukam was po wszystkich pokojach.

— Co ty tu robisz? — zapytał Sum.

— Pomyślałem, że beze mnie sobie nie poradzicie. — Wymierzył palec w inspektora, wskazując opatrunek na jego szyi. — I chyba się nie pomyliłem. To kuku zrobiły ci kaczkki?

Sum wyprężył się, jak gdyby postawą ciała chciał zakomunikować, że z nim wszystko dobrze. Posłał też szybkie spojrzenie komisarzowi, które ten odczytał jako nakaz, aby na razie nic nie mówić o śmierci terytorialsa. Obaj wiedzieli, że tu na komendzie prawdy nie da się ukryć. Aż pięciu funkcjonariuszy wiedziało, że Sum wysiadł z samochodu i poszedł pieszo do bazy, a gdy pojawił się po dwóch godzinach, lała mu się krew z szyi. Gdy w lesie zostaną znalezione zwłoki, to konkluzja będzie tylko jedna: policjanci uznają go za sprawcę. Nikomu nie doniosą, ale będą o tym mówić. Do Sokoła też te wieści dotrą, dlatego powinni go o tym wcześniej poinformować, ale może rzeczywiście nie w tej chwili.

— Miałeś przebywać w szpitalu na obserwacji — odezwał się Jamróz.

— Poobserwowali mnie trochę i stwierdzili, że nic mi nie jest. Nie rzygam, nie mam kołowrotka w głowie i dobrze widzę, czyli nie ma wstrząsu mózgu.

— Lekarz ci to powiedział czy to może twoja diagnoza?

— Moja, ale doktor ją potwierdził. — Sokół zbliżył się do inspektora. — A tobie co jest?

Sum dotknął palcami opatrunku.

— To robota kaczkki, ale nie wiem której, bo nie przyjrzałem się twarzy.

— Czyli jednak byłeś u nich po ten telefon? Dobrze zgaduję, że go nie dostałeś?

— Pojechaliśmy tam po Tuszyńską.

— Po nią? Przecież mieliśmy pozwolić jej działać, żeby nas doprowadziła do kontrabandy.

— Nie mogliśmy czekać. To ona zastrzeliła kierowcę golfa. Sekcja wykazała, że kierowca oberwał dwie kule.

Sokół gwizdnął niemal z uznaniem.

— No nieźle. Powiedziała, dlaczego go odstrzeliła? Bo chyba nie poszło im o to, kto będzie prowadził golfa?

— Nie przywieźliśmy jej z bazy. Podpułkownik nam przeszkodził.

Na posiniaczonej twarzy Nikity pojawił się uśmiech.

— On chyba naprawdę nas nie lubi. A tak w ogóle, to ta kobieta musi dysponować sporymi atutami, jeśli zdecydował się nią zaopiekować.

Sum przytaknął.

— Sądzę, że będzie chciał przejąć kontrabandę, aby ją sprzedać na własną rękę albo zaproponować przemytnikom do wykupienia. Tu mogłoby chodzić o bardzo duży hajs, bo podpułkownik raczej nie ryzykowałby dla paru groszy.

— A wiemy już, co jest przemycane?

— Jeszcze nie, ale wiem, jak się tego dowiedzieć.

— No jak? Mów!

Z jasnych oczu Nikity wyzierała ciekawość. Dominik też chciał wiedzieć, o co ta cała gra.

— Tu nie ma co mówić, to trzeba sprawdzić. Chodźcie ze mną!

Zeszli klatką schodową do warsztatu. Stał tutaj golf na niemieckich blachach. Jamróż wątpił, że inspektor zdoła z niego coś wyjąć, skoro policyjny mechanik wspierany przez techników niczego nie znalazł.

— Nagrywaj mnie! — rzucił Sum do młodszego aspiranta.

Ruchy inspektora były pewne, jak gdyby spodziewał się tylko jednego rezultatu swoich działań. Włożył rękawiczki i otworzył bagażnik. Komisarz chciał już powiedzieć, że jest tam wyłącznie bagaż kierowcy. Ze zdumieniem patrzył, jak kolega rozsuwa zamek torby i wyjmuje słoik z dżemem.

— Kurwa! — wypadło z ust Sokoła.

Dominik powtórzył przekleństwo w myślach. Już kiedyś słyszał, że jeśli chce się coś ukryć przed psami, to najlepiej im to podsunąć pod nos. Rozebrali golfa do ostatniej śrubki, a to coś mogło być schowane w dżemie.

Inspektor się rozejrzał w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby sprawdzić zawartość słoika. Skierował się do kantorka, tam usiadł za biurkiem. Zdjął zakrętkę i powąchał.

— Śliwka — oznajmił. Rozejrzał się po regałach. Na najwyższej półce dostrzegł pustą szklankę, a w niej łyżeczkę. — Podaj mi ją! — polecił komisarzowi.

Chwilę później ostrożnie zanurzył łyżeczkę w dżemie. Należało uważać, bo nie wiadomo, co kryło się w środku. Zamieszał. Śliwkowa masa nie stawiała oporu. Jamróż wziął papier z drukarki i rozłożył na biurku, a Sum zaczął na niego wykladać dżem. Sokół rejestrował tę czynność za pomocą swojego telefonu. Substancji w słoiku ubywało, a na kartce wyrastały kolejne piramidki dżemu. Napięcie wisiało w powietrzu podsycane przez ich przyspieszone oddechy. Komisarz oczekiwał, że trafią zaraz na woreczek z narkotykami. W pewnym momencie uświadomił sobie, że już nie ma na to szans. Inspektor również, bo odłożył łyżeczkę do słoika i go odstawił. Wyglądał jak rozjuszony zwierz. Zgrzytnął zębami. Nozdrza mu drgały. Nie pogodził się jeszcze z porażką, bo włożył palce w dżem rozłożony na papierze, jak gdyby miał nadzieję, że coś w nim znajdzie. Znalazł.

— Co to jest? — zapytał komisarz, widząc, że kolega obraca coś w palcach.

Inspektor sapnął.

— Nie wiem. Coś twardego. — Odłożył znaną rzecz na blat i znowu włożył palce w dżem. Sekundę później je wyjął. Tym razem znaleziony obiekt położył na rozpostartej dłoni. — To na pewno nie jest pestka śliwki. Zbyt jasne i trochę błyszczące.

Sokołow podniósł kawałek dziwnej materii, który Sum odłożył na blat. Najpierw oczyścił go palcami z resztek dżemu, a następnie przysunął do oczu. Mały kamyczek zabłyszczał, jak gdyby odbijał światło elektryczne z żarówki wiszącej nad biurkiem.

— To diament — oznajmił i skierował obiektyw telefonu na przedmiot.

— Diament — powtórzył inspektor, jak gdyby smakował fonetyczny walor tego słowa.

Jamróż czuł się zdezorientowany. Przemyt kamieni szlachetnych to w zestawieniu z alkoholem, papierosami i nawet heroiną była wielka niewiadoma.

— Jesteś pewien? — zapytał.

— Tak, ale oczywiście trzeba będzie podpytać eksperta.

Sum wyciągał z dżemu kolejne kawałki twardej materii i układał na blacie. Znalazł już pięć sztuk.

— A więc chodzi o przemysł rosyjskich diamentów. Tego się nie spodziewałem.

— A mnie to przemknęło przez głowę — oznajmił Sokołow. Wyłączył nagrywanie i schował telefon do kieszeni. — Gdy w ubiegłe lato byłem w Kiszyniowie, to tamtejsza policja zatrzymała trzy kobiety przemycające diamenty z Rosji. Jedna z nich była kuzynką kogoś ważnego z Gochranu. Na Kremlu podobno zawrzało, bo w Gochranie robotę dostają najbardziej zaufani ludzie Władimira Putina.

— No dobra, Nikita, my z komisarzem nie jesteśmy tak obcykani w temacie Rusków jak ty. Znamy się głównie na ruskiej wódzie, oświeć więc nas, co to jest ten Gochran.

— To należąca do państwa instytucja gromadząca metale i kamienie szlachetne. Nikt tak naprawdę nie ma pojęcia, jakie tam są zasoby, a to oznacza, że jak coś zniknie, to nie wiadomo, ile i czy w ogóle coś zostało skradzione. Nieżyczliwi Putinowi ludzie mówią, że Gochran to jego prywatna skarbonka i tylko on decyduje o tym, że co jakiś czas wypływają stamtąd spore partie diamentów i trafiają na Zachód Europy i do Chin.

Sum włożył dłoń do słoika i sprawdzał resztę dzemu.

— Chcesz powiedzieć, że za tym przemysłem mogą stać ruskie służby?

— Nie. Gdyby tak było, tobyśmy nie trafili na ich trop. Myślę, że to zwykli złodzieje i zwykli przemytnicy. Nie upieram się też, że te diamenty to z Gochranu. Pracownicy w kopalniach w Jakucji też kradną i ci wyżej postawieni w koncernie Alrosa również. Jakaś ekspertka przez cztery lata wynosiła diamenty w majtkach. Ukradła aż tysiąc kamieni, było to warte sporo kasy, prawie dziesięć milionów dolarów. Skazali ją na kilka lat kolonii karnej. Ją skazali, a inni dalej kradną.

Jamróż wskazał palcem na siedem diamentów leżących na biurku.

— Dziesięć milionów dolarów za tysiąc sztuk, to my ile tu mamy?

Sokół się uśmiechnął.

— Myślisz, że już jesteśmy bogaci?

— Bogaci może nie, ale mała premia by się przydała.

— Z tego, co wiem, to cena zależy od jakości diamentów. Te wyglądają na małe, to jakieś okruchy diamentowe. Coś tam kosztują, ale czy aż tyle?

— Trochę na pewno kosztują, skoro podpułkownik chce na nich położyć swoją wielką łapę — zauważył komisarz.

— Ale my mu na to nie pozwolimy — rzucił z satysfakcją Sokół. — Wystarczy, że mu zabierzemy Tuszyńską, bez niej będzie bezradny jak

pijane dziecko we mgle.

Inspektor niespiesznie podniósł się zza biurka. Zgniół kartkę wymazaną dżemem i wcisnął do słoika. Trochę śliwkowej konfitury skapnęło na biurko. Zsunął rękawiczki i wrzucił je do kosza. Choć odkryli, co jest przedmiotem przemytu, nie wyglądał na zadowolonego.

— Idziemy na piwo — oznajmił takim tonem, jak gdyby było to polecenie służbowe.

— Co? — Młodszy aspirant Sokołow oburzył się. — Na piwo? Zwariowałaś? Musimy jechać po Tuszyńską. Jutro może być za późno, oni dziś w nocy mogą przejąć kontrabandę. Zbierz ludzi i jedziemy do bazy!

— Już tam byliśmy. Wymierzyli do nas z karabinów.

— I co z tego? Przecież żyjecie. Nie wystrzelają nas. Sam to dzisiaj mówiłeś. Pamiętasz, to ja wysunąłem argument o trzystu lufach, a ty, że przecież do nas nie będą strzelać.

— No i się pomyliłem. Niewiele brakowało, żeby któregoś z tych dzieciaków poniosło. Roznieśliby nas na karabinowych kulach.

— To załatw oddział antyterrorystów. Jak w pentagonie się dowiedzą, o co chodzi, to na pewno ich przyślą za parę godzin.

— Nikita, zjedź na ziemię. Nikt nie wyśle antyków przeciwko żołnierzom. Gdybym zawnioskował o antyterrorystów, toby mnie do psychiatryka wysłali.

— To chociaż miejmy ich na oku. Otoczmy tę ich bazę, żeby nikt bez naszej wiedzy stamtąd nie wyszedł. Śledźmy logowania ich telefonów. Nakryjemy ich na gorącym uczynku, gdy będą przejmować kontrabandę.

— Jest nas za mało. Nie upilnujemy całego batalionu.

Sokołow wysunął brodę do przodu. Był gotów sam ruszyć do bazy.

— Sum, kurwa, co z tobą? Chcesz im odpuścić? Pozwolisz, żeby wzięli sobie te diamenty?

W sylwetce inspektora pojawiło się zmęczenie. Pochylił plecy i opuścił ramiona. Twarz mu poszarzała, a oprócz bruzdy pomiędzy brwiami pojawiły się jeszcze dwie zmarszczki żłobiące okolice ust.

— O co tu chodzi? — zapytał Sokołow, przesuwając wzrok z inspektora na komisarza i z powrotem. — No mówcie! Przecież ty nigdy żadnemu przestępcy nie odpuściłeś. Ja i Dominik mamy miękkie serca, nie raz udawaliśmy, że czegoś nie widzimy, ale nie ty. Co się stało?

Inspektor sapnął ciężko.

— Zabiłem jednego z nich.

— Zabiłeś? — Na twarzy Sokoła pojawiło się głębokie niezrozumienie. — Kogo niby zabiłeś?

— Żołnierza. Gdy nie pozwolili nam zatrzymać Tuszyńskiej, wróciłem do bazy. Chciałem się zorientować w ich planach. Myślałem, że coś ważnego zauważę, podsłucham. Potem, gdy się wycofywałem, jeden z nich musiał mnie zauważyć. Już w lesie rzucił mi się na plecy. Ranił mnie. — Sum dotknął opatrunku na szyi. — Odepchnąłem go, a on się nadział na swój własny nóż.

— Ja pierdołę — szepnął młodszy aspirant i nerwowo zamrugał powiekami. — Podpułkownik nas za to zabije. Czy on wie, że to policja, że to ty?

— Tylko głupi by się tego nie domyślił.

— Co teraz zrobimy? Co zrobisz?

Sokół starał się mówić spokojnie, ale jego spięta twarz wskazywała, że doznał niemałego wstrząsu.

— Plan jest taki, że Dominik poprowadzi oględziny.

— To dobry plan — przyznał młodszy aspirant.

— Też tak mi się wydawało, ale teraz sobie myślę, że wszystko zależy od Bukowieckiego. Czy daruje nam to zdarzenie, czy nie.

— Nie daruje — wtrącił Jamróż. — Podpułkownik stracił człowieka, to musiało go zabołec.

Sokołow zaśmiał się.

— No tak, stracić żołnierza w trakcie pokoju to chyba nie jest typowe. Będzie musiał się z tego grubo tłumaczyć.

Inspektor wyglądał na coraz bardziej zaszępionego.

— Obawiam się, że żandarmeria wojskowa wejdzie w to śledztwo. Jeśli mam z tego wyjść cało, to powinienem dogadać się z tym pierdolonym trepem.

— To jak planujesz to rozegrać? — zapytał młodszy aspirant.

— My im pozwolimy przejąć diamenty, a oni mają zrobić ze śmierci żołnierza nieszczęśliwy wypadek albo coś podobnego.

Nikita się skrzywił z niezadowolenia.

— Bukowiecki będzie górą.

— Będzie — potwierdził Sum. — I to mnie, kurwa, najbardziej boli. Gdy sobie pomyślę, że on położy tę swoją wielką łapę na diamentach, to aż mnie...

Przez chwilę milczeli, wodząc wzrokiem po betonowych ścianach.

— Może jednak jest jakieś inne wyjście — odezwał się w końcu Sokół, patrząc na nich jasnymi tęczęwkami, które w zimnym świetle policyjnego warsztatu wydawały się nieprzejednane.

Jamróż pokręcił przecząco głową, ale inspektor zapytał:

— A co by w takiej sytuacji zrobili policjanci z Kiszyniowa?

Smagłą twarz młodszego aspiranta wypełniła zaczepna przebiegłość, jak u chłopca, któremu sprzyjające okoliczności pozwoliły rzucić kamieniem w okno nielubianego sąsiada.

— Policjanci z Kiszyniowa zwinęliby zarozumiałym żołnierzynom te diamenty sprzed nosa.

Głośny śmiech Suma uderzył w betonowy strop warsztatu.

— To by było coś. To by było lepsze niż policyjne zatrzymanie kontrabandy. Podpułkownik udławiłby się własną żólcą, gdybyśmy to my ukradli te diamenty, a nie oni.

CZEŚĆ PIĄTA
Żołnierze

Rozdział I

— Ja pierdolę, ktoś mu podciął gardło. Kurwa, to musiał być jakiś psychol.

Słowa wypadające z ust kaprała Artura Derkacza wydawały się drzeć w zimnym lutowym powietrzu.

Sierżant Tito świecił latarką na zwłoki. Snop światła wydobył z ciemności nienaturalnie białą twarz trupa i czarną krew spływającą z jego szyi. Ten żołnierz trzy godziny temu wioził go do Braniewa. Nie dojechali tam, bo natknęli się na Magdalenę Tuszyńską i z nią wrócili do bazy. Potem starszego szeregowego Roberta Lipińskiego już nie widział, a teraz chłopak leżał martwy w lesie kilkadziesiąt metrów od ich namiotów.

— To jest nasz nóż. Tito, kurwa, widzisz to? To nasz sztylet.

Szept kaprała Derkacza wibrował na coraz wyższej skali, ujawniając furję i rosnący lęk.

Tito pochylił się nad zwłokami, przyglądając się ostrzu tkwiącym w szyi starszego szeregowego. Kapral miał rację, był to nóż szturmowy znajdujący się na wyposażeniu armii od wielu lat. Przesunął snop światła w okolice paska, przy którym tkwiła pochwa od noża. Była pusta.

Kurwa, poderżnęli mu gardło jego własną kosą — szeptał dalej kapral, rozglądając się wokół, jak gdyby obawiał się, że z ciemnego lasu nastąpi zaraz atak.

Z tym poderżnięciem gardła Derkacz przesadził. Tito określiłby to raczej jako wbicie ostrza tuż nad grdyką na głębokość trzech, może czterech centymetrów. Nóż miał obosieczny czubek, zapewne wszedł w ciało gładko.

— Jak go znalazłeś? — zwrócił się z pytaniem do stojącego obok plutonowego Bartka Nowickiego.

— Usłyszałem, jakby coś ciężkiego spadło na ziemię. Przyszło mi nawet do głowy, że któryś z naszych chłopaków dla jaj się wspinał na drzewo i zleciał. Przyszedłem tutaj i go znalazłem.

— Co ty pierdolisz, Bartek, że niby coś usłyszałeś — wtrącił się Derkacz. — Przecież pełniłeś wartę sto metrów stąd. Kto ci uwierzy, że z takiej odległości coś usłyszałeś? Musiałbyś mieć uszy zająca.

— Zamknij się, Arturo! Może ty jesteś głuchy, ale nie ja. I naucz się prawidłowo oceniać odległość, w wojsku to przydatna umiejętność. Stałem prawie dwieście metrów stąd, a nie sto.

— Czemu, kurwa, tylko ty coś usłyszałeś? A nie drugi wartownik? Stał bliżej.

Tito położył dłoń na ramieniu Derkacza. Ten żołnierz aż kipiał od niezdrowych emocji. Należało nad nim zapanować, a na to nie było lepszego sposobu jak wydanie rozkazu do natychmiastowego wykonania.

— Kapralu, biegnij do majora Serafina i zamelduj mu, co się stało! Tylko pamiętaj, że żołnierz zawsze melduje fakty, a nie własne przemyślenia.

Derkacz się wyprężył i przyłożył dwa palce do beretu.

— Rozkaz — rzucił przez zaciśnięte zęby i ruszył w ciemność w kierunku namiotów.

Z przeciwnej strony rozległo się pohukiwanie sowy, a jeszcze gdzieś dalej zaszczekał pies. Sierżant zgasił latarkę. Głęboka czerń napierała na nich spomiędzy drzew, zmuszając gałki oczne do większego wysiłku.

— Tito, jak myślisz, co się tu stało? — zagadnął Nowicki.

— Myślę, że to robota psiarzy. Wrócili po tym, jak ich stąd pogoniliśmy. Lipiński musiał natknąć się na nich. Miał pecha. Oni zresztą też.

— Ale po co mieliby się zakradać?

— Zwykła policyjna obserwacja. Chodziło o dziewczynę. Chcieli ją zgarnąć. Liczyli się z tym, że wkrótce opuści naszą bazę. Nie mogą pozwolić, żeby im ziała. Zabiła człowieka.

Plutonowy poruszył się w półmroku.

— Czy oni nadal tu są? Psiarze? Obserwują nas?

— Nie mam pojęcia. Może już się wycofali. Nie da się ukryć, że narobili sobie kłopotów, zabijając Lipińskiego.

— Kurwa, co za weekend, rano ten kierowca, dobrze, że to nie Arturo go zastrzelił, a teraz Robert. Jeśli moja żona się dowie, to będę musiał zrezygnować z noszenia karabinu.

Rozległy się kroki. Zbliżały się dwie osoby. Tito włączył latarkę, aby idący wiedzieli, gdzie się kierować. Po chwili stanął przed nimi major Serafin w rozpiętej kurtce i bez nakrycia głowy. Za nim czaił się Derkacz.

— Tito, kurwa, co się dzieje? Kapral mi zameldował, że mamy trupa.

Sierżant przesunął snop światła od stóp martwego żołnierza aż po jego zakrwawioną szyję z tkwiącym w niej nożem.

— Ja pierdolę — szepnął major.

— Jego własnym nożem go ukatrupili — syknął kapral.

Serafin zaczął pospiesznie zapinać kurtkę, jak gdyby nagle zrobiło mu się zimno albo uświadomił sobie, że nie prezentuje się regulaminowo.

— Kurwa, kto to zrobił? Ruscy?

— Na nich bym nie stawiał, choć są zdolni do wszystkiego — oznajmił sierżant.

Serafin nie odrywał wzroku od trupa.

— Ktoś zajebał żołnierza — stwierdził z głębokim niedowierzaniem. W pantomimicznym, podsyconym alkoholem gościu podrapał się po głowie. — Jak on się nazywa? Przypomnijcie mi!

— Starszy szeregowy Robert Lipiński, pięćdziesiąty dziewięć lat, pracownik poczty, mieszkał z rodzicami — wyrecytował bez zająknięcia Tito.

— Starszy szeregowy, pięćdziesiąty dziewięć lat — powtórzył z namysłem major i już po chwili kipiał oburzeniem: — To atak na Wojsko Polskie. Ten, kto to zrobił, jest wrogiem naszej ojczyzny. Znajdziemy go i wymierzmy najwyższą karę.

— Najpierw trzeba zadzwonić pod sto dwanaście — oznajmił rzeczowo plutonowy Nowicki. — A potem możemy szukać wrogów ojczyzny, ale nie wiem, czy to konieczne.

Serafin obrócił się w jego stronę.

— Plutonowy, jeśli nie widzisz wagi tego zdarzenia, to nie zasługujesz na to, aby nosić mundur polskiego żołnierza.

— Panie majorze, ja tu jestem od wykonywania rozkazów. Jeśli dostanę rozkaz, aby widzieć jakąś wagę, to ją zobaczę.

— Jesteśmy na wojnie — syknął Derkacz. — Wróg zaatakował. Musimy się bronić albo najlepiej od razu na nich uderzyć.

— Arturo, sorry, że ci to mówię, ale po tym jak dzisiaj rano strzeliłeś do tego gościa, to coś ci jebnęło pod czachą. Twoja matka powinna cię zaprowadzić do dobrego psychiatry. Porozmawiam jutro z nią na ten temat.

— Plutonowy, nie będziesz z nikim gadał o tym, co tu się wydarzyło — warknął Serafin. — Jesteś zobowiązany do zachowania wszystkiego w tajemnicy. A teraz spierdalaj na miejsce warty!

— Rozkaz, panie majorze — rzucił Nowicki, zsalutował i ruszył marszowym krokiem, jak gdyby brał udział w defiladzie wojskowej.

Tito przez moment oświetlał jego oddalającą się sylwetkę. Gdy tamten zniknął za drzewami, wyłączył latarkę.

— Gdzie jest broń tego żołnierza?

To rozsądne pytanie dowodziło, że Serafin zaczął ogarniać sytuację.

— Karabin leży na jego pryczy. Na kolację przyszedł bez niego — wyjaśnił pospiesznie kapral.

Major odetchnął.

— Tyle dobrego, że nie straciliśmy broni. Gdyby jakiś wariat zaczął strzelać do ludzi z naszego karabinu, to mógłbym sobie szukać roboty w markecie. Trzeba zawiadomić żandarmerię, prokuraturę i policję. Zabezpieczyć miejsce zdarzenia i ustalić świadków. Może ktoś z batalionu coś widział albo chociaż słyszał. Musisz, Tito, popytać chłopaków. Trzeba też podwoić wartość.

Sierżant zamyślił się nad wytycznymi dowódcy. Na szczęście Serafin już sobie darował formułowanie wielkich haseł o wrogach ojczyzny. Teraz mówił sensownie, ale jego decyzje niekoniecznie mogły im się przysłużyć, a przecież najważniejsze to nie narazić dobrego imienia Wojsk Obrony Terytorialnej.

— Panie majorze, nie wiem, czy powinniśmy zgłaszać policji to zdarzenie.

Serafin milczał. Zapewne w swoim umyśle wciąż zamroczonym alkoholem rozpatrywał usłyszaną sugestię.

— To oni, to psiarze załatwili starszego szeregowego, bo niby kto inny — szeptał Derkacz, zachodząc zwłoki z drugiej strony. — Żaden cywil by się nie odważył. To musieli być oni. Przyszli, żeby się odegrać. Psie chuje. Dzięki nam żyją i pracują w wolnym kraju. Gdyby nie my, po rusku by szczekali albo nawet po arabsku.

— Kapralu, zdeptujesz miejsce zdarzenia — oznajmił Tito.

Derkacz się zatrzymał i przełożył karabin z pleców na pierś.

— Nie możemy dopuścić tego pierdolonego inspektorka do zwłok, bo zatrze wszystkie ślady, a może nawet wrobi któregoś z nas w to morderstwo.

Serafin wyprężył się nagle, przyjmując typową dla siebie postawę.

— Kapralu, pilnuj miejsca zdarzenia, a ty, sierżancie, idziesz ze mną.

Odwrócił się i ruszył w stronę bazy. Tito szedł zaraz za nim. Chciał być blisko dowódców, żeby mieć wpływ na ich decyzje, a te powinny podnosić znaczenie wojsk terytorialnych.

Rozdział II

PODPUŁKOWNIK ZAMARŁ z papierosem na wpół wzniesionym do ust.

— To, kurwa, niemożliwe. Jak to się mogło stać?

— Myślę, że nie planowali zabić starszego szeregowego Lipińskiego — odezwał się Tito. — Po prostu natknął się na nich w lesie i się stało.

— Stać to się może coś złego, gdy dzieci się bawią zapałkami. Dorośli ludzie mają wiedzieć, co robią, zwłaszcza ci, którzy noszą mundur i broń.

Siedzieli we trzech przy stole w zawiesistych kłębach papierosowego dymu. Ich pochylone sylwetki obejmowała jasność płynąca z wiszącej nad nimi lampy. W jej świetle znalazł się też karabin sierżanta przewieszony przez oparcie wolnego krzesła i rogatywka majora zrzucona na podłogę. Czuło się nerwową atmosferę. Podpułkownik patrzył zimnymi oczami w żarzącą się końcówkę kiepa.

— Poturbowaliśmy tego ich aspiranta i postraszyliśmy paru gliniarzy bronią, ale żadnemu nie stała się krzywda z naszej ręki. A oni zaciukali mojego żołnierza.

Serafin nalał sobie wódki i wypił. Miał mętne spojrzenie i niepewne ruchy, ale głos mocny i wyraźny, a alkohol podkręcił jeszcze w nim chęć wyłożenia swoich przekonań.

— Własne życie narażamy, żeby bronić obywateli. Żony nie mam, dzieci nie mam, wszystko dla ojczyzny, ciągle w gotowości, a oni nas zabijają. Policjanci zabijają żołnierzy, co to za kraj? Co to za ludzie? Musimy coś z tym zrobić, musimy to zmienić, nie możemy się na to godzić.

Bukowiecki włożył papierosa do ust i się zaciągnął.

— Straciłem żołnierza podczas ćwiczeń. Co ja powiem dowódcy brygady?

Major schylił się po swoją czapkę. Czubkami palców podniósł ją z podłogi i włożył na głowę.

— Media nas zjedzą. Zaraz zaczną się domysły i kretyńskie spekulacje, że to terytorialsi się pobili między sobą i jeden zabił drugiego. Znowu zaczną nas hejtować, że wyszkolenie mamy gówniane i przyjmujemy do służby patologię, i takie tam.

Tito postanowił się wtrącić. Należało podjąć jakąś decyzję, a dowódcy się nie kwapili.

— Nie możemy na razie nikogo powiadamiać. Jeśli to zrobimy, to będziemy tu zaraz mieli policję, prokuratora i żandarmerię. Psiarze zabiorą nam Rudą, a nasi będą nam patrzeć na ręce. Wtedy możemy zapomnieć o schwytaniu przemytników. A to przecież nasz cel.

Podpułkownik zgasił papierosa w talerzu. Leżały tam już cztery pety. Chłodnymi oczami wyraził aprobatę dla słów podwładnego. Chwilę później poruszył mięsistymi ustami, szykując się do sformułowania swojego stanowiska, które byłoby jednocześnie rozkazem.

— Zwłoki starszego szeregowego znajdziemy jutro rano. Dopiero za siedem, osiem godzin zawiadomimy żandarmerię i psiarnię. Tyle czasu będziemy mieli na zorganizowanie zasadzki na przemytników.

Serafin przetarł oczy i rozejrzał się niepewnie. Najwyraźniej miał jakieś zastrzeżenia i zbierał się, żeby je zwerbalizować.

— Ruda musiałaby ich przekonać do przyspieszenia akcji. Tylko czy ich tym nie spłoszy? — zastanowił się głośno. — Do tej pory to Ruscy decydowali o kolejnych krokach, a ona czekała na wskazówki. Jeśli teraz będzie nalegała na przekazanie diamentów dziś w nocy albo o świcie, to mogą nabrać podejrzeń. Tym bardziej, że już odbyła z tym Ruskiem dziwną rozmowę, w której właściwie go ostrzegła, a on kazał jej wracać do domu.

Sierżant podzielał te obawy, ale nie podpułkownik.

— Jest cwana — zauważył. — Poradzi sobie.

— No właśnie, to jej cwaniactwo mnie trochę martwi. Żeby nie próbowała nas wykiwać.

— Tego nie zrobi, bo wie, że wtedy odwieziemy ją na komendę.

— Czy ona powiedziała, dlaczego zastrzeliła kierowcę golfa? — zapytał Tito.

Major nalał wszystkim wódki, ale tylko on podniósł kieliszek.

— Bo podobno chciał ją załatwić. Uprzedziła go i tyle. Ale ja bym jej w tej kwestii nie wierzył.

Rozległ się odgłos przychodzącego esemesa. Wszyscy spojrzeli na telefon leżący pośrodku stołu między talerzami i kieliszkami. Pozwolili Rudej iść się położyć, ale aparat zatrzymali.

Serafin się roześmiał.

— Jakby mieli nas, kurwa, na podsłuchu i wiedzieli, że chcemy jak najszybciej doprowadzić do przekazania diamentów.

Sierżant nie podzielał entuzjazmu majora. Do tej pory Ruscy wyłącznie dzwonili, a tu nagle esemes. Może dali znać, że się wycofują. Bukowiecki

podniósł aparat, chwilę później z jego ust wypadło przekleństwo.

— Co jest? — zapytał Serafin.

Podpułkownik podał mu telefon. Major spojrzął na wyświetlacz i chyba nie do końca pojął, co widzi, bo zaczął pocierać dłonią czoło, a jego mętne spojrzenie nie wykazywało zrozumienia. Sierżant pochylił się przez stół i wyjął przełożonemu aparat z ręki. Ze zdumieniem patrzył na ememesa. Tego się nie spodziewał. Żaden z nich nie brał takiej ewentualności pod uwagę. Na zdjęciu widniało siedem niewielkich mleczno-siwych kamyczków, a obok stał słoik z resztkami dżemu na szkle. Tego ememesa nie przysłali Ruscy, lecz policja.

— No to Sum znalazł diamenty — skonstatował podpułkownik.

Jego łysa czaszka zalśniła od potu, szczęki się zacisnęły z narastającą złości.

Tito wciąż patrzył na fotkę, na siedem diamentów ułożonych w półkole. Inspektor miał jakiś cel, przysyłając im to zdjęcie. Czy powinni to traktować jako ostrzeżenie? Żeby nie wazyli się podejmować żadnych kroków. Podał aparat dowódcy.

— Proponuję zadzwonić do inspektora.

Podpułkownik zdumionym i lodowatym spojrzeniem zdawał się pytać: A niby po co? Tito wskazał palcem na telefon.

— Ten pies coś chce nam powiedzieć, niech to zrobi wprost.

— Dzwon do niego, niech wyszczeka swoje — odezwał się Serafin.

Podpułkownik przymrużył oczy. Zastanawiał się. Ostatecznie wybrał numer, z którego nadesłano zdjęcie. Nie czekał długo na to, aby ktoś odebrał.

— I jak tam? Koty prezesa już śpią? — rozległo się w słuchawce złośliwe pytanie.

Bukowiecki rozpoznał głos inspektora. Któryś z psiarzy wbił nóż w gardło żołnierza, a Sum drwił, jak gdyby nic się nie stało.

— Zabiliście mojego człowieka — powiedział nad wyraz spokojnie.

Policjant się roześmiał.

— Chcesz powiedzieć, że psy zagryzły kota? Biedny kotek poszedł sam na spacer do lasu? Nieostrożny kotek.

Bukowiecki rozpiął guzik pod szyją, jak gdyby obawiał się, że nadmiar złych emocji zacznie go zaraz dusić. Ta drwina i pogarda bolały. Miał dwie belki i dwie gwiazdki, pilnował bezpieczeństwa w newralgicznym punkcie

kraju, bo przy ruskiej granicy, a pies rozmawiał z nim jak z żulem spod remizy.

— Zabiliście żołnierza — powtórzył ciszej i jeszcze spokojniej niż przed minutą.

Patrzył na twarze swoich podwładnych, na pociągłe oblicze Serafina ze zbyt blisko osadzonymi oczami i na filmową fizys sierżanta. Obaj mieli napięcie i gniew odcisnięte w każdym mimicznym mięśniu. Poczł się silny. Był żołnierzem, a to znaczyło jedno, że nie jest sam, wojsko to grupa ludzi walcząca o to samo, mająca wspólnego wroga, jeden cel.

— A więc psy zagryzły kota, ale czy zostawiły ślady? — ciągnął tym samym kpiącym tonem inspektor. — Bo mi się wydaje, że nie.

— Zapłacicie za to. Nie daruję wam. Niedługo będziesz czekał tylko na łańcuchu i to w ciasnym kojcu.

— Podpułkownik, psiaki to nie są złe zwierzęta, gdy trzeba, chowają się do budy i siedzą bardzo cicho.

— Wyciągniemy was z każdej budy, z każdej dziury, a zwłaszcza ciebie.

— Nie zrozumiałeś mnie. Psiaki będą siedzieć cicho przy misce, żeby koty mogły pohasać. W zamian szef kotów nie będzie oskarżał psiaków, że mu kota zagryzły.

Bukowiecki wiedział, że Sum składa mu jakąś propozycję, ale nie mógł zrozumieć, czego ona dotyczy. Policjant snuł opowieść o psach i kotach, co miało go uchronić od konsekwencji na wypadek, gdyby zapis tej rozmowy kiedyś gdzieś wypłynął.

Inspektor, nie doczekawszy się odpowiedzi, kontynuował, ale już bez wcześniejszej kpiny:

— One są wasze. Śliwki z dżemu są wasze. Możecie je wziąć, nie będziemy wam przeszkadzać, pod jednym warunkiem. Ten kot został zagryziony przez jakiegoś psa przybłądę. Powinieneś tak to przedstawić żółwiom wodnym, gdy się u was pojawią. Rozumiesz?

Rozumiał. Rozłączył się i położył telefon na stole. Opadł ciężko na oparcie krzesła. Podwładni wpatrywali się w niego z napięciem.

— Sum powiedział, że możemy ukraść przemytnikom diamenty. Psiarze przymkną na to oko.

— Ja pierdołę, oni mają nas za złodziei — warknął Serafin.

— W zamian mamy pozwolić im na poprowadzenie śledztwa w sprawie śmierci starszego szeregowego tak, jak to będzie im pasowało.

Sierżant uchwycił pytające spojrzenie dowódcy. Bukowiecki chciał poznać jego opinię.

— Powinniśmy tę propozycję policji wykorzystać do osiągnięcia własnego celu — oznajmił bardzo powoli, jak gdyby zastanawiał się, czy nie wycofać się ze swoich słów.

— Jaśniej, Tito, i większymi literami — pouczył go major.

— To dobrze, że psiarze pozwolą nam na przejęcie diamentów. Mamy wolną rękę. Rozegramy wszystko po naszymu. Dopiero się zdziwią, gdy odstawimy im pod drzwi komendy całą szajkę wraz z Rudą. Od razu trzeba będzie powiadomić szefa brygady, MON, ABW, no i media, te będą najważniejsze. Wszędzie powinni pisać i mówić, że obrona udaremniła przemyt diamentów. Aha, i nie szedłbym na wojnę z psami, to się nikomu nie spodoba, ani abwerze, ani naszym, a na pewno nie zwykłym ludziom. Powiemy, że starszy szeregowy zginął z ręki przemytników. Awansują go pośmiertnie, order do trumny przyczepią, rodzina dostanie list od prezydenta, a naród doceni, że terytorials oddał życie, żeby udaremnić przemyt. Szkoda tylko, że to diamenty, a nie broń chemiczna albo biologiczna. Gdyby tu chodziło o takiego węglika... A jeszcze lepiej uran, media by nas pokochały.

— A może ukradniemy te diamenty i sprzedamy? — zaproponował nagle major. — Może to nam się bardziej opłaci niż zatrzymanie przemytników?

Cisza zapadła w namiocie i przedłużała się niemiłosiernie. Serafin zaśmiał się nerwowo. Wiedział, że przesadził. Poprawił czapkę, choć leżała idealnie.

— Jak powiem, że to miał być żart, to mi uwierzycie?

Nie odpowiedzieli.

Bukowiecki gotów był zamienić dewizę: „Bóg, Honor, Ojczyzna” na brzmiącą równie szlachetnie: „pamięć, duma, odwaga”, ale nigdy nie na: „złodziejstwo, przebiegłość, zysk”. Młodzi żołnierze nazywali go betonem i dzbanem, ale po kilku latach służby przyznawali rację, że hasło wypisane na sztandarach to jest to, co ich łączy. Gdyby nie wierność wartościom, byłiby zbieraniną ludzi, bez siły, bez znaczenia i nawet najnowsze czołgi, najlepsze samoloty bojowe nie dodałyby im mocy. Patrzył teraz chłodno na swojego zastępcę. Po chwili namysłu wyjął dwa pety z talerza i włożył je do kieliszka, z którego popijał major. Ten gest mówił więcej niż słowa. Serafin zrozumiał z tego tyle, że alkohol mu nie służy, bo niezdarnie zakręcił smirnoffa i odstaviał go pod stół.

— Musimy zaryzykować i zatrzymać przemytników — oznajmił podpułkownik. — Jeśli tego nie zrobimy, to przez kolejne lata będziemy biegać po lesie i udawać, że walczymy z wrogiem albo organizować pokazy sprzętu wojskowego na Dzień Dziecka. Chcecie tego?

Major i sierżant pokręcili przecząco głowami. Tito całkowicie zgadzał się z dowódcą. Dano im prawo do usuwania skutków klęsk żywiołowych i nic ponadto. Co za marnotrawstwo pieniędzy i ludzi.

Bukowiecki podniósł telefon i wysłał do inspektora Suma wiadomość. Napisał tylko jedno słowo: Zgoda.

— No to psiarzy mamy z głowy. Nie będą nam przeszkadzać. — Spojrzeniem ogarnął przestrzeń stołu i skrzywił się zde gustowany. — Tito, przyślij kogoś, niech tu zrobią porządek. To namiot dowódcy, a nie jakiś wietnamski bar. — Zgarnął papierosy i zapalniczkę, po czym wstał. — I pilnuj telefonu, Rusczy mogą zadzwonić w każdej chwili. A jeśli nie odezwą się w ciągu godziny, to budź Rudą, niech się z nimi skontaktuje.

Wyszedł na zewnątrz i włożył papierosa do ust. Po chwili błysnął ogniem. Zimne nocne powietrze przyjemnie chłodziło mu głowę, a źrenice zmęczone elektrycznym światłem odpoczywały zatopione w mroku. Ciało doczekało się chwili wytchnienia, ale nie umysł. Uwierała go myśl, że tam za namiotem, w czarnym lesie, leży młody chłopak, który wstąpił do Wojsk Obrony Terytorialnej, żeby służyć ojczyźnie. Podpułkownik miał świadomość, że motywacja starszego szeregowego mogła być inna. Nieważna motywacja. Liczyło się tylko to, że przez te kilka miesięcy żołnierz robił, co do niego należało, był zawsze gotowy, zawsze blisko. A w nagrodę dostał nożem w samo gardło. I to od kogo? Od policji.

Zaczynało padać. Niewielkie krople spadły na nieosłoniętą czaszkę podpułkownika. Zaszumiało. To pobliski las odezwał się ruchem ogołoconych z liści gałęzi. Bukowiecki utwierdził się w postanowieniu, że nie podaruje inspektorowi śmierci młodego żołnierza, a zwłaszcza tej paskudnej drwiny. Znajdzie okazję do odwetu.

CZĘŚĆ SZÓSTA
Policja

Rozdział I

W PRZYSTANI NAD RZEKĄ PASŁĘKĄ było pusto. Z oddali dochodziły pijackie pokrzykiwania. Nic dziwnego, trwała noc z soboty na niedzielę, ludzie imprezowali w pubach i domach, zapewne w doborowym towarzystwie. Inspektor Sum nie miał znajomych, znał się wyłącznie z ludźmi z komendy. Czasami z kolegami chodził na piwo, nigdy jednak nie odwiedzał ich w domach i nie zapraszał do swojego małego mieszkania przy Malinowej. Do tej pory odpowiadało mu to. Relacje towarzyskie go męczyły, nie umiał gawędzić o niczym, a już zupełnie nie potrafił nawiązywać kontaktu z kobietami. Jedna kiedyś mu powiedziała, że gdy z nim rozmawia, to czuje się, jakby ją przesłuchiwał i próbował przyłapać na kłamstwie. Przestał więc odzywać się do płci pięknej poza miejscem pracy, ale tam głównie wydawał polecenia. Nawet do Tamary odzywał się w stopniu umiarkowanym. Poznał ją osiem lat temu, przyjechała do Braniewa z jakimś estońskim kierowcą. Ten zostawił ją w mieście, bo jechał do Kaliningradu, a ona nie miała wizy. Obiecywał, że zabierze ją w drodze powrotnej, ale chyba zapomniał, bo już się nie pojawił. Tamara usilnie szukała nowego klienta, z którym mogłaby ruszyć w dalszą drogę i który zapłaciłby za jej wyżywienie i jeszcze odpalił parę groszy za usługi seksualne. Miała już czterdzieści dwa lata i na pracę w dobrej agencji nie mogła liczyć. W końcu ukradła portfel jakiemuś pijanemu gościowi w pubie, a to był bezpośredni przyczynek do zapoznania się z inspektorem Sumem. Od paru lat Tamara pracowała w sklepie spożywczym we Fromborku i mimo pięćdziesiątki na karku przyjmowała nielicznych, ale wiernych klientów, w tym inspektora z komendy w Braniewie. Lubił ją odwiedzać, uważał, że to mu wystarczy, ale przychodziły takie dni, a raczej noce jak ta dzisiejsza, gdy czegoś mu brakowało. Przypomniał sobie starszą posterunkową Agatę Małek przyklejającą plaster do czoła Nikity Sokołowa. Robiła to bardzo delikatnie, z dużą czułością. Nie była ładna. Zbyt drobne zęby nie dodawały jej urody, ani ten za szeroki nos, ale figurę miała niezłą, dziewczęcą, z długimi nogami, choć specjalnie wysoka nie była. Najważniejsze jednak było to, że emanowało z niej ciepło i życzliwość. Gdy wydawał jej polecenia, to zawsze się uśmiechała. Może trochę go

lubiała. Pomyślał, że dobrze byłoby spędzić ze starszą posterunkową trochę czasu poza komendą, choćby wspólnie pospacerować po niewielkiej przystani żeglarskiej. Było to jedyne miejsce w Braniewie, które lubił, głównie latem, bo wtedy przy pomoście cumowały małe jachty i kajaki. Teraz było pusto, ale też klimatycznie, może dzięki lampom kładącym blask na czarnej wodzie.

Wyciągnął telefon. Postanowił przeprowadzić test. Jeśli wynik będzie pozytywny, zrezygnuje z tego, co dzisiaj zaplanowali z Jamrozem i Sokołowem. Wybrał numer Agaty Małek, nie przejmując się tym, że jest pierwsza w nocy. Odebrała po trzecim sygnale.

— Mogę do ciebie wpaść?

Chyba była zaskoczona tym pytaniem, bo przez chwilę milczała. Wreszcie zaspanym głosem zapytała:

— A co się stało?

— Nic.

— To po co chcesz przyjść? Chryste! Jest środek nocy.

— Podobasz mi się — wypalił niespodziewanie.

Usłyszał, jak dziewczyna przełyka ślinę. Skoro już tyle powiedział, to może więcej.

— Mam ochotę wypić z tobą butelkę wina, a potem zaciągnąć cię do łóżka.

— Piłeś?

— Tylko herbatę i cztery kawy.

— Aha, czyli ci odbiło. Nie będę zgłaszać komendantowi, że mnie molestowałeś przez telefon, ale pamiętaj, że nie życzę sobie więcej takich numerów. Do poniedziałku.

Rozłączyła się. Test zakończył się negatywnym wynikiem. Już nie zmieni podjętej przed dwiema godzinami decyzji. A nie była to banalna decyzja, bo dotyczyła rezygnacji z dotychczasowego życia. Za kilka miesięcy przestanie być czynnym policjantem, a stanie się człowiekiem czerpiącym radość z każdej upływającej minuty. Opuści to brzydkie i ciasne miasteczko położone na najgorszym krańcu Polski, bo pod ruską granicą. Odetnie się od ludzi, którzy palą w piecach śmieciami i jeżdżą na podwójnym gazie. To wszystko zamieni na ogromną przestrzeń, pełną malowniczych widoków i pozbawioną do minimum ludzkiego pierwiastka. Już jesienią kupi sobie jednostkę pływającą, nie jakąś zwyczajną łódź, ale prawdziwie luksusowy jacht. Będzie miał co najmniej dwadzieścia metrów i szeroki pokład,

ponadto dwie kabiny i przestronną messę. Osiągi też będą z górnej półki, silnik najlepiej Volvo, taki zapewni dużą prędkość i zwrotność. No i na jego jachcie będzie zaawansowana technologia łączności, bo bezpieczeństwo na oceanach to kluczowy element żeglowania. Marzył o tej łodzi od lat. Najpierw popłynie na Kanary, spędzi tam zimę, a latem opłynie południową Europę, zatrzymując się w najlepszych portach. Na dłużej zacumuje w Dubrowniku. Już się umówił z Dominikiem i Nikitą, że za rok się tam spotkają.

Na realizację tych planów potrzebował kilka milionów złotych. Nie wiedział, ile będzie diamentów i ile będą warte. Założył jednak, że to nie może być mała kwota. Jeśli Ruscy się za coś biorą, to na dużą skalę. Gdy kradną i przemycają, to też z grubej rury. Sokół powiedział, że jakaś ekspertka z diamentowego koncernu ukradła tysiąc kamieni i były one warte dziesięć milionów dolarów. Jeśli ta kontrabanda będzie trzy razy mniejsza, to wystarczy. Kradzież diamentów nie zapowiadała się na łatwe przedsięwzięcie. Będą mieli przeciwko sobie nie tylko przemytników, ale także uzbrojone po zęby polskie wojsko. Z drugiej strony, przewidywał, że obecność aż trzech grup może okazać się korzystna, bo gdyby udało się skierować przemytników przeciwko kaczkom... Poza tym tych pierwszych nie musi być wielu, może dwóch albo trzech, a terytorialsi to w końcu cywile, którzy weekendowo bawią się w żołnierzy. Tak to przedstawił komisarzowi i młodszemu aspirantowi, gdy ich namawiał do kradzieży kontrabandy. Z Sokołem poszło mu łatwo, to w końcu on pierwszy zwerbalizował ten pomysł, mówiąc, co w takiej sytuacji zrobiliby mołdawscy funkcjonariusze. Dominik długo się opierał. Jako argument wysuwał fakt, że samo przejęcie diamentów to za mało, trzeba będzie jeszcze je komuś opchnąć za dobrą kasę, a przecież nie pójdą z nimi na rynek. W tej kwestii Sum liczył na Tuszyńską. Zaproponują jej korzystną wymianę, oni spreparują dowody, które wykluczą jej sprawstwo w zastrzeleniu kierowcy golfa, a ona pomoże im dotrzeć do nabywcy diamentów.

Zszedł z pomostu. Coś głośno chlupnęło w rzece. Może duża ryba albo samotna kaczka nagle wybudzona ze snu niespodziewanym hałasem. Czterech pijanych mężczyzn wydzierało się, idąc kładką. Odgrażali się Arabom, Brytolom i Roskom. Kosmopolitycznie, choć brakowało w tym zestawie Żydów. Inspektor szedł w ich stronę pewnym krokiem.

— Chłopaki, zobaczcie! Pedał idzie! — zawył jeden z pijaków.

Nie rozpoznali go. Nie wiedzieli, że jest psem. To dobrze, w razie fizycznej zaczepki zaskoczenie będzie po jego stronie. Poprawił walthera w kaburze, choć nie miał zamiaru go użyć. Krępy mężczyzna na mocno chwiejących się nogach zbliżył się do policjanta, zastępując mu drogę.

— Szukasz chuja? — wybełkotał.

— Tak, szukam chuja, któremu mógłbym wpierdolić.

Sum pochylił głowę i zacisnął pięści. Na prawej miał założony kastet. Nie chciał pierwszy atakować. Czekał na ruch tamtego. Cała czwórka ledwo trzymała się na nogach, bez problemu sobie z nimi poradzi. Ku jego zdziwieniu mężczyzna się odwrócił i oddalił przy akompaniamencie głośnego rechotu kolegów. Wyminęli inspektora i podtrzymując się nawzajem, weszli na pomost. Teraz pod czarne niebo popłynęły homofobiczne hasła wznoszone z pijackim entuzjazmem.

Policjant ruszył przed siebie. Żałował, że nie doszło do starcia. Chciał się wyżyć, wyładować złe emocje, pozbyć się tego dyskomfortu pod czaszką. Ten dzień był inny niż wszystkie pozostałe w jego policyjnej karierze. Dzisiaj pocił się ze strachu i dzisiaj zabił człowieka. Kilkadziesiąt karabinów wymierzonych w niego i czterech policjantów, to zrobiło na nim wrażenie. Naprawdę się bał. Żołnierze prawdopodobnie nie zaczęliby strzelać, ale wtedy wydawało mu się, że niewiele do tego brakuje. Ten strach sprzed kilku godzin wciąż był dla niego ciężarem. W tym lęku było coś nefajnego, to zapewne z powodu tego trepa. Bukowiecki dał im, a zwłaszcza jemu, inspektorowi, lekcję posłuszeństwa. Skutecznie upokorzył policję. Sum czuł się jak przeżuta i wypluta guma. Nie mógł sobie darować, że aż tak się wystraszył, że się wycofał. Było trzeba zostać w bazie, a nie wracać tam podstępem, ukradkiem, co skończyło się śmiercią żołnierza.

Inspektor kopnął kamień. Ten potoczył się kilkoma schodkami w dół. Postanowił ukraść te diamenty nie tylko po to, żeby kupić jacht i zmyć się z kraju. Bardziej zależało mu na tym, żeby ten trep ich nie dostał. Jeśli nie uda im się ich sprzedać, to trudno. To nie ma większego znaczenia, o ile zdoła wkurwić podpułkownika. Sum szykował się, by wejść z tym człowiekiem w ostry konflikt. Najpierw ukradnie mu te diamenty, a potem spróbuje podważyć jego autorytet. Zaryzykuje wszystkim, aby się odegrać. Był nawet gotów trafić za kraty za nieumyślne przyczynienie się do śmierci terytorialsa.

Rozdział II

KOMISARZ JAMRÓZ PRZEKRECIŁ KLUCZ w zamku i ostrożnie otworzył drzwi. Wszedł do mieszkania i wsłuchał się w ciszę. Dochodził do niego pomruk lodówki i cykanie zegara. Dwa dźwięki, które wprowadzały w otoczenie spokój i wrażenie, że tutaj jest bezpiecznie. Bez obawy mógł zdjąć buty i odpiąć kaburę. Pamiętał, żeby nie zostawiać broni w przedpokoju, bo w mieszkaniu było dwoje dzieci. Co prawda teraz spały, ale któreś mogło się obudzić i pójść do toalety. Córka by zignorowała walthera leżącego na szafce, ale nie syn. Na pewno chciałby go potrzymać, już parę razy prosił o to komisarza. Ten się zgodził, bo nie potrafił niczego odmówić swoim dzieciakom. Niech wiedzą, że mają kochającego ojca.

Wszedł do kuchni i wyjął z lodówki garnek z pomidorówką. Zuza mu napisała, że ugotowała zupę i żeby sobie podgrzał, gdy wróci. Głodu nie czuł, raczej miał ochotę na coś gorącego i domowego. Poza tym uważał, że powinien się posilić przed akcją. Może do niej dojść niebawem, za godzinę albo o świcie, albo też jutro, w ciągu dnia. Osobiście stawiał na niedzielę, bo ludzie spotykający się w dzień budzą mniej podejrzeń. Nawet jeśli przemytnicy domyślają się, że policja jest na ich tropie, to i tak powinni zmierzać do przekazania diamentów za dnia, i to w jakimś publicznym miejscu, byle z dala od monitoringu.

Nalał zupy do talerza i usiadł przy stole. Zaczął jeść. Usłyszał jakiś szmer i delikatne stuknięcie. Sekundę później w drzwiach stanęła Zuza w koszuli nocnej i boso. Odgarnęła z twarzy rozczochrane włosy. Jeden policzek miała zaczerwieniony, zapewne odcisnięty od poduszki.

— Zrobić ci coś jeszcze do jedzenia? — zapytała szeptem, żeby nie obudzić dzieci śpiących za ścianą.

— Nie. Pomidorowa wystarczy.

Zbliżyła się do niego i zanurzyła dłoń w jego przydługich lokach.

— Nawet po całym dniu pracy wyglądasz jak włoski amant.

Podziękował jej za komplement, głaszcząc po pośladkach. Zuza trochę przesadziła z tym amantem. Wcale nie był przystojny, miał okrągłą pospolitą twarz i krzywy nos, pamiątka po sportowej karierze, ale włosy

rzeczywiście zasługiwały na wysoką ocenę, lśniły czernią, poza tym było ich dużo i się kręciły. To one upodabniały go do południowca.

— Późno wróciłeś — zauważyła współczującym tonem. — Miałeś ciężki dzień?

— Dosyć.

— Jakaś interwencja domowa?

— Można tak to nazwać.

Pogłaskała go po plecach.

— To kończ szybko zupę i do łóżka.

— Kochanie, nie będę się kładł.

Zatrzepotała długimi rzęsami, jak gdyby próbowała odgonić senność, a wraz z nią ciężkość umysłu.

— Co? Dlaczego?

— Położę się na chwilę obok ciebie, ale w ubraniu. Mogą mnie w każdej chwili wezwać na komendę. Muszę być gotowy.

Wyjął telefon z kieszeni i sprawdził, czy nie dostał esemesa, chociaż sierżant Dobrowolski nie bawiłby się w wysyłanie wiadomości, od razu by dzwonił, gdyby coś zaczęło się dziać. Czterech ludzi zajęło pozycje wokół bazy wojskowej. To zbyt mało, ale tylko tyle znaleźli okularów noktowizyjnych w policyjnym magazynie. Funkcjonariusze mieli obserwować terytorialsów i nie dać się zauważyć. Poza tym na komendzie cały czas monitorowano telefon należący do kierowcy golfa. Gdy tylko zmieni się jego lokalizacja, natychmiast dadzą mu znać.

— Co to za sprawa? — zapytała Zuza. — Już przestała szeptać, co świadczyło o jej zdenerwowaniu. — To na komendzie nie ma innych funkcjonariuszy?

Położył palec na swoich ustach, a potem przyłożył go do warg żony. Wymownie spojrzął w stronę drzwi, przypominając, że syn i córka śpią. Zrozumiała, bo ciszej powiedziała:

— Przecież naczelnik wie, że od niedawna masz dzieci, a młodzi ojcowie powinni spędzać weekendy w domu.

— Robię to dla naszych dzieci, dla nas — wyszeptał.

To była prawda, robił to dla rodziny. Gdy Krystian zaproponował, żeby ukradli diamenty, nie zgodził się. Zawsze był uczciwym gliną, choć nie raz próbowano go skorumpować. Nigdy nie wziął żadnych pieniędzy, a handlarze wyrobami spirytusowymi i tytoniowymi bez akcyzy wręcz wciskali mu je do kieszeni. Przed tygodniem kobieta zgłaszająca przemoc

domową dawała mu kilka banknotów za to, aby potwierdził, iż zastał u niej w domu agresywnego mężczyznę. Poinformował ją, że zgodnie z artykułem dwieście dwadzieścia dziewięć kodeksu karnego za proponowanie łapówki policjantowi grozi jej kara pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do ośmiu lat.

Krystian i Nikita nie namawiali go bardzo, aby wziął udział w kradzieży diamentów, ale parę argumentów trafiło do niego z wyjątkową siłą. Mieli okraść przestępców, a nie uczciwych ludzi. I to ruskich przestępców, co nie było bez znaczenia, bo ci po stracie kontrabandy prawdopodobnie będą siedzieć cicho, strach przed swoimi będzie większy niż chęć odwetu. Ponadto kradzież kamieni szlachetnych i opchnięcie ich dalej nie wiązało się ze szkodą społeczną. To przecież nie były narkotyki, od których umierały dzieciaki. To też nie był alkohol, który zniszczył niejedną rodzinę. Diamenty trafią do pierścionków i kolczyków, a z tych będą się cieszyć kobiety. Kradzież kamieni szlachetnych zaczęła mu się jawić jako wyjątkowo etyczne przedsięwzięcie, no i przede wszystkim opłacalne. Perspektywa zarobienia kilku milionów złotych zadecydowała o tym, że przystał do kolegów. Te pieniądze bardzo mu się przydadzą. Mógłby wybudować dom, w którym każde z dzieci miałoby swój pokój, a przez kolejne lata żyliby na przyzwoitym poziomie. Byłoby ich stać na wakacje, na prywatne lekcje dla Sylwuni i Olesia, potem na studia na zagranicznej uczelni, na dwa dobre samochody, no i Zuza nie musiałaby zaraz wracać do pracy.

Położyła mu dłoń na ramieniu. Już nie była zła. Zdawała sobie sprawę, że mąż bierze nadgodziny, żeby łatwiej im się żyło. Z czułością dotknął jej rozgrzanego od snu policzka. Za jakiś czas będzie spędzał więcej czasu z nią i dziećmi i pieniędzy też im nie zabraknie.

— Smakuje ci? — zapytała ciepło.

— Bardzo.

— Sylwii też smakowało. Ona jest kochana. Podziękowała mi za pomidorówkę. Powiedziała: „Mamusiu, dziękuję, że ugotowałaś mi tak dobrą zupkę”.

W oczach żony zobaczył łzy. Oboje wiedzieli, że słowa córki przede wszystkim świadczą o tym, że do tej pory nikt o nią nie dbał.

— Idź już do łóżka. Ja jeszcze wezmę prysznic i włożę czyste ubranie.

Zuza pocałowała go w policzek i wyszła z kuchni. Zabrał telefon do łazienki. Oczekiwanie na akcję było męczące. Wysoki poziom adrenaliny

przeszkadzał w wykonywaniu banalnych czynności i przede wszystkim nie dawał odpocząć. Gdy kładł się w ubraniu obok żony, wiedział, że nie uśnie, choć powieki mu opadały. Przez poręcz krzesła przewiesił pas z kaburą, a na poduszce położył aparat. Co chwilę sprawdzał, czy działa, czy nie było połączenia, którego nie usłyszał, bo dźwięk w telefonie jakimś dziwnym sposobem sam się wyłączył. Chciał, żeby sierżant Dobrowolski już zadzwonił albo żeby nie dzwonił w ogóle. Kradzież diamentów nagle wydała mu się zbyt ryzykowna. Wolałby nie trafić za kraty. Sylwunia i Oluś mieli wystarczająco dużo traumatycznych przeżyć, kolejne nie jest im potrzebne. Sam się z tej akcji nie wypisze. Powiedział chłopakom, że jest z nimi i tak będzie. Gdyby jednak przemytnicy okazali się sprytniejsi i zdołali przekazać diamenty, komu trzeba, albo gdyby żołnierzom udało się je przejąć, to nie ubolewałyby nad ich stratą. Może nawet odetchnąby z ulgą.

Nagle drgnął. Tuż przy jego uchu dzwonił cicho telefon. Złapał go i zerwał się z łóżka. W ciemnościach kierował się do drzwi. Nie chciał obudzić Zuzy. Nie powinna słyszeć, co będzie mówił. Odebrał w kuchni.

— Komisarzu, coś się zaczyna dziać — zakomunikował głośnym szeptem Dobrowolski.

— Co takiego?

— Leśne ludziki kręcą się po bazie. Nie wszyscy, może trzydziestu albo czterdziestu. Są w ruchu, trudno ich policzyć. Teraz dwóch weszło do namiotu, w którym mają magazyn.

Komisarz poczuł dreszcz na plecach jak za dawnych lat przed walką bokserską. Spojrzał na zegarek w kuchence. Była piąta osiem. A jednak usnął i spał całe cztery godziny.

— Obserwuj ich. Za dwadzieścia pięć minut będę w Płoskini.

Sierżant Dobrowolski nie znał prawdziwych planów komisarza Jamroza. Żaden z policjantów nie wiedział o tym, że trzech funkcjonariuszy ma zamiar ukraść diamenty, nie wiedzieli też, co jest przedmiotem przemytu. Myśleli, że celem policyjnych czynności jest Magdalena Tuszyńska podejrzewana o zabicie kierowcy golfa.

Wybrał numer Suma. Tamten odebrał już po pierwszym sygnale.

— Kaczki się ruszyły. Jedziemy — zakomunikował Jamróz.

— Ja już tu jestem.

— Gdzie? Chyba nie w lesie?

— Za Płoskinią, a właściwie za Giedylami. Siedzę w samochodzie i piję kawę z termosu. Wziąłem dwa telefony. Z tego numeru połączę się

z Dobrowolskim, żeby relacjonował mi, co tam się dzieje. A drugi numer jest dla ciebie i Sokoła.

Jamroza wcale nie uspokoiło to, że inspektor jest już na miejscu. Wiedział, że tamten kieruje się chęcią policzenia się z podpułkownikiem, a osobista wendeta nie mogła zapowiadać niczego dobrego.

Powiadomił Sokołowa, że ruszają i wrócił do sypialni po pas z kaburą. Starał się poruszać cicho, ale i tak obudził Zużę.

— Już idziesz? — zapytała zaspanym głosem.

— Tak.

— Uważaj na siebie.

— Będę uważał.

Znowu poczuł dreszcz na plecach, ale tym razem nie było to podniecenie wywołane oczekiwaniem na starcie z rywalem. To był niepokój wywołany przeczuciem, że przeciwnik reprezentuje inną kategorię wagową. Komisarz walczył w wadze średniej, a mogło się okazać, że tamci zaprawili się w wadze ciężkiej. Nie wiedział tylko, czy tamci to przemytnicy, czy żołnierze.

Po ciemku włożył buty. Skrzypnęły drzwi do pokoju dzieci. Któreś się obudziło, zapewne z jego winy, poruszał się zbyt głośno. Zapalił światło i zobaczył córkę w pidżamce w słońce.

— Siku — zakomunikowała, drepcząc w miejscu.

Wpuścił ją do łazienki. Wskoczyła na sedes, zdejmując spodenki. Nie spodziewał się, że zrobi to tak szybko. Ledwo co zdążył przymknąć drzwi.

— Tatusiu, ząb mi dzisiaj wyleciał! — zawołała ze środka.

— Wiem, mama mi mówiła.

— Teraz wyrośnie mi nowy.

— Tak, wyrośnie ci.

— Tatusiu, a dlaczego mydełko jest różowe?

To pytanie było dla niego zbyt trudne. Oleś i Sylwunia często zadawali im kłopotliwe pytania, na które wypadało odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Gdy nie mogli znaleźć sensownej odpowiedzi, to wspierali się internetem. Teraz nie miał czasu, aby zajrzeć do sieci.

— Kochanie, nie wiem, dlaczego jest różowe. Jutro zapytasz mamę, ona będzie wiedziała. — Chciał już iść, ale nie mógł, bo córka zaczęła płakać, gdy wyjdzie z łazienki, a jego nie będzie. — Już się wysikałaś?

— Tak.

Otworzył drzwi. Sylwia stała przy umywalce.

— Wracaj do łóżka!

— Jeszcze muszę umyć rączki. Mamusia mówiła, że po siku trzeba umyć.

Odkręcił kran, a córka wzięła mydło. Nie spieszyła się, jak gdyby chciała mu zrobić na złość. Pierwszy raz jego dziecko przyprawiło go o lekką irytację. Psycholog uprzedzał, że tak będzie, pod tym względem rodzicielstwo adopcyjne nie różniło się od biologicznego.

— Mydełko jest różowe, a pianka jest biała — zauważyła Sylwia.

— Pianka zawsze jest biała — oznajmił, opłukując ręce córki i wycierając je ręcznikiem.

Zaprowadził ją do pokoju. Zanim wsunęła się pod kołdrę, przytuliła się do jego nóg, obejmując go szczupłymi ramionami. Rozbroiła go tym zupełnie. Przemknęło mu nawet przez głowę, że nie powinien wychodzić z domu, że dobrze byłoby spóźnić się na akcję.

Rozdział III

PODWÓRKO ZNAJDOWAŁO SIĘ na tyłach domu. Nie docierało tutaj światło lamp ulicznych, przez co zachmurzone nocne niebo zamieniło tę przestrzeń w kilka odcieni czerni, z której wybijały się dwie jaśniejsze plamy. Pierwsza z nich to karoseria sześćdziesięcioletniej syrenki. Drugi punkt to obrysowanie drzwi do szopy, będące dziełem światła przeciskającego się przez szczeliny.

Przed szopą leżał rosyjski chart. Podniósł się, gdy Sokół się zbliżył. Przyjacielsko otarł się o nogi policjanta, a ten pogłaskał go po grzbiecie. Przywiózł go dwa lata temu z Mołdawii jako miesięcznego szczeniaka. Zawinał go wtedy w swoją kurtkę i położył na fotelu pasażera. Nie wierzył, że to się uda, ale Koli chyba wiedział, że jest przemycany, bo siedział spokojnie i nawet nosa nie wysunął.

— I co, Koli? Gdzie twój przyjaciel?

Pies odwrócił łeb w stronę szopy, skąd dobywało się ciche pogwizdywanie. Sokół otworzył drzwi i zobaczył Romana przykucniętego przy motorze MZ dwieście pięćdziesiąt.

— Co jest, Romuś? Spać nie możesz?

— A żebyś wiedział, że nie mogę. Łóżko się zrobiło za duże.

Pół roku temu Roman stracił żonę. Zmarła we śnie w wyniku rozległego udaru. Młodszy aspirant dobrze pamiętał tamtą dramatyczną noc. Starszy pan nie zadzwonił po pogotowie, lecz przyszedł do niego na piętro i powiedział, że Krysia chyba umarła, bo się nie rusza. Nikita zadzwonił pod sto dwanaście, a potem usiłował ratować kobietę, robiąc jej masaż serca.

— To w takim razie powinienes zmienić łóżko albo najlepiej wszystkie meble w sypialni. A gdybyś chciał przy okazji zrobić remont, to ci pomogę. Umieć malować i cykliniarką też kiedyś się posługiwałem.

Roman się wyprostował i położył dłoń u dołu pleców.

— Kurde, jak mnie w krzyżu łupie. Mówisz remont. Po co mi taki bałagan? Dla kogo miałbym odnawiać dom? Córka w Londynie, a wnuk u Szwabów zapierdala.

— Jak wyremontujesz dom, to może wróci.

— Tutaj ma wrócić? A kto chciałby mieszkać w Braniewie? Ruscy za płotem. Jak się zacznie z nimi wojna, to nawet skarpet nie zdążymy włożyć, nie mówiąc o butach. Zginiemy w samych majtkach.

— Ja tu mieszkam z wyboru. Podoba mi się Braniewo. Inni mogą nam pozazdrościć tyłu prostych chodników i ulic. Drogi powiatowe też w większości super.

Romek z lekceważeniem machnął ręką.

— Po co te remonty dróg? Chyba po to, żeby ruskim czołgom się dobrze jechało.

— Daj już spokój z tymi czołgami! A Braniewo jest świetne, takie czyste, i mamy tu dobre piwo.

— Kiedyś było lepsze.

— Bo byłeś młodszy, to i piwo ci lepiej smakowało.

— Ty, Nikita, jesteś inny. Czasami myślałem, że robisz tu za piątą kolumnę, nawet imię i nazwisko masz jak oni.

Sokół zaśmiał się. Był Polakiem od urodzenia, miał na to dowód w postaci odpisu z aktu urodzenia wystawionego przez Urząd Stanu Cywilnego w Rzeszowie, ale nazwisko po ojcu Mołdawianinie i imię, które wybrał mu dziadek z Kiszyniowa, wielbiciel Nikity Chruszczowa, sprawiły, że wiele osób brało go za Rosjanina.

— Mieszkanie jednak mi wynająłeś.

— Bo Krysia chciała, jej się spodobałeś. Powiedziała, że dobrze ci z oczu patrzy. — Rosyjski chart wszedł do szopy i podszedł do Romana. Ten poklepał psa po łbie. Koli najwidoczniej lubił tę dość szorstką pieśczołę, bo oparł pysk o udo mężczyzny. — Tego pieska też uwielbiała. Dostawał więcej wołowiny niż ja.

Sokół wskazał na motor.

— I co? Będzie jeszcze jeździł?

— Będzie, a właściwie już można nim przejechać Polskę wzdłuż i wszerz. Stara dobra enerdowska robota, no i zawsze o niego dbałem.

— To kiedy ruszasz w drogę?

— Gdyby tak mnie w krzyżu nie łupało, to jutro bym pojechał do Starej Pasłęki.

Rosyjski chart nastawił uszy, gdy rozległo się ciche wibrowanie telefonu. Nikita wyjął aparat z kieszeni, przez chwilę słuchał uważnie, a potem zapewnił, że już rusza.

— Co? Robota wzywa? — zagadnął Roman.

— Tak.

— Znowu jacyś przemytnicy? Macie cynk?

— Tajemnica służbowa — oznajmił Sokół oficjalnym tonem i puścił oczko do starszego pana.

— No to jedź, tylko uważaj na siebie.

Wsiadł do swojego audi. Ogarniało go miłe podniecenie związane z oczekiwaniem na wyrównanie rachunków. Niczego tak nie pragnął, jak policzyć się z kaczkami, a zwłaszcza z majorem Serafinem. Wyjątkowo nie polubił tego żołnierzyka. Terytorialsi, pseudowojsko, mocni tylko w grupie, rzucili się na jednego policjanta w kilku, jak podwórkowi chuligani. Będzie bardzo szczęśliwy, jeśli zdoła zwinąć diamenty majorowi sprzed nosa. No i byłoby rewelacyjnie, gdyby tamten dowiedział się, kto go tak załatwił. Perspektywa ewentualnego wzbogacenia się wcale go nie cieszyła. Policyjna pensja w zupełności mu wystarczała. Nie bez znaczenia było też to, że za jakiś czas odziedziczy duży dom w Kiszyniowie po dziadku, który dobiegał dziewięćdziesiątki. A więc jego przyszłość finansowa w minimalnym stopniu była zabezpieczona. Gdyby nie koledzy, to wrzuciłby te diamenty do Pasłęki.

Za Giedylami skręcił w polną drogę i zgasił światła. Toczył się bardzo powoli w gęstym, nieco mglistym półmroku, typowym dla tych terenów, zwłaszcza przed nastaniem świtu. Nie chciał się wpać na zderzak samochodu inspektora, wyteżał więc wzrok i liczył metry, bo ford mondeo miał stać na dwusetnym metrze. W ostatniej chwili zauważył czarny kształt wozu. Wcisnął hamulec. Wsiadł i zachłysnął się zimnym powietrzem, w którym wisały krople wody. Według jego rozeznania zapowiadało się na gęstą mgłę. Ciekawe, komu biała zasłona bardziej pomoże? Im? Przemytnikom? Czy kaczkom? Wsiadł do wozu inspektora i zaciągnął się aromatem kawy.

— Co za pogoda — mruknął.

— Chujowa — skonstatował Sum.

— Co nowego? — zapytał Sokół.

— Żołnierze wyszli z namiotów i biegają teraz z karabinami po lesie. Jest ich około czterdziestu. Wygląda to na jakieś ćwiczenia, rozpoznanie terenu albo może szukanie elfów. Nie mam pojęcia, co innego mogą trenować.

— Czyli akcja się nie zaczęła, to był fałszywy alarm.

— Tak. Zapowiadało się na coś poważnego, a tu dorośli faceci ganiają się między drzewami. Dobrowolski i jego ludzie musieli się wycofać.

Pozostawanie w pobliżu było zbyt niebezpieczne.

— Wiesz, co zrobili z ciałem tego żołnierza, co ty go niechcący...

— Nie wiem. Dobrowolski na ten temat nic nie zgłaszał. Sądzę jednak, że zostawili zwłoki na miejscu zdarzenia, to byłoby najrozsądniejsze. Swoich i policję zawiadomią dopiero wtedy, gdy załatwią sprawę z przemytnikami. Nie mogą zbyt długo zwlekać, bo trup leżący parę godzin w lesie wzbudzi podejrzenia żandarmerii. No bo niby co miałyby to znaczyć? Zgubili jednego terytorialsa i tego nie zauważyli? Nikt go wcześniej nie szukał?

— Nie boisz się, że podpułkownik skieruje podejrzenia na nas?

— A czego mam się bać? Z taką kasą? Jeśli stanę się podejrzanym, to zniknę i niech mnie szukają na oceanie. Portów jest całe mnóstwo. Poza tym dla bezpieczeństwa mogę co kilka miesięcy przerejestrowywać jacht i zmieniać jego nazwę. — Inspektor sięgnął z tylnego siedzenia torbę, z której wyjął kubek i podał go młodszemu aspirantowi. — Napijemy się kawy. — Odkręcił termos. — Jeszcze jest gorąca. Wziąłem też kanapki, ale chyba nie zdążymy ich zjeść. Sądzę, że wkrótce się zacznie.

— Z czym te kanapki?

— Z wędliną. Mogłem jeszcze zabrać jakieś batony energetyczne.

— Ruscy dzwonili do Tuszyńskiej?

— Ona do nich wczoraj dzwoniła i to dwa razy. Zapewne dogadywali przekazanie kamieni.

Sokół napił się kawy. Skrzywił się, bo była piekielnie mocna.

— Sorry, że bez mleka i cukru — mruknął Sum.

Kolejny łyk już tak bardzo nie drażnił jego kubków smakowych.

— Nie wydaje ci się, że już powinniśmy odesłać Dobrowolskiego i pozostałych chłopaków?

Inspektor przytaknął.

— Jak tylko Dominik do nas dołączy, to bierzemy się do roboty.

CZĘŚĆ SIÓDMA
Żołnierze

Rozdział I

TITO WŁOŻYŁ BAWELNIANE SPODNIĘ i granatową bluzę z kapturem, na to kurtkę z ciepłą flanelową podpinką. Na pewno nie zmarznie i tym strojem nie powinien wzbudzać podejrzeń. Zwyczajny gość w typowych ubraniach, choć nie swoich. Przyjechali na ćwiczenia w mundurach polowych. Cywilnych łachów nikt nie brał, a teraz okazały się potrzebne, przynajmniej jemu, bo jako wspólnik Rudej nie może się pokazać przemytnikom w mundurze Wojska Polskiego. Uśmiechnął się na myśl, że Ruscy mogliby uznać mundur za niezły kamuflaż. W nocy, gdy układali cały plan, doszli do wniosku, że cywilna garderoba jest niezbędna. Nie mieli wyjścia, musieli wysłać jednego z chłopaków po prywatne ubranie. Padło na Bartka Nowickiego, bo mieszkał w Braniewie. Co prawda mieli w bazie wielu innych braniewian, ale plutonowy najbardziej pasował sylwetką do sierżanta.

Tito podniósł ręce w górę. Kurtka leżała znakomicie, długość spodni też była idealna, jedynie bluza cisnęła go lekko w ramionach. Buty miał wojskowe, ale młodzi mężczyźni często takie nosili. Włożył dłoń do kieszeni i pomacał wista. Drugi pistolet trzymał za paskiem spodni, to na wypadek, gdyby musiał zdjąć kurtkę.

— Też dostanę broń? — zapytała Ruda, stając za nim.

Słyszał, jak wsuwa się do namiotu. Udawał, że nie zauważył jej wejścia. Drgnął, pozorując zaskoczenie. Lepiej, żeby nie wiedziała, że jest czujny.

— Już jednego wspólnika zastrzeliłaś. Ja chciałbym ujść z życiem.

Założyła włosy za uszy i szybko oblizała usta czubkiem języka.

— Już mówiłam twoim dowódcą, że nie miałam wyboru. Albo on mnie, albo ja jego.

— Kim on był?

Uniosła lekko brwi, dając znać, że nie rozumie pytania.

— W jakim charakterze tu przyjechał?

— Żebym nie była sama.

— Czyli jako twoja obstawa? Żeby nic ci się nie stało?

— Raczej, żebym nie ukradła tych diamentów. Nie ufają mi, jestem dla nich obca, wynajęli mnie do konkretnej rzeczy. Miałam dokonać

ekspertyzy, a jeśli ta wypadłaby pozytywnie, to wydałabym polecenie zapłaty, a on miał zatroszczyć się o dalszy transport kamieni.

Tito nie wierzył dziewczynie. Kłamała. Kto normalny chciałby zabić eksperta przed wydaniem ekspertyzy. Później tak, ale nie przed tym kluczowym momentem, który zapewniał, że towar nie jest trefny. Prawdopodobnie Ruda wpakowała współnikowi kulę w głowę, bo chciała ukraść diamenty. Czy była aż tak naiwna, a może bardzo przebiegła? I czy ktoś jej pomagał?

— Wiesz, kto cię wynajął?

— Nie wiem.

— A czy oprócz kierowcy golfa jest ktoś jeszcze?

— Tego też nie wiem. Ten koleś zabrał mnie ze stacji Orlenu na Krzywoustego w Poznaniu. A czy ktoś za nami jechał? — Wzruszyła ramionami i dotknęła palcem wskazującym jego klatki piersiowej. — Co robisz w cywilu?

— Po co chcesz to wiedzieć?

— Może byśmy się umówili po wszystkim.

— Po wszystkim się zobaczy, a teraz idziemy.

Wyszli z namiotu. Świtało. Jeszcze pół godziny temu nad polami wisiała mgła, teraz mżyło. Tito minął forda rangera i zatrzymał się przy motocyklu kawasaki, ten pojazd pozbawiony był graficznych symboli Wojska Polskiego. Zdjął plandekę chroniącą przed deszczem i z kufra wyjął dwa czarne kaski. Jeden podał Rudej.

— Będziemy tym jechać? Przecież pada. Nie lepiej samochodem?

— Chyba nie liczyłaś, że na spotkanie z przemytnikami wybierzemy się wojskowym rangerem?

Uruchomił motor. Nie musiał długo czekać na Rudą. Podwinęła kurtkę i zajęła miejsce za nim. Mocno objęła go w pasie. Jechali do oddalonej o osiem kilometrów wsi Podlechy. Tam zatrzymali się w gospodarstwie, jakich było w okolicy sporo. Stary poniemiecki dom imponował czerwoną dachówką i zielonymi okiennicami. Z trzech budynków gospodarczych dwa były nowsze, postawione jakieś trzy dekady temu. Po podwórku dreptały kaczki, za którymi wzrokiem wodził czarny kot. Tito rozejrzał się dyskretnie, zastanawiając się, gdzie mogli się ukryć major Serafin i kapral Derkacz. Mieli dosyć czasu, aby tu dotrzeć i znaleźć dobrą kryjówkę. Musieli jednak uważać, aby się nie natknąć na przemytników i nie dać się zauważyć. Rusczy też zapewne rozstawili swoich ludzi. Tito w pierwszej

chwili uznał, że jako żołnierze mają sporą przewagę, bo przecież są przeszkoleni w podchodach. Szybko sobie uzmysłowił, że trudno mieć przewagę nad kimś, o kim zupełnie nic się nie wie. Jeśli to rzeczywiście byli Rosjanie, to też mogli być dobrze żołniersko przeszkoleni, bo za wschodnią granicą służba wojskowa była obowiązkowa. Tam od poborowych wymagano dużo więcej niż w Polsce od terytorialsów. W Rosji po dwunastu miesiącach z wojska wychodziły roboty zdolne do walki z najlepszymi armiami świata. A żołnierze wojsk terytorialnych po weekendowych ćwiczeniach umieli co najwyżej szybko spakować plecak i sprawnie poruszać się po lesie.

Rozdział II

Z DOMU WYSZŁA OKOŁO PIĘCDZIESIĘCIOLETNIA kobieta w przyciasnym na brzuchu swetrze. Uśmiechnęła się do swoich gości.

— Nie wiedziałam, że przyjedziecie na motorze. Spodziewałam się samochodu.

Ruda rozejrzała się po pustym podwórku.

— A naszych znajomych to jeszcze nie ma?

— Są, to znaczy jest jeden pan, bo ten drugi od razu odjechał. Został ten czarny. — Kobieta posłała im porozumiewawcze spojrzenie, sądząc, że wiedzą, o kim mówi. — Zaproponowałam mu kawę, ale on poprosił o gorące mleko, a teraz się zajada moją drożdżówką. No wchodźcie, bo pada.

Weszli do środka. Rozkład pomieszczeń był podobny jak w tamtym opuszczonym domu, najpierw spora sień, w której zagospodarowano przestrzeń kuchenną, a po przeciwległych stronach drzwi do pokoi. Kobieta skierowała się na lewo do pomieszczenia z ładnym piecem, w którym palił się ogień.

Przy stole siedział postawny mężczyzna. Uwagę przykuwały jego duże dłonie, szeroka twarz i smoliście czarne włosy. Nie miał europejskiej urody, raczej azjatycką, syberyjską. Nawet by to pasowało, pomyślał Tito, kopalnie diamentów znajdują się przecież w Jakucji. Gość jadł drożdżówkę, energicznie ruszając żuchwą. Na ich powitanie odpowiedział ruchem głowy.

— Wam też mleka? Czy może kawy? — zapytała gospodyni.

Ruda zdjęła kurtkę i powiesiła ją na krześle.

— Może być mleko. — Uśmiechnęła się. — Dawno nie piłam gorącego mleka, a dzisiaj taka pogoda, że nabrałam ochoty.

Kobieta spojrzała na sierżanta.

— Panu też mleka?

— Tak.

Tito rozpiął kurtkę. Najchętniej by ją zdjął, bo temperatura była wysoka. Chciał jednak mieć szybki dostęp do wista w kieszeni. Sięgnięcie po drugi pistolet za plecy i w dodatku pod bluzę wymagałoby więcej czasu, przynajmniej jednej długiej sekundy, a to mogłoby zaważyć na jego życiu.

— Ładna jesteś i młoda — zauważył mężczyzna, patrząc na Rudą. Mówił ze wschodnim akcentem. Prawdopodobnie był to ten sam człowiek, który kontaktował się z nimi telefonicznie. — Taka młoda, a już wielki spec.

Rosjanin pokiwał głową z uznaniem.

Tito wczoraj też w myślach zestawiał młody wiek Magdaleny Tuszyńskiej i jej eksperckie zdolności. Musiała być w tym dobra, skoro ktoś z Europy Zachodniej wynajął właśnie ją do oceny rosyjskich kamieni. Zapytał nawet, gdzie się tego nauczyła, przecież nie z książek w bibliotece. Odpowiedziała krótko, że to talent.

Gospodyni wniosła tacę z kubkami i talerzykami. Ruda usiadła przy stole i włożyła sobie kawałek drożdżówki.

— Pyszna — wymruczała z pełnymi ustami.

Rosjanin przytaknął.

— Nasze kobiety też takie robią.

— A ja nie umiem piec.

— Ty, piękna, masz inne talenty.

Roześmiali się oboje, Ruda dyskretnie, a Rosjanin gromko, jak gdyby znajdował się w towarzystwie dobrych znajomych. Tito przyglądał się tej dwójce i wypatrywał porozumiewawczych spojrzeń, ukradkiem dawanych znaków. Liczył się z tym, że dziewczyna będzie próbowała ostrzec przemytników, żeby nie przekazywali diamentów, bo je tracą. Teraz odstawiła talerz z drożdżówką i sięgnęła po kubek.

— Rewelacyjne mleko, na pewno nie z kartonu.

Wczoraj chwaliła żołnierską kuchnię, czyli w tych zachwytach nie ma ukrytych sygnałów. Tak po prostu miała w zwyczaju.

— Siadaj, kolego! — rzucił Rosjanin, unosząc w jego stronę kubek z mlekiem. — Lepiej się gada, gdy nogi odpoczywają.

— To wy będziecie gadać, wy macie sprawę do załatwienia, a ja jestem tylko kierowcą.

Tito wolał stać, bo wtedy mógł jednocześnie obserwować przestrzeń za oknem i przemytnika. Na razie zauważył, że na krześle obok mężczyzny leży zwinięta puchowa kurtka. Niewykluczone, że pod nią znajdowała się broń, tak położona, aby łatwo było po nią sięgnąć. Rosjanin mógł też trzymać pistolet na kolanach pod blatem stołu, i to było bardziej prawdopodobne, bo niby dlaczego nie wstał, gdy weszli do pokoju.

— Dobrze mówisz po polsku — zauważyła Ruda. — Chyba często bywasz u nas?

— Wcale nieczęsto, a po waszemu się nauczyłem na frachtowcu. Pół załogi to wasi byli. Trzy lata byliśmy jak rodzina.

— O! Jesteś marynarzem! — W głosie dziewczyny pojawił się zachwyt. — Ten zawód zawsze mnie fascynował. Dokąd pływałeś? Proszę, powiedz.

— Dużo do Chin.

Tito wziął swój kubek z mlekiem i stanął tak, żeby spojrzeć za okno, ale jednocześnie kontrolować, czy Ruda nie daje znaków przemytnikowi. Jak na razie robiła wszystko, żeby nie rozpocząć ekspertyzy diamentów. Może oczekiwała, że jej infantylne i nachalne pytania o pracę na statku zaniepokoją mężczyznę i ten się wycofa z przekazania kamieni.

— Dużo kobiet pływa? — pytała dalej.

— Niedużo, na frachtowcach nie ma ani jednej, a robota dla nich była, bo biurowe sprawy są na pokładzie.

— Ty już nie pływasz?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo na statkach roboty tyle, że nie wiadomo, co pierwsze olać, a załogi dalej małe. To, co kiedyś robiło trzydziestu ludzi, dzisiaj robi piętnastu. Nawet nie ma kiedy fajki zapalić.

Dziewczyna kiwnęła głową ze zrozumieniem.

— Wiem, o czym mówisz.

— No to statek zostawiłem i to dla mnie dobre. Teraz sobie siedzę z piękną kobietą przy gorącym mleku i czego więcej chcieć. Tak sobie myślę, że anioły w niebie mają skrzydła, a anioły na ziemi rude włosy mają.

Magda zareagowała odpowiednio do usłyszanego komplementu. Zatrzepotała rękami.

Sierżant był zły na siebie. Powiedział dziewczynie, że przekażą ją psom, jeśli będzie próbowała ich wykiwać. Powinien jednak wyrazić się precyzyjniej, żeby wiedziała, iż nieprzekazanie diamentów też będzie się dla niej równało z policyjnymi bransoletkami na nadgarstkach. Gdyby o tym wiedziała, to nie zwlekałaby z przejściem do sedna sprawy.

Popijał mleko i przysłuchiwał się pogawędce dziewczyny i przemytnika. Gdy z talerza zniknęły wszystkie drożdżówki, mężczyzna oznajmił:

— No to teraz biznes.

Włożył dłoń pod puchową kurtkę leżącą obok na krześle i wyjął puszkę z orzeszkami ziemnymi. Postawił ją pośrodku stołu.

— O! To dla mnie? — Ruda udawała, że nie wie, o co chodzi. — Lubię orzeszki.

— To próbuj.

Zdjęła wieczko z puszkki i włożyła dłoń do środka. Wyjęła jeden kamyczek i obejrzała go, potem kolejny. Trzeci przysunęła bardzo blisko oczu. Wolną rękę wsunęła pod bluzę tuż przy szyi i wyciągnęła szkło powiększające zawieszona na łańcuszku. Obejrzała przez nie kilka diamentów. Rumieniec zabarwił jej kości policzkowe, usta miała lekko rozchylone, piersi szybko unosiły się pod bawełnianą tkaniną. Albo ekspertyza wiązała się dla niej z dużymi emocjami, albo tak mocno przeżywała fakt, że zaraz straci te diamenty. Bardzo ostrożnie wysypała na stół wszystkie kamyczki. Tito pamiętał, że miało być ich osiemdziesiąt, ale wyglądało na to, że jest ich mniej. A może to tylko takie wrażenie, bo kamienie były niewielkie, jakby odłupane od większych kawałków. Dziewczyna położyła na rozpostartej dłoni pięć największych diamentów i podeszła z nimi do okna. Zaczęła je oglądać pod światło. Nagle się odwróciła i powiedziała:

— To podróbki, to kamień syntetyczny, zwykła cyrkonია.

Na palenisku zasyczał ogień, a potem zaczęły trzaskać palące się drwa. Nawet wewnątrz pieca zareagowało na sensacyjny wynik ekspertyzy. Takiej oceny kamieni Tito się nie spodziewał. Strużka potu ciekła mu po plecach, a w głowie narastał chaos. Zwykle wiedział, co robić, umiał szybko podejmować decyzje, ale nie teraz. Wpatrywał się w twarz Rudej, próbując rozszyfrować, czy skłamała. Może liczyła na to, że w ten sposób odwiedzie terytorialnych od kradzieży. Gdyby tu chodziło o banalne zajumanie kontrabandy, to po prostu zgarnąłby te wszystkie kamyczki i wyszedł stąd, ale ich celem było schwytnie przemytników. Mógł zatrzymać tego człowieka o smoliście czarnych włosach i zawieźć go do powiatowej komendy policji w Braniewie bądź nawet przekazać żandarmerii wojskowej, ale jeśli diamenty naprawdę okażą się fałszywe, to zamiast uznania czeka ich pośmiewisko. Terytorialsi zatrzymali przemytników cyrkonii, ta informacja obiegnie wszystkie media, a ostatecznie zakorzeni się w programach rozrywkowych. Staną się głównym tematem dla kabaretów i wszelkiej maści internetowych stand-uperów.

Rosjanin był równie zaskoczony jak Tito.

— Diament syntetyczny? To taka ty ekspertka?

— Nie powiedziałam, że to jest diament syntetyczny. To jest cyrkonია, czyli syntetyczny kamień ozdobny, który nie ma swojego odpowiednika

w przyrodzie. Diament syntetyczny robi się z grafitu i ma on nawet niezłą wartość, a cyrkonია powstaje z tlenku cyrkonii i kosztuje grosze.

— Słuchaj no, młoda, to ja dałem dla ciebie próbkę. Sam ją włożyłem do słoika z konfiturami i tamte diamenty wziąłem stąd. — Wskazał na puszkę po orzeszkach ziemnych. — Wtedy były dobre, a teraz nie?

Ruda podeszła do stołu i przysunęła jeden kamyczek do oczu przemytnika.

— Zobacz! Prawdziwy diament wewnątrz błyszczy na szaro i biało, a na powierzchni lśni kolorami tęczy, a fałszywy ma też kolory tęczy wewnątrz, jak ten tutaj.

Mężczyzna odsunął jej rękę.

— Ja jestem tylko kurierem. Oglądanie diamentów nie dla mnie. Skoro nie są one prawdziwe, to je zabieram.

Zaczął wkładać kamyczki do puszki.

Sierżant spojrział na palenisko i go olśniło. Już wiedział, jak sprawdzić prawdziwość kamieni. Podeszedł do stołu i zgarnął kilkanaście szkiełek. Mężczyzna posłał mu pytające spojrzenie.

— O ile wiem, to diamenty są odmianą węgla, powinny więc się spalić. — Podeszedł do pieca i wyciągnął dłoń z kamyczkami w stronę ognia. — Wrzucę je i sprawdzimy, czy są coś warte.

Liczył na to, że Ruda zaprotestuje, nie pozwoli zniszczyć kamieni, ona jednak zareagowała głośnym śmiechem.

— Chcesz spalić diamenty w ognisku? Zabawne. — Znowu się zaśmiała. — Zapamiętaj sobie, że prawdziwe diamenty palą się w temperaturze powyżej trzech tysięcy pięciuset stopni Celsjusza.

Sierżant wiedział, że popełnił błąd. Przede wszystkim zdradził, że nie ufa dziewczynie. Rosjanin już wiedział, że nie są współnikami, ale to akurat było w tej chwili bez znaczenia. Gorzej, że odruchowo zgarnął kamienie prawą ręką i trzymał ją teraz nad paleniskiem, a tym samym nie mógł prędko sięgnąć do prawej kieszeni po broń. Przemytnik podniósł się i wycelował w niego lufę pistoletu.

— Panie policjant, odłóż diamenty na stół, ale powoli, bo ja miewam skurcz w palcu i mogę nacisnąć.

Ruda cofnęła się o krok, jak gdyby obawiała się, że kula może ją trafić.

— On ma broń w kieszeni.

Wskazała palcem na sierżanta.

— Wiem. Wielu ty ich przyprowadziłaś?

— To nie ja ich, tylko oni mnie. Z nim przyjechałam motorem, ale myślę, że gdzieś blisko są też inni.

— Kurwa, ja myślałem, że coś u was nie gra. Dobrze myślałem. Wy Polaczki zawsze musicie zepsuć coś.

Tito zbliżał się do przemytnika. Gdyby nie stół, spróbowałby szybkim kopnięciem wytrącić mu broń. Zastanawiał się też, czy nie rzucić mu diamentów w twarz, może zyskałby sekundę na dezorientacji tamtego i zdążyłby wyciągnąć wista. Powstrzymało go skupione spojrzenie Rosjanina i swobodny uśmiech na jego twarzy. Kamienie zazgrzytały, gdy kładł je na blacie. Właściwie osiągnął to, co chciał. Potwierdził, że diamenty są prawdziwe.

— A teraz zdejmij kurtkę i dawaj ją tam! — Przemutnik wskazał głową na krzesło.

— Ja mogę wyjąć mu broń z kieszeni — zaproponowała Ruda.

— Ty, piękna, chowaj diamenty do puszeki.

Dziewczyna zaczęła zbierać kamienie, a Tito przewiesił kurtkę przez oparcie krzesła.

— Teraz ty. Ręce w górę i dwa kroki do tyłu!

Sierżant wykonał polecenie.

— Wielu was tu jest?

Tito milczał.

— Gdzie się chowają panowie policjanci? Mów!

— To nie jest policjant — zakomunikowała Ruda. — To żołnierz.

— Żołnierz? Co za żołnierz?

Niepokój rósł w głosie mężczyzny wraz z każdą kolejną sylabą.

— Terytorials — rzuciła Magdalena, zbierając ostatnie diamenty. — To tacy specjaliści żołnierze — dodała, zakręcając wieko puszeki.

Broń drgnęła przemytnikowi w dłoni, pod nosem pojawiły się krople potu. Ruda mocno go wystraszyła, mówiąc o specjalnych żołnierzach. Zapewne uznał, że ma do czynienia z czymś na podobieństwo specnazu. Tito zastanawiał się, jak to wykorzystać. Chciał się już odezwać, ale powstrzymało go przerażenie pojawiające się w oczach dziewczyny. Patrzyła ponad jego ramieniem. Przemutnik cofnął się i rozstawił szerzej nogi. Nerwowo poruszał palcem na spuście.

Ktoś wszedł do pokoju. Sierżant niemal czuł fizyczną obecność przybyłych. Opuścił ręce przekonany, że to Serafin i Derkacz.

CZEŚĆ ÓSMA
Policja

Rozdział I

— Ile kosztował cię ten dron? — zapytał Jamróz.

Był pod wrażeniem bezzałogowego statku powietrznego z ośmioma śmigłami, który krążył na wysokości dwudziestu metrów.

— Półroczną pensję — odpowiedział Sum, skupiony na sterowaniu.

Przenosił wzrok z tabletu na drona i z powrotem. Niekiedy kiwał głową, jakby aprobowały to, co się działo w powietrzu.

— Synowi kupię takiego — oznajmił komisarz. — Też z kamerą. Będziemy nim razem sterować.

— Na początek możesz mu kupić zabawkową wersję, bez kamerki, wtedy nie będziesz musiał się rejestrować na stronie Urzędu Lotnictwa Cywilnego i przechodzić szkolenia online. Ja jeszcze swojego drona nie zarejestrowałem.

— Ale szkolenie przeszedłeś?

— Nie, ale spokojnie, dam radę, już dwa razy go uruchamiałem. Raz odesłałem go na dwadzieścia kilometrów i sprowadziłem z powrotem. To naprawdę dobry sprzęt.

Jamróz wytarł twarz z deszczu i ponownie uniósł głowę, aby obserwować obiekt na niebie.

— Szkoda, że takich nie mamy w robocie. O ile łatwiej byłoby tropić przemytników.

Oddalony o parę kroków Sokołow przybliżył się do kolegów. Kończył jeść kanapkę.

— Założę się, że kaczki mają bezzałogowe statki powietrzne najnowszej generacji — wymamrotał z pełnymi ustami. — Bawią się nimi jak zabawkami. Kurwa, tyle kasy na terytorialnych idzie, a oni się tylko bawią.

— Jeszcze nas bronią przed wrogą armią — odezwał się prowokacyjnie Dominik.

Wiedział, że na ring nie warto wychodzić zbyt mocno pobudzonym, a Nikita zachowywał się jak podpięty do akumulatora. Lepiej, żeby teraz wyładował część swoich emocji, pomstując na terytorialnych.

— To nie oni muszą ścigać przemytników, gangusów, mafię narkotykową, kiboli i pijanych kierowców. Nie obchodzą ich pedofile, mordercy, handlarze

bronią, nielegalni imigranci. To wszystko na naszej głowie i jeszcze musimy uważać, żeby komuś nie zrobić krzywdy, bo będzie afera.

— Jeśli tak dobrze w armii, to się tam przenieś — rzucił chłodno inspektor. — Mają przecież podwajać liczebność wojska. Policjanta wezmą, nawet z ruskim nazwiskiem.

Sokołow uniósł brodę, co znamionowało udawane oburzenie.

— Miałbym codziennie zadawać się z takimi dupkami jak podpułkownik i major? Nigdy. Już wolałbym iść na ochroniarza albo parkingowego.

— Po sprzedaży diamentów będziesz mógł robić, co będziesz chciał — zauważył komisarz.

Sokół się uśmiechnął.

— Czyli dalej będę psem. A jeśli już naprawdę ktoś mnie wkurwi w firmie, to wezmę się za hodowlę rasowych psów. Zaczęłbym od rosyjskich chartów.

Stali na polnej drodze obok trzech samochodów. W zasięgu wzroku nie mieli żadnego budynku, jedynie ciemne prostokąty ziemi, gdzieniegdzie samotne brzozy i topole, i na szarym horyzoncie niewyraźny zarys lasu. Mżyło. Sum zasłonił tabletkę kurtką.

— Kurwa, nie myślałem, że parasol będzie potrzebny. Próbuję ustawić optymalną wysokość, żeby leśne ludziki nie zobaczyły, że coś im fruwa nad głowami.

Wszyscy podnieśli wzrok na szare niebo. Dostrzegali niewielki ruchomy punkt zawieszony w mało przejrzystej, jakby drgającej przestrzeni.

— Jeśli spodziewają się drona, to go wypatrzą — oznajmił Sokół.

— No właśnie, i tu jest ten problem — mruknął Sum. — Internet podaje, że putinowskie bezzałogowce często przekraczają naszą granicę, a wojskowe radary ich nie wychwytyją. W takiej sytuacji pozostają tradycyjne metody, czyli ludzkie oko. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby terytorialni mieli polecenie obserwować niebo non stop, zwłaszcza tutaj, blisko ruskiej granicy.

Z ust Sokołowa wydobył się spory obłok pary, gdy parsknął śmiechem.

— Kaczki jako radary, to bardzo prawdopodobne i to byłaby jedyna pożyteczna rzecz, jaką byliby w stanie robić.

— Na jakiej wysokości jest teraz nasz dron? — zapytał Jamróż.

— Sto pięćdziesiąt metrów i obraz z kamery jest znakomity mimo deszczu. Gdy podniosę go wyżej, to ostrość słabnie. Boję się, że możemy coś przeoczyć.

Komisarz pochylił się do tabletu.

— Pokaż mi!

Sum odsłonił monitor. Na szklanej płaszczyźnie natychmiast pojawiły się krople wody. Dominikowi wystarczył ułamek sekundy, aby rozpoznać siebie pośród trzech sylwetek filmowanych z góry. Obiektyw miał niezłe przybliżenie.

— Podnieś drona do dwustu metrów!

Znowu unieśli głowy, patrząc, jak bezzałogowiec się oddala w głąb łożowanej kopuły nieba. Gdy znieruchomiał, to niemal wtopił się w tło.

— Jeśli nie będziemy zbyt często nim manewrować, to nie powinni go zauważyć — odezwał się Sokół.

— I o ile nie lustrują nieba lornetkami — dodał inspektor.

Jamróż ponownie zerknął na monitor. Obraz wydawał się lekko rozmazany, ale wszystkie obiekty nadal były widoczne. Kot umknąłby ich uwadze, ale nie człowiek.

— Będzie dobrze. Możesz go wysłać nad bazę.

Chwilę później zobaczyli, jak dron oddala się na zachód z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Wsiedli do wozu i kontynuowali obserwację lotu bezzałogowca na tablecie. Widzieli filmowane z góry pola, nieliczne zabudowania i coraz częściej pojawiające się drzewa. Wreszcie dron zawisł nad bazą, pokazując dobrze znaną przestrzeń z szesnastoma namiotami. Przed jednym z namiotów stał wartownik, to tam znajdował się magazyn sprzętu wojskowego. Kolejnego wartownika dostrzegli na zachodnim krańcu bazy. Na dłużej zatrzymali obiektyw nad wojskowymi pojazdami. Nikt się pośród nich nie kręcił.

Sum wybrał numer sierżanta Dobrowolskiego. Gdy tamten odebrał, oznajmił:

— Kończymy akcję. Wycofujcie się, ale tak, żeby was nikt nie zauważył.

— Okej.

W tym jednym słowie słysząc było ulgę. Dobrowolski spędził osiem godzin w lesie w temperaturze kilku stopni, do tego od godziny mżyło. Nic dziwnego, że miał już dosyć.

Przez kolejne pięć minut nic nowego nie dostrzegli, a potem na leśnej drodze prowadzącej do bazy pojawiło się kilkudziesięciu żołnierzy. Biegli, dźwigając plecaki, a przed sobą karabiny.

— To chyba zaprawa — rzucił Sokół.

— Dość długa ta zaprawa — zauważył komisarz. — Godzinę temu Dobrowolski meldował, że ruszyli w las. Biegali co najmniej przez pięćdziesiąt minut. Dziwi mnie tylko, że nie biegają wszyscy terytorials. Ilu ich tu przybiegło? Pięćdziesięciu? Zaprawa dla ochotników? W wojsku?

Sum uniósł tablet bliżej oczu i zaczął liczyć żołnierzy. Jedni wlekli się do namiotów, inni zrzucali plecaki i padali na ziemię, nie wypuszczając z rąk karabinu. Jeden z terytorialsów klęczał w błocie i wymiotował. Dla niego zaprawa okazała się zbyt dużym wysiłkiem. Choć wielu żołnierzy znajdowało się w ruchu, dało się ich policzyć.

— Przybiegło czterdziestu — oznajmił Krystian. Nagle walnął pięścią w kierownicę. — Kurwa! — wrzasnął. — Przechytrzyli nas. Jaki ze mnie kretyn. Łącz mnie z Dobrowolskim.

Jamróż wybrał numer sierżanta i podał telefon Sumowi. Obracając się, zobaczył zdumione spojrzenie siedzącego z tyłu Sokoła. Obaj nie wiedzieli, co jest powodem zdenerwowania inspektora, na czym polega ich błąd.

— Ile kaczek ruszyło na te niby ćwiczenia? — rzucił Sum do słuchawki.

— Czterdziestu dwóch — odpowiedział Dobrowolski z wyraźnym zaskoczeniem i lekką obawą.

Chyba zmroziła go myśl, że przełożony każe mu wracać i kontynuować obserwację.

— Jesteś pewny, że czterdziestu dwóch?

— Tylu mi wyszło. Sebastian też naliczył czterdziestu dwóch, Michał widział aż czterdziestu trzech, a Krasnal w ogóle nie zdążył ich policzyć.

— Wszyscy byli w mundurach?

— Tak.

— A była wśród nich kobieta?

— Że niby ta Ruda, co odstrzeliła łeb kierowcy golfa?

— Pytam, czy wśród kaczek ruszających godzinę temu z bazy była kobieta.

— Nie było.

— Jesteś pewien?

— Tak. Na kobiety moje oko doskonale reaguje, nawet w okularach noktowizyjnych.

— A podpułkownik był wśród tych kaczek?

— A skąd ja mam to wiedzieć?

— Kurwa, on ma ponad dwa metry.

— Nie zauważyłem, żeby ktoś się wyróżniał wzrostem.

Sum się rozłączył i oddał telefon komisarzowi.

— Dobrze rozumiałem, że z bazy wyruszyło czterdziestu dwóch żołnierzy, a wróciło czterdziestu? — zagadnął Dominik.

— Tak. Wykiwali nas. Ta zaprawa była po to, aby odprowadzić dwóch z nich na spotkanie z przemytnikami, a ja uznałem, że to te ich śmieszne ćwiczenia, jakieś rozpoznanie terenu albo coś równie bezsensownego.

— Czyli spodziewali się, że będziemy ich obserwować — zauważył komisarz. — Tylko dziwne, że nie zabrali Tuszyńskiej ze sobą. To właściwie kompletnie niezrozumiałe.

Inspektor wpatrywał się w tablet z furią i nadzieją, że jeszcze nie wszystko stracone.

— Ona musi brać w tym udział — oznajmił z naciskiem. — To jej przemytnicy przekażą diamenty, a nie ludziom w mundurach. A ci na zaprawie byli w mundurach, tak powiedział Dobrowolski.

Sokołow poruszył się niespokojnie na tylnym siedzeniu.

— Czyli ta cała zaprawa nie ma żadnego znaczenia dla naszej sprawy, a w liczeniu po prostu ktoś się pomylił, albo chłopaki, albo ty.

— Nikt się nie pomylił. Kaczki odprowadziły dwóch swoich na miejsce przekazania diamentów i ta zaprawa to nie była zmyłka dla nas, ale dla przemytników.

Nikita nie był przekonany.

— No nie wiem. Gdybym ja miał kontrabandę przy sobie i zobaczył czterdziestu biegnących żołnierzy, to chyba bym zmienił plany.

— Ale gdybyś zobaczył tylko dwóch skradających się mundurowych, to nabrałbyś jeszcze większych podejrzeń.

— Co teraz robimy? — zapytał komisarz.

W jego głosie słychać było rezygnację.

— Czekamy, aż Tuszyńska ruszy na miejsce spotkania — oznajmił inspektor i zamyślił się.

Można było odnieść wrażenie, że wsłuchuje się w odgłos kropli deszczu uderzających o dach wozu. Jamróz nagle pochylił się do tabletu. To on pierwszy dostrzegł dwie postaci wychodzące z namiotu. Jedna z nich była wyraźnie mniejsza. Nikita wcisnął się pomiędzy przednie siedzenia. Też chciał lepiej widzieć obraz na tablecie.

— To Tuszyńska. Miałeś rację — szepnął.

Inspektor położył palec na monitorze.

— Obniżymy na moment drona.

— Dawaj! — ponaglił go Sokołow.

Po chwili obraz nabrał wyrazistości, ujawniając szczegóły. Komisarz rozpoznał czarną długą kurtkę, którą Tuszyńska kupiła po wyjściu z komendy. Zauważyli też, że towarzyszący jej człowiek nie ma na sobie munduru, to raczej było ubranie cywilne. Obie postaci podeszły do motoru. Mężczyzna usiadł za kierownicą, a kobieta zajęła miejsce za nim. Chwilę później jechali leśną drogą.

Sokołow zatarł ręce. Cieszył się jak mały chłopiec.

— Mamy ich.

Inspektor prowadził drona za motorem. W ustach zaschło mu od emocji. Jeszcze nic straconego, jeszcze była szansa na to, że kupi sobie luksusowy jacht i ulotni się z tego zadupia, a przede wszystkim pokrzyżuje plany zarozumiałemu trepowi. Myśl, że Bukowiecki nie dostanie w swoje łapy diamentów, napawała go wyjątkowym zadowoleniem.

— Jak szybko lata ten dron? — zapytał komisarz.

— Do stu kilometrów na godzinę. Nie uciekną nam. Na autostradzie mogliby, ale nie tutaj. Pojedziemy za nimi dwoma samochodami. Ty, Nikita, wracaj do swojego wozu. Będiesz jechał za nami. Ty, Dominik, poprowadzisz moje auto, a ja będę sterował dronem.

Przesiedli się i ruszyli. Trzymali się w bezpiecznej odległości tysiąca metrów. Świetel samochodowych nie włączyli. Motocyklista nie miał szansy ich dostrzec. Przejechali jakieś osiem kilometrów, wtedy motor zatrzymał się na podwórku jednego z domów w Podlechach. Motocyklista i pasażerka weszli do budynku. Wyglądało na to, że tutaj nastąpi spotkanie. Inspektor krążył po okolicy dronem, szukając ukrytego gdzieś pojazdu przemytników. Żaden z trzech samochodów zaparkowanych na podwórkach nie wydawał się podejrzany.

— Chyba przemytnicy jeszcze nie przyjechali — oznajmił.

— W takim razie nie powinniśmy stać na drodze, bo mogą z tej strony nadjechać. — Komisarz niespokojnie uderzał palcami o kierownicę. — Musimy się gdzieś schować. Znajdź mi jakieś dobre miejsce do zaparkowania.

Inspektor obniżył drona na przepisową wysokość pięćdziesięciu metrów i patrzył na nowe budownictwo kryte blachą oraz na stare domy z czerwoną dachówką, jedne i drugie były duże. Budynki gospodarcze nie ustępowały wielkością zabudowaniom mieszkalnym, a niekiedy sporo je przewyższały.

— Kurwa, tu nie ma gdzie się schować — warknął.

Dominik nachylił się do tabletu.

— Tam zaparkujemy. — Wskazał palcem na monitor. — Za stodołą tego gospodarstwa. Od strony drogi osłoni nas ten drugi budynek.

Sum przytaknął. To był jedyny słuszny wybór. Tam pozostaną niezauważeni, o ile w tym gospodarstwie nie ma ciekawskich psów. Powoli wtoczyli się na podmokłą łąkę i stanęli przy ścianie stodoły. Za nimi zaparkował Sokół. Do domu, w którym znajdował się motocyklista i Tuszyńska, mieli jakieś trzysta metrów.

Inspektor wrócił dronem nad podwórko, gdzie stał motor. Dostrzegł dwie budy, ale psów nie było. Widocznie gospodyni, która wyszła na powitanie, musiała je gdzieś zamknąć, może w którymś z trzech budynków gospodarczych, to by znaczyło, że czekała na gości.

— Co teraz? — zapytał Jamróz.

— Dzwonź do starszej posterunkowej Małek. Chcę mieć dane personalne właścicieli tego domu i ich numery telefonów, chcę też wiedzieć, ile osób tam mieszka. Niech to sprawdzi, tylko prędko, ma się uwijać, jak gdyby ją sraczka goniła.

Kusiło go, aby kamerką zajrzeć przez okna do wnętrza domostwa. Obawiał się jednak, że dron zostanie zauważony albo usłyszany. Nie miał też pewności, czy potrafiłby sterować nim tak precyzyjnie. Trzymał więc bezzałogowca pięćdziesiąt metrów nad zabudowaniami. Nic się nie zmieniało, przemysłowcy nie nadjeżdżali.

Jamróz odsunął telefon od ucha i odruchowo poprawił bujną czuprynę.

— Agata dopiero weszła na komendę. Obiecała, że zaraz oddzwoni, a Sokół powiedział, że chce się podkraść pod tamten dom.

— Niech na razie siedzi w swoim wozie.

— Krystian, a co z tymi dwoma, którzy opuścili bazę z żołnierzami na zaprawie, a z nimi nie wrócili? Myślisz, że są gdzieś tutaj?

— Na pewno są. Ukrywają się i wkroczą do akcji dopiero wtedy, gdy trzeba będzie odebrać diamenty przemysłownikom.

Odezwał się cichy dzwonek komórki. Dominik uruchomił tryb głośnomówiący. Usłyszeli starszą posterunkową Małek:

— Tam mieszkają jacyś wariaci.

— Dlaczego wariaci? — zapytał Jamróz.

— Bo sprowadzili się do Podlech z Warszawy. Nie mogą być normalni. — Agata zaśmiała się jak z najlepszego żartu. — A w ogóle to gdzie jesteś? Po

co ci namiary na tych ludzi?

— Sprawdzam coś, to prywatna sprawa. Dawaj, co o nich masz.

— Judyta i Tomasz Sobocińscy, są małżeństwem. Ona ma pięćdziesiąt sześć lat, on jest rok starszy. Kupili dom w Podlechach dwie dekady temu. Prowadzą agroturystykę, ale nawet własnej strony nie mają, jedynie parę ogłoszeń znalazłam.

— A ich numery telefonów?

— Już ci wysyłam esemesem.

Sum postanowił zadzwonić do Judyty Sobocińskiej. Wprowadził dziewięć cyfr i czekał na połączenie. Kliknęło coś w słuchawce i usłyszał kobiecy głos.

— Słucham.

— Dzień dobry, szukam pokoju od dzisiaj, na trzy doby.

— Zapraszam. Mam dwa wolne pokoje.

W tych paru słowach słychać było uśmiech. Sobocińska była zadowolona, że szykuje się jej kolejny klient.

— Byłbym za pół godziny. Czy może być?

— Tak, oczywiście. Zaraz włączę ogrzewanie w obu pokojach. Weźmie pan ten, który będzie lepiej pasował. W jednym jest piec, grzybiarze go zwykle biorą, no, ale pan nie na grzyby.

— A czy ma pani w tej chwili innych gości? Pytam, bo oczekuję spokoju.

— Nie mam. Będzie pan sam.

Sum usiłował usłyszeć coś jeszcze poza głosem Sobocińskiej. Niestety, żadne dźwięki do niego nie docierały. Postanowił zaryzykować.

— Pani Judyto, proszę zachować spokój.

Kobieta wciągnęła oddech z wyraźnym zaskoczeniem.

— Inspektor Adam Dembiński, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego — przedstawił się zmyślnym szybko nazwiskiem. Tym samym służbowym tonem ciągnął: — Pani gospodarstwo jest pod obserwacją. Wiemy, że przyjechały do pani motorem dwie osoby, mężczyzna i ruda kobieta. Jeśli teraz ci ludzie przebywają z panią w jednym pomieszczeniu, to proszę powiedzieć, że zapewnia pani całonienne wyżywienie.

Obawiał się, że po jego wypowiedzi Sobocińska z lękiem popatrzy na swoich gości, z którymi siedziała przy jednym stole, zabawiając ich rozmową.

W słuchawce słychać było wyłącznie niepokojącą ciszę.

— Pani Judyto, jeśli ta dwójka znajduje się w tym samym pomieszczeniu, co pani, proszę powiedzieć, że zapewnia pani całodniowe wyżywienie.

— Całodniowe? Nie.

— Okej. Jest pani sama. Czy oni mogą słyszeć, co pani teraz do mnie mówi?

— Raczej nie. Jestem w kuchni.

Kobieta ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu.

— Pani Judyto, proszę mi powiedzieć, kiedy została pani uprzedzona, że oni przyjadą i kto panią o tym poinformował.

— Ten czarny Rusek, gdy tylko przyjechał, to powiedział, że jeszcze dojadą dwie osoby, a on był u mnie parę minut po szóstej. Bardzo wcześnie, ale wiadomo, oni przekraczają granicę, a z tym różnie bywa. Można tam na parę godzin utknąć. Czasami Ruscy nawet w nocy przyjeżdżają.

— Chce pani powiedzieć, że oprócz motocyklisty i rudej dziewczyny jest jeszcze u pani jakiś Rosjanin?

— No przecież mówię. Przywiózł go ten drugi Rusek i odjechał. Teraz we trójkę siedzą w salonie i coś tam omawiają. Dałam im mleka i drożdżówki. Mój mąż zawsze mi mówił, że z tymi kacapami to kiedyś się przejedziemy jak na gównie. No ale kto ma tu wynajmować pokoje? Grzybiarzy mamy tylko przez dwa miesiące w roku i to niewielu. Na wędkarzy nie mamy co liczyć, bo do Pasłęki spory kawałek. Koni nie mamy, tras rowerowych też nie ani innych atrakcji, to pozostają nam Ruscy.

Kobieta wciąż szeptała, ale teraz słowa wypadające z jej ust nabierały piskliwego brzmienia. Mogła to być oznaka narastającego strachu.

— Proszę się nie niepokoić, ci ludzie nie są niebezpieczni. Czy pani mąż jest w domu?

— Tak. Śpi.

— To proszę go nie budzić. Pamięta pani, jakim samochodem został przywieziony ten Rosjanin?

— Pamiętam jedynie, że ten wóz był duży i jasny. Było jeszcze zupełnie ciemno. Stałam w progu, on wysiadł, zagadali coś po rusku do siebie i tamten odjechał.

Inspektor sapnął z niezadowolenia. Miał nadzieję, że przy pomocy drona odszuka w okolicy samochód przemytników, ale nic z tego.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, jak wyglądał mężczyzna, który przyjechał motorem.

— Przystojny.

Sobocińska rzuciła to określenie bez chwili namysłu. Sum domyślił się, że musiał to być sierżant Tito, chciał jednak jeszcze się upewnić.

— A coś więcej mogłaby pani o nim powiedzieć?

— Miał czarne oczy, nawet nie brązowe, daję słowo, że były czarne.

— Dziękuję pani. Teraz się rozłączę. Prawdopodobnie zadzwonię jeszcze i gdyby nie mogła pani rozmawiać, to proszę powiedzieć, że za dopłatą zapewnia pani smaczne śniadania.

Sum odłożył telefon. Przez całą rozmowę obserwował obraz na tablecie, ten się nie zmienił.

— Czyli sierżant jest w środku — zagadnął Dominik.

— Tak. I dwóch żołnierzy na zewnątrz. Ich trzech wystarczy do okradzenia przemytników. To nawet nie będzie typowa kradzież, zwyczajnie odbiorą diamenty jako współnicy Tuszyńskiej. Ukraść to my je musimy.

— Jak chcesz to zrobić?

— Najpierw eliminujemy tych dwóch na zewnątrz, potem czekamy, aż przyjedzie ten drugi Rusek z diamentami.

Jamróż spojrzał na Suma zdumionymi oczami.

— A skąd ty wiesz, że ten Rosjanin, co już jest w środku, nie ma przy sobie diamentów?

— Ruscy są ostrożni. Muszą zyskać pewność, że wszystko gra, że po kontrabandę przyjechali ci ludzie, którzy mieli przyjechać.

Komisarz przytaknął. To wyjaśnienie miało sens.

— Powiedz jeszcze, jak niby chcesz znaleźć i rozbroić dwóch żołnierzy? Ja stawiam, że wśród tej dwójki jest major Serafin, a to w końcu żołnierz zawodowy. Nie da się tak łatwo podejść.

Inspektor wskazał palcem na tablet, jak gdyby to w nim kryło się rozwiązanie.

— Muszą mieć widok na podwórko, a więc chowają się w budynkach gospodarczych. Garaż bym odrzucił, bo do niego trudniej się dostać. — Machinalnie skupił wzrok na niskim budynku z garażowymi drzwiami. — Kurwa, Dominik, zobacz. Jeden z nich jest na dachu garażu.

Komisarz się pochylił ku tabletowi. Spodziewał się zobaczyć ludzką sylwetkę, ale ujrzał jedynie prostokątny kształt, odcinający się ciemniejszą barwą od płaszczyzny dachu.

— Myślisz, że ukrywa się pod jakąś płachtą?

— To żołnierz, maskuje się.

— No nie wiem, ale nawet jeśli tam jest, to jak go chcesz na dachu zaskoczyć i obezwładnić? Niewykonalne.

— Kurwa, Dominik, mówisz tak, jak gdybyś chciał się wycofać.

Komisarz poczuł się przyłapany na braku lojalności. Rzeczywiście od samego początku liczył, że zaraz coś się wydarzy, co uniemożliwi im kontynuowanie akcji. Powinien się zrehabilitować, żeby tylko Sum nie patrzył na niego jak na wyrzutka. Gorączkowo szukał w głowie jakiegoś pomysłu. Znalazł.

— Te duże domy mają przeważnie dwa wyjścia, te tylne na sad. — Wskazał palcem na tablet. — Tu też jest sad. Zadzwoń do Sobocińskiej, żeby otworzyła tylne drzwi. Wejdziemy przez nie, ja i Sokół, ty będziesz obserwował okolice dronem. W ten sposób wyeliminujemy żołnierzy na zewnątrz, po prostu ich pomijając. W środku się ukryjemy, takie budynki mają sporo zakamarków. No i poczekamy sobie na tego drugiego Ruska, który przywiezie diamenty. Nie wiadomo, czy wejdzie do środka, czy może tamten wyjdzie z domu po kontrabandę. W najgorszym wypadku w środku będziemy mieli przeciwko sobie dwóch przemytników, jednego terytorialsa i kobietę.

Z naciskiem wypowiedane frazy zdawały się uderzać w dach i okna samochodu, jak gdyby chciały wydostać się na otwartą przestrzeń i wcielić w czyn. Jamróż starał się przekonać kumpla nie tyle do swojego planu, co raczej do swojej lojalności. Tak naprawdę podświadomość krzyczała mu w głowie: Uciekaj! Zostaw to! To się źle skończy! Gdy zobaczył, jak Sum przytakuje i unosi do ucha telefon, pomyślał ze strachem o Zuzce i dzieciakach, a potem z resztkami nadziei o Sokołowie. Może młodszy aspirant wyśmieje jego plan i zaproponuje coś mądrzejszego, choćby wezwanie posiłków w celu zatrzymania przemytników. Na takie rozwiązanie inspektor powinien się zgodzić. Przecież wtedy podpułkownik też nie dorwie się do diamentów, a o to tu chodzi, aby odegrać się na wojsku.

Rozdział II

BIEGLI ZGIĘCI WPÓŁ Z KAPTURAMI na głowach, Sokołow pierwszy, Jamróż za nim. Miękką ziemię uginała się pod ich butami, gdy przedzierali się przez młody las, w którym drzewa nie przekraczały dwóch metrów wysokości. Deszcz wciąż siąpił, wypełniając przestrzeń równomiernym szumem. We wsi zaczęły nagle ujadać psy, jak gdyby wyczuły, że dzieje się coś niepokojącego. Zbliżali się do sadu Sobocińskich. Tu musieli przemieszczać się jeszcze ostrożniej, bo wprawdzie gospodyni powiedziała, że jej goście zajęli pokój z oknem od podwórka, ale nigdy nic nie wiadomo. Przemysłnik albo sierżant Tito mogli wpaść na pomysł, aby sprawdzić, co się dzieje na tyłach domu. Dopadli do rogu budynku i przesuwali się wzdłuż ściany aż do drewnianych drzwi, poprzedzonych trzema schodkami. Stali chwilę przed nimi, próbując opanować oddechy. W końcu Dominik dał znak głową, aby Nikita nacisnął kłamekę. Sam wyciągnął i odbezpieczył walthera. Podczas trzynastu lat służby nigdy go nie użył. Oby dzisiaj też nie musiał, ale jeśli ktoś w niego wyceluje, nie zawaha się strzelić, bo najważniejsze jest, aby wrócił do Zuzy i dzieciaków. Z niepokojem myślał też o gospodarzach, którzy mieli zamknąć się w sypialni i nie wychodzić, dopóki inspektor im nie pozwoli. Ich bezpieczeństwo było priorytetem.

Drewniane drzwi otworzyły się lekko. Komisarz pierwszy wsunął się do wnętrza z uniesionym do strzału pistoletem. Sokół także wyciągnął broń i wszedł za nim. Natychmiast przymknął drzwi, aby nagły napływ zimnego powietrza nie wzbudził podejrzeń przebywających tu osób. Z głębi domu dobiegały przytłumione głosy. Dominik odtworzył w pamięci rozkład pomieszczeń, który nakreśliła im dość nerwowo Judyta Sobocińska. Po wejściu mieli znaleźć się w niewielkim i ciemnym korytarzu, w którym stała szafa. To się zgadzało. Stąd kolejne drzwi prowadziły do następnego korytarza, szerszego i z wąskim oknem zapewniającym lepszą widoczność. Tu miała znajdować się stara lodówka, której właściciele nie zdążyli jeszcze wyrzucić. Wychylił się i zobaczył wspomniany sprzęt AGD, a za nim drzwi do sypialni, potem kolejne przejście do sieni, z której można było wyjść na podwórko i do dwóch pokoi, w tym na prawo mieli przebywać goście.

— Idziemy! — szepnął i ruszył.

Wszedł w korytarz i pokonał go czterema dużymi krokami, mając świadomość, że słyhać każde zetknięcie się podeszwy z deskami. W sieni zatrzymał się na moment, słysząc znajomy głos:

— On ma broń w kieszeni.

To mówiła Tuszyńska. Za chwilę jakiś mężczyzna zapytał:

— Wielu ty ich przyprowadziłaś? — Wschodni akcent wskazywał na przemytnika. — A teraz zdejmij kurtkę i dawaj ją tam!

To polecenie wydał Rosjanin, a zatem zorientował się, że towarzyszący Tuszyńskiej mężczyzna wcale nie jest jej współnikiem. Kolejne usłyszane słowa były jak trzęsienie ziemi, które zmienia wszystko.

— Ty, młoda, chowaj diamenty do puszeki.

Komisarz aż się uśmiechnął pod nosem. Młodszy aspirant dotknął go w ramię lufą swojego pistoletu, jak gdyby chciał mu powiedzieć: Jest dobrze. Rzeczywiście było dobrze, a nawet znakomicie, bo diamenty już tutaj były. Teraz tylko rozbroić przemytnika i sierżanta, chociaż temu broń chyba już odebrał Rosjanin, bo właśnie kazał podnieść mu rękę do góry i cofnąć się o dwa kroki. Potem wezmą diamenty, pożegnają się grzecznie i będą spierdalać tylnym wyjściem przez sad i lasek do wozu, nie dając żołnierzom ukrytym na zewnątrz czasu na to, aby wkroczyli do akcji.

Przemytnik nagle zapytał:

— Gdzie się chowają panowie policjanci?

Jamróz miał ochotę się cofnąć. Czy to możliwe, żeby ich obecność została zauważona?

— To nie jest policjant — wyjaśniła pospiesznie Ruda. — To żołnierz.

Usłyszał, jak stojący obok Sokołow wypuszcza powietrze z ulgą. To nie chodziło o nich.

Nie powinni dłużej zwlekać, sytuacja była idealna, lepszej nie będzie.

Rozdział III

MŁODSZY ASPIRANT NIKITA SOKOŁOW był nakręcony jak zabawka na gwiazdkę. Najchętniej wpadłby do pokoju z okrzykiem: Policja! Osobiście powaliłby znajdujących się tam mężczyzn, przycisnąłby ich kolanem do podłogi i skuł ręce na plecach, nawet Tuszyńskiej by nie odpuścił, też oglądałaby deski podłogi z odległości kilku centymetrów. Adrenalina wyrzucana przez nadnercza do organizmu w zbyt dużych dawkach zmuszała go do działania, ale nie zniwelowała strachu. Bał się, że Rosjanin zareaguje zbyt nerwowo i zacznie strzelać. Miał wprawdzie kamizelkę kuloodporną, komisarz też, ale ta nie gwarantowała, że w razie strzelaniny ujdą z życiem.

Jamróż nie kwapił się do rozpoczęcia akcji, Sokół pokazał więc mu, żeby został w sieni, ukryty za ścianą, a sam wszedł do pokoju. Mierzył lufą gdzieś przed siebie, ale mózg pobudzony przez obraz odbity na siatkówce natychmiast wysłał impuls do jego dłoni, który która drgnęła, kierując walthera w pierś mężczyzny z bronią w rękę. Tamten się cofnął i rozstawił nogi, a jego palec zdawał się tańczyć na spuście.

Najbardziej zdumiona wydawała się Tuszyńska. Otworzyła usta, jak gdyby chciała zaprotestować, ale w krtani i w głowie zabrakło jej odpowiednich słów. Do piersi przyciskała niewielki pojemnik niczym największy skarb, który trzeba chronić.

Tito zorientował się, że ktoś wszedł do pokoju. Powoli opuścił ręce i odwrócił się niemal z uśmiechem na przystojnej twarzy. Zapewne pomyślał, że to jego koledzy interweniują. Nikita wolałby zobaczyć teraz zdumionego i wściekłego majora, ale zaciśnięte zęby sierżanta też dostarczyły mu satysfakcji.

— Co ty tu, kurwa, robisz? — Tito rzucił pytaniem niczym oskarżeniem, które miałyby pozbawić policjanta motywacji do dalszego działania.

— To samo, co ty. — Sokół szybko ocenił swoją odległość od żołnierza. Było bezpiecznie, bo stał sporo poza zasięgiem jego mocnych nóg. Jednym okiem wciąż patrzył na lufę pistoletu trzymanego przez Ruska. — Połóż kławkę na stole i stań twarzą do ściany.

Ręką wskazał, o którą ścianę mu chodzi. Przemysłnik się uśmiechnął. Był to jedynie nerwowy ruch warg, źrenice pozostały skupione, rysy ściągnięte.

— Panowie znają się. To dobrze. Wy tu zostaniecie i pogadacie, a ja z tą panią sobie pójdziemy. To wam zostawimy. — Wskazał palcem na puszkę trzymaną przez Tuszyńską. — Piękna, dawaj to na stół.

Dziewczyna jeszcze mocniej przycisnęła pojemnik z diamentami do piersi. Nie chciała się z nim rozstawać.

— Dawaj to na stół!

Tym razem przemysłnik podniósł głos. Odstawiła puszkę z diamentami i nachyliła się po swoją kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła.

— Nie ruszaj się! — warknął Nikita.

Zamarła z wyciągniętą ręką.

— A ty odłóż klamkę! — zwrócił się do przemysłnika.

— Ty celujesz we mnie, a ja w ciebie — powiedział miękko Rosjanin, jak gdyby przemawiał do dziecka. — Ja też mogę powiedzieć, aby odłożyć broń i stawać pod ścianą?

— Nie możesz, bo ja dysponuję jeszcze jedną lufą. Tylko ja tu wydaję polecenia, a wy się słuchacie jak maluchy w żłobku.

Czujne źrenice przemysłnika przesunęły się na wejście do pokoju. Zaklął po rosyjsku. Sokół domyślił się, że Dominik pokazał się na chwilę, aby uwiarygodnić argument o dodatkowej lufie.

— A jak nie dam broni, to co? — zapytał hardo Rosjanin.

— To cię zastrzelę, oczywiście w obronie własnej, a jeślibym nie zdążył, to zrobi to mój kolega.

Przemysłnik powoli położył pistolet na stole i podszedł do ściany, stając twarzą do niej. Sokół spojrzał na sierżanta, wskazując mu ruchem głowy drugi kąt pokoju.

— Teraz ty.

Tito się nie ruszył. Patrzył beczelnie czarnymi jak węgle oczami.

— W przeciwieństwie do naszego kolegi ze wschodu ja wiem, kim jesteś, i wiem, że nie strzelisz. Nas w wojsku uczą, że wroga należy zabić, was w policji, że przestępcy nie może stać się krzywdą. Trzymasz klamkę, ale jest tak, jakbyś jej nie miał, bo nie potrafisz zrobić z niej użytku.

Młodszy aspirant skierował lufę na kolano sierżanta.

— Nas nauczo strzelać w nogi. Masz do wyboru stać pod ścianą z kajdankami na rękach albo leżeć pod stołem z przestrzelonym kolanem. Wybieraj!

Na ładnych ustach żołnierza pojawił się filmowy uśmiech, odsłaniający równe i białe zęby.

— Strzelaj!

Sokół miał ochotę posłać kulę w podłogę tuż przy stopach terytorialsa. Ten jeden strzał mógłby skutecznie powstrzymać sierżanta przed dalszym stawianiem się, to przecież tylko cywil na weekendowych ćwiczeniach, a nie jakiś pieprzony komandos. Wiedział jednak, że nie powinien zostawiać śladów w postaci pocisku wystrzelonego z policyjnej broni. Usłyszał kroki za swoimi plecami. To komisarz zniecierpliwiony przedłużającą się akcją wszedł do pokoju.

Rozdział IV

JAMRÓZ PODSZEDŁ DO PRZEMYTNIKA pewnym krokiem.

— Ręce do tyłu!

Tamten wykonał polecenie, a Dominik zacisnął mu na nadgarstkach plastikową opaskę. Wyciągnął kolejną trytytkę i skierował wzrok na sierżanta. Nie miał zamiaru do niego podchodzić, mając w pamięci ostrzeżenie Nikity.

— Skuj go! — polecił Tuszyńskiej, rzucając przed nią na stół opaskę zaciskową.

Podniosła ją drżącą ręką i podeszła do żołnierza. Ten wykonał szybki ruch łokciem i dziewczyna poleciała jak piórko na drugi koniec pokoju, zatrzymując się na komodzie i przewracając poustawiane tam drobiazgi. Dostała cios w splot słoneczny, teraz przyciskała obie dłonie do piersi i łapała powietrze otwartymi ustami. Tito był dla niej łaskawy, nie uderzył mocno, w innym razie padłaby nieprzytomna.

Jamróż na ringu nauczył się jednego, nie uderzać tam, gdzie nie da się trafić, szkoda energii, lepiej wyprowadzić inny cios. Nie powinni marnować czasu i sił na żołnierza, dopóki stoi spokojnie i sam nie przystępuje do ataku. Podniósł ze stołu broń przemytnika i włożył ją za pasek. Wyciągnął też pistolet z kurtki terytorialsa wiszącej na krześle i schował ją do swojej kieszeni. Dopiero teraz spojrzął na puszkę z diamentami. Była bardzo mała, przeznaczona na trzysta gramów orzeszków ziemnych. W mgnieniu oka zrozumiał, że to nie jest cała kontrabanda, to tylko jej niewielka część. Ich pierwotne założenie, że diamenty ktoś dowiezie, było słuszne. Wyglądało na to, że zrobili falstart, było trzeba schować się w domu i czekać na kuriera z dostawą diamentów. Podniósł puszkę i przyjrzał się zawartości. Kamyczki były szarobiałe i drobne. Ich ilość ocenił na sto sztuk, może trochę mniej. Sokół mówił, że tysiąc diamentów przemyconych do Kiszyniowa wyceniono na dziesięć milionów dolarów, czyli te tutaj warte byłyby milion.

— Ile ich tu jest? — zapytał, patrząc w brązowe oczy Tuszyńskiej.

Poruszyła ustami, ale nic nie powiedziała.

— Chyba wiesz, że powinnaś z nami współpracować.

Trzymał ją na uwięzi swojego spojrzenia, mając nadzieję, że ta presja wystarczy.

— Powinno być osiemdziesiąt sztuk, ale nie zdążyłam policzyć.

— Ile to jest warte?

— Miałam za to zapłacić trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— O jaki sposób zapłaty chodziło?

— Miałam wysłać esemesa, że można zrobić przelew.

— I co dalej?

— Nic. To wszystko.

Komisarz zamknął wieczko puszki i schował ją do kieszeni.

— Nieprawda, to nie wszystko. Gdzie jest reszta diamentów?

Dziewczyna zerknęła na przemytnika, potem na policjanta. Przymrużyła oczy, jakby zbierała myśli.

— To nie jest policyjna akcja — powiedziała zachrypniętym z emocji głosem. — Gdyby tak było, wpadlibyście tutaj, krzycząc: Policja! Tak to się robi, prawda?

— Gdzie jest reszta diamentów? — powtórzył z naciskiem.

Ruchem głowy wskazała przemytnika.

— Może on wam to powie na komendzie, ale wydaje mi się, że niewiele się od niego dowiecie.

Jamróz wyminął stół i podszedł do dziewczyny. Niemal napierał na nią ciałem. Chciała się cofnąć, ale złapał ją za tył głowy i mocno trzymał. Rękę z pistoletem opuścił. Żołnierzem się teraz nie przejmował. Sokół trzymał go na muszce.

— Wiesz, że współpraca z nami ci się opłaci — wyszeptał, pochylając się do Tuszyńskiej. Niemal dotykał skronią jej czoła. — A może wolałabyś trafić na ćwierć wieku na państwowy wikt?

Czuł jej strach, bo ten przybrał wyraźnie kwaśną woń. Zaczęła się gwałtownie pocić. Chciała się odsunąć od niego, ale on coraz mocniej przyciskał jej głowę do swojej.

— To boli — jęknęła.

— Mów, co z resztą diamentów.

— Miałam wysłać esemesa, że mogą zrobić przelew.

— To już wiem. Co dalej?

— Dopiero gdy kasa znajdzie się na ich rachunku bankowym, przywiozą kolejną partię diamentów, też osiemdziesiąt sztuk.

Puścił jej głowę. Dziewczyna oddychała ciężko. Twarz miała purpurową.

— No to wysyłaj tego esemesa! — polecił.

— Mogę wysłać, ale na kolejną partię musimy poczekać parę godzin, bo to banki w egzotycznych krajach i oni tę kasę dostaną za jakiś czas. A dopóki nie będzie pieniędzy, nie będzie też kolejnych dostaw diamentów.

Dziewczyna mogła blefować, ale to, co mówiła, wydawało się sensowne. Komisarz miał świadomość, że nie mogą sobie pozwolić na czekanie kilku bądź może nawet kilkunastu godzin. Ta walka nie została zakontraktowana na dwanaście rund. Musiała skończyć się wcześniej, ale jeszcze się wahał co do uderzenia w gong. Powinni chociaż wiedzieć, ile tracą.

— Ile partii miało być?

— Trzy.

— Ile miałaś zapłacić za całą kontrabandę?

— Milion dolarów.

To było dużo mniej, niż się spodziewali. Oczywiście w kwestiach finansowych Tuszyńska też mogła kłamać. Stała przed nim dygocząca ze łzami spływającymi po policzkach, ale jednocześnie w spojrzeniu miała coś twardego. Zapewne kombinowała, jak z tej opresji wyjść z jak najmniejszymi stratami. Owca

— To co teraz? — zapytała niepewnie. Nie czekała jednak na to, co ma do powiedzenia funkcjonariusz. Prędko przedstawiała dalszy plan: — Rozjedźmy się. Mnie to nie interesuje, kto weźmie tę puszkę z diamentami, czy wy, czy żołnierze. Ja chcę wrócić do Poznania, a on do siebie.

Wskazała na przemytnika.

Parę minut temu Rosjanin też proponował, żeby wzięli sobie tę jedną puszkę z całą zawartością. Im obojgu zależało na ochronieniu pozostałej części kontrabandy, a to mogło wskazywać, że całość liczy więcej niż trzy partie po osiemdziesiąt sztuk.

Odrzuciła głowę do tyłu i mówiła dalej:

— Powinniście szybko zakończyć tę sprawę, bo przecież wy i oni — zerknęła na żołnierza — jedziecie po bandzie. Po co wam niepewny ciąg dalszy, skoro już macie te diamenty. — Wskazała palcem na wypukłość w kurtce Jamroza. — To jest trzysta pięćdziesiąt tysięcy baksów — oznajmiła dobitnie.

Komisarz zobaczył w wyobraźni stertę dolarów podzieloną na ich trzech. Krystian nie kupi za tę kwotę luksusowego jachtu, a jedynie starą łódź. Ale akurat jemu tak naprawdę nie zależało na pieniądzach za diamenty.

Inspektor przede wszystkim chciał pokazać żołnierzom, że jest od nich lepszy, sprytniejszy, że może ich przechytrzyć.

— Idziemy — rzucił do kolegi.

Nikita posłał mu pytające spojrzenie niebieskich oczu, do którego dołączył ruch warg, zapewne wypowiadających słowa:

— Jesteś tego pewien?

— Idziemy! — powtórzył Jamróz. — Ty idziesz z nami — rzucił do dziewczyny i popchnął ją w stronę drzwi.

Złapała swoją kurtkę.

— Po co?

— Dobrze wiesz po co.

Komisarz chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. Musieli zabrać Tuszyńską, bo tylko ona mogła im pomóc w opyleniu diamentów.

Problemem był sierżant Tito. Sokół też to zrozumiał, bo desperacko rozejrzał się po pokoju. Dostrzegł pogrzebacz oparty o drzwiczki pieca. Złapał go. Żołnierz kierowany najprostszym odruchem cofnął się. O to chodziło młodszemu aspirantowi. Wpadł do sieni i zatrzasnął drzwi, po czym postawił pogrzebacz w taki sposób, że jego jeden koniec opierał się o drzwi, a drugi, ten ostry, wbił się w szczelinę pomiędzy deskami starej podłogi. W tej samej chwili huknęło i stara futryna zadrżała, na szczęście wytrzymała kopnięcie sierżanta.

Komisarz wypadł do sadu i zachłysnął się zimnym powietrzem, pojedyncze krople deszczu spadły mu na rozpaloną twarz, buty na moment ugrzęzły w miękkiej ziemi. Zaczął biec, ciągnąc Tuszyńską, ta wyraźnie hamowała. Dogonił ich Sokół i złapał ją za drugie ramię. Musieli się spieszyć, bo zaraz Tito wyskoczy przez okno i zaalarmuje żołnierzy ukrywających się na zewnątrz.

CZEŚĆ DZIEWIĄTA
Żołnierze

Rozdział I

MŻYŁO. KAPRAL ARTUR DERKACZ kucnął na poddaszu budynku gospodarczego i wyglądał przez uchylone drzwi. Widział mokry front domu i podwórko z dwiema kałużami, w których taplały się kaczki. Minęło już pół godziny, jak przyjechał Tito z Rudą. Wcześniej miał okazję zaobserwować, jak z jasnego passata wysiada przemytnik i wchodzi do domu, a ten, który go przywiózł, odjeżdża. Natychmiast wysłał szyfrowaną wiadomość na komunikatorze do majora Serafina, chociaż ten, leżąc na dachu garażu, musiał widzieć to samo. Umówili się jednak, że będą się wymieniać komunikatami o zaobserwowanych obiektach. To major miał informować sierżanta o rozwoju sytuacji, ale Derkacz na wszelki wypadek też napisał do kolegi, zawiadamiając go, że przemytnik jest już w środku. Wielkie żołnierskie serce rosło w nim, gdy patrzył, jak sierżant wjeżdża na podwórko na motorze, a potem spokojnym krokiem wchodzi do domu. Nikt tak bardzo nie nadawał się do bezpośredniej konfrontacji z przemytnikami jak Tito. Był odważny i bystry, a poza tym oddany formacji i Polsce. Kapral patrzył na starszego kolegę z podziwem i uwielbieniem, chociaż ukrywał przed nim swój zachwyt. I wcale nie był zazdrosny, że przełożeni faworyzują sierżanta, bo tamten na to zasługiwał. Derkacz wiedział, że sam nie ma na co narzekać. Gdy wczoraj strzelił do kierowcy golfa i wszystko wskazywało na to, że go zabił, to podpułkownik stanął za nim murem, a teraz wysłał go na tę akcję. Dowódca wyjaśnił mu, że ich celem jest zatrzymanie przemytników i przejęcie kontrabandy. Mają w tym wyręczyć policję, która nie chce angażować się w tę sprawę, bo funkcjonariusze są zwyczajnie leniwi i w dupie mają bezpieczeństwo narodowe. Wprawdzie diamenty bezpieczeństwu nie zagrażały, ale kto wie, co zostanie nielegalnie przewiezione następnym razem? Może broń? Granica kraju rzecz święta, trzeba jej pilnować, żeby narkotyki przez nią nie płynęły, aby nie został wwieziony ani jeden karabin i żaden uchodźca się nie przecisnął. Kapral był gotów oddać życie za powodzenie tej akcji. Skoro podpułkownik mu zaufał, to musi dać z siebie wszystko. Teraz tutaj, w tym gospodarstwie było trzech najlepszych żołnierzy: major Serafin, sierżant Tito i on, kapral Derkacz. Był szczęśliwy i dumny, czuł się kimś.

Z armią planował związać swoją przyszłość. Miał nadzieję, że za kilkanaście miesięcy zostanie żołnierzem zawodowym. Wtedy proporcje się zmieniają, życie cywilne odsunie na dalszy plan, a cały swój czas poświęci ojczyźnie. Niewielu chłopaków na to stać, jego tak.

Na drugim końcu pomieszczenia rozległ się szmer. Artur odwrócił się, szukając wzrokiem swojego towarzysza, którym był wróbel. Denerwowało go to ptaszysko, bo swoim miotaniem się od ściany do ściany rozpraszało jego uwagę. Tak w ogóle miejsce obserwacji miał znakomite, było tu ciepło i sucho, pachniało nawet sianem, choć samego siana nie było. Zastępca dowódcy miał o wiele gorzej, bo leżał na betonowym dachu garażu, a przed deszczem chroniła go wodoodporna plandeka, która im służyła do maskowania pojazdów. Derkacz przyłożył do oczu lornetkę i skierował ją na garaż. Plandeka od półtorej godziny pozostawała idealnie rozłożona, tworząc prostokątną płaszczyznę o wymiarach dwa na trzy metry. Gdyby nie znał majora, toby pomyślał, że ten zasnął i dlatego się nie rusza.

Wróbel zaczął znowu trzepotać skrzydłami i latać od ściany do ściany. Kapral postanowił wygonić go na zewnątrz. Uchylił drzwi trochę mocniej i zdjął kurtkę. Wymachiwał nią, płosząc ptaka w stronę drzwi. Udało się, niechciany towarzysz wyleciał. Derkacz podszedł do drzwi, aby je z powrotem przymknąć, odruchowo spojrzał w górę, wypatrując odlatującego wróbla, i to wtedy zobaczył drona.

Czekał na ten moment od sześciu miesięcy. Przez cały ten czas wypatrywał szpiegowskiego bezzałogowca z Rosji. Obserwował niebo nie tylko podczas weekendowych ćwiczeń, ale również w ciągu tygodnia. Gdy wychodził z domu, odruchowo unosił głowę i szukał nad dachami wrogiego obiektu, przed którym ostrzegali oficerowie i o którym rozpisywały się media. W końcu go dostrzegł, był tutaj, wisiał nieruchomo na prawo od obserwowanego domu. Artur ocenił wysokość na jakieś trzydzieści metrów. Włożył rękę do kieszeni i wyjął telefon. Musi powiadomić majora, bo ten mógł nie zauważyć bezzałogowca. Dron drgnął i przesunął się bardziej w prawo, oddalając się od budynku gospodarczego, w którym znajdował się kapral. Nie powinien marnować czasu na wysyłanie esemesa lub telefonowanie. Poza tym to było jego zadanie, on wypatrywał wrogi obiekt i to on musi załatwić tę sprawę. Jemu dadzą order za unieszkodliwienie putinowskiego szpiegowca, a nie komuś innemu. Drugiej takiej okazji, aby się wykazać, prędko nie dostanie. Podniósł karabin oparty o ścianę i przyklęknął. Ciężar broni i zimno metalu sprawiły mu przyjemność.

Przyrządy celownicze przymocował wcześniej, bo Serafin kazał mu się przygotować na ewentualność oddania strzału z daleka. Musiał się spieszyć, dron mógł w każdej chwili się oddalić. Zbyt ni pośpiech mógł też udaremnić powodzenie tego zadania. Grunt to dobrze się przygotować. Powinien trafić za pierwszym razem. Chwycił mocno karabinek obiema rękami. Najważniejszy dla celnego strzelania był solidny uchwyt broni i stabilne podparcie ciała. Lufa nie może mu drgnąć w momencie strzału, bo kula zmieni tor lotu. Wymierzył i wstrzymał oddech. W czubkach palców pojawiło się mrowienie. Dziwne odczucie. Nacisnął spust. Jego ciało przyjęło i zamortyzowało odrzut broni. Huk nie był głośny, tłumik zamienił wystrzał w świszczące klaśniecie. Trafił. Bezzałogowiec sunął po ukosie w dół, spadając za stodołą sąsiedniego gospodarstwa. Kaprała ogarnęła szaleńcza radość. Zerwał się na nogi. Musi go znaleźć i przynieść tutaj na poddasze. Po zakończeniu akcji z przemytnikami zda relację dowódcy o tym, że zestrzelił wrogi obiekt. Postanowił zostawić plecak, weźmie jedynie karabin, bo żołnierz nigdy nie porzuca swojej broni. Mógł wyjść drzwiami i zbiec po betonowych schodkach, ale obawiał się, że może zostać zauważony z okna domu. Poddasze miało pośrodku drewnianą klapę, podniósł ją i spuścił nogi. To tędy zrzucano krowom siano. Zawisł na rękach i stopami dotknął koryta. Przez chwilę balansował ciałem, a potem zeskoczył. Poprawił karabin na plecach i otworzył tylne drzwi. Wypadł na zewnątrz i puścił się biegiem w stronę, gdzie spadł dron. Gnał w drobnym deszczu, popędzany euforią. Wykonał pierwszy poważny krok w wojnie z Rosją, odwiecznym wrogiem Polski i najbardziej niebezpiecznym przeciwnikiem. Nie raz słyszał, jak przełożeni mówią, że Ruscy są dużo groźniejsi od terrorystów i jeszcze pokażą, na co ich stać, a stanie się to wcześniej niż później.

Biegł wzdłuż szczytowej ściany stodoły, za chwilę dopadł jej rogu i skręcił. Stał jak wryty. Jakiś facet niósł jego drona. Wiocha zabita deskami, nigdzie żywej duszy, a tu akurat się trafił człowiek, który dojrzał spadającego bezzałogowca. Derkacz już nie biegł, stanowczy krok powinien wystarczyć. Dobrze, że ma na sobie mundur i broń. Widok żołnierza powinien skłonić tego typka do oddania znaleziska. Z każdym kolejnym metrem do kaprała docierało, że rzeczywistość jest zupełnie inna, niż ją ocenił. Mężczyzna schował drona do bagażnika szarego forda mondeo. Opodal stało jeszcze stare audi. Dlaczego te samochody zaparkowano na łące za stodołą, a nie na podwórku? Dlaczego ten człowiek miał takie

pewne i sprężyste ruchy? Nie wyglądał na przypadkowego znalazcę. To wszystko budziło niepokój. Artur wpatrywał się w plecy mężczyzny, myśląc, że musi mieć się na baczności, bo ma przed sobą wroga. Tamten nie odwrócił się w jego stronę, choć musiał słyszeć kroki, może nawet go zauważył wybiegającego zza stodoły. Derkacz wymierzył karabin w plecy wroga i zawołał:

— Ręce do góry!

— To moja kwestia — powiedział mężczyzna i się odwrócił. — Kapralu, nie oglądasz filmów kryminalnych? Nie wiesz, że to psy mają wyłączność na wezwanie do podniesienia rąk?

Artur patrzył z zaskoczeniem na inspektora Suma. Co ten pies tu robił? Przecież policja olała ten cały przemyt. Tak mu powiedział podpułkownik Bukowiecki.

— Co tu robisz? — zapytał, odruchowo mierząc lufą w pierś inspektora.

Tamten się uśmiechnął.

— Derkacz, ty się minąłeś ze swoim powołaniem. Powinieneś służyć u nas, bo co usta otworzysz, to szczekasz jak pies. Zaraz każesz mi pokazać dowód osobisty.

Kapral chciał jak najszybciej wrócić na stanowisko obserwacji. Opuścił je wbrew rozkazowi. Powód był ważki, ale to nie zmienia faktu, że złamał rozkaz. A tu jeszcze ten kundel, który schował drona do bagażnika i pieprzy jakieś głodne kawałki, niepotrzebnie go spowalniając.

— Oddaj mi bezzałogowca!

— Tobie? Chcesz się pobawić? Jeśli tak, to w Biedronce możesz sobie kupić drona. Nie będzie latał wysoko, ale na twoje potrzeby wystarczy.

Policjant naigrywał się z niego. Nie było to fajne. Pół Polski wyśmiewało wojsko terytorialne. Czytał te obrzydliwe wpisy w internecie. Wszyscy terytorialsi zapoznawali się z obśmiewczymi komentarzami, choć major mówił, aby tego nie robili. Byli nazywani: kotami prezesa, antkami i kaczuszkami. Sugerowano, że biorą kasę za nic, bo nic nie potrafią i nic pożytecznego nie robią. Czasami mierzą komuś temperaturę albo rozstawiają namiot, aby ludzie na deszczu nie mokli. A pełniąc służbę na polsko-białoruskiej granicy, gubili się w lesie i uchodźcy musieli udzielać im pierwszej pomocy. Derkacz nienawidził hejterów. Ci, którzy teraz opluwali terytorialną służbę wojskową, pierwsi przypelzną pod jej skrzydła, gdy do Polski wkroczą wrogie wojska. Ci szyderycy byli kretynami, ale też robili coś bardzo złego, podkopywali siłę formacji, w pewnym sensie

rozbijali ją od środka, uderzając w morale, w chęć służenia ojczyźnie. Wielu chłopaków po lawinie hejtu zrezygnowało z żołnierstwa, inni pozostali w obronie terytorialnej, ale bez wcześniejszego zaangażowania, niektórzy nawet wstydzili się, że służą i ukrywali to przed znajomymi. Źle to robiło formacji, Derkacz to obserwował każdego dnia. Był za tym, aby hejterów uznać za zdrajców ojczyzny, skoro działali na jej niekorzyść, i należałoby ich karać więzieniem. A teraz ten policjant też z niego drwił.

Deszcz szumiał, drobne krople uderzały o hełm kaprała i karoserię samochodów. Inspektor zamknął bagażnik.

— Tak myślałem, że ciebie tutaj wezmą. Głupi i posłuszny, zrobisz, co ci każą i nawet nie spróbujesz się zastanowić, czy to słuszne, czy potrzebne.

— Nie chce mi się z tobą gadać. Oddaj mi drona i spierdalaj stąd!

— Derkacz, wiem, że tobie hełm trochę przycisnął mózg, ale proszę cię, spróbuj uruchomić choć część szarych komórek. A jeśli masz problem z myśleniem, to włącz instynkt. Kaczki takie coś posiadają, bo wiedzą, kiedy można iść do wody i popływać.

Kaprał ścisnął w obu dłoniach karabin. Miał ochotę dać nauczkę temu kundlowi. Dobrze byłoby go postraszyć. Zobaczyć przerażenie w jego oczach i usłyszeć szczere przeprosiny. Przesunął palec na spust.

— Przeszkadzasz mi, psie. Uniemożliwiasz mi działanie na rzecz ojczyzny, nie dajesz mi walczyć. Przez ciebie nasz kraj może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Powinienem odstrzelić ci czachę. Ojczyzna byłaby mi za to wdzięczna.

Sum patrzył na niego jak na kosmitę, a potem wybuchnął gromkim śmiechem.

— Kurwa, już myślałem, że spotkałeś się z własnym rozumem i zdobyłeś się nawet na żart, ale ty z tym odstrzeleniem mi głowy całkiem na serio. Gdy powiem o tym kumplom, to popadają ze śmiechu.

Artur miał tego dosyć. Szydzenie też musi mieć swoje granice i ten pies powinien o tym wiedzieć.

— Odsuń się! Muszę wziąć drona — wysyczał przez zaciśnięte zęby.

— Mojego drona? Uszkodziłeś mi sprzęt i jeszcze chcesz mi go odebrać?

Kaprał nie miał zamiaru dać się podejść. Inspektor próbował go przekonać, że jest właścicielem bezzałogowca. Nic z tego. Takie zagrywki to nie z kapralem Arturem Derkaczem.

— Musimy sprawdzić, czy to ruski dron, dlatego teraz mi go zwrócisz. Jeśli okaże się, że jest twój, dostaniesz go z powrotem, ale pod warunkiem,

że nie służył ci do wrogich działań.

— Kurwa, do wrogich działań? Skąd wzięłeś ten tekst?

Sum już nie szydził, teraz go przedrzeźniał. Kapral wymierzył lufę w lewe tylne koło forda i strzelił. Rozległo się ciche klaśnięcie i cząstki opony rozprysły się, uderzając w ziemię i blachy. Przesunął lufę na drugie koło i ponownie nacisnął spust. Jakie to było cudowne uczucie, ta moc, niezwykła siła. Jak to pięknie mieć możliwość karać złych ludzi, eliminować zagrożenie, zamykać usta kretynom i szydercom. Do tego został powołany, to jego misja, w tym celu wstąpił do Wojsk Obrony Terytorialnej. Spojrzał w twarz inspektora i z satysfakcją zobaczył w niej zaskoczenie. Szyderstwo ulotniło się błyskawicznie. Wystarczyło tak niewiele, tylko dwa strzały.

— Chyba cię pogięło, chłopaczku — szepnął pies.

Jeszcze chciał być złośliwy, ale to mu nie wyszło. Dotarło już do niego, że ma poważnego przeciwnika, zdesperowanego w działaniu.

— Odsuń się od bagażnika, psie, i połów się twarzą do ziemi!

— Kapralu, dosyć tej zabawy.

W tych słowach była powaga i strach. Derkacz czuł, że rośnie mu serce. Zdołał przywrócić porządek tu i teraz. Policjant zrozumiał, jak należy się zachowywać w obecności żołnierza wykonującego co prawda nie rozkaz, ale zadanie mające chronić kraj i obywateli.

CZEŚĆ DZIESIĄTA
Policja

Rozdział I

SUM PATRZYŁ NA DERKACZA i widział przede wszystkim ofiarę wojskowej manipulacji. Ten dzieciak był przekonany, że zestrzelił rosyjskiego drona, i chciał go za wszelką cenę mu odebrać. Należało go otrzeźwić, wyrwać z obsesyjnej chęci ratowania ojczyzny. Odsunął się od bagażnika i podszedł do przednich drzwi. Widział podążającą za nim lufę karabinu. Podniósł z siedzenia pasażera tablet i wrócił z nim do terytorialsa. Uruchomił film zarejestrowany przez kamerkę drona i ustawił monitor w taki sposób, aby kapral widział nagranie.

— To jest mój dron. Śledziłem was dzisiaj w bazie. Widziałem, że jeden z was przyjeżdża tutaj z dziewczyną. Dlatego ja też tutaj jestem. To jest mój dron, a nie Ruskich. Dam ci dobrą radę, chłopaku. Zmywaj się stąd. Wracaj do domu albo chociaż do tej waszej bazy. Jesteś za młody, żeby brać w tym udział.

Derkacz patrzył na niego nieprzytomnymi oczami.

— O czym ty, kurwa, mówisz?

— Twój dowódca planują okraść przemysłników. Jeśli tu zostaniesz, to też będziesz złodziejem. Dlatego radzę ci, zjeżdżaj stąd. A najlepiej byś zrobił, rezygnując z munduru. Nie nadajesz się na trepa, głowa nie ta, brakuje ci dystansu. Wiem, że od leśnych dziadków usłyszałeś coś zupełnie innego, ale oni chcą mieć takich jak ty, niemyślących, wykonujących wszystkie rozkazy i wierzących, że robią coś wielkiego. Radzę ci dobrze, uciekaj z obrony terytorialnej jak najszybciej, to nie dla ciebie.

Odruchowo wytarł monitor z kropli deszczu, potem przetarł twarz. Kapralowi deszcz zdawał się nie przeszkadzać. Jego mokra fizys drgała od nadmiaru emocji. Inspektor w duchu liczył, że terytorials opuści karabin i powie, że ma tego dosyć i wraca do domu, bo dzisiaj niedziela i matka na pewno ugotowała rosół, a poza tym kumpel ma urodziny. Niestety, kapral pozostał żołnierzem broniącym formacji i dowódców za wszelką cenę.

— Przyjechałeś tutaj, żeby przyłapać Wojsko Polskie na kradzieży?

— Można tak powiedzieć.

— Podobno to mi hełm przycisnął za mocno szare komórki. Chyba czapki policyjne są ciaśniejsze od hełmu. Jesteś głupi, inspektorze, i dlatego nie

zdołasz niczego zrobić, co mogłoby zaszkodzić Wojsku Polskiemu i naszej ojczyźnie.

Kapral przeładował broń. Sum już wiedział, że popełnił błąd. Nie powinien drwić z terytorialisa, nie powinien też oczerniać jego dowódców i ustawiać go przeciwko formacji. Gdyby to był normalny chłopak, taka rozmowa by go otrzeźwiła i dała do myślenia, ale Derkacz tkwił już w kleszczach fanatyzmu, jego umysłem zawładnęła żołnierska ideologia, a poza tym on to lubił, czerpał radość z bycia żołnierzem, z walki, jego umysł był w stanie ciągłej wojny. Sum patrzył w wylot lufy karabinu znajdującej się na wysokości jego twarzy i pomyślał, że ten chłopak nigdy nie powinien dostać broni do ręki. Z resztkami nadziei, że zdąży wyciągnąć walthera, włożył dłoń pod kurtkę. Niepotrzebnie się zapiął i źle się ubrał, okrycie wierzchnie było zbyt długie, a w ogóle lepiej by zrobił, chowając pistolet do zewnętrznej kieszeni. Dupa z niego, a nie pies. Zobaczył ciężkie ołowiane niebo, miał wrażenie, że spada mu na głowę i mu ją roztrzaskuje na drobne kawałki. Zdążył jeszcze pomyśleć, że Bukowiecki wygrał, zarozumiały trep postawi na swoim, nie będzie też żadnego luksusowego jachtu. Szkoda.

Rozdział II

TUSZYŃSKA PRÓBOWAŁA SIĘ jeszcze opierać. Nieudolnie hamowała, szorując podszwami po resztkach trawy, ale gdy za drugie ramię złapał ją młodszy aspirant Sokołow, musiała przyspieszyć, wyrównać do tempa narzuconego przez policjantów. Pokonali sad i skręcili na niewielką łąkę, pomijając młody las. Już tak bardzo nie zależało im na pozostaniu niezauważonymi. Najważniejsze to oddalić się stąd jak najszybciej. Jeśli zdołają odjechać, to żołnierze już nie odbiorą im diamentów.

Biegli do samochodów zaparkowanych za stodołą w sąsiednim gospodarstwie. Niewiele mieli do pokonania, może czterysta metrów, ale nogi grzęzły im w miękkiej ziemi. Dopadli do poczerniałej od deszczu stodoły. Dwie wrony zerwały się z niskiego drzewa. Skręcili i komisarz zobaczył samochody. Sokołow nagle stanął, puszcżając ramię Magdy. Złapał się za głowę, a jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu.

— Ja pierdołę — syknęła Tuszyńska.

Ciało inspektora Krystiana Suma leżało przy tylnym kole forda mondeo.

— Zabili go — wyszeptał Sokołow.

To niemożliwe, pomyślał Jamróż i rzucił się w stronę wozów. Sokół ruszył za nim. Nie interesowało ich, czy Magda skorzysta z okazji i postanowi im zwiąć. Ona jednak pobiegła za policjantami.

Nie mogło być żadnych wątpliwości, Sum był martwy. Oberwał z broni dużego kalibru, bo prawa część czaszki nie istniała. Takie obrażenia mógł pozostawić wojskowy karabinek Grot. Wzrok przykuwał też otwarty bagażnik. Kłapa wycelowana w ołowiane niebo miała w sobie coś mrocznego, była częścią śmierci inspektora, swoistym kadrem z egzekucji, jakiej tu dokonano.

Trzy ciężkie oddechy wisiały w mokrym powietrzu.

— Kurwa, zastrzelili go — odezwał się Sokół.

Już po raz drugi stwierdził ten fakt, jak gdyby nie dowierzał, że to się stało, i musiał słowami potwierdzać rzeczywistość. Dominik go rozumiał, sam czuł coś podobnego.

Tego nie przewidzieli, bo to nie mieściło się w ramach zdrowego rozsądku. Brali pod uwagę, że w sytuacji bezpośredniego starcia ktoś użyje

klamki, ale nie po to, żeby zabić. Nie bez powodu włożyli kamizelki kuloodporne. Przypadkowy postrzał byłby zrozumiały, ale nie odstrzelenie głowy.

— Nie ma drona — zauważył Sokół.

Komisarz uniósł głowę i szukał bezzałogowca na niebie. Młodszy aspirant miał rację, nic nie wisiało w ołowianej przestrzeni.

Magda wsadziła ręce do kieszeni i dygotała, jak gdyby było jej bardzo zimno.

— Kto go zabił? Powiedzcie mi!

— Żołnierze — rzucił Nikita.

— Jezus, Maria — wyszeptała. — Nas też zabijają?

Pytanie Tuszyńskiej było jak pieczęć pod wyrokiem śmierci. Zagrożenie czaiło się tuż za rogami starej stodoły, a może nawet z jej środka, może stamtąd zaraz padną karabinowe strzały.

Sokołow też miał tego świadomość, bo rozejrzał się nerwowo wokół.

— Co teraz robimy?

— Spierdalamy stąd — rzucił komisarz i pchnął Tuszyńską w stronę audi młodszego aspiranta.

Dopiero teraz zauważył, że wszystkie cztery koła zapadają się w ziemię. Nie było w nich powietrza. Pochylił się nad oponą i zobaczył sporą dziurę po pocisku. Odwrócił się i spojrzał na forda, też miał przestrelone koła.

— Oni nas zabijają! To jest wojsko, im wolno wszystko, zabijają nas.

Lament Tuszyńskiej rozrywał miarowy szmer deszczu. Do tej pory była wyjątkowo opanowana, nawet przez całą akcję w domu zachowywała względny spokój, ale teraz dopadł ją histeryczny lęk.

Jamróż odruchowo położył dłoń na kaburze. Ich dwóch z bronią krótką przeciwko dwóm żołnierzom z karabinami, a może nawet trzem, bo niewykluczone, że w kufrze motoru sierżant przywiózł swoją broń. Terytorialni mogli liczyć na natychmiastowe wsparcie swoich. Oni też mieli możliwość wezwania posiłków. Koledzy przyjechaliby szybko, wiedząc, że inspektor zginął, a dwóch policjantów znajduje się w niebezpieczeństwie. Problem był taki, że komenda znajdowała się dwadzieścia kilometrów dalej niż baza wojskowa. No i była niedziela, Dobrowolski już skończył na dzisiaj służbę i na pewno odsypiał całonocną obserwację.

— Oni są psychiczni — oznajmił Sokołow i wyciągnął pistolet. Lufą pokazał kierunek ucieczki.

Nie było na co czekać.

— Do lasu! — rzucił komisarz i zaczął biec.

Tętniły mu w głowie słowa młodszego aspiranta: „Oni są psychiczni”. To stwierdzenie czyniło przeciwnika wyjątkowo niebezpiecznym.

Gnali w stronę rosnących gęsto młodych drzew. Gdy się przez nie przedrą, zacznie się stary las z wąwozami i krzakami, tam będą dość bezpieczni. Muszą się kierować w stronę bazy wojskowej, bo w jej okolicach zostawił swój samochód. Najważniejsze to uciec żołnierzom, potem będzie się zastanawiał, jak uniknąć odpowiedzialności za tę akcję.

CZĘŚĆ JEDENASTA
Żołnierze

Rozdział I

— Uwolnij mnie — odezwał się przemytnik.

Tito spojrział na Rosjanina, który kręcił się po pokoju, stawiając duże kroki. Przypominał niedźwiedzia w cyrku.

— Mówili mi, że w Polsce nie da się nic normalnie, że Polaczki prostą rzecz zepsują. Szkoda, że nasza granica nie z Germańcami, wtedy wszystko byłoby do zrobienia.

Sierżant już zmierzał do okna, aby przez nie wyskoczyć. Zatrzymały go jednak słowa, których jego żołnierskie sumienie nie mogło zlekceważyć. Wpuść ruskiego chłopca do domu, a ten zaraz uzna, że jest u siebie. Granicy z Niemcami mu się zachciało. Lepiej niech się Uralu trzyma.

Przemytnik odwrócił się tyłem, pokazując plastikową opaskę na nadgarstkach.

— No uwolnij mnie od tego!

— Co zrobisz, gdy ci to zdejmę? — zapytał spokojnie sierżant.

— Uciekam. Tu, kurwa, sam Władimir Władimirowicz Putin nie da rady.

— A diamenty? Nie chcesz ich odebrać?

Przemytnik parsknął zniecierpliwiony, wciąż stojąc do niego tyłem i machając skutymi dłońmi.

— To tylko jedna garść. Tyle można zgubić.

Sierżant zrozumiał, że Rosjanie są na etapie budowania szlaku przerzutowego do Europy i ta ilość, którą miała w ten weekend odebrać Ruda, to tylko mała część kontrabandy, która przejdzie przez granicę przez najbliższe miesiące, a może nawet lata.

— No, kurwa, uwolnij mnie.

— Masz rację, że chcesz spierdalać. Pomogę ci.

Wziął zamach i kopnął przemytnika w pośladki. Tamten z jękiem poleciał na stół, przewracając się wraz z nim.

Sierżant otworzył okno. Nadal padało. Woda z hałasem wypadała z rynny, tworząc dość dużą kałużę przy ścianie domu. Musiał się spieszyć, bo przemytnik bez diamentów nie przedstawiał żadnej wartości. Dopiero gdy odbiorą psiarzom kamienie, będą mogli ogłosić, że podczas weekendowych ćwiczeń zatrzymali szajkę przemytników.

Złapał się framugi i podciągnął na parapet. Wskoczył wprost do kałuży, rozchlapując brudną wodę. Major Serafin i kapral Derkacz na pewno go widzieli, ale żaden się nie pokazał. Sierżant wyjął telefon i wybrał numer Serafina. Tamten odebrał natychmiast.

— Co jest, Tito?

— Majorze, melduję, że mieliśmy gości.

— Kogo?

— Psiarzy.

— Oni? Przecież wczoraj zapewniali, że nie będą się mieszać.

— No i nie dotrzymali słowa.

Tito rozglądał się po budynkach, przybudówkach i zakamarkach dużego podwórka. Po chwili zobaczył sylwetkę majora Serafina na dachu garażu. Tamten podniósł się spod maskującej plandeki i zeskoczył na ziemię.

— Gdzie są psiarze?

— Melduję, że zgarnęli pierwszą partię diamentów, osiemdziesiąt sztuk, i się ulotnili tylnym wyjściem. Aha, zabrali też Rudą.

— A przemytnik?

— Skuli go i zostawili nam.

Serafin przymrużył oczy, jak gdyby się zastanawiał. Nagle przez jego wąską twarz przebiegł grymas niedowierzania.

— Kurwa, chcesz powiedzieć, że oni je ukradli?

— Panie majorze, właśnie to melduję, kradzież diamentów.

Serafin był szczerze oburzony, jak tylko może doświadczać tego stanu człowiek bezgranicznie uczciwy, przynajmniej w swoim mniemaniu.

— To ma być policja? Kogo oni przyjmują w swoje szeregi? Pierdolonych złodziei?

Tito mógł się podpisać pod słowami majora. Gdyby policjanci przyszli tutaj, aby złapać przemytników, nawet poczułby do nich szacunek. Ci jednak byli zainteresowani wyłącznie kradzieżą kontrabandy. Cholerne mendy.

— Ilu ich było?

— Dwóch. Sokołów i ten komisarz ze złamanym nosem.

— Tylko ich dwóch i nie poradziłeś sobie?

— Zaskoczyli mnie.

Nie miał zamiaru na razie wspominać, że stracił jeden pistolet. Gdy go odzyska, w ogóle nie będzie musiał o tym meldować.

Z budynku gospodarczego przez uchylone drzwi wyrzął kapral Derkacz. Zapewne się domyślał, że coś poszło niezgodnie z planem.

— Kiedy psiarze się zmyli?

— Pięć minut temu.

— No to co tu, kurwa, jeszcze robisz? Trzeba im odebrać diamenty. Wsiadaj na motor i ruszaj za nimi!

Sierżant liczył się z tym, że to on będzie musiał rozprawić się z policją, i nie miał nic przeciwko. Był w końcu żołnierzem, walka to jego żywioł. Za przeciwników miał dwóch powiatowych funkcjonariuszy, może trzech, zakładał, że inspektor Sum też bierze w tym udział. Z takim wrogiem sobie poradzi. Podeszedł do motoru i go uruchomił.

Rozdział II

PODPUŁKOWNIK BUKOWIECKI WŁOŻYŁ papierosa między wargi. Językiem przesunął go w sam kącik ust. Z kieszeni wyjął zapalniczkę, którą dostał od sojuszników zza oceanu stacjonujących w Elblągu, w Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód.

— Jak to się stało? — zapytał, zaciskając zęby na wciąż niezapalonym papierosie.

Serafin stał obok i wciskał ptasią głowę w ramiona.

— Derkacz powiedział, że inspektor próbował sięgnąć po broń.

— Kurwa, to przecież tylko pies, nie strzeliłby z rozmysłem do żołnierza.

— Też tak sędzę. Kapral zwyczajnie spanikował. Trochę mu się nie dziwię. Starszego szeregowego Lipińskiego załatwili przecież psiarze.

— Dobra, pokaż mi go!

Major się pochylił i uniósł róg wojskowej plandeki, odsłaniając zwłoki.

— Gdzie jest teraz kapral?

— Pilnuje przemytnika w sąsiednim gospodarstwie.

Bukowiecki przytknął ogień do papierosa. Zaciągając się dymkiem, próbował stłumić narastający niepokój. Musi być twardy i stanowczy. Życie jeszcze nie raz postawi go w podobnej sytuacji, taki jest los oficera Wojska Polskiego.

— Ilu mamy świadków?

— Nikogo. Nikt nie widział zwłok ani tych samochodów. — Major kiwnął głową w stronę forda i audi. — Nas też nikt nie widział, jedynie sierżanta, ale on był w cywilnych ubraniach.

Podpułkownik spojrział na zapalniczkę. Ozdobiona amerykańską flagą, wyglądała jak chiński badziew wart pół dolara. Była jednak niezawodna.

— Co robimy? — zapytał Serafin.

Bukowiecki zobaczył w oczach zastępcy ponaglenie. Major miał rację, trzeba szybko podjąć decyzję.

— Gdzie jest Tito?

— Poszedł za nimi w las, ale nie od razu. Mają nad nim przewagę co najmniej piętnastu minut.

Podpułkownik nie wątpił, że sierżant znajdzie uciekających. Od samego początku podejrzewał, że Tito nie jest zwykłym terytorialsem. To żaden nawiedzony miłośnik armii, jego wytrenowanie było zbyt profesjonalne. Przysłali im tego żołnierza z góry, aby miał oko na Warmińsko-Mazurską Brygadę Obrony Terytorialnej. Prawdopodobnie każda brygada w Polsce miała takiego opiekuna, ale oni tutaj byli szczególnie, bo tuż przy ruskiej granicy.

— Wesprzesz sierżanta w tych poszukiwaniach. Musisz być z nim, gdy znajdzie policjantów i kobietę.

— Gdy już ich znajdziemy, to co?

Dowódca stłumił westchnięcie.

Mżawka się wzmogła. Szary ford lśnił mokrymi blachami. Coraz większe krople uderzały głośno o wojskową plandekę.

— Pod adresem Wojsk Obrony Terytorialnej nie może paść żadne oskarżenie — oznajmił podpułkownik po dłuższej pauzie. — Nikt nas nawet nie może podejrzewać. My z tej sprawy powinniśmy wyjść jako bohaterowie.

— To będzie trudne — zauważył major.

— Tak, to będzie trudne, ale do zrobienia.

— Jak chcesz zamknąć usta psom i Tuszyńskiej?

Serafin starał się trzymać żołnierski fason. Pochylił się i naciągnął plandekę na zwłoki.

— Musimy ich przekonać do jedynej słusznej decyzji.

— Naprawdę sądzisz, że się dogadamy z gliniarzami po czymś takim? — Major wskazał na plandekę, pod którą rysował się kształt ciała.

— Musimy się z nimi dogadać, bo jeśli nie...

— Bo jeśli nie, to trzeba będzie ich zlikwidować — dokończył Serafin ponuro.

— Chryste, chroń nas przed czymś takim — mruknął podpułkownik.

Obaj wiedzieli, że taką ewentualność muszą brać pod uwagę. Historia знаła tysiące podobnych przypadków na całym świecie, gdy wojsko zabijało niewinnych ludzi, niekiedy całe rodziny, włącznie z dziećmi, a to dla sprawy wyższej wagi, dla dobra ogółu. Tutaj mieli taką sprawę, chodziło o dobro polskich żołnierzy, a więc także o bezpieczeństwo kraju. Jedna sugestia, że Wojska Obrony Terytorialnej mają w swych szeregach zabójcę, wystarczyłaby, aby ruszyła lawina, której konsekwencji nie da się przewidzieć, tym bardziej że w sprawę włączyliby się politycy wrażliwi na

słupki poparcia. Mogłoby wtedy dojść do tego, co najgorsze. Ktoś nierozsądny, chcący przypodobać się wyborcom, podejmie decyzję o rozwiązaniu formacji. Byłaby to katastrofa dla kraju, zwłaszcza teraz, gdy Ruscy przesuwają się coraz bardziej na zachód, już weszli na Białoruś, rzekomo na manewry.

— Za śmierć Suma będą odpowiedzialni przemytnicy. Do takiej wersji musimy przekonać tych dwóch gliniarzy — oznajmił Bukowiecki. Zaciął zęby i dłonią uzbrojoną w papierosa wskazał na zwłoki inspektora. — Kurwa, należała mu się ta kula od Derkacza za śmierć starszego szeregowego i za tę drwinę.

— Czym chcesz ich przekonać do naszej wersji? Diamentami?

Podpułkownik zaprzeczył ruchem głowy.

— Im też powinno zależeć na ukryciu swoich czynów. A mają na sumieniu sporo, zabili Lipińskiego i ukradli diamenty. My pomożemy im to ukryć, a oni pomogą nam. Jesteśmy skazani na to, żeby się dogadać.

— A dziewczyna?

— Z nią powinno być najmniej problemów. Też ma niejedno za uszami, a ponadto ją akurat można zastraszyć. Będzie dobrze.

Rozdział III

DESZCZ ZACINAŁ. DROGA GINEŁA w mętym świetle dnia i w błocie naniesionym przez koła pojazdów. Fordem rangerem lekko zarzuciło na zakręcie. Siedzący za kierownicą major Roch Serafin zdawał się nie zważać na bezpieczeństwo. Jechali w milczeniu. Podpułkownik Bukowiecki patrzył w boczne okno, jak gdyby miał nadzieję zobaczyć coś ciekawego pomiędzy czarnymi pniami drzew.

Trzy minuty temu zatelefonował do nich sierżant. Ustalił, że policjanci kierują się w stronę bazy wojskowej. Wyglądało na to, że gdzieś tam mają ukryty samochód. Istotne było to, że zostawili dziewczynę. Ruda nie miała tyle siły, aby za nimi nadażyć. Tito znalazł ją zadyszaną, błędzącą po lesie. Na jego widok próbowała jeszcze uciekać, ale bezskutecznie. Gdy przywiązywał ją do drzewa, splunęła mu na buty i obrzuciła wyzwiskami.

Serafin zaparkował, zjeżdżając z leśnej drogi między dwie rośle brzozy. Wysiedli wprost w rześisty deszcz. Naciągnęli kaptury na głowy. Mieli na sobie długie płaszcze przeciwdeszczowe skutecznie zasłaniające mundury. Weszli między drzewa i przemieszczali się zgodnie ze współrzędnymi podanymi przez sierżanta. Las wydawał się nieprzychylny. Panująca tu cisza, zakłócana jedynie przez cichy szmer deszczu, ujawniała każdy ich krok, a wszechobecne wilgotne zimno odbierało sprężystość ciała. Pospiesznie mijali nagie drzewa i w milczeniu parli do przodu. Po dziesięciu minutach dotarli do dziewczyny klęczącej przy młodej brzozie. Ręce miała związane z tyłu paskiem od własnej kurtki. Pasek obejmował też pień drzewa. Uniosła głowę, pokazując bladą twarz z przyklejonymi do niej mokrymi włosami. Patrzyła na nich szerokimi z przerażenia oczami. Nie było w nich nadziei. Uznała, że przyszli ją zabić.

Podpułkownik stanął na szeroko rozstawionych nogach naprzeciwko Rudej. Wyjął wista spod przeciwdeszczowego płaszcza, odbezpieczył go i wymierzył w głowę dziewczyny. Jej usta drgnęły, ale nic nie powiedziała. Cofnęła się całym ciałem, wciskając plecy w mokry pień, jak gdyby miała nadzieję, że te parę centymetrów zyskanej przestrzeni zdoła uratować jej życie. Palec Bukowieckiego drgnął na cynglu, ale go nie pociągnął.

Słysząc było szmer deszczu i ciężki oddech Rudej. Nagle jej usta otworzyły się szeroko jak do krzyku, ale wypadły z nich jedynie niespodziewane słowa:

— Panie podpułkowniku, wojskowi strzelają w tył głowy. Mam się odwrócić?

Major był pod wrażeniem, jego przełożony też, bo kąciki mięsistych ust drgnęły mu w nieznacznym uśmiechu. Planowali ją zastraszyć. Okazywało się, że to wcale nie będzie takie proste.

Serafin poczuł drżenie, gdy podpułkownik przesunął lufę w dół, celując w pierś dziewczyny. Rozległ się huk. Gdzieś daleko zerwały się z drzew wrony i z krakaniem odfrunęły. Bukowiecki nadal stał z wyciągniętą w rękę bronią. Był jak mityczny wielkolud, święty egzekutor, oficer Wojska Polskiego. W końcu schował wista i podszedł do Magdaleny. Rozwiązał pasek na jej dłoniach i podniósł ją, opierając o pień brzozy. Dziewczyna nadal żyła.

— Jesteście potworami. Nienawidzę was. — Jej głos załamywał się od nadmiaru emocji. Spojrzała na Serafina. — Panie majorze, niech pan spróbuje do mnie strzelić. Może panu uda się trafić, bo podpułkownik chybił.

— Zapewniam panią, że nie chybił. Trafił tuż nad pani głową, tam, gdzie chciał trafić. I proszę sobie zapamiętać, że oficer Wojska Polskiego nie strzela do cywilów, a już tym bardziej w tył głowy, co pani zasugerowała. Z lekcji historii powinna pani wiedzieć, że takie metody ma inna armia.

— Czego ode mnie chcecie?

— Chcemy ciebie — oznajmił Bukowiecki.

— Jak to mnie?

— Wstąpisz do Wojsk Obrony Terytorialnej pod moje skrzydła, a za jakiś czas zrobimy z ciebie żołnierza zawodowego.

— Ja? Przecież pan nie toleruje kobiet w wojsku. Żadnej u was nie ma.

Serafin pokiwał głową, przyznając rację Magdalenie. To była prawda, nie tolerowali kobiet w wojsku, i to nie dlatego, że histeryzowały na widok sarny zastrzelonej z broni snajperskiej. Zwyczajnie większość z nich nie nadawała się do służby, bo w momencie nawet minimalnego zagrożenia chciały być w domu, przy rodzinie. Marna przydatność kobiet w wojsku potwierdziła się parę miesięcy temu, gdy trzeba było jechać na granicę białoruską, żeby strzec jej przed uchodźcami. Wtedy żołnierki masowo przedstawiały zwolnienia lekarskie. Żenujące. Ale obecność Rudej

w formacji byliby w stanie znieść. Miała potencjał. Była odważna. Ale najważniejsze, że mieliby ją pod nieustanną kontrolą.

Magda drżącą dłonią odgarnęła mokre włosy z twarzy. W jej oczach tliło się oddanie i pokora. Wystarczy darować życie skazańcowi, a ten obdarzy wdzięcznością swego niedoszłego kata. Dziewczyna właśnie uwierzyła, że wyjdzie z tego cało, i była im za to wdzięczna.

— Pomożecie mi wypłatać się z problemów z policją? Żeby mnie nie oskarżyli o zabicie tego kierowcy.

— Zobaczymy, co da się zrobić — oznajmił przychylnie podpułkownik.

Major Serafin wcisnął dłonie w kieszenie płaszcza. Wsłuchiwał się w szmer deszczu i w bicie własnego serca. Ta kobieta należała już do nich. Pół planu zostało wykonane. Teraz trudniejsza jego część. Trzeba przekonać dwóch gliniarzy do współpracy, ale najpierw należy ich znaleźć.

CZEŚĆ DWUNASTA
Policja

Rozdział I

JAMRÓZ PRZYSTANAŁ. Otwartymi ustami ciężko łapał powietrze. W szybkim tempie pokonali jakieś sześć kilometrów i to po nierównym terenie. Znowu zeszli do wąwozu i za chwilę będą wdrapywać się na jego przeciwną krawędź. Tuszyńska została w tyle na samym początku trasy. Nie miał siły niepokoić się o jej bezpieczeństwo. Jeśli jest bystra, zdoła ująć z tego szamba z życiem.

Ruszył dalej. Miał coraz cięższe nogi, to przez tę miękką ściółkę, szło się po tym fatalnie. Starał się być dobrej myśli. Powinno im się udać, powtarzał to sobie w myślach. Wsłuchiwał się w równy szmer deszczu i w swoje ciche kroki. Nagle zamarł, bo akustyka leśnej przestrzeni została złamana przez huk. Był to odgłos wystrzału z broni palnej. Policyjne ucho bez problemu rozpoznawało ten dźwięk.

— Słyszałeś? — zapytał pomiędzy jednym a drugim sapnięciem.

— Słyszałem.

Sokołow też był zmęczony. Przystanął i oparł dłonie na udach, pochylając się do przodu.

— Myślisz, że...

— Tak. Wygląda na to, że dopadli Tuszyńską.

Komisarz poczuł zimno biegnące po kręgosłupie. To nie było fizyczne odczucie temperatury, to najzwyczajniejszy w świecie strach. Tam gdzieś za ich plecami podążali szaleńcy, psychopaci, zawsze blisko, zawsze gotowi. Obejrzał się, wypatrując ruchu między czarnymi pniami drzew. Nie dostrzegł niczego niepokojącego.

— Jak myślisz, daleko padł ten strzał?

Idący przed nim Sokołow wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ale chyba daleko. Musieliśmy ją wyprzedzić co najmniej o trzy kilometry.

Dominik żałował, że nie powiadomił kolegów. Jasne, że komenda znajdowała się ponad dwadzieścia kilometrów od Podlech, ale gdyby zadzwonił od razu, to ktoś by już przyjechał. Stanął raptownie.

— Nikita, musimy zadzwonić po naszych.

— A po co? Jest niedziela, kto tu dzisiaj przyjedzie? Jeden radiowóz ze smerfami z drogówki to za mało. Tu potrzebny jest oddział antyków, żeby powstrzymać tych psycholi.

— To chociaż powiemy naszym, że inspektora zastrzelili, żeby było wiadomo. No wiesz, na wypadek, gdyby nas też...

— Nie gadaj, tylko chodź. Mamy już blisko.

— A jeśli oni już znaleźli mój samochód i przy nim nas odstrzelą? W co myśmy się, kurwa, wpakowali?

Sokołow nie odpowiedział. Parł do przodu, nie oglądając się za siebie. Komisarz przeciwnie, odwracał się co jakiś czas, sprawdzając, czy ktoś za nimi nie idzie. Teraz również obrócił głowę. Nikogo nie zobaczył. Las był dziwnie nieruchomy i poza deszczem nie słyszał żadnego innego dźwięku. Gdzie się podziały wrony? Gdzie wiatr szarpiący gałęziami? W tym bezruchu i szumie mżawki była zapowiedź czegoś złego, zapowiedź śmierci. Wzdrygnął się. Zaczął biec. Przedzierał się przez krzaki, rozgarniał gałęzie, potykał się o korzenie i kłął. Nagle dotarło do niego, że stracił z oczu Sokołowa. Jak to możliwe? Wprawdzie tamten w pewnym momencie wyprzedził go o kilkanaście metrów i na parę sekund stał się niewidoczny, schodząc do wąwozu, ale nie mógł zupełnie zniknąć.

Był zły, że się rozdzielili. Powinni się trzymać razem, dwa pistolety to nie jeden. Poza tym lepiej byłoby, żeby dotarli do wozu w tym samym czasie. Powinien przyspieszyć. Wbrew tej myśli zwolnił, najważniejsze to równe tempo, takie, które mu nie odetnie oddechu. Las zaczął się przeredzać, coraz częściej trafiał na przecinkę, mijał kilkudziesięciometrowe pasy pozbawione drzew. Na tych obszarach czuł się bardziej zagrożony, jak gdyby niósł na plecach tarczę strzelniczą, dlatego przyspieszał.

CZĘŚĆ TRZYNASTA
Żołnierze

Rozdział I

DESZCZ PADAŁ. SIERŻANT TITO szedł miękkimi krokami po uginającej się od nadmiaru wilgoci ściółce. Był czujny, bo prowadził pogoń za funkcjonariuszami. Od niego zależała przyszłość Czterdziestego Trzeciego Batalionu Lekkiej Piechoty, a może nawet los całych Wojsk Obrony Terytorialnej. Rozglądał się po przestrzeni zalewanej cienkimi stróżkami deszczu. Mokro wszędzie, wodny leśny świat. Próbował ogarnąć wzrokiem jak największą ilość drzew, bo przecież za którymś pnem mogli przycząić się psiarze. Musiał być ostrożny. Ruda powiedziała, że funkcjonariusze są przekonani, że zginą jak inspektor. Mogli więc być zdesperowani, a ten stan potrafi skłonić do walki.

Na wprost, w mokrych gałęziach rozłożystej sosny zatrzepotał ptak, a potem zanurkował w gęstą mżawkę, odlatując w stronę niewielkiego zagajnika. Tito przystanął i poprawił wista w dłoni. Czekał chwilę w deszczu. Nic. Żadnego ruchu, jedynie krople migoczące w szarości. Ruszył, ale szedł teraz od jednego drzewa do drugiego, zygzakiem, traktując pnie jako zasłonę przed policyjnymi kulami.

Wytańł twarz z wody. Plecy miał zupełnie przemoczone. Z zazdrością spojrział na przeciwdeszczowy płaszcz Serafina. Major podążał kilkanaście metrów na prawo od niego, przemieszczając się również od drzewa do drzewa. Zbliźali się do dębu, który swoją średnicą dorównywał słupom ogłoszeniowym. Major pierwszy się za nim schronił i kiwnął na sierżanta. Tito niechętnie podszedł, roztrącając zamaszystymi ruchami krople deszczu. Nie powinni się zatrzymywać. Każda sekunda postoju to dwa metry, o jakie psiarze ich wyprzedzą.

— Gdzie oni są? — zapytał Serafin, a raczej wysyczał te parę słów przez zaciśnięte zęby.

— Przed nami.

— Skąd wiesz? Przecież ich nie widać.

— Kierują się na seata, którego zostawili przed Robuzami.

Spięta twarz Serafina drgnęła pod kapturem. Z ust wydobył się syk niezadowolenia, który złał się ze szmerem deszczu.

— Skąd wiesz, że mają akurat seata i że on stoi przed Robuzami?

— Derkacz mi powiedział. Obejrzał nagranie z drona. Nagrali też samych siebie.

— No to co my tu, kurwa, robimy, skoro możemy na nich poczekać przy samochodzie? Wiesz dokładnie, gdzie on stoi?

— Panie majorze, oni zaraz się zorientują, że my wiemy o ich wozie, a wtedy zmienią swoje plany. Prawdopodobnie wejdą do jakiejś wsi i pożyczą samochód od rolnika, i pojedą do Braniewa. Musimy temu zapobiec.

— No to prowadź!

Tito przyspieszył. Jego oczy wyjmowały z mżystej przestrzeni niektóre elementy i zapisywały je w mózgu. Kolejny mokry i zarośnięty wąwóz, następny przewalony pień, a na nim trochę błota i ściółki, wyraźnie uformowane w kształt podeszwy. Tędy musieli iść policjanci. Tętno mu przyspieszyło. Las nagle zrobił się rzadszy. Grube dęby i topole zostały zastąpione przez cienkie olchy i brzozy. Świerków i sosen też było mniej, a przede wszystkim rosły pojedynczo. Za to deszczu wydawało się więcej i wilgotności w ściółce również. Momentami buty mu grzęzły, a w nos drażniła ostra i mokra woń ziemi. Sierżant rozpiął kurtkę i wydobył zawieszoną na szyi lornetkę. Przystanął i przyłożył ją do oczu. Dreszcz podniecenia przebiegł mu po kręgosłupie. Najpierw zobaczył jakiś ruch za migotliwą zasłoną deszczu, potem dojrzał sylwetkę. To był człowiek podążający równym krokiem.

Rozdział II

MAJOR ROCH SERAFIN CZUŁ w ustach smak mokrego lasu. Podniebienie reagowało na ostrość przegnitych liści i słodkawą wilgotność ziemi. Miał ochotę splunąć, ale przeczuwał, że to nie pomoże mu się pozbyć irytującego smaku, bo ten siedział mu również w głowie. Było w niej coś jeszcze, ale co takiego? Niepokój? Podświadomie obawiał się, że nie zdołają dogadać się z psami, a wówczas trzeba będzie ich zlikwidować. Czy da radę to zrobić? Może nie będzie musiał. Może zrobi to ktoś inny, choćby Tito. Nie, to nie może się skończyć egzekucją funkcjonariuszy. Nie po to wstąpił do armii, aby dokonywać takich rzeczy. Może lepiej poświęcić kaprała Derkacza? Niech go osądzą za zabicie inspektora. Nie! To bardzo zły pomysł. Jeśli kapral zostanie oskarżony, to on i Bukowiecki też poniosą konsekwencje. Mogą nawet wylecieć z armii, a to byłoby straszne, bo poza wojskiem nie ma życia.

W zimnym powietrzu lasu wisiała gęsta wilgoć. Irytowała go ta nieustająca od kilku godzin mżawka, ten równomierny szum. Powietrze wibrowało od kropel wody, zakłócając obraz wokół i rezonując w umyśle Serafina. Kap, kap, kap, drobne krople uderzały o jego kaptur i go ogłuszały. Korzenie, pnie, konary, gałązki i igły. Wszystko mokre, zwłaszcza igły sosen, gdy je mijał, tryskały wodą. Zobaczył, że sierżant Tito daje mu umówiony znak ręką. Wyglądało na to, że trafili na trop policjantów. Wreszcie skończy się to deszczowe piekło. Zaraz pójda z funkcjonariuszami w jakieś suche miejsce i porozmawiają o błędach, które niestety przytrafiły się im wszystkim.

CZĘŚĆ CZTERNASTA
Policja

Rozdział I

JAMRÓZ DOTARŁ DO MŁODYCH CHOINEK, te sięgały mu zaledwie do połowy uda. Wszedł między nie i maszerował dalej. Gdy dzieliło go kilkadziesiąt metrów od wysokiego lasu, obejrzał się. Na chwilę zabrakło mu powietrza w płucach z wrażenia. Dogonili go. Zobaczył dwie postaci. Jedną rozpoznał od razu po ubraniu i sylwetce. Był to sierżant Tito. Drugi osobnik ubrany był w długi płaszcz z kapturem i wyglądał jak upiór z horroru wędrujący po mokrym lesie. Ciekawe, kto to? Na pewno nie podpułkownik, wzrost na to nie wskazywał. Raczej major.

W pierwszej chwili komisarz chciał rzucić się na ziemię i ukryć między niskimi choinkami. Na szczęście strach nie zdominował zdrowego rozsądku. Miał kamizelkę kuloodporną, może nie było to idealne zabezpieczenie przed bronią snajperską, mógł jednak zaryzykować dotarcie do wysokich drzew. Szedł szybko, ale starał się nie biec. Musi mieć równy oddech, gdy dojdzie do wymiany ognia. Minał dwie brzozy i dopadł do grubego pnia topoli. Idealne stanowisko do obrony i ataku. Przeciwnicy mieli gorzej, bo podchodzili do niego właściwie po otwartym terenie. Cienkie metrowe choinki nie zapewnią im wystarczającej ochrony przed pociskami.

Komisarz klęknął za pniem i wyciągnął walthera. Miał przy sobie trzy pistolety, oprócz policyjnej broni jeszcze makarowa należącego do przemytnika i wista odebranego sierżantowi. Piętnaście pocisków w magazynku walthera to było dużo, a dwa dodatkowe pistolety dodawały mu pewności. Starał się nie myśleć o tym, że tamci są uzbrojeni w karabinki Grot, z których można zrobić broń snajperską, dokręcając przyrządy celownicze. Wypierał też z głowy myśl o żonie i dzieciakach. Teraz nie miał rodziny, teraz był policjantem walczącym z przestępcami. Wystraszonym umysłem uchwycił się myśli o walce, podobnie jak przed laty, kiedy miał wyjść na ring, a przeciwnik wydawał się mocniejszy. Wtedy wypracował technikę usuwania rywala z własnej głowy, wystarczyło, że skupiał się na ruchach, na pracy ramion i nóg. To przynosiło efekt.

Wziął głęboki oddech i wysunął głowę zza pnia. Nikogo nie widział. Zaklął. Nie mógł wychylić się bardziej, bo wystawiłby się na strzał.

Spróbował z drugiej strony drzewa i również nic. Spokojnie, tylko nie wpaść w panikę. Położył się na mokrej ziemi i ponownie wychylił. W ten sposób było jeszcze gorzej, bo w zasięgu jego wzroku znajdowała się głównie poczerniała ściółka. Wstał. Nagle usłyszał łamanie krzaków gdzieś na lewo. To mógł być dzik albo człowiek. Był naiwny, zakładając, że żołnierze podejda z przodu. Zapewne zbliżają się do niego z dwóch przeciwnych stron.

— Komisarzu! Chcemy pogadać!

Tego się nie spodziewał, że się odezwą, że będą go wołać. Po co to robią? Chcą go zdezorientować? A może chcą, żeby się im pokazał i stał się łatwym celem?

— Komisarzu, czy możemy podejść?

Głos dochodził z przodu i chyba należał do majora. Serafin musiał się krzyć jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów dalej. Dominika uwierało to, że go nie widzi.

— No to co? Pogadamy?

Jamróz zaczął kręcić głową raz na lewo, raz na prawo, bo zdało mu się, że głos się przemieścił. Nie może dać się zaskoczyć.

— Inspektor zginął przez pomyłkę. Nie chcieliśmy tego.

Czy oni naprawdę sądzą, że on w to uwierzy? Odstrzelili Krystianowi pół głowy i przestrelili koła w dwóch samochodach. To wszystko miałyby być pomyłką?

— Chcemy się dogadać z tobą i twoim kolegą. Mamy dla was dobrą ofertę.

Mają ofertę. To niby po to biegli za nim przez kilka kilometrów po lesie, aby się dogadać? Absurd. Gdyby chcieli się dogadać, zadzwoniliby do niego na komórkę. Numer dostaliby na komendzie. Może jednak dzwoniли, a on nie usłyszał sygnału. Płomyk nadziei zatlił mu się w sercu. Pojawiła się szansa, że wyjdzie z tego cało.

Oparł się plecami o pień i lewą ręką wyciągnął telefon. Nagle usłyszał szmer po drugiej stronie topoli. Aparat wysunął mu się z dłoni i spadł na miękką ściółkę. A jednak zaszli go z przodu. Byli już blisko. Dopadł go strach penetrujący wszystkie zakamarki ciała i umysłu. Nie może się bać, bo zginie. Musi walczyć. Trzask gałęzi na lewo. Nie był pewien, czy kogoś widzi. Uniósł rękę i nacisnął spust. Huknęło.

— Komisarzu, nie strzelaj. Podchodzę do ciebie z podniesionymi rękami.

Chwilę później w mglistej ścianie deszczu zobaczył postać w płaszczu z dłońmi w górze. Rozpoznał Serafina. Na moment spojrział w przeciwną stronę, skąd dobiegło ciche stapanie. Gdy znowu obrócił głowę ku majorowi, ten już opuścił dłonie i chyba sięgał po pistolet. Komisarz uniósł walthera. Ręka mu dygotała. Strzelił. Nie trafił. Gdzieś na prawo rozbrzmiał zgrzyt odbezpieczanej broni. Przemknęło mu przez głowę, że nie zdąży wycelować w skradającego się drugiego żołnierza. Zdołał jedynie obrócić głowę i zobaczyć czarne oczy sierżanta. Były blisko, tuż obok. Dominik zrozumiał, że nie ma już dla niego ratunku. Pod powiekami poczuł łzy. Zaraz go zabiją. Już więcej nie zobaczy Zuzy i dzieciaków. Komisarz jeszcze usłyszał huk wystrzału, a może mu się zdawało, że słyszy ten odgłos. Upadku na mokrą ziemię już nie poczuł.

Podeszło do niego dwóch żołnierzy. Ich ciężkie buty ugniatały ściółkę.

— Głupi psie, dlaczego strzelałeś? — W głosie majora kipiała wściekłość. Spojrział na sierżanta. — Dlaczego celowałeś mu w głowę? Mogłeś w rękę.

Tito schował wista do kieszeni.

— Za bardzo machał ręką z pistoletem. Bałem się, że nie trafię.

— Co ty pierdolisz? Stałeś od niego pięć metrów.

Rozdział II

MŁODSZY ASPIRANT NIKITA SOKOŁOW zawrócił. Szedł z telefonem w dłoni, czekając na kontakt od Dominika. Aparat jednak milczał. Postanowił sam zatelefonować. Miał nadzieję, że komisarz wyciszył komórkę, bo byłoby niedobrze, gdyby niespodziewany sygnał ściągnął mu na głowę bandytów w mundurach polskich sił zbrojnych. Wybrał numer. Mijały sekundy, a Jamróz nie odbierał. Chciał się już rozłączyć, ale nagle usłyszał cichą znajomą melodyjkę. Gdzieś tu w pobliżu znajdował się telefon Dominika. Sokół rozejrzał się, próbując ustalić, skąd dobiega dźwięk. Odbezpieczył walthera i skręcił w prawo. Paradoksalnie, obawiał się teraz najbardziej komisarza, że tamten go nagle dostrzeże, nie rozpozna i spanikowany zacznie strzelać na oślep. Szedł od drzewa do drzewa, wyminął rozłożystą brzozę i wtedy go zobaczył. Dominik leżał przy topoli, z rozłożonymi rękami, twarzą do ziemi. Nikita nie podszedł od razu do kolegi. Najpierw się rozejrzał, wypatrując sprawców. Mogli się czaić za większością drzew. Musiał zaryzykować. Odwagi dodawała mu myśl, że chroni go kamizelka. Szedł zygzakiem i zmieniał tempo swoich kroków.

Niech on, kurwa, żyje. Niech tylko będzie ranny. Choć podświadomie przeczuwał najgorsze, to jego umysł protestował, zaklinając rzeczywistość. W końcu stanął nad komisarzem i wtedy oddech ugrzązł mu w płucach. Straszne i niepojęte. Dominik był martwy. Dostał w głowę. Z jednej strony zwłok leżał służbowy pistolet, z drugiej telefon. Sokół tylko chwilę stał osłupiały na rozdygotanych nogach. Sekundę później przystąpił do działania. Przekręcił ciało kolegi na plecy. Strzaskana żuchwa, resztki zębów trzymające się krwawej miazgi. Skurwysyny. Bestie. Strzelili w twarz. Zdziwiło go, że nie usłyszał huku.

Podniósł pistolet przyjaciela i telefon. Przeszukał kieszenie, kluczyków nie znalazł, diamentów też nie. Zniknęły również dwie sztuki broni, które komisarz odebrał sierżantowi i przemytnikowi. Kierowany policyjnym nawykiem dokumentowania miejsca zdarzenia sfotografował zwłoki, po czym oddalił się szybkim krokiem. Postanowił, że nie będzie szedł w stronę seata komisarza, i wcale nie chodziło o to, że nie miał kluczyków. Raczej obawiał się tego, że terytorialni już znaleźli samochód na leśnej drodze

wciśnięty między drzewa. Zamierzał dojść do najbliższego gospodarstwa i tam poczekać na policję. Wśród ludzi będzie bezpieczny, żeby tylko zdążył gdzieś dotrzeć.

Zadzwoił do Dobrowolskiego. Sierżant nie odebrał. Na pewno odsypiał nockę. Wybrał numer starszej posterunkowej Agaty Małek. Przywitała go uradowanym głosem:

— No i co tam, mój sokole?

Przemknął ciężko ślinę.

— Dominik nie żyje — wypalił bez zbędnego wstępu.

Dopiero teraz poleciały mu łzy. W słuchawce zapadła na kilka sekund cisza.

— Co ty mówisz? — zapytała w końcu Agata.

— Mówię, że Dominik nie żyje. Zastrzelili go. Inspektora też.

— Ja cię kiedyś zabiję za te głupie żarty.

— To nie żarty. Zaraz ci wyślę zdjęcie. Poczekaj. Nie rozłączaj się.

Rękawiczki miał już zupełnie przemoczone. Telefon z opóźnieniem reagował na dotyk. Rozglądając się po lesie zaniepokojonym wzrokiem, zdołał wysłać zdjęcie zrobione przed paroma minutami.

Przyłożył aparat do ucha i czekał, aż starsza posterunkowa się odezwie.

— Sokół, to niemożliwe, to, kurwa, niemożliwe. Powiedz, że to nieprawda. Błagam, powiedz, że to nieprawda. Nie on, nie Dominik.

Piskliwy głos Agaty stopniowo przechodził w szloch, który starała się powstrzymywać. Nikita, przeciwnie, już nie hamował płaczu.

— To prawda. Strzelili mu w twarz.

— Boże! Kto?

— Leśne dziadki.

— Co ty opowiadasz? Jakie leśne dziadki?

— Żołnierze, terytorialni.

— Żołnierze? Oszalałeś?

— Jeszcze nie oszalałem, ale niewiele mi brakuje. Mnie też chcą zastrzelić. Zabili inspektora, komisarza i chyba Tuszyńską. Nie mają już wyjścia, mnie też muszą zlikwidować.

— Ale dlaczego? Gdzie w ogóle jesteś?

— Chyba już blisko Robuz. Idę lasem z Podlech.

— Podlechy? Dominik do mnie stamtąd dzwonił jakiś czas temu. Chciał dane personalne i numery telefonów małżeństwa, które ma tam agroturystykę. Powiedział, że to prywatna sprawa.

— To niezupełnie prywatna sprawa, ale później wszystko wyjaśnię. Na razie przyślij mi wsparcie. Zbierz kilku chłopaków, niech tu przyjadą, co najmniej trzema samochodami. Jeśli kaczki będą próbowały ich zatrzymać, to niech idą na ostro. Albo wyjadę stąd radiowozem, albo w ogóle. Za parę minut dam ci namiary, gdzie dokładnie jestem.

Agata chciała coś jeszcze mu powiedzieć, ale nie dał jej takiej możliwości. Rozłączył się. Robiło mu się zimno, to dlatego, że był przemoczony. Deszcz wciąż siąpił. Zastanawiał się, ilu leśnych dziadków wędruje teraz po lesie i go szuka. Dwóch? Trzech? Dwudziestu pięciu? Próbował sobie wmówić, że jest w miarę bezpieczny, że nie tak łatwo znaleźć człowieka w zadrzewionej przestrzeni. Ostatniej jesieni szukali grzybiarza, który się zgubił i któremu rozładował się telefon. Zajęło im to sześć godzin. Niestety, Sokół nie czuł, aby las był dla niego ochroną. Nagie drzewa, skurczone krzaki, choinki gęste jedynie w górnych partiach, tutaj nic go nie osłaniało. Sam widział na kilkadziesiąt metrów, to i jego musiano widzieć.

Nagle trafił butem na coś twardego. To był stary fundament. Tu kiedyś stały budynki. Zbliżał się więc do wsi. Rozległo się szczenie. Zatrzymał się i nasłuchiwał, z jakiego to kierunku. Dotarł do niego warkot silnika. Był blisko gospodarstwa. Po paru minutach dostrzegł zabudowania. Przyspieszył.

Przez podwórko przechodził mężczyzna w puchowej kurtce. Niósł dużego królika, trzymając go za uszy. Nie zauważył zbliżającego się Sokołowa. Ten wyciągnął legitymację policyjną.

— Dzień dobry! — zawołał.

Mężczyzna stanął. Wydawał się zaskoczony.

Nikita podsunął mu pod oczy odznakę.

— Młodszy aspirant Nikita Sokołow. Robiliśmy obławę na przemytników w lesie i zabłądziłem. Czy mógłbym u pana zaczekać na radiowóz?

Gospodarz podrapał się po głowie.

— Mówi pan: przemytnicy?

— Tak.

— A co oni robią w lesie? Do tej pory jeździli furami po drogach, a teraz łażą po lesie? Dziwne to.

— Na drogach zrobiło się dla nich niebezpiecznie, to próbują przez las, zwłaszcza gdy chodzi o narkotyki. Sam pan rozumie.

Mężczyzna przytaknął.

— Czy mogę wejść do domu? Trochę przemarzłem. Jestem już kilka godzin na deszczu.

— Niech pan wchodzi! Żona jest w środku. Ja zaraz przyjdę, tylko króla do klatki odstawię. Miał pójść na potrawkę, ale skoro pan tu jest, daruję mu życie. Trafi do garnka dzień później, a dzisiaj zjemy kotlety z wieprzka.

Sokół zapukał i nacisnął klamkę. W środku było ciepło i pachniało kawą. W kuchni przy zlewie stała szczupła i wysoka kobieta. Widział jej lekko pochylone plecy i długie włosy związane gumką.

— Dzień dobry! — zawołał, przekrzykując dźwięk wody lejącej się z kranu.

Drgnęła i odwróciła się raptownie.

— Kim pan jest?

— Policjantem z Powiatowej Komendy Policji w Braniewie. — Pokazał odznakę. — Czekam na radiowóz. Pada. Pani mąż pozwolił mi się ogrzać.

— Aha.

Kobieta trzymała przed sobą mokre ręce. Wydawała się niezdecydowana.

— Mogę?

Wskazał głową na krzesło przy stole.

— Tak, proszę. — Odwróciła się do zlewu, a chwilę później postawiła trzy filiżanki na suszarkę. — Od paru lat noszę się z zamiarem kupienia zmywarki.

Zaśmiała się, jak gdyby to było coś zabawnego.

Sokół wyciągnął telefon i wysłał esemesa do Agaty z informacją, gdzie mają po niego przyjechać.

— Czy mogę prosić o kawę? Obiecuję, że umyję po sobie kubek.

— Już panu robię.

Włączyła czajnik elektryczny. Do domu wszedł gospodarz. Zakaszłał w sieni, po czym w skarpetkach wkroczył do kuchni. Sokół odruchowo spojrzał na swoje buty. Były obklejone błotem i drobinami ściółki.

— Martusiu, pan aspirant powstrzymał mnie przed zabiciem króla. Usmażysz dzisiaj kotleciki. Okej?

— Wcale nie okej. Jedyne mięso, jakie lekarz pozwolił ci jeść, to królik. Zrobię ci zupy jarzynowej.

— No widzi pan? Własna żona mnie terroryzuje. Czy ja mogę to zgłosić na policję? Może byście jej założyli niebieską kartę?

Mężczyzna puścił oczko do policjanta. Ten się uśmiechnął, bo wypadło tak zareagować na żart. Małżeństwo przekomarzało się dalej, a on słuchał.

Zerknął na kobietę, gdy ta upuściła na podłogę łyżeczkę. Podniosła ją szybko i spuściła głowę jak dziewczynka, która wie, że narozrabiała. Dopiero wtedy Nikita poczuł panujące tu napięcie. Ta dwójka udawała, że wszystko jest dobrze. Przymknął na moment powieki i gorączkowo zastanawiał się, w czym rzecz. Gospodarze są zdenerwowani, bo do ich domu zawitał policjant. Czy to możliwe, że handlują przywiezionym z obwodu kaliningradzkiego alkoholem, papierosami, a może paliwem? Stawiałby na paliwo. Znowu opłaci się jego przemyt, bo ceny na polskich stacjach poszybowały w górę, co prawda w Rosji też, ale i tak tankowanie tam było dużo tańsze. Otworzył oczy i złapał porozumiewawcze spojrzenie, jakie gospodarz posłał żonie. Ta zalewała kawę.

— Mi też zrób — poprosił mężczyzna.

Młodszy aspirant miał wrażenie, że właśnie podrzucono mu istotny element spinający kilka myśli w jeden logiczny ciąg. Gdy wszedł do kuchni, poczuł woń kawy, a gospodyni myła trzy filiżanki. Kto pił z nich kawę? Na pewno nie jej mąż, skoro teraz o nią poprosił. Znowu spojrzał na swoje buty, potem na podłogę. Była zabłocona. Czy to jego sprawa? Nie. Ktoś inny odwiedzał tych ludzi i też nie zdjął butów. Kolejne skojarzenie natrętnie pchało mu się do głowy. Ten odgłos motoru, który słyszał, będąc jeszcze w lesie. Na podwórku nie stał żaden motocykl. Ktoś nim odjechał.

Kobieta postawiła przed nim kawę. Nikita zerwał się z krzesła. Gospodarz zareagował błyskawicznie. Runął na młodszego aspiranta całym ciałem. Filiżanka z hukiem uderzyła o deski podłogowe. Sokół nadal miał wolne obie ręce. Wyciągnął walthera i kolbą uderzył mężczyznę, najpierw w tył głowy, potem w skroń. Tamten osunął się zamroczony.

— Proszę, niech pan nic mu nie robi.

Kobieta złożyła dłonie jak do modlitwy.

— Kto tu był?

— Nikt.

Patrzyła na niego wystraszona.

— Kto u was był? — powtórzył pytanie ostrzej.

— Ci w oliwkowych mundurach.

— Co wam powiedzieli?

— Że po lesie krąży morderca. Szukali go. Przestrzegali nas, że mamy być ostrożni, bo ten człowiek jest bardzo niebezpieczny. Zastrzelił dwóch policjantów.

Sokół pochylił się nad gospodarzem. Ten zachłannie łapał powietrze.

— Powiadomiłeś ich, że tu jestem?

Nie odpowiedział. Niezdarnie podniósł się z podłogi.

— Nie jestem mordercą. To oni zabili moich kolegów.

Nie miał pewności, czy małżeństwo mu uwierzyło. Raczej nie, bo ze strachem patrzyli na pistolet w jego ręku. Schował broń do kabury. Gospodarz na pewno powiadomił żołnierzy, a ci zaraz tu się pojawią. Co teraz? Powinien wycofać się do lasu? Czy zabarykadować się tutaj i czekać na radiowóz?

— Niech pan stąd idzie — odezwał się mężczyzna. — Nie chcemy kłopotów.

Te słowa pchnęły go ku drzwiom. Wyszedł na ganek i zaczął biec w stronę lasu. Gdy minął pierwszą linię drzew, usłyszał zbliżające się motory, co najmniej dwa, a może trzy.

CZEŚĆ PIĘTNASTA
Żołnierze

Rozdział I

W KUCHNI BYŁO CIEPŁO. Gospodarz siedział za stołem, a jego żona na taborecie pod ścianą. Oboje wyglądali na przestraszonych. Major Serafin patrzył na nich zimno.

— Co on wam jeszcze powiedział?

Mężczyzna opuścił głowę.

— Nic więcej.

Gospodarz kłamał, tego Serafin był pewien. Przesunął wzrok na kobietę.

— Co on wam jeszcze powiedział?

— Nic więcej.

— Powiedział, że chce się ogrzać i potem w ogóle już się nie odezwał? Naprawdę?

— Poprosił o kawę.

Kobieta spojrzała na ciemne plamy na podłodze.

— Zrobiła mu pani tę kawę?

Przytaknęła. Major wskazał palcem na deski podłogowe.

— Chyba mu nie smakowała, skoro ją wylał. Mam rację?

Nikt mu nie odpowiedział. Na parapecie za szybą usiadł gołąb i zajrzał do wnętrza kuchni.

— A mnie pani kawa smakowała. Tak nam się dobrze gawędziło, gdy byłem tu dzisiaj pierwszy raz, a teraz jakoś nie chcecie ze mną rozmawiać.

— Już wszystko powiedzieliśmy — oznajmił mężczyzna i wstał z za stołu.

— Wydaje mi się, że powinien pan już iść.

Serafin się wyprężył, jak gdyby chciał wyraźniej górować nad postawnym gospodarzem.

— Wyprasza pan mnie ze swojego domu? Choć to ja gwarantuję panu i pana żonie bezpieczeństwo?

— Jakie bezpieczeństwo? O czym pan mówi?

— Armia chroni was przed największym zagrożeniem współczesnego świata.

Zdziwienie na twarzy gospodarza objawiło się w szeroko otwartych ustach.

— Jakim zagrożeniem? Nie rozumiem.

— Ma pan najbardziej agresywną armię za miedzą i pyta pan, przed jakim zagrożeniem was chronimy?

Mężczyzna lekceważąco machnął ręką.

— Aha, pan o tym. Zamiast zwracać sobie głowę kacapami, lepiej byście dzikami się zajęli. W tym roku zryły mi całe pole, no i roznoszą afrykański pomór świń. Macie karabiny. Moglibyście parę sztuk odstrzelić, skoro już biegacie po lesie.

Major miał ochotę oznajmić temu ignorantowi, że dziki nie zgwałcą mu żony i nie spalą domu. Darował jednak sobie. Nie chciał, żeby tamten wziął go za wariata, a tak reagowali cywile, gdy nakreślał im wymiar rosyjskiej inwazji.

— W sprawie dzików proponuję zwrócić się do myśliwych.

— Myśli pan, że tego nie próbowałem? Podobno nawet zrobili jakiś odstrzał, ale dzików jak było dużo, tak nadal jest. Wy też macie broń. Gdy zabijecie kilkanaście sztuk, to chociaż się na coś przydadacie.

Major pokiwał głową z politowaniem. Takie były efekty egzystowania w złudnym bezpieczeństwie. Przyjdzie dzień, że tacy jak ten tutaj zrozumieją, że tylko dzięki armii mogą spokojnie spać.

— Ten człowiek, co u was dzisiaj był, on jest funkcjonariuszem z Braniewa.

Gospodarz i jego żona nie byli zaskoczeni, czyli młodszy aspirant zdążył ich o tym poinformować, może nawet pokazał blachę.

— Sądzimy, że to on zastrzelił tych dwóch policjantów, o których wam mówiłem godzinę temu. Prawdopodobnie to byli jego koledzy, bo tamci też z Braniewa.

— Nas nie zastrzelił — oznajmiła nagle kobieta.

— I jest pani mu za to wdzięczna? To dlatego nie chce pani wyjawić, co on wam powiedział?

— Dlaczego to wy się tym zajmujecie, a nie policja? — zapytała niespodziewanie. — Skoro to morderca, to policja powinna tu być i z nami rozmawiać.

— Ma pani rację, ale podejrzewamy, że sprawa może dotyczyć bezpieczeństwa narodowego, stąd nasz udział.

Zerknął na gołębia wciąż siedzącego na parapecie po drugiej stronie szyby. Musiał ustalić, czy Sokołow zdążył oskarżyć wojsko. Żeby później nie było tak, że ta dwójka zacznie coś gadać w okolicy albo, co gorsza, udzielią wywiadu jakiemuś dziennikarzowi.

Gospodarz pochylił się do Serafina.

— Panie majorze, godzinę temu ostrzegł nas pan, że w lesie ukrywa się niebezpieczny człowiek, prawdopodobnie morderca, i jeśli kogoś zobaczymy, to mamy dać panu znać. Zrobiliśmy to, choć uważałem, że ten policjant nie jest człowiekiem, którego szukacie. Chciał u nas poczekać na radiowóz, a przecież gdyby był winny, to nie czekałby na policję.

— Na radiowóz? Powiedzieliście wcześniej, że wszedł do domu, żeby się ogrzać i osuszyć. O radiowozie pan nie wspominał.

Major zacisnął zęby. Niedobrze. Pies wezwał pomoc. Zaraz może tu się zjechać kilkunastu psiarzy. Trzeba będzie ich przekonać, że Sokołow oszalał, a za śmierć inspektora i komisarza odpowiadają przemytnicy. No i w żadnym wypadku nie można ich dopuścić do miejsca zdarzenia.

Gołąb na parapecie zerwał się do lotu. Chyba się czegoś wystraszył. Za chwilę rozległ się narastający warkot. Major bez słowa wyszedł na zewnątrz. Zobaczył sierżanta na motorze. Wyglądał jak demon z opowieści o strasznym lesie. Jego czarne oczy lśniły w twarzy pokrytej błotem. Kurtkę i spodnie miał brudne, oblepione resztkami przegniłych liści. Zahamował przed Serafinem i podniósł się na siodełku. Zasalutował.

— Panie majorze, melduję, że nie wykonałem rozkazu.

— Chcesz powiedzieć, że nie znalazłeś Sokołowa?

— Melduję, że młodszy aspirant znikł, zapadł się pod ziemię.

— Co ty pierdolisz? Co z ciebie za komandos? Wiejskiego policjanta nie potrafisz namierzyć?

— Melduję, że nie jestem komandosem, jestem żołnierzem Wojsk Obrony Terytorialnej.

— Tak, jasne — rzucił Serafin z sarkazmem.

Robiło się coraz bardziej nieciekawie. Prawdopodobnie jechały już do nich radiowozy, a młodszy aspirant gdzieś się ukrywał. Obaj z podpułkownikami poważnie wątpili w to, że zdołają się z nim dogadać. Po tym, co się już wydarzyło, po zabiciu dwóch funkcjonariuszy, Sokołow raczej im nie zaufa. Żaden z nich nie powiedział jeszcze tego głośno, ale nie będą mieli innego wyjścia, trzeba będzie zlikwidować młodego policjanta.

Rozdział II

JUŻ NIE PADAŁO, ALE W POWIETRZU wisała przenikliwa wilgoć. Plutonowy Bartek Nowicki wspinał się na kolejne wzniesienie. Przed nim szło dwóch żołnierzy. Zaraz po śniadaniu kazano im wsiadać w ciężarówki. Przejechali tylko parę kilometrów. Gdy wysiedli, otrzymali rozkaz znalezienia w lesie młodszego aspiranta Nikity Sokołowa. Przemawiający do nich podpułkownik zaznaczył, że ten policjant stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Dziwne było to wszystko. Plutonowy miał wrażenie, że uczestniczy w ćwiczeniach, bo jak tu uwierzyć, że gliniarz z Braniewa zagraża bezpieczeństwu kraju.

— Bartek, śpisz? Gadam do ciebie. — To starszy kapral Jarek Bugaj do niego mówił.

— Powtórz! Zamyśliłem się.

— Pytałem, czy ten aspirant jest szpiegiem.

— A dlaczego miałby być szpiegiem?

— No co ty? Przecież ma ruskie nazwisko.

— Gdybym ja był szpiegiem, to znalazłbym sobie mniej podejrzane nazwisko.

— Skoro to nie szpieg, to dlaczego go szukamy?

— Nie wiem. Może to tylko ćwiczenia.

Plutonowy podejrzewał, że te poszukiwania policjanta mogą mieć coś wspólnego ze śmiercią starszego szeregowego Lipińskiego. Może to Sokołow zabił ich kolegę i teraz jest w szoku i dlatego ukrywa się w lesie? Fatalny był ten weekend. Oby niedziela skończyła się jak najszybciej.

Idący przed nim żołnierze rozglądali się. Patrzyli też w górę na korony drzew. Bartek również podniósł głowę. Sokołow wyglądał na zwinnego, mógłby się wdrapać na którąś z sosen. Koledzy nagle zakłęli, bo posypały się na nich duże krople wody. Wszyscy trzej rozgniatali ciężkimi butami gęsto rosnące krzaki.

— Widzę bunkier! — zawołał Jarek Bugaj, który wysunął się naprzód.

— No weź jeszcze ogłoś to w internecie — warknął szeregowy.

Bartek się uśmiechnął. Rzeczywiście starszego kaprała poniosło. Mieli poruszać się w miarę cicho, a ten krzyczy, jak gdyby chciał ostrzec

młodszeo aspiranta, że obrona terytorialna się zbliża.

Bunkier wyrastał z ziemi betonową kopułą. Plutonowy był za przywracaniem takich obiektów do życia. Zawsze to jakaś atrakcja turystyczna. Niestety, to miejsce tutaj wyglądało na bardzo zaniedbane, a nawet niebezpieczne dla zwiedzających.

— Ja tam nie wejść. Tam są na pewno nietoperze — zakomunikował szeregowy.

— Głupi jesteś. Nie widzisz, że światło wpada przez otwory strzelnicze? Tam jest zbyt widno na nietoperze.

Starszy kapral zdjął z pleców karabin i chwycił go jak do strzału. Zaczął obchodzić bunkier w poszukiwaniu wejścia. Szeregowy i plutonowy szli za nim.

— Jak myślicie? Pies schował się w bunkrze? — zapytał Bugaj.

— To dobra kryjówka — zauważył szeregowy. — Ze środka mógłby się długo ostrzeliwać, aż amunicja by mu się skończyła.

Jarek Bugaj obrócił się ku kompanom z niepewną miną.

— Sprawdź ten bunkier — oznajmił plutonowy Nowicki. — A wy tu zaczekajcie!

Wyminął kolegów i zbiegł po betonowych schodkach.

— Bartek, karabin! — zawołał szeregowy, przypominając mu, że w takich sytuacjach broń trzeba trzymać gotową do strzału.

Plutonowy nie miał zamiaru się do tego stosować. Pod podeszwą poczuł drobne kamyczki i coś jeszcze, prawdopodobnie kawałki szkła. Owionął go chłód betonowego wnętrza i charakterystyczna wilgoć piwnicy. Postąpił krok do przodu, stając w bunkrze. Nie było tu zbyt ciemno, dlatego od razu zobaczył sylwetkę przyciśniętą do ściany. Zbliżył się o dwa kroki i dojrzał bladą twarz Nikity Sokołowa. Policjant położył palec na swoich ustach, prosząc go spojrzeniem szeroko otwartych oczu o ciszę. Bartek podszedł jeszcze o krok.

— Szukamy cię.

— Wiem. Nie możesz mnie wydać.

— Dostałem rozkaz.

— Bądź człowiekiem.

Szept funkcjonariusza był ledwo słyszalny w betonowej przestrzeni. Bartek też szeptał.

— Co takiego zrobiłeś, że teraz się ukrywasz?

— Nic.

— Jeśli nic, to wyjdź stąd razem ze mną.

— Zabiją mnie.

— Akurat cię zabiją.

— Inspektor nie żyje, komisarz też.

Te słowa zmroziły plutonowego.

— Co ty mówisz?

— Mówię, że obaj dostali po kuli. Komisarzowi strzelili w twarz.

— Kto?

— Może podpułkownik, może major albo ten z czarnymi oczami. Nie wiem. Nie widziałem tego. Widziałem jedynie ciała.

Bartek pokręcił głową w geście protestu. To, co mówił policjant, nie mogło być prawdą. To było zbyt potworne i niedorzeczne.

— Nie wierzysz mi?

— Nie wierzę.

— Zrobiłem zdjęcie zwłokom mojego kumpla. Szkoda, że pozbyłem się aparatu. Pokazałbym ci je teraz.

Bartek patrzył na wielkie źrenice młodszego aspiranta, na bladą i wilgotną twarz, unieruchomioną w napięciu mięśni mimicznych.

— Powiedzieli nam, że zagrażasz bezpieczeństwu narodowemu.

Sokołowo głośno wypuścił powietrze nosem.

— Nikomu nie zagrażam, nic złego nie zrobiłem. Przysięgam. Proszę, zostaw mnie tu.

Plutonowy się wahał. Był żołnierzem. Rozkaz to rozkaz. Podpułkownik, każąc szukać policjanta, musiał wiedzieć, co robi. To przecież doświadczony dowódca.

— Kto zabił starszego szeregowego Lipińskiego, tam w lesie? — zapytał nagle.

— Inspektor, ale to był nieszczęśliwy wypadek. Proszę, idź już stąd. Zaraz twoi koledzy zaczną coś podejrzywać.

Młodszy aspirant brzmiał szczerze, choć zapewne nie mówił całej prawdy.

Plutonowy Bartek Nowicki podjął decyzję. Zbyt dużo złego wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin i zbyt często to zło brało się z postępowania żołnierzy. Ktoś musi przerwać ten ciąg fatalnych zdarzeń. Tym kimś będzie właśnie on. Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Szybko pokonał parę stopni i znalazł się na zewnątrz. Starszy kapral lustrował zadrzewioną okolicę lornetką. Szeregowy siedział na kamieniu i palił.

— I co? — zagadnął Bugaj.

— Nikogo nie ma. Idziemy dalej!

CZEŚĆ SZESNASTA
Policja

Rozdział I

STARSZA POSTERUNKOWA AGATA MAŁEK siedziała w swoim wozie zaparkowanym przed Powiatową Komendą Policji i wsłuchiwała się w słowa płynące z samochodowego radia. Spiker miał bardzo przyjemny głos, a jednak ją zmroziło.

— Braniewscy żołnierze obrony terytorialnej udaremnili przemyt diamentów. Jak informuje prokuratura rejonowa w Braniewie, chodzi o duży przemyt kamieni szlachetnych z Rosji. Diamenty miały trafić do belgijskiej sieci jubilerskiej. Komendant powiatowy policji w Braniewie inspektor Mateusz Kilian złożył podziękowania na ręce pułkownika Sebastiana Kopcia, dowódcy Czwartej Warmińsko-Mazurskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Agata wbiła paznokcie w fotel. Kłamstwo. Żadnych podziękowań nie było, a przede wszystkim komendant nie wiedział nic o przemycie. Godzinę temu przyjechał na Moniuszki i próbowali ustalić, co się stało. Pokazała mu zdjęcie, które przysłał jej Sokół. Znajdujące się na nim zwłoki Dominika Jamroza wyglądały wiarygodnie. Powtórzyła dokładnie to, co usłyszała od młodszego aspiranta, że to leśne dziadki zabiły komisarza, inspektora i prawdopodobnie także tę kobietę z golfa. Dwóch młodych policjantów, którzy pojechali po Sokołowa, wróciło bez niczego. Nikity nie było w miejscu, gdzie miał czekać, a właściciel gospodarstwa jedynie wzruszał ramionami i twierdził, że o niczym nie wie. Była zła na siebie, że takich gówniarzy wysłała i tylko jeden radiowóz. Sokółow przecież prosił o kilkunastu ludzi i co najmniej trzy samochody. Popełniła błąd, działając pod presją czasu. Chciała jak najszybciej go stamtąd wyrwać, bo jemu też groziła śmierć. Sierżanta Dobrowolskiego do Giedyl wysłał już komendant. Kolejny radiowóz ruszył do Podlech, bo tam wciąż logował się telefon inspektora Suma. To, co zastali na miejscu, zaskoczyło ich wszystkich. Wojsko zablokowało drogi, ponadto dość szczelnym kordonem otoczyli spore fragmenty obu wsi. W sumie znajdowało się tam kilkuset terytorialsów. Nie przepuścili policjantów, powołując się na bezpieczeństwo narodowe. Sokółow nie odbierał telefonu. Mało tego, jego komórka nie logowała się do stacji bazowej. Albo wymontował z niej baterię, obawiając

się, że żandarmeria wojskowa go namierzy, albo znajdował się poza zasięgiem masztu telefonii komórkowej, co na leśnych obszarach wokół Płoskini było zjawiskiem bardzo częstym.

Kilian starał się skontaktować z kimś w Komendzie Głównej, ale dzisiaj była niedziela i znalezienie tam kogoś decyzyjnego okazywało się dość trudne. Mimo to próbował dalej. Ona zaczęła sprawdzać media, bo kwadrans temu zatelefonował do niej znajomy redaktor z Olsztyna z pytaniem, co się dzieje w Braniewie, bo stacje ogólnopolskie podają newsa o przemyśle diamentów.

Odezwał się jej telefon. Nazwisko na wyświetlaczu przyprawiło ją o drżenie rozlewające się po całym ciele. To Zuzanna Jamróz dzwoniła, zapewne niepokoiła się o męża, który nie wrócił do domu. Agata nie miała odwagi odebrać. Gdy czekała, aż aparat ucichnie, przyszło jej do głowy, żeby zatelefonować do prokurator Olgi Majchrzak. W radiowym newsie powołano się na komunikat prokuratury rejonowej. Warto to sprawdzić. Wybrała numer, ale zaraz się rozłączyła, bo pod komendę zajechał samochód z oznaczeniami Polskich Sił Zbrojnych. Wysiadło z niego trzech mężczyzn, wszyscy w wojskowych płaszczach. Jeden z nich wyróżniał się wzrostem, był to zapewne podpułkownik Bukowiecki. Gdy przechodzili obok jej samochodu, na naramienniku kolejnego żołnierza zobaczyła dwa paski i trzy gwiazdki. Wyglądało na to, że pojawił się u nich również dowódca Czwartej Warmińsko-Mazurskiej Brygady Obrony Terytorialnej, pułkownik Sebastian Kopeć. Gdy weszli do komendy, poczekała jeszcze dwie minuty i wysiadła z wozu. Dyskretnie wsunęła się do budynku. Oficer dyżurny opierał się łokciami o kontuar. Jego napięta twarz wyrażała wściekłość i niepokój.

— Co powiedzieli? — zapytała szeptem.

— Zapytali, czy jest komendant. Poszli do niego. Nie chcieli czekać, aż ktoś ich zaprowadzi. To chyba prawda, że oni Jamroza i Suma... w innym razie by nie przyjeżdżali. Co się dzieje w tym kraju? Jakiś, kurwa, wojskowy przewrót czy co?

— Uprzedziłeś Kiliana, że idą do niego?

— Tak.

Wbiegła na piętro i weszła do pokoju przylegającego do gabinetu komendanta, który na co dzień zajmowała sekretarka. Dzisiaj był pusty, bo niedziela. Przywarła do drzwi łączących oba pomieszczenia. Były dość cienkie, bez problemu powinna słyszeć rozmowę. Goście się przedstawili.

Nie pomyliła się, jednym z nich był pułkownik Sebastian Kopeć, towarzyszył mu podpułkownik Szymon Bukowiecki. Na dźwięk tego drugiego nazwiska wzdrygnęła się, bo wczoraj słyszała je z ust kolegów, ani razu w pozytywnym kontekście.

— W naszych szeregach jest wielu byłych policjantów — oznajmił pułkownik. — I to nie tylko w armii zawodowej, w służbie terytorialnej także. Wstępują do sił zbrojnych, bo chcą służyć ojczyźnie. A my jesteśmy bardzo zadowoleni z takich żołnierzy, bo dużo potrafią, są dobrze przeszkoleni.

— Ale nie uznajecie naszych stopni — zauważył komendant.

— To luka prawna, która niebawem zostanie naprawiona. Na szczęście nie zniechęca ona funkcjonariuszy do służby wojskowej. Bardzo cenię policjantów, dlatego zasmuciły mnie wydarzenia z dzisiejszego poranka.

— Właśnie, co z moimi ludźmi? Zaginęło mi trzech funkcjonariuszy. Wojsko nie dopuszcza nas do miejsca, gdzie oni powinni być.

— Panie inspektorze, czyli pan wie, gdzie oni wybrali się dziś rano?

— Wiem tyle, że nie ma z nimi teraz kontaktu.

— Pana podwładni próbowali okraść przemytników. Nie udało im się to, bo żołnierze obrony terytorialnej im w tym przeszkodzili.

Starsza posterunkowa Małek zadrżała na całym ciele. Co ten człowiek mówił? Kto uwierzy w to oszczerstwo? Na komendzie na pewno nikt, bo wszyscy funkcjonariusze wiedzieli, jakie zasady miał inspektor Sum. Był bezlitosny dla przestępców. Tropił ich z wyjątkową nadgorliwością, nawet na chuliganów był cięty. Potrafił przez całą noc obserwować przystanek autobusowy, aby dorwać młodych wandalów. I ktoś taki miałby sam dopuścić się przestępstwa? Wykluczone. Komisarz Jamróz też by tego nie zrobił, bo to najuczciwszy glina w województwie.

— Pana funkcjonariusze połakomili się na diamenty, na dużą partię diamentów z Rosji — kontynuował pułkownik Kopeć. — Kontrabanda warta jest miliony. Jej niewielka część znajduje się teraz w naszych rękach i jeden z przemytników również.

— Śledztwo wykaże, czy moi ludzie rzeczywiście chcieli okraść przemytników — oznajmił sucho inspektor Kilian. — A na razie chciałbym z nimi porozmawiać. Gdzie oni są?

Żaden z żołnierzy nie odpowiedział. Rozległo się ciche pokasywanie i jakieś skrzypienie, które Agacie skojarzyło się z dźwiękiem wydawanym przez nowe skórzane buty.

— Gdzie są moi ludzie? — zapytał ponownie komendant, tym razem ostrzejszym tonem.

— Niestety, nie mamy dobrych wieści. — To znowu pułkownik Kopeć zabrał głos. — Inspektor Sum i komisarz Jamróz wykazali się dużą agresją, gdy do akcji włączyli się terytorialszi podpułkownika Bukowieckiego.

Agacie ciężył oddech, może ze strachu przed tym, co zaraz usłyszy, a może dlatego, że wstrzymywała powietrze w płucach, aby cichym świstem wydostającym się z ust nie zakłócać słów padających za drzwiami.

Pułkownik odchrząknął i kontynuował mocnym żołnierskim głosem:

— Funkcjonariusze naprawdę byli zdesperowani, chcieli oddalić się z diamentami, na co żołnierze nie pozwolili. Doszło do wymiany ognia.

Starsza posterunkowa mocniej przycisnęła ucho do drzwi. Po niemiłosiernie długiej sekundzie dotarła do niej kolejna fraza:

— Nie udało się uniknąć tragicznego finału.

Miała ochotę wpaść do środka i wykrzyknąć im prosto w twarz, że są mordercami. Czekwała, aż taki zarzut sformułuje komendant, ten jednak spokojnie zapytał:

— Co się stało?

— Pana ludzie zabili starszego szeregowego Roberta Lipińskiego. Chłopak miał dwadzieścia trzy lata. Był stąd, z Braniewa. Pracował na poczcie. Został pchnięty nożem.

Agata położyła dłoń na klamce. Chciała wejść do gabinetu komendanta i wytknąć dowódcy brygady niekonsekwencję wypowiedzi. Najpierw mówił o wymianie ognia, a teraz twierdził, że starszy szeregowy został pchnięty nożem. Zarozumiałe dupki, nawet nie raczyli przygotować spójnej wersji wydarzeń. Nie wpadła do środka, bo powstrzymał ją głos inspektora Kiliana.

— Panie pułkowniku, zbyt szybko feruje pan wyroki. Moi funkcjonariusze mogą być co najwyżej podejrzani o te czyny, a czy to zrobili, oceni sąd.

— Niestety, ani inspektor Sum, ani komisarz Jamróz nie staną przed wymiarem sprawiedliwości. Obaj ponieśli śmierć w starciu z terytorialsami — oznajmił umiarkowanie współczującym tonem dowódca Czwartej Warmińsko-Mazurskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

— Poneśli śmierć — powtórzył komendant z wyraźnym namysłem.

— Tak. Żołnierze nie mieli wyjścia. Musieli wyeliminować funkcjonariuszy. Gdyby tego nie zrobili, ofiar byłoby więcej.

Starsza posterunkowa osunęła się na kolana. Tego bała się najbardziej, że żołnierze przyjechali poinformować komendanta o śmierci policjantów. Na te słowa czekała od momentu, gdy stanęła przy drzwiach, aż w końcu zostały wypowiedziane. Z oczu popłynęły jej gorące łzy wyciśnięte przez żal i ulgę, bo mowa była o Jamrozie i Sumie, o Sokole ani słowa. Wciąż mogła mieć nadzieję, że młodszy aspirant żyje. Usłyszała skrzypnięcie krzesła. Inspektor Kilian musiał wstać zza biurka.

— Zabiliście policjantów i tak po prostu przychodzicie, żeby mi o tym powiedzieć. Może jeszcze pójdziecie do żony komisarza Jamroza i ją też poinformujecie, że jej mąż chciał okraść przemytników i przy okazji zabił terytorialisa? Na pewno wam uwierzy.

Jeden z żołnierzy coś powiedział, ale Agata nie dosłyszała co.

— Przeprowadzimy rzetelne śledztwo — oznajmił ostro Kilian. — Poproszę o pomoc Komendę Główną. Nie wywiniecie się.

— Śledztwo już trwa — oznajmił spokojnie pułkownik. — Na miejscu zdarzenia są żandarmi z wydziału kryminalnego i prokurator wojskowy.

Agata dobrze wiedziała, co to znaczy. Wojskowi chcą zagarnąć śledztwo, aby móc zadecydować o jego wyniku. Zanosilo się na to, że żołnierze nie odpowiedzą za śmierć policjantów. Nie można na to pozwolić. Na szczęście komendant był tego samego zdania.

— Możecie prowadzić swoje czynności, my poprowadzimy swoje — rzucił chłodno.

— Panie komendancie, przypominam, że policja ma obowiązek wykonywać polecenia sądu i prokuratury wojskowej, a polecenie jest takie, abyscie na razie trzymali się z dala.

— Nie macie prawa utrudniać nam dostępu do miejsca zdarzenia. Nie liczę na współpracę, po prostu niech każdy z nas robi swoje.

— A my na współpracę liczymy i dlatego tu jesteśmy. — Kopeć mówił teraz bardziej przychylnym tonem. — Tego, co się stało, już nie naprawimy, ale możemy złagodzić konsekwencje. Uważam, że nie jest wskazane, aby opinia publiczna dowiedziała się, iż policjanci zabili młodego chłopaka w służbie terytorialnej. Pan, komendancie, też chyba tego nie chce?

— Panie pułkowniku, wydaje mi się, że wam bardziej zależy na ukryciu prawdy. Zabiliście policjantów będących na służbie. Nawet te wasze

pseudotłumaczenia, że funkcjonariusze stanowili zagrożenie, nie uchronią was przed potępieniem społecznym. Mam rację?

Odezwał się telefon, znajoma melodia do jeszcze bardziej znanych słów: „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani, że za tobą idą chłopcy malowani”. Piosenka nagle się urwała. Gdyby nie dramatyzm sytuacji, starszą posterunkową rozbawiłby ten sygnał telefonu.

Pułkownik Kopeć odchrząknął i wrócił do tematu.

— Dobre imię służb mundurowych to jedno, a troska o rodziny waszych funkcjonariuszy to zupełnie inna sprawa, ale równie ważna, i myślę, że na tej płaszczyźnie znajdziemy porozumienie. Dobrze kojarzę, że komisarz Jamróz miał żonę i dwoje dzieci?

Agata nie usłyszała odpowiedzi. Zapewne inspektor Kilian ograniczył się do kiwnięcia głową.

— No właśnie, dobrze byłoby, aby rodzina komisarza dostała odszkodowanie za jego śmierć, a jest to możliwe tylko wtedy, gdy policjant zginie na służbie.

— Komisarz Jamróz zginął na służbie — wtrącił natychmiast komendant.

— Oczywiście, skłonni jesteśmy się z tym zgodzić. Pamięć dzieci o ojcu też będzie ważna. Lepiej, żeby pamiętały ojca jako bohatera, a nie przestępcę. Nasza propozycja jest taka: Damy komunikat do mediów, że policjanci próbowali zatrzymać przemytników i w wyniku tej akcji ponieśli śmierć. Żołnierze, którzy byli w pobliżu, przyszli ze wsparciem, ale niestety nie zdążyli uratować funkcjonariuszy. Sami stracili jednego terytorialsa, na szczęście udało im się zatrzymać jednego przemytnika i część kontrabandy. Musi pan przyznać, że to brzmi nie najgorzej.

— Aha, czyli w taki sposób chcecie się wymigać od zabicia moich ludzi? To bardzo głupie. Jeśli nawet poprę tę bzdurną wersję, to jeszcze pozostają zabezpieczone dowody i zeznania świadków.

— O to proszę się nie martwić. Zatrzymamy się o wyniki śledztwa i zapewniam, że będą po naszej myśli. A zatrzymany przemytnik powie prokuratorowi wojskowemu to, co chcemy usłyszeć. Ręczę za to. Kobieta, która znajdowała się na miejscu zdarzenia, też potwierdzi naszą wersję.

Starsza posterunkowa Małek wsłuchiwała się w ciszę za drzwiami i myślała, że szef zaraz każe żołnierzom wypierdalać. Ten jednak milczał. Czy to możliwe, że zastanawiał się nad usłyszaną propozycją? To wykluczone, przecież stracili dwóch ludzi. Tu nie można iść na żadne układy. Sum nigdy by się na takie coś nie zgodził.

— Rozumiem, że potrzebuje pan czasu na zastanowienie — odezwał się pułkownik Kopeć. — Tylko proszę patrzeć na zegarek, nasza propozycja będzie ważna tylko przez dwie godziny.

Co za drań. Agata niemal zgrzytnęła zębami ze złości. Że ten typek miał jeszcze czelność stawiać warunki. Usłyszała, że w gabinecie otwierają się drzwi. Wojskowi wychodzili. Podniosła się z kolan i położyła dłoń na klamce, aby wejść do gabinetu, gdy tylko tamci znikną za progiem.

— Gdzie jest młodszy aspirant Nikita Sokołow? — zapytał nagle komendant.

— Kto?

W głosie pułkownika zadźwięczało teatralne zdumienie. Dobrze wiedział, o kogo pyta inspektor.

— Dwóch zastrzeliliście, a co zrobiliście z trzecim funkcjonariuszem?

— Był ktoś trzeci?

To pytanie dowódca brygady skierował do podpułkownika Bukowieckiego, bo to on na nie odpowiedział:

— Szukamy tego funkcjonariusza, żeby z nim porozmawiać i przekonać go, iż jego koledzy zginęli w starciu z przemytnikami. Myślę, że w to uwierzy, bo właściwie nie będzie miał wyjścia.

Agata zadrżała. Sokół żył. To nie tylko przypuszczenie, nadzieja, to było pewne. Gdyby zginął, to wojsko by tego nie ukrywało. W obecnej sytuacji dwóch martwych policjantów czy trzech to dla nich bez większej różnicy. Łzy napłynęły jej do oczu. Co za ulga, ale i strach, bo w słowach Bukowieckiego była wyraźna groźba. Nikita też mógł skończyć z kulą w głowie, jeśli komendant nie przyjmie umowy zaproponowanej przez dowództwo Czwartej Warmińsko-Mazurskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

CZEŚĆ SIEDEMNASTA
Żołnierze

Rozdział I

KAPRAL ARTUR DERKACZ otworzył oczy na dźwięk ostrożnie otwieranych drzwi. Do pokoju wsunęła się matka, jak zwykle skulona i uśmiechnięta. Jeszcze parę lat temu nie mógł patrzeć na te jej zgarbione plecy. Czy to tak trudno się wyprostować i chodzić z podniesioną głową? Potulny uśmiech rodzicielki też go dawniej denerwował. Cieszyć się należy adekwatnie do sytuacji, ale nie bezustannie, jak to mają w zwyczaju kretyńni. Dzisiaj te swoiste skazy w wyglądzie już mu tak nie przeszkadzały, może dlatego, że teraz potrafił też dostrzec plusy. Matka miała grube ciemne włosy pozbawione siwizny i szczupłą sylwetkę, którą nawet doceniały jego koleżanki.

— Czy mój syneček już się obudził?

— Tak.

— A co mój syneček chce na śniadanie?

— Nie wiem.

— Może jajecznicę na boczku?

— Wczoraj jadłem w bazie.

— Tamta na pewno była z proszku.

— Matka, co ty za głupoty gadasz. Z normalnych jajek.

— No to może zjadłbyś kiełbasę z patelni. Mam podwawelską.

Artur się skrzywił. Jego żołądek w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin musiał przetrwać dwie duże porcje wojskowej grochówki. Teraz wolałby coś lżejszego.

— Mogę ci zrobić kanapki z szynką i pomidorem.

— No dobra, niech będzie.

— Przyniosę ci do łóżka. Poleż sobie jeszcze. Na pewno jesteś zmęczony.

Matka wycofała się z pokoju wciąż uśmiechnięta i skulona.

Artur musiał przyznać, że jest zmęczony, ale był to stan przyjemny, wiążący się z uczuciem głębokiej satysfakcji. Ten rodzaj zmęczenia dawał kopa do jeszcze większego wysiłku. Musi piekielnie długo czekać, aby móc się ponownie wykazać, bo kolejne ćwiczenia obrony terytorialnej dopiero za miesiąc. Nie zmarnuje tych trzydziestu dni, jeszcze dziś pójdzie na siłownię, a od jutra zacznie biegać. Nie narzekał na przygotowanie fizyczne,

ale zawsze może być lepiej. Nie raz słyszał, że terytorialność to przede wszystkim gotowość do walki. Traktował to bardzo poważnie i dlatego od wielu miesięcy układał sobie list do dowództwa wojsk terytorialnych z apelem, aby niektórzy terytorialsii dostali karabin i amunicję do domu, wtedy na wypadek wojny mogliby od razu za niego chwycić i przystąpić do obrony mieszkańców. Marzył o broni we własnej szafie. Gdyby ją miał w zasięgu ręki, czułby się stuprocentowym żołnierzem, a tak czegoś mu brakowało.

Ten weekend był wyjątkowo udany, nie tylko biegał po lesie, ale także brał udział w prawdziwych wojskowych działaniach. Co prawda zatrzymywanie przemytników to nie jest zadanie dla wojska, ale skoro policjanci tego nie robią, a nawet sami biorą udział w przestępstwie, to terytorialsii nie mogą pozostać obojętni. Przystępczość to też zagrożenie dla ojczyzny, dlatego trzeba z nią walczyć. Gdy zastrzelił tego psa z wredną mordą, to w pierwszej chwili się przeraził. Najbardziej bał się tego, że nie zdoła wytłumaczyć dowódcy, dlaczego to zrobił, i tamten uzna go za zwykłego mordercę, a to przecież nie jest prawda. Zabił, bo w tamtym momencie uznał policjanta za zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. Zabił, bo miał prawo to zrobić, był przecież żołnierzem, a nie zwyczajnym obywatelem. Nie obawiał się, że za swój czyn może trafić za kratki, ale z niepokojem myślał, że wyrzucą go z Wojsk Obrony Terytorialnej. Nic takiego się nie stało i chyba nie stanie. Major Serafin rozkazał mu jedynie milczeć na temat prawdziwych wydarzeń w Podlechach. Oficjalnie inspektora odstrzelili przemytnicy, a nie on.

Przeciągnął się na łóżku. Miał nadzieję, że za miesiąc będzie równie emocjonująco jak w ten weekend. Podpułkownik zapowiedział, że będą ćwiczyć likwidację grup dywersyjnych. Artur był ciekaw, na czym to będzie polegało, ale już czuł, że odnajdzie się w tym zadaniu. A kto wie, może trafi im się jakiś prawdziwy dywersant, którego trzeba będzie wyeliminować?

Sięgnął po telefon. Andżela znowu przysłała mu esemes, tym razem były to trzy serduszka. Odpowiadał mu ten styl komunikowania się. Jeśli ona nie używała słów, to on też nie musiał. Wysłał jej buźkę przesyłającą całusa. Ta dziewczyna nawet mu się niespecjalnie podobała, ale pasowało mu, że nie musi się o nią starać. Zdejmowała majtki, kiedy tylko chciał, i wcale nie nalegała, aby ją zabrał na dyskotekę albo do pizzerii. Miał z nią wygodę. Idealna dziewczyna dla żołnierza.

Podniósł się na łokciu, bo usłyszał jakieś odgłosy z przedpokoju. Czy to możliwe, że przyszła po niego policja, bo nie udało się ukryć jego udziału w zastrzeleniu inspektora? Poczł mrowienie na karku i gęsią skórę na przedramionach. Zaczł oddychać płytko i szybciej. Bał się. Na szkoleniu powiedziano im, że strach nie jest niczym złym, bo to forma alarmu w głowie. Jeśli się boimy, jesteśmy ostrożniejsi i bardziej czujni, a te cechy w wojsku są požądane. Chodzi jedynie o to, aby strach nie paraliżował żołnierza w działaniu, czyli bać się można, byle nie za mocno. Jeśli zabiorą go na przesłuchanie, to przede wszystkim uda się tam w mundurze, a na miejscu nie wypowie ani jednego słowa. Potem porozmawia z adwokatem, którego na pewno wynajmie mu armia.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wpadła Andżela. Ciężko oddychając przez nos, rozpiła kurtkę. Rzuciła ją na podłogę, szalik też. Poprawiła włosy wprawnym ruchem. Nigdy jeszcze się tak nie ucieszył z jej widoku. Z ulgą opadł na przesłieradło. Przysiadła na brzegu łóżka i położyła dłoń na jego gołej klatce piersiowej.

— I jak tam mój żołnierz się miewa?

Włożył ręce pod głowę, aby zaprezentować bicepsy. W oczach Andżeli pojawiło się rozbawienie.

— Aha! Pokazujemy, co mamy najlepszego? — zamruczała jak kotka i przesunęła palcem po jego mięśniach.

— Przecież uwielbiasz mnie za to, jak wyglądam.

— Nie tylko za to. — Przesunęła palcem po jego obojczyku. — Co tam się wczoraj działo na biwaku?

Denerwowało go, że mówiła o obronie terytorialnej jak o harcerstwie. Wybaczał jej to, bo patrzyła na niego z podziwem i bardzo mu kibicowała w kwestii przyszłej kariery w wojsku zawodowym. Zgiął nogę w kolanie, a ona oparła się o jego udo.

— To były ciężkie ćwiczenia, bo trafiła się nam grubsza sprawa.

— No ale nie daliście rady. Tylu was tam było i dupa. Mój staruszek znowu stwierdził, że terytorialsii nadają się tylko do macania kur.

Artur podniósł się na łokciach.

— Co ty mówisz? Czego myśmy nie dali rady?

— Na WP piszą, że przez was zginęli policjanci z naszej komendy. Tej czarnej Martyny... Kojarzysz? Taka na Kleopatrze ścięta, no to jej siostra jest sąsiadką żony jednego z tych policjantów. Dwóch ich zginęło, a trzeci

zaginał. Podobno kilkuset żołnierzy nadal szuka tego trzeciego w lesie, że niby też go przemytnicy zastrzelili i tylko trzeba ciało znaleźć.

Artur złapał za telefon leżący na poduszce. Słuchał paplaniny Andżeli i jednocześnie szukał informacji w internecie. Zaczął od WP. Rzeczywiście nagłówek jednego z artykułów nie brzmiał dobrze: „Terytorialszi ćwiczyli, a policjanci ginęli”. Zaklął w myślach. Nie tak miało być. Otworzył artykuł i szybko przebiegał wzrokiem kolejne wersy.

„W godzinach porannych w niedzielę w okolicach Braniewa w województwie warmińsko-mazurskim śmierć poniosło dwóch policjantów, a los trzeciego jest nieznan. Funkcjonariusze usiłowali zatrzymać przemytników, którzy dokonywali transakcji sprzedaży diamentów przywiezionych nielegalnie z Rosji. To najpoważniejsza tragedia w służbach mundurowych od czasu śmierci dwóch funkcjonariuszy w Magdalence”.

Następny akapit poświęcony był policjantom, którzy stracili życie na służbie. Dwa krótkie zdania o inspektorze i trochę więcej o komisarzu. Artur ze zdumieniem przeczytał, że ten drugi był pięściarzem i nawet zdobył wicemistrzostwo Europy juniorów. Zrobiło mu się nieswojo, bo o tym bokserze z Braniewa mówił mu kiedyś dziadek przy świątecznym stole, a wyrażał się o nim z takim podziwem, że mały Artur zamarzył o karierze bokserskiej.

Dopiero na końcu artykułu wspomniano o terytorialsach.

„W pobliżu policyjnej akcji ćwiczenia odbywali żołnierze z Czterdziestego Trzeciego Batalionu Lekkiej Piechoty z Braniewa. Trzystu terytorialsów nie zauważyło, że pod ich bokiem dochodzi do tragedii. Gdy ruszyli ze wsparciem, było już za późno. Policjantów nie uratowali, zdołali jedynie zatrzymać jednego przemytnika. Wojsko terytorialne zgodnie ze swoim mottem było gotowe i było blisko, ale co z tego?”

Artura załżała wściekłość. Parę godzin temu major Serafin powiedział mu, że żołnierze obrony terytorialnej zostaną okrzyknięci bohaterami, ale tak się nie stało, przynajmniej nie w tym artykule. Jebane pismaki zupełnie inaczej zinterpretowały całe wydarzenie. Nawet nie raczyli wspomnieć, że wojsko też straciło żołnierza, starszego szeregowego Roberta Lipińskiego. Tego nie można tak zostawić. Miał ochotę napisać parę mocnych słów pod artykułem, ale to byłoby za mało. To biuro prasowe Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej powinno wydać komunikat, w którym podkreślono by gotowość i ofiarność żołnierzy Czterdziestego Trzeciego Batalionu Lekkiej

Piechoty w Braniewie. Nie mógł sobie darować, że tych dwóch policjantów przedstawiono jako bohaterów, a przecież oni pojawili się tam, aby okraść przemytników. To żadni bohaterowie, lecz zwykli przestępcy, i dobrze, że zginęli. Dobrze, że on sam kierowany instynktem odstrzelił tego jebanego inspektorka. Artur z irytacją odepchnął rękę Andżeli, która bardzo gorliwie masowała mu podbrzusze. Chyba pomyślała, że to zabawa, bo zachichotała i usiłowała się na nim położyć. Zerwała się, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju weszła matka. Przyniosła kanapki i herbatę.

— Andżelko, może kawy ci zrobić?

— Tak. Wypiłabym.

Dziewczyna nerwowo poprawiała bluzkę. Artur usiadł na brzegu łóżka i sięgnął po kanapkę. Nie zwracał uwagi na Andżelę i matkę. Wchodził już na stronę Onetu, może tutaj napisali coś pozytywnego. Znalazł aż trzy artykuły poświęcone tej sprawie, jeden z nich dotyczył udziału terytorialsów. Również zauważono, że żołnierze zbyt późno włączyli się do akcji, ale tym razem oszczędzono im złośliwości, które dało się wyczuć w poprzednim tekście. Niestety, znowu przemilczano bohaterską śmierć starszego szeregowego, a przecież to była kluczowa informacja. Major osobiście wydał mu polecenie, żeby o Lipińskim mówić w kontekście sprawy przemytników.

Rozdział II

PLUTONOWY BARTEK NOWICKI układał kolejne kartki na kserokopiarce. Koleżanka poprosiła go o skserowanie ankiety liczącej pięć stron. Musiał przygotować dwadzieścia pięć zestawów, bo tylu uczniów było w szóstej B. Na poprzedniej przerwie kopiował tę samą ankietę dla szóstej A, bo poprosiła go o to inna koleżanka. Właściwie nie poprosiła go, lecz wydała mu polecenie. Bartuś, skopiuj to! — powiedziała i rzuciła na stół plik kartek. Nieważne, że akurat jadł kanapkę i pił kawę. Na posiłek miał tylko dziesięć minut, a ta pinda oczekiwała, że on w tym czasie skseruje jeszcze ankietę. No i miała rację, bo zawiązał resztę kanapki w papier i schował do torby, a kawę postawił obok kserokopiarki. Czasami w pokoju nauczycielskim czuł się jak popychadło, a nie jak uczynny kolega.

Odruchowo przeczytał pytanie na drugiej stronie ankiety: „Jak postrzegasz swój dom? A. Jako bezpieczną kryjówkę, B. Jako ruchliwą ulicę, C. Jako koszary wojskowe”.

Ankietę opracował zespół specjalistów z ministerstwa, a miała na celu ocenić sytuację domową uczniów. Bartek był ciekaw, ilu trzynastolatków uzna swój dom za koszary wojskowe. Jego dzieci na pewno nie oznaczyłyby ostatniej odpowiedzi. Nie znały wojskowego rygoru, mogły bałaganić do woli i miały prawo mówić: „nie”. Dbał o to, aby synowie byli asertywni, co nie do końca podobało się jego żonie. On jednak wiedział, że robi dobrze. Tak ich wychowywał, aby nie nadawali się do wojska.

— Bartuś, znałeś któregoś z tych zastrzelonych policjantów?

Pytanie padło za jego plecami, a zadała je polonistka. Nie czekała na odpowiedź, od razu wdała się w dyskusję z pedagog szkolną.

Nie znał osobiście policjantów, ale to bez znaczenia. I tak było mu ich szkoda, najbardziej komisarza, a zwłaszcza jego rodziny. Sam miał dwoje dzieci, to straszne, gdy takie maluchy tracą ojca. Media podały, że policjanci zginęli z ręki przemytników. Nonsens. Przemytnicy nie zabijają, bo kara za morderstwo jest dużo wyższa niż za przemyt. Lepiej dostać pięć lat niż dwadzieścia pięć. Bartek obawiał się, że młodszy aspirant wczoraj w bunkrze powiedział mu prawdę. To Bukowiecki i Serafin mogli stać za śmiercią funkcjonariuszy. Dlaczego mieliby ich zabić? Znajdywał tylko

jedno wyjaśnienie. Dowódcy postanowili się zemścić na psach za śmierć starszego szeregowego Lipińskiego. Sprawa z przemytnikami była prawdopodobnie wyłącznie sprzyjającą okolicznością, bo teraz można obciążyć ich całą winą. Jeśli tak było, to stała się rzecz straszna. Nie godził się na takie wojsko. Nigdy nie ukrywał, że zaciągnął się do terytorialsów, żeby dostać te kilka setek miesięcznie. Zawsze jakiś dodatek do pensji nauczycielskiej, a te wypadki weekendowe raz w miesiącu do lasu to miało być przyjemne oderwanie od codziennego życia, od pieluch i płaczących dzieci. Na początku nie było źle, poprawił nieco swoją kondycję fizyczną i nauczył się paru praktycznych rzeczy, naprawdę potrzebnych, jak choćby udzielania pierwszej pomocy osobom po wypadkach drogowych. Nawet mu nie przeszkadzało, że obok niego znajdowali się prawdziwi wariaci, gotowi nie do pomagania, lecz do wojny. Wielu rwało się do walki, chciało jechać na granicę z Białorusią, nie po to, aby pilnować jej szczelności, ale żeby podjąć walkę z nielegalnymi imigrantami. Na szczęście większość chłopaków była normalna. W ostatni weekend wydarzyło się jednak tyle złych i niejasnych rzeczy, że podjął decyzję o wystąpieniu z formacji.

Wypuścił z dłoni plik kartek. Rozsypały się na podłodze, tworząc wachlarz.

— Bartuś, miałeś tylko skserować jedną ankietę — powiedziała z goryczą polonistka.

— Już kończę — zapewnił i schylił się po kartki.

Postanowił, że złoży wniosek o zwolnienie z terytorialnej służby wojskowej przed czasem ze względu na trudną sytuację rodzinną. Miał dwoje małych dzieci, potrzebny był w domu. Jeśli nie przychyliła się do jego prośby, to po prostu przestanie się stawiać do służby i tyle.

Do pokoju nauczycielskiego wpadła chemiczka Natalia, uśmiechnięta, w rozpiętym sweterku i obcisłych dżinsach. Przyniosła ze sobą młodość, entuzjazm i pudełko ciastek.

— Bartuś, ty bohaterze, dlaczego się nie pochwaliłeś.

Cmoknęła go w policzek. Nie wiedział, o co chodzi, ale już się przyzwyczaił, że tam, gdzie są kobiety, nie wszystko musi być zrozumiałe.

— A czym nasz Bartuś miał się pochwalić? — zapytała polonistka.

— Bohaterskim ujęciem uzbrojonych przemytników.

— Aha, coś o tym pisali, ale nie zdążyłam całości przeczytać.

— No, Bartuś, opowiedz, jak to było — poprosiła Natalia.

Położył ankietę na brzegu stołu.

— Nie ma czego opowiadać.

— No, nie bądź taki skromny. Tam musiało być strasznie. Przecież jeden z twoich kolegów zginął.

Polonistka przycisnęła dłoń do piersi. Wyglądała na wystraszoną.

— Kto zginął?

— Jakiś Lipiński. Podobno był z Braniewa, tylko cztery lata młodszy ode mnie. Powinnam go znać, ale nie kojarzę.

— Uf, też go nie znam. A już myślałam, że to syn mojej kuzynki zginął. On też jest w tej całej obronie.

Chemiczka podsunęła Bartkowi pudełko z ciastkami. Poczęstował się.

— W internecie piszą, że zrobiliście więcej, niż ktokolwiek mógłby od was wymagać. Ci przemytnicy byli niebezpieczni, wiadomo, Ruscy, a wy stanęliście przeciwko nim. Brawo! Szkoda tylko, że ten żołnierz nie żyje, no i policjanci.

Bartek miał ochotę przetrzeć oczy ze zdumienia. W ten stan wprowadziła go Natalia swoimi rumieńcami zalewającymi nawet jej szyję i pełnym uwielbienia spojrzeniem posyłanym mu przez stół.

— Umiesz strzelać?

— Umiem.

— Wow, super.

Entuzjazm chemiczki był przesadzony. Nastolatka mogłaby tak zareagować, ale nie dorosła kobieta.

— Znalazłam artykuł! — zawołała polonistka i zaczęła głośno czytać: — „Czterdziesty Trzeci Batalion Lekkiej Piechoty z Braniewa stracił żołnierza w starciu z przemytnikami. Nie tylko rotacyjne szkolenia i pomaganie podczas pandemii, ale również walka z uzbrojonym przeciwnikiem. To było nietypowe zadanie. Żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej mu jednak podolali. Niestety, stracili starszego szeregowego Roberta Lipińskiego, który poległ bohaterską śmiercią. Wczoraj w godzinach porannych braniewscy policjanci próbujący zatrzymać przemytników diamentów zostali zaatakowani z broni palnej, co skończyło się dla nich tragicznie, bo zgonem dwóch z nich. Słyszący w lesie strzały terytorialsii od razu przystąpili do akcji. Otoczyli teren i przeszukali go metr po metrze. Znaleźli uzbrojonego mężczyznę, podjęli z nim negocjacje, ten jednak nie chciał oddać się w ich ręce. Terytorialsii musieli więc podjąć bardziej radykalne kroki, w wyniku których śmiertelnie ranny został starszy szeregowy Lipiński. Wcześniej jednak zdołał odebrać broń palną niebezpiecznemu

przestępcy. Minister Obrony Narodowej podziękował terytorialsom za godną podziwu postawę i złożył kondolencje rodzinie starszego szeregowego”.

Bartek słuchał tego z uczuciem trwogi. To była zupełnie inna rzeczywistość niż ta, w której uczestniczył. Dziennikarze sobie tego nie wymyślili, te fakty wsparte odpowiednią oceną musiał im podsunąć ktoś z Polskich Sił Zbrojnych. Armia zdecydowała o tym, co napiszą wolne media. Trzeba zaprotestować, powiedzieć, że to nie tak, że przebieg wydarzeń był inny. Poprawił okulary i odchrząknął. Przymierzał się, aby wyjaśnić wpatrzonym w niego koleżankom, że żadnego bohaterstwa terytorialsów wczoraj nie widział i sam też nie jest bohaterem. Odezwał się jednak dzwonek wzywający ich do pracy. Postanowił więc, że dopiero podczas kolejnej przerwy opowie o wszystkim. Prawda nie ucieknie, musi jedynie poczekać na swój czas.

Korytarze szkolne pustoszały i cichły, ostatni uczniowie chowali telefony i wlekli się do swoich ławek. Bartek poprawił luźny sweter i otworzył drzwi do klasy. Od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Ta cisza nie była normalna. Serce ścisnęło mu się z niepokoju. Powiódł wzrokiem po młodzieńczych twarzach chłopców i dziewcząt, próbując właściwie odczytać sytuację. Wpatrywało się w niego dwadzieścia osiem par oczu, wszystkie szeroko otwarte. Nagle ktoś krzyknął:

— Brawo!

Cała klasa podniosła się, krzesła szurnęły i rozległy się oklaski. Bartek wyprężył się jak do meldunku i wypiął klatkę piersiową, jak gdyby oczekiwał, że zaraz ktoś przyczepi mu order. Chyba w tej szkole od siedemdziesięciu lat żaden nauczyciel nie otrzymał braw od uczniów, ale żaden nie był żołnierzem, który w ciemnym lesie ścigał uzbrojonych rosyjskich przestępców. Już wiedział, że nie będzie się bronił przed bohaterstwem. Wersję wydarzeń zaprezentowaną w artykule gotów był uznać za własną. Zanim przystąpił do sprawdzania obecności, pomyślał jeszcze, że może jakiś inny terytorials wyjawi w internecie prawdę o zatrzymaniu przemytnika i napisze o swoich podejrzeniach co do tragicznej śmierci policjantów i starszego szeregowego.

Rozdział III

TITO ZDJĄŁ SPODNIĘ od munduru i włożył dresy, do tego rozciągniętą koszulkę z długim rękawem i obuwie na miękkiej podeszwie, które mogło uchodzić za kapcie. Mundur i wojskowe buty spakował do foliowego worka. Wziął go pod pachę, plecak zarzucił na ramię, po czym wyszedł z przebieralni. Zbliżył się do biurka, na brzegu którego leżał aparat do mierzenia ciśnienia i stał środek dezynfekcyjny. Siedziała za nim kobieta w jednorazowych niebieskich rękawicach, wpatrzona w monitor. Spojrzała na niego dopiero wtedy, gdy chrząknął. Pokazał worek z mundurem. Palcem wskazała na ławkę stojącą pod ścianą, co oznaczało, że tam ma zostawić swój pakunek. Zrobił to i skierował się w stronę szklanych drzwi, za którymi zobaczył znajomą sylwetkę.

— Cześć, Tito. W końcu jesteś. Stęskniliśmy się za tobą — przywitał go postawny mężczyzna w fartuchu i jednorazowych niebieskich rękawicach.

— Cześć, Maciek. Co nowego? Coś się wydarzyło pod moją nieobecność?

— Oj, wydarzyło się. Przywieźli jednego, młodzik, dwadzieścia pięć lat. Jebnęło go na punkcie szczepionek. Uważa, że lekarze wstrzyknęli mu jakiegoś wirusa i on teraz jest inkubatorem dla nowej choroby. Sam się zaraz przekonasz, jaki to świr. — Maciek wyciągnął rękę. — Dawaj plecak!

— Nic niebezpiecznego nie mam. Trochę słodczy i trzy książki.

— Dobra, znam te wasze tłumaczenia. Wczoraj Roosevelt z miną niewiniątka zapewniał, że nic nie ma, a miał butelkę wódki. Czasami myślę, że niedługo będziecie próbowali wnieść na oddział czołg.

Tito podał sanitariuszowi plecak, a ten zaczął wykladać na blat jego zawartość. Ciastka, pasta do zębów, szczoteczka, golarka, chusteczki higieniczne, dwie pary skarpetek i trzy książki. Z wyraźnym znudzeniem odczytał tytuły:

— *Wyklęta armia, Pułkownicy 1944, Echa pancernego rajdu*. Ech, Tito, żebyś ty chociaż raz wrócił z przepustki z gazetkami, w których będą gołe baby.

Sierżant się roześmiał:

— Wtedy by mnie stąd zwolnili.

Maciek popatrzył na niego poważnie.

— Wszyscy chcą się stąd wyrwać, a ty odwrotnie.

— Bo ja tu jestem bezpieczny. Nikt nie będzie mnie szukał w szpitalu psychiatrycznym we Fromborku.

Sanitariusz machnął ręką.

— A już myślałem, że ci się poprawiło, a ty dalej pierdolisz te głupoty. — Rzucił plecak sierżantowi. — Pakuj się i na salę!

Tito niespiesznie zgarniał swoje rzeczy.

— Dostanę śniadanie?

— Nie dostaniesz. Przyszedłeś za późno. Ale masz ciastka, mogę zrobić ci do nich kawę.

— Ekstra. Zrób!

— A nie boisz się, że wsypię do niej truciznę na polecenie Mossadu, FSB, CIA czy kogo tam innego?

— Nie boję się. Ciebie by nie kupili, ty jesteś porządny chłopak i patriota.

Sanitariusz klepnął sierżanta w plecy.

— Tito, ja cię naprawdę lubię. Powiedz mi jeszcze, pobzykałeś sobie w ten weekend?

— Nie. W ten weekend zadbałem o to, aby cała Polska dowiedziała się, że terytorialsi są odważnymi żołnierzami, gotowymi do walki.

Sanitariusz teatralnie przewrócił oczami.

— To i tak nie najgorzej, bo o ile dobrze pamiętam, to miesiąc temu wytropiłeś i zlikwidowałeś ruskiego agenta.

— To było trzy miesiące temu.

Tito założył plecak i ruszył długim korytarzem. Serdecznie przywitał się ze starszym panem w kraciastej piżamie, po czym wszedł do sali numer sześć. Stały tutaj cztery łóżka, na jednym siedział mężczyzna wpatrujący się w ścianę i dyskutujący z kimś, kogo nie było. Tito podszedł do ostatniego łóżka i zaczął się rozpakowywać. Ciastka i jedną książkę zostawił na zewnątrz, resztę rzeczy schował do szafki. Zsunął buty i położył się na łóżku. W końcu mógł odpocząć.

CZEŚĆ OSIEMNASTA
Policja

Rozdział I

ROMEK ZAPIĄŁ KURTKE pod samą szyję i postawił kołnierz. Od kilku godzin nie padało, rozjaśniło się nawet, ale co z tego, skoro wciąż było zimno. Otworzył drzwi do szopy i wszedł do środka, a za nim rosyjski chart. Zatarł ręce na widok wypolerowanego na błysk motoru. Planował na dzisiaj małą przejażdżkę, ale temperatura go zniechęcała. Za tydzień będzie cieplej, a za dwa tygodnie może być nawet dziesięć stopni. Uznał, że poczeka, bo przejażdżka w takim zimnie to nie dla niego, miał już w końcu sześćdziesiąt siedem lat.

Koli podszedł do sterty kartonów i zaczął je obwąchiwać. Nigdy wcześniej tego nie robił, a w ogóle jak na psa myśliwskiego mało węszył. Nagle uniósł głowę i zbliżył się do drzwi szopy. Coś działo się na zewnątrz, bo uszy mu drgnęły, a potem znieruchomiały. Romek ściągnął wełnianą czapkę na czubek czaszki, odsłaniając zbyt duże małżowiny. Teraz też to usłyszał, to był rytmiczny dźwięk kojarzący się z marszowym krokiem. Tak chodzili tylko wojskowi.

Wyszedł na podwórko. Tuż przy jego nodze szedł Koli. Z niepokojem uświadomił sobie, że odwiedza go sześciu żołnierzy. Ten, który wysunął się naprzód, miał na czapce orła z koroną i kotwicą Polski Walczącej. Jakiś waśniak z Wojsk Obrony Terytorialnej. Pozostali byli z żandarmerii, o czym informowały szkarłatne berety i białe litery „ŻW” na rękawach.

— Co jest? — zapytał mało grzecznie.

Terytorials o nieprzyjemnej pociągłej twarzy postąpił do przodu i się przedstawił:

— Major Roch Serafin. Czy tu mieszka młodszy aspirant Nikita Sokołow?

— Tak, wynajmuje u mnie pokój na piętrze.

— Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

— Też bym chciał, ale od dwóch dni go nie ma.

Koli podszedł do majora i zaczął obwąchiwać mu buty.

— Ładny pies — zauważył Serafin.

— Ano ładny.

Oficer skierował wzrok na piętrowy dom.

— Możemy wejść do środka i się rozejrzeć?

— A po co?

— Szukamy młodszego aspiranta.

— W domu go nie ma, przecież mówiłem.

— Chcielibyśmy się jednak rozejrzeć.

— Tylko policja ma takie prawo, żeby się rozglądać po domach.

Major Serafin obrócił się lekko w stronę stojących za nim żandarmów.

— To jest policja.

— Ale wojskowa, a ja nie jestem żołnierzem, to znaczy kiedyś byłem. No i mój lokator też nie w kamaszach.

— Panie Romanie, proszę nie utrudniać.

— Widzę, że mnie znacie, choć się nie przedstawiłem.

Romek powiódł wzrokiem po przybyłych, jakby rozważał, czy ich wpuścić pod swój dach.

— No dobra, co mi tam, możecie wejść. Tylko ostrzegam, od śmierci żony sprzątam raz na dwa tygodnie.

Ruszył w stronę domu, żołnierze posłusznie szli za nim. Kątem oka zobaczył, jak rosyjski chart kładzie się przed szopą. Dobry piesek. Wie, co robić. Trzeba będzie go nagrodzić po wszystkim. Otworzył drzwi i wskazał na wąskie schody prowadzące na piętro.

— Tam mieszka Sokołow, a ja tutaj, na dole.

Żandarmi się rozdzielili, trzech ruszyło na schody, a dwóch przystąpiło do przeszukiwania parteru. Byli skrupulatni, otwierali szafy, zaglądali za kanapy i zasłony. Zwinęli dywan, aby sprawdzić, czy pod podłogą nie znajduje się jakieś pomieszczenie. Serafin przyglądał się ich pracy, przechadzając się żołnierskim krokiem.

Romek usiadł na taborecie i wyciągnął przed siebie nogi.

— Martwię się o chłopaka. No i te rzeczy, co mówią w radiu, że dwóch policjantów zastrzelonych, a trzeci zaginął. Proszę mi powiedzieć, majorze, czy ten zaginiony to Sokołow.

— Niestety, nie mogę udzielić panu żadnych informacji.

— Myślę, że to on. Nie rozumiem tylko, dlaczego go szukacie tutaj. Gdyby był w domu, to oznaczałoby, że się odnalazł i nie trzeba go szukać.

Oficer nie skomentował tej uwagi. Stał w progu między kuchnią a pokojem, opierając się plecami o framugę. Obracał głową niczym drapieżny ptak wypatrujący ofiary.

— Ci przemytnicy robią się coraz bardziej zuchwali — zauważył Romek.

Serafin znieruchomiał z jednym okiem wycelowanym w starszego pana. Całe jego ciało wyrażało żołnierską czujność.

— Ma pan rację, oni są coraz bardziej zuchwali.

— Zmienia się też kontrabanda — ciągnął Romek. — Kiedyś to wóde i fajki się przewoziło, a teraz podobno jakieś diamenty.

— Na diamentach się nie skończy. Będą też przemycać narkotyki, ludzi i broń.

Romek zmarszczył brwi i podrapał się za uchem. Zdając sobie sprawę, że jego gesty są zbyt przerysowane, przybrał zwyczajny wyraz twarzy.

— Broń? To chyba niebezpieczne.

— Niech pan się nie martwi. Czterdziesty Trzeci Batalion Lekkiej Piechoty czuwa.

— Aha.

Romek przesiadł się z taboretu na krzesło za stołem i zaczął układać ulotki z marketów. Po kilku minutach uznał, że powinien coś jeszcze powiedzieć, bo major coraz częściej na niego zerkał podejrzliwym spojrzeniem. Odchrząknął więc i zagadnął:

— Sokołow nie zapłacił mi za ostatnie dwa miesiące. Dobrze byłoby, żeby wrócił.

— Też nam zależy, aby wrócił bezpiecznie do domu — zapewnił oficer.

Romkowi wyleciały ulotki z dłoni. To dobrze, powinien wyglądać na niezdarnego starszego pana. Schylił się i zaczął je zgarniać.

— Nie to, żeby w tej sytuacji pieniądze były dla mnie najważniejsze. Sam pan rozumie, emerytura mała, a za ogrzewanie domu trzeba zapłacić.

— Oczywiście, że rozumiem.

Major skierował wzrok na sufit. Stary belkowany strop rezonował ciężkimi krokami wojskowych butów. Na piętrze żołnierze nadal przeszukiwali pokój Nikity Sokołowa.

— Wie pan, gdzie młodszy aspirant mógł się zatrzymać?

Romek potarł palcem skroń, co miało być wyrazem głębokiego zdumienia.

— A skąd ja miałbym to wiedzieć?

— Może u swojej dziewczyny? Miał jakąś?

— Nie chwalił mi się i żadnej tu nie przyprowadził.

— A jakichś przyjaciół miał?

— Tak, kolegów z roboty, ale nazwisk panu nie podam. Na komendzie panu powiedzą, z kim się trzymał Sokół.

Rozległo się dudnienie na schodach, gdy zbiegało po nich trzech żandarmów. Jeden z nich stanął przed Serafinem.

— Panie majorze, melduję, że nie znaleźliśmy ani dowodu osobistego, ani paszportu. Prawa jazdy też nie ma. Jedyne karta bankomatowa.

Żołnierz pokazał prostokątny kawałek plastiku. Dziwnie zwierzęca twarz majora skrzywiła się w grymasie niezadowolenia. Ostre spojrzenie wbił w wyprężonego żandarma.

— Plutonowy, odłóżcie kartę na miejsce i kończymy tutaj.

Gdy żołnierz wyszedł, major podszedł do Romka.

— Czyli młodszy aspirant wrócił do siebie.

To krótkie zdanie zabrzmiało jak oskarżenie dużego kalibru. Romek w obronnym odruchu uniósł plik ulotek na wysokość piersi. Mizerna była ta papierowa tarcza, trzymał ją jednak przed sobą.

— Nikita tu wrócił? Kiedy?

Chciał, aby w tych słowach słychać było zdumienie, ale zamiast tego pojawił się strach. Bał się majora Serafina, bo ten wyglądał na coraz bardziej zdesperowanego.

Oficer kopnął w stół. Błat uderzył Romka w brzuch. Jęknął i ponownie wypuścił ulotki. Te rozsypały się na parkiecie, tworząc barwną mozaikę.

— Gadaj! Kiedy Sokołow wrócił? Co mówił?

Major syczał jak wąż. Romek się skulił. Ten żołnierz był nieobliczalny. Znał kiedyś takich trepów. Tamci zdolni byli do wszystkiego, ten chyba też. Ustrój się zmienił, ale nie ludzie w armii.

— Nie widziałem go — zapewnił drżącym głosem.

— Kłamiesz! Widziałeś go. Rozmawiałeś z nim. Gdzie on teraz jest? Mów!

— Nie wiem. Nie widziałem go. Przysięgam.

— Mam uwierzyć, że wszedł tu w czapce niewidce, zabrał paszport i sobie wyszedł?

Romek z coraz większym lękiem pomyślał, że powinien coś zrobić, zmienić strategię. Uległość i zagubienie nie pomogły. Nagle się zerwał. Krzesło przewróciło się z głośnym hukiem.

— Ty gnido, i ty nosisz polski mundur? W czterdziestym czwartym nasi żołnierze walczyli z nazistami, a ty z kim walczysz?

Zaskoczony oficer cofnął się.

Rozległy się mocne kroki wybijane przez wojskowe buty. Żandarm stanął w drzwiach.

— Zrobione — rzucił krótko.

— Zajrzemy jeszcze do szopy i garażu — oznajmił Serafin.

Swoje słowa kierował do żołnierza, ale to gospodarz na nie zareagował.

— Zaglądajcie sobie, gdzie chcecie. Klucz od garażu znajdziecie w kuchni nad kalendarzem, a szopa nie jest zamknięta.

Major wymaszerował z pokoju. Romek patrzył w jego nienaturalnie wyprostowane plecy i złorzeczył w myślach. Gdy trzasnęły drzwi wyjściowe, podszedł do okna i trzymając się parapetu, patrzył, jak jego goście pakują się do dwóch samochodów z oznaczeniami żandarmerii wojskowej. Wypuścił powietrze z ulgą. Nie zajrzeli do garażu i szopy. Na to liczył, mówiąc, gdzie wisi klucz.

— Niech wam droga wąską będzie i krętą — wymamrotał pod nosem. — Żebyście wszyscy karki połamali na wybojach.

Otworzył szafę w korytarzu i zaczął grzebać w stojącej tam skrzynce. Znalazł solidną kłódkę. Dwie minuty później założył ją na furtce i przekręcił klucz. Teraz nikt tak swobodnie nie wejdzie na podwórko. Skierował się ku szopie. Koli uniósł łeb, a po chwili stanął na czterech łapach. Dobry pies, pilnował wejścia przez cały ten czas. Na pewno nie wpuściłby tych bandytów do środka. Romek uchylił drzwi. Dla pewności obejrzał się za siebie i wszedł do ciemnego wnętrza. Koli szedł przy jego nodze, ale nagle wyrwał do przodu i z cichym piskiem dopadł do sterty kartonów. Próbował wcisnąć pomiędzy nie nos. Pomagał sobie łapą, odsuwając pudełka. Te kartony Romek wziął kiedyś od kumpla, który prowadził mały sklep spożywczy, w innym razie trafiłyby na śmietnik, a przecież szkoda takich dobrych pudeł. Krysia narzekała na nie i kazała mu je wyrzucić, aby nie zagracały szopy. Na szczęście jej nie posłuchał.

Podniósł dwa kartony z samej góry i odrzucił je, potem dwa kolejne i następne. Nagle zobaczył okrągły kształt, który jego mózg zinterpretował jako fragment czaszki. Soczyste przekleństwo zawisło mu na wargach, a serce uderzyło tak mocno, aż zabołało go pod żebrami. Kopnął pudła u podstawy, sterta rozsunała się, a Koli wsunął się w szczelinę i dopadł do Nikity Sokołowa. Młodszy aspirant siedział oparty o ścianę garażu. Głowę miał odrzuconą do tyłu, oczy przymknięte. Koszmarnie wyglądały sine plamy wokół nosa i ust, jak gdyby policjant nie zmył makijażu po halloweenowej zabawie.

Romek stał jak porażony. Gdy okazało się, że żołnierze przyjechali po Sokoła, od razu zrozumiał, co znaczyło zachowanie rosyjskiego charta skamlącego przy kartonach.

— Jezus! Chłopaku, co ci jest? Żyjesz?

Policjant nie odpowiedział. Koli oparł łapy o klatkę piersiową swojego pana i maznął go językiem po twarzy. Ten poruszył powiekami. Żył. Romek miał ochotę rozplakać się ze szczęścia. Dwoma kopnięciami odsunął resztę pudeł i przykląkł przed swoim lokatorem.

— Nikita, otwórz oczy!

Policjant wykonał polecenie. Patrzył na swojego gospodarza przytomnym spojrzeniem.

— Mam zadzwonić po pogotowie?

Głowa Sokoła drgnęła. Chyba chciał nią poruszyć, ale nie dał rady.

— Nie dzwoń — wychrypiał z dużym trudem.

Romek dotknął policzka Nikity. Był zimny i mokry, przypominał kawałek mięsa wyjęty z zamrażalnika.

— Zabiorę cię do domu.

Pochylił się i ujął policjanta pod pachy.

— Sam wstanę — wyszeptał Nikita.

Mimo tego zapewnienia Romek pociągnął go w górę. Ostry ból w krzyżu kazał mu zaprzestać tego wysiłku. Koli znowu przysunął pysk do twarzy swojego pana i polizał go po nosie i policzku.

— Romuś, podaj mi rękę — poprosił funkcjonariusz.

Stanął na rozstawionych nogach, jedną ręką zapał się o ścianę, a drugą podał policjantowi. Ten chwycił się go i powoli podciągał w górę, aż osiągnął pionową pozycję ciała. Nagle zachwiał się. Starszy pan podparł go. Wyszli z szopy i zmierzali ku domowi. Rosyjski chart szedł obok nich.

W kuchni policjant przysiadł na taborecie.

— Szukają cię — oznajmił Romek.

— Wiem, dlatego się schowałem.

Młodszy aspirant mówił tak, jak gdyby ktoś unieruchomił mu szczęki. Nawet nie otwierał ust.

— Co ci jest?

— Nic. Strasznie przemarzłem. Zrób mi kawę. Muszę się rozgrzać.

Romek włączył czajnik. Z sypialni przyniósł swój kaszmirowy sweter, wełniane skarpetki, które zrobiła mu na drutach żona, i gruby koc. Gdy pomagał policjantowi się rozebrać, poczuł dziwną woń. W tym zapachu było coś znajomego. Dyskretnie pociągnął nosem.

— Co? Śmierdzą?

— Raczej czymś cię czuć, ale nie mogę skojarzyć, co to takiego.

— Przesiedziałem kilkanaście godzin w poniemieckim bunkrze.

Romek się uśmiechnął. Jako dziecko bawił się w takich bunkrach, to w nich woniało zimnym powietrzem i wilgotnym betonem.

— Co się stało?

— Zabili dwóch gliniarzy, Krystiana i Dominika.

Broda Sokoła zaczęła drżeć.

— Żołnierze to zrobili?

— Tak, to oni, terytorialni. Już tu byli?

Romek przytaknął.

— Dlaczego to zrobili?

— Bo im przeszkodziliśmy w kradzieży diamentów.

Romek zalał kawę i postawił ją przed policjantem. Ten poprawił koc na swoich kolanach i sięgnął po kubek. Wziął kilka łąpczywych tyków.

— Boże, jak mi się chciało kawy. Romuś, daj mi telefon. Swoją komórkę wyrzuciłem w lesie, żeby mnie nie namierzyli. Muszę zadzwonić do Agaty i podpytać ją, czy mogę pojawić się w firmie, czy to dla mnie bezpieczne. Albo od razu zadzwonię do komendanta.

Starszy pan z troską spojrzał na lokatora.

— Oni cię zabiją — oznajmił z powagą. — Nie możesz iść na komendę. Jeśli się ujawnisz, zginiesz.

— Kaczki chciały mnie odstrzelić w lesie, a tutaj lasu nie ma.

— Chłopaku, tu jest więcej drzew niż w lesie. Uwierz mi!

Nikita zdawał się nie słyszeć jego słów. Ciągnął dalej:

— Powinien po mnie przyjechać radiowóz i zabrać mnie na komendę. Mogę tam nocować do czasu, aż zgarną tych wszystkich psycholi. Tylko najpierw muszę zadzwonić do szefa.

Romek stłumił westchnięcie. Wyglądało na to, że Nikita nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia.

— Będziesz musiał trzymać gębę na kłódkę, żeby zostawili cię przy życiu. Chociaż nie wiem, czy to zdoła cię ocalić.

Twarz funkcjonariusza skurczyła się, a źrenice zaśniły złością.

— Nie będę milczał. Nigdy. Oni muszą zapłacić za to, co zrobili.

Romek parsknął nienaturalnym śmiechem.

— Nie zapłacą. To jest armia.

— Romuś, oni przekroczyli wszelkie granice, to zwykli bandyci. Zabili inspektora i komisarza z zimną krwią.

— Wojsko nigdy nie płaciło za swoje zbrodnie. Pamiętam, co było w osiemdziesiątym pierwszym. W Elblągu żołnierze się popili i strzelali do ludzi przez okna hotelu. Postrzelili dwie kobiety. Myślisz, że zapłacili za to? Nawet gdyby wtedy wystrzelali całą wieś, to nie ponieśliby kary.

— To były inne czasy. Teraz niełatwo ukryć przestępstwo. Są dowody na to, że zastrzelili policjantów.

— Jakie dowody? Nagrałeś to może telefonem?

— Romuś, nie będę ci teraz tego tłumaczył, ale dowodów może być mnóstwo.

— Dowody będą takie, jakie przedstawi wojsko. Nie zapominaj, że armia ma własną prokuraturę, własny sąd i własną policję. — Romek się zaśmiał. — Są sędziami we własnych sprawach. Dobrze, co nie? I ty chcesz, żeby przyznali, że w armii są mordercy.

— Opowiem mediom, co się stało w tym lesie. Wiesz, co to będzie? Trzydzieści milionów ludzi ich znienawidzi. Opinia publiczna to potężna siła. Politycy się ugną, MON też, sami znajdą morderców i rzucają ich na żer, żeby tylko wyglądało na to, że oczyszczają armię z psycholi.

— Chłopaku, bredzisz, to jakieś twoje wymysły. Jeśli opowiesz swoją wersję, to armia oskarży cię o to, że to ty zastrzełeś kumpli i nawet znajdą się na to dowody.

Sokołow wstał. Koc zsunął się z jego kolan, odsłaniając gołe nogi w wełnianych skarpetach. Rosyjski chart leżący przy drzwiach natychmiast się zbliżył i pyskiem dotknął uda swojego pana.

— Dokąd się wybierasz? Jeśli do telewizji, to włóż spodnie, bo tak to nikt z tobą nie pogada albo od razu zadzwonią po ludzi z kaftanem.

Nikita usiadł i przetarł dłonią czoło.

— Tam w lesie na moment schroniłem się w gospodarstwie. To małżeństwo, oni uwierzyli żołnierzom. Usłyszeli od nich, że to ja jestem niebezpieczny, że zastrzełem dwóch policjantów. Romuś, co ja mam teraz robić?

— Uciekaj!

— Zwariowałeś? Gdzie mam uciekać?

— Do tej swojej Mołdawii albo na Zachód. Jeśli znikniesz im z oczu, nie będą cię szukać. Uciekaj!

Młodszy aspirant znowu potarł czoło. Koli zaskomlał, jak gdyby czuł, że w głowie jego pana rozgrywa się ważny proces myślowy.

— Muszę pogadać z komendantem Kilianem, to równy gość. Zastrzelili mu dwóch ludzi. On tego tak nie zostawi.

Starszy pan wstał, podtrzymując się blatu. Podreptał do sypialni i rozejrzał się za telefonem. Dostrzegł go między poduszkami. Wrócił do kuchni z aparatem i podał go lokatorowi.

— Dzwon do komendanta. Jeśli to rozsądny człowiek, to też każe ci spieprzać za granicę.

Sokół owinał się kocem w pasie i z telefonem przy uchu podszedł do okna. Oparł głowę o framugę i po chwili zaczął relacjonować wydarzenia z lasu. Romek się przysłuchiwał, ale niewiele do niego docierało. Zrozumiał jedynie tyle, że Nikita się tłumaczy. Następne słowa rozpoznał. Przekleństwa mają taką siłę fonetyczną, że trafiają nawet do głuchego.

Poklepał się w kolano, przywołując rosyjskiego charta. Koli podszedł i oparł łeb o jego nogi.

— Dobry piesek. Zaopiekuję się tobą, gdy twój pan wyjedzie. Nie będziesz miał u mnie źle.

Nikita wrócił do stołu. Miał zaciśnięte zęby.

— Komendant powiedział, żebym sobie coś zaaplikował na niepamięć i przede wszystkim spierdalał z kraju. I mam się z nim nie kontaktować, ani z nikim z firmy.

Romek pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Widocznie twojego komendanta odwiedził ten sam oficerek co mnie.

— Kto to był? Przedstawił się?

— Tak, przedstawił się. Serafin, major.

Oczy młodszego aspiranta zwężyły się z napięcia, a usta wydeły w wyrazie pogardy.

— Sorry, Romuś, że musiałeś zetknąć się z tym typkiem. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to on zastrzelił Krystiana i Dominika. Takiemu chujowi ma się upiec? Nigdy. Kiliana wystraszyli, ale nie mnie.

Romek położył dłonie na stole i pochylił się do policjanta.

— Słuchaj, chłopaku, nie masz żadnych szans z tym oficerkiem, który dzisiaj tutaj był. Za nim stoi cała armia, a za tobą jedynie powietrze. Ta sprawa została już załatwiona tam, na górze, u panów ministrów. Twój minister usłyszał, że ma podziękować wojsku za pomoc w ujęciu przemytników, i to zrobi.

Nikita objął dłońmi głowę. Spomiędzy jego zaciśniętych zębów ze świstem wydobywało się powietrze.

— Nie mogę wyjechać. Nie mogę milczeć. Ty, Romuś, nie rozumiesz, bo nie znałeś Dominika. On niedawno adoptował dwoje dzieci. Jak można kogoś takiego zabić? Strzelili mu w twarz. To było morderstwo dokonane z zimną krwią.

Romek wstał. Gdyby miał papierosy, toby zapalił. Nie ma lepszego sposobu na nerwy jak dymek wciągany do płuc. Bezsensownie puste dłonie wcisnął w kieszenie spodni. Z zaskoczeniem natrafił na trzy plastikowe plakietki. Zupełnie o nich zapomniał. Wyciągnął je i rzucił na stół.

— Gdybym ich nie schował, tobyś już nie miał żadnego dokumentu. Żandarmi przeszukali cały dom, ale w kieszeniach mi nie grzebali.

Sokół przysunął do siebie dokumenty i patrzył na nie w zamyśleniu.

— Modliłem się, żebyś to ty był tym zaginionym. Potem podali nazwiska funkcjonariuszy, którzy zginęli. Boże, jak mi ulżyło, że to nie ty. Czułem, że nie zaginałeś, tylko się ukrywasz, bo tam się stało coś dziwnego, w tym lesie. Dlatego wziąłem dokumenty z twojego pokoju. Myślałem, że będę musiał ci je przekazać gdzieś ukradkiem. Jesteś dla mnie jak syn. Nie chciałbym odwiedzać cię na cmentarzu. Proszę, wyjedź stąd. Masz paszport. Możesz jechać do Mołdawii.

Sokół opuścił głowę i stukał plastikową plakietką o blat stołu.

— Okej, wyjadę, ale za jakiś czas wrócę. Znajdę Serafina i wszystkich odpowiedzialnych za śmierć moich kumpli. Może armia ma dużo do powiedzenia w tym kraju, ale wszystkich nie zdołają zastraszyć.

— No i mądrze gadasz. Myślę, że drugi raz dzisiaj tu nie przyjdą, jutro też nie, ale pojutrze już nie powinno cię tu być. Gdzie masz swój wóz?

— Został w Podlechach.

— Dobra, to nieważne, i tak nie mógłbyś nim pojechać. Mojego samochodu też ci nie dam, ale weźmiesz motocykl. Dojedziesz nim do Gdańska, a potem pociągiem i autobusem do Niemiec. Tam już możesz poczuć się bezpieczniej.

Rosyjski chart, czując, że pan może go niebawem opuścić, wsparł się łapami o jego kolana, wyciągnął łeb i cicho zaskamlał. Sokół czule potarł go po grzbiecie.

Rozdział II

AGATĘ PRZENIKAŁO ZIMNO. Nie brało się ono z zewnątrz, bo w bazylice Świętej Katarzyny Aleksandryjskiej w Braniewie temperatura sięgała dwudziestu stopni Celsjusza. Proboszcz zadbał o komfort wysokich dygnitarzy państwowych i podkręcił ogrzewanie. Ponadto oddechy kilkuset osób zgromadzonych w murach świątyni ocieplały chłodne powietrze. Niektórzy z żałobników zdjęli nawet płaszcze, ale większość jedynie się porozpinała. Kilkanaście ławek w połowie nawy zajmowali policjanci w galowych mundurach. Dygocząc, patrzyła na wyprostowane plecy kolegów.

Wolałaby nie widzieć tego, co znajdowało się w prezbiterium, ale właśnie tam kierowały się oczy wszystkich uczestników nabożeństwa. Siła kilkuset spojrzeń sprawiła, że w końcu też uniosła głowę i zerknęła ponad ramionami kolegów. Ścisnęło ją w piersi, bo widok był podniosły i przejmujący. Dwie trumny stały na katafalkach przykryte flagami państwowymi. Przed nimi znajdowały się poduszki z orderami, a po bokach wiązanek białych kwiatów i wieńce z szerokimi szarfami. Przy każdej trumnie wartę trzymało po czterech policjantów. Nad wszystkim górował sztandar przewiązany kirem.

Pod gwieździste sklepienie popłynęły żałobne dźwięki. To orkiestra policyjna ze Szczytna żegnała braniewskich policjantów. Gdy przejmująca melodia wygrywana przez kilku trębaczy wypełniła mury bazyliki, Agata zaczęła ryczeć. Miała wrażenie, że muzyka wdziera się jej do piersi i rozrywa ją od środka. Co za kretyński pomysł, grać na pogrzebie. Takie uroczystości powinny odbywać się w zupełnej ciszy. Wyjęła chusteczkę i wytarła nos. Dobrze, że chociaż Sokół żyje. Ta myśl dodała jej siły. Stłumiła ostatni szloch i uniosła głowę.

Znowu utkwiała wzrok w trumnach. Podobno inspektor stracił pół czaszki, komisarz też miał poważne obrażenia głowy. Ale czy to prawda? Nie wiadomo. Nikt od nich z komendy nie widział zwłok, rodzinie też ich nie pokazano. Przecieki z domu pogrzebowego, to wszystko, co mieli.

Do ołtarza zbliżył się mężczyzna w czarnym garniturze. Przyszedł czas na przemówienia. Agata westchnęła. O ile do tej pory było podniosłe, to teraz,

przy aktywnym udziale polityków, uroczystość mogła wejść w fazę pompatyczną.

— Żegnamy dzisiaj bohaterskich funkcjonariuszy, którzy ponieśli śmierć w związku z wykonywaniem czynności służbowych — rozpoczął swoje przemówienie minister z kancelarii prezydenta.

W ławach zajętych przez policjantów z Powiatowej Komendy Policji w Braniewie rozległ się pomruk niezadowolenia. Funkcjonariusze znali prawdę o śmierci kolegów, wiedzieli też, dlaczego komendant zgodził się na to, aby nie ścigać prawdziwych morderców. Niektórzy przyznawali mu rację, twierdząc, że spokój rodziny komisarza jest najważniejszy. Ponadto nie ma sensu rozpocząć sprawy, która skończy się bolesnym zderzeniem ze ścianą wzniesioną przez Polskie Siły Zbrojne.

— Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej mianuje poległego na służbie komisarza Dominika Jamroza na stopień nadkomisarza.

Głos ministra był stosowny do okoliczności, przesycony smutkiem i dumą. Agata przymknęła piekące oczy. Gdzieś z przodu ławy rozległ się głośny męski szloch. To zapewne ojciec komisarza nie wytrzymał nadmiaru emocji.

— Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej mianuje poległego na służbie inspektora Krystiana Suma na stopień nadinspektora.

W wypadku inspektora ta nominacja to marne pocieszenie, bo nie miał żadnej rodziny. Nie będzie komu przekazać czapki służbowej z nowym oznaczeniem stopnia policyjnego. Dobrze, że chociaż dzieci Dominika skorzystają na jego nominacji.

Minister zrobił stosowną pauzę, po czym ogłosił, że prezydent Rzeczypospolitej Polskiej odznaczył pośmiertnie nadkomisarza Dominika Jamroza Brązowym Krzyżem Zasługi. Identyczne odznaczenie otrzymał nadinspektor Sum.

Miejsce prezydenckiego ministra zajął komendant główny policji i z kartki odczytał podziękowania za ofiarną służbę. Gdy przystąpił do przyznawania kolejnych odznaczeń poległym funkcjonariuszom, Agata przestała słuchać. Przygryzła dolną wargę. Rozpacz osiągnęła już swoje apogeum, teraz powoli zastępował ją gniew. Terytorialni zabili jej kolegów, dosłownie wykonali wyrok, strzelając im w głowę, i nie poniosą za to żadnej kary. Nie była w stanie zastanawiać się, dlaczego żołnierze to zrobili. To pytanie chwilami przelatywało przez jej umysł, ale nie zatrzymywało się na dłużej, a odpowiedź na nie była szybka i bezrefleksyjna. Terytorialsi to po

prostu źli ludzie, przestępcy i bandyci, którzy mają mocne ugruntowanie w strukturze Polskich Sił Zbrojnych. Niczego się nie boją, bo wiedzą, że stoi za nimi armia. Pozwalają sobie na wiele, nawet na popełnienie zbrodni, bo wiedzą, że będą bezkarni. Starsza posterunkowa Małek nie godziła się na to. Gotowa była iść z jednym waltherem przeciwko całemu wojsku.

Z zamyślenia wyrwały ją mocne kroki na kościelnej posadzce. Posterunek honorowy zakończył swoją wartę przy trumnach i teraz zmierzał ku wyjściu. Werblista zagrał tremolo tak, jak gdyby od tego zależało jego życie. Agata przycisnęła dłoń do piersi, próbując wstrzymać szaleńcze bicie serca. Kilka ławek za jej plecami płakała głośno jakaś kobieta. Kompania honorowa oddawała honory. Nawą główną szli policjanci, na ramionach nieśli trumny, z których zdjęto już flagi państwowe. Teraz na wiekach leżały czapki służbowe i wiązanki białych kwiatów. Za trumnami kroczyli policjanci asysty, niosący poduszki z odznaczeniami oraz wieńce. Dalej podążała rodzina nadkomisarza. Żonę funkcjonariusza podtrzymywała starsza para, zapewne jej rodzice. Zuzanna Jamróż miała nieprzytomne spojrzenie i szarą twarz. Tuż przy nich szedł kilkuletni chłopiec. Trochę dalej kobieta w siwym koku prowadziła za rękę młodsze dziecko, płaczącą dziewczynkę. Dwóch młodych mężczyzn podpierało szlochającego i trzęsącego się starszego pana. Agata z trudem rozpoznała w nim ojca nadkomisarza Jamroza. Dygnitarze państwowi, przedstawiciele samorządu i innych instytucji oraz organizacji podążali za rodziną. Nagle w mury świątyni uderzyło buczenie wydobywające się z kilkudziesięciu gardeł funkcjonariuszy stojących w ławkach. Dźwięk ten narastał, przebijając werblistę. Zaskoczeni dygnitarze zaczęli się oglądać, nie wiedząc, o co chodzi. Agata wiedziała, skąd ten odgłos niezadowolenia. Sama zaczęła buczyć na widok pięciu żołnierzy idących nawą główną w kondukcje. Ani jeden nie spuścił głowy, żaden nawet nie mrugnął. Starsza posterunkowa Małek powiodła wzrokiem po pagonach: dwóch podpułkowników, dwóch pułkowników i jeden major. Starła się zapisać w pamięci ich twarze. Na pewno zapamięta tego wysokiego z dużymi mięsistymi wargami. Już go widziała, tamtego dnia, na komendzie, to był podpułkownik Bukowiecki. Gdy wojskowi znikli im z oczu, policjanci wyszli z ławek i włączali się do konduktu. Agata szła pośród kolegów. Emocje w niej kipiały.

Wyszli z bazyliki. Zaskoczył ją zgromadzony tutaj tłum. Jakieś trzysta osób rozstępowało się przed procesją żałobników. Może przyszli tutaj z ciekawości albo chcieli odprowadzić policjantów w ich ostatnią drogę.

Nagle dostrzegła znajomą sylwetkę. To musiał być Sokół, stał w grupie kilku chłopaków, właściwie trochę za nimi. Twarz zasłaniał mu kaptur. Młodszy aspirant zadzwonił do niej wczoraj z nieznanego numeru i powiedział: Żyję. Zadała mu głupie pytanie: Gdzie jesteś? Oczywiście nie usłyszała odpowiedzi. Wyjawił jeszcze, że musi ewakuować się z miasta, ale wróci, po czym się rozłączył. Dzisiaj przyszedł pożegnać kolegów. Mogła się tego spodziewać, nie wyjechałby przed pogrzebem. Miała ochotę biec do niego i powiedzieć mu, że wszyscy są z nim, cała komenda, że nikt nie ma zamiaru odpuścić mordercom. Nie sąd się z nimi policzy, to policjanci to zrobią we własnym zakresie. Wiedziała jednak, że nie może zwrócić teraz na niego uwagi. Odwróciła więc głowę w przeciwną stronę i natrafiła wzrokiem na pięciu żołnierzy stojących jak filary przy wojskowych wozach. Starsza posterunkowa zadrżała z gniewu od stóp po czubek głowy.

CZEŚĆ DZIEWIĘTNASTA
Żołnierze

Rozdział I

— Gratuluję i dziękuję — padło z ust prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Nastąpiła wymowna pauza, a zwierzchnik sił zbrojnych powiódł wzrokiem po zgromadzonych żołnierzach.

Podpułkownik Szymon Bukowiecki czuł moc urzędu, to nie był jakiś prezydent, to urząd, za którym kryły się dokonania wielu pokoleń żołnierstwa.

Zwierzchnik sił zbrojnych postarał się o pełne powagi spojrzenie i kontynuował przemowę:

— Pytam, czy Wojska Obrony Terytorialnej były nam potrzebne? — Kolejna wymowna pauza. — Dzisiaj już nikt nie ma wątpliwości, że tak. Wojska Obrony Terytorialnej, składają się z ochotników, z ludzi, którzy kochają swoją ojczyznę i chcą jej służyć w takim zakresie, w jakim mogą. Żołnierze terytorialni to zwykli obywatele, to ludzie, których wielki potencjał, zarówno intelektualny, jak i ambicjonalny, i przede wszystkim patriotyczny, trzeba było wykorzystać. To było coś, czego Polska i Wojsko Polskie oczekiwało od dawna.

Podpułkownik wypiął pierś i uniósł jeszcze wyżej głowę. Szkoda, że w tej doniosłej chwili siedział. Wolałby stać, bo wtedy mundur lepiej się prezentuje. Rozumiał jednak, że przywilej trzymania pionowej pozycji ciała, a tym samym górowania nad resztą, miał Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych i paru jego przybocznych.

— Ta formacja miała wielu przeciwników, a nawet wrogów — ciągnął prezydent, przybierając bojową minę. — Myślę, że dzisiaj tamci, co wtedy krzyczeli „nie”, teraz są mocno zawstydzeni. Ja zawsze byłem wielkim zwolennikiem stworzenia Wojsk Obrony Terytorialnej i cała armia opowiedziała się za nową formacją, za co również chciałbym wam, panowie, dzisiaj podziękować.

Zwierzchnik sił zbrojnych wykonał coś na podobieństwo ukłonu. Podpułkownik nie lubił zbyt górnołotnych przemówień. Podobnie jak major Serafin, uważał, że do żołnierzy trzeba mówić po żołniersku. Musiał jednak przyznać, że obecna przemowa prezydenta mu nie przeszkadzała, a nawet

wzbudzała podniosłe emocje. To zapewne fakt, że znajdowali się w sali kolumnowej pałacu prezydenckiego, a nie w koszarach, sprawił, że słowa, które tu padły, były więcej niż znośne. Gdyby tylko nie te miny prezydenta.

Po dłuższej pauzie pod kryształowy żyrandol popłynęły kolejne zdania:

— Żołnierze obrony terytorialnej w bardzo wielu sytuacjach byli tam właśnie, gdzie byli potrzebni. Zawsze gotowi, zawsze blisko. Wielokrotnie nieśli pomoc swoim sąsiadom, chociażby w czasie klęsk żywiołowych — na wałach powodziowych albo w trakcie pandemii, w szpitalach. Odważni terytorialszi podejmowali też zadania, które wykraczały poza sąsiedzką pomoc, jak wtedy, gdy stanęli na granicy, aby ją chronić przed atakami reżimu białoruskiego. — Nastąpiła kolejna zaplanowana pauza, której towarzyszyło wystudiowane spojrzenie prezydenckich oczu. — Jak wiele mogą zdziałać żołnierze obrony terytorialnej, jak bardzo ich wsparcie może okazać się potrzebne, przekonaliśmy się niedawno, gdy terytorialszi z Czterdziestego Trzeciego Batalionu Lekkiej Piechoty w Braniewie ruszyli z pomocą policjantom. Jak było to niebezpieczne zadanie, świadczy fakt, iż jeden z żołnierzy poległ w trakcie tej akcji. Śmierć ponieśli także dwaj funkcjonariusze. Dzięki interwencji żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej udało się jednym groźnych przestępców schwytać, a innych unieszkodliwić. W takich momentach przekonujemy się, jak potrzebne są dla bezpieczeństwa nas wszystkich Wojska Obrony Terytorialnej.

Zwierzchnik sił zbrojnych przystąpił do personalnie kierowanych podziękowań i do wręczania nominacji oraz odznaczeń. Podpułkownik Szymon Bukowiecki został wyczytany jako drugi. Wstał i po miękkim dywanie podszedł do głowy państwa. Ze spokojem odebrał akt nominacji na stopień pułkownika i wypiął pierś do wojskowego krzyża zasługi, który osobiście przypiął mu prezydent. Był świadom, że patrzą teraz na niego wszyscy uczestnicy ceremonii, począwszy od ministra obrony narodowej, przez szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i dowódcę generalnego Wojsk Obrony Terytorialnej, po kombatantów z Iraku i Afganistanu zajmujących ostatnie rzędy w sali kolumnowej pałacu prezydenckiego. Wracał na miejsce z uczuciem wielkiego sukcesu zawodowego. Zanim usiadł, pochwycił zadowolone spojrzenie majora Rocha Serafina, który za chwilę miał zostać mianowany na podpułkownika i również odznaczony krzyżem. Obaj mieli świadomość, że to jest dzień wielkiego tryumfu Wojsk Obrony Terytorialnej. Wreszcie osiągnęli to, na czym tak bardzo im zależało.

Po zakończeniu formalnej części uroczystości przeszli do sali obrazowej na luźne rozmowy. Bukowiecki ustawił się na tle najefektowniejszego obrazu na wprost ogromnego telebimu. Nadarzała się okazja, aby wpisać się w pamięć najważniejszych ludzi w Wojsku Polskim. Wypiął pierś, bo właśnie podchodził do niego szef sztabu generalnego.

— Gratuluję, pułkowniku. Dobra robota.

— Dziękuję, generale. Wszystko ku chwale naszej ojczyzny.

— Tak, oczywiście, ku chwale.

Zbliżył się do nich drobny mężczyzna w garniturze z szerokim uśmiechem i rozbawieniem w oczach.

— Gratuluję. Dumni jesteście. Jeszcze raz gratuluję. — Uścisnął dłoń Bukowieckiemu. — Muszę uciekać, bo w ministerstwie czekają.

Mężczyzna wycofywał się tyłem, a z jego twarzy nie schodził uśmiech. Generał sapnął z wyraźną irytacją.

— Już niedługo nie będzie mu tak do śmiechu.

W tych słowach pobrzmiwała złośliwa satysfakcja. Wyglądało na to, że szef sztabu generalnego wie coś o przetarasowaniach w Ministerstwie Obrony Narodowej, a może także w armii. Może nawet ma ochotę podzielić się tą wiedzą.

— Coś się szykuje? — zapytał rzeczowo Bukowiecki.

— Tak, wojna w Europie — oznajmił ponuro szef sztabu generalnego.

Nowo mianowany pułkownik nie spodziewał się takiej odpowiedzi, ale nie zaskoczyła go ona. Dopóki Rosja będzie w Europie, dopóty oddech wojny będzie ciążył na polskiej armii.

Rozdział II

ADAM POWRACAŁ MYŚLAMI do ciepłego ciała dwudziestojednoletniej Marty. Cudowna dziewczyna, fantastyczne osiemdziesiąt pięć kilogramów. Nie lubił anorektycznych sylwetek. Poznał ją dwa tygodnie temu na basenie. Miał siedzącą pracę za kółkiem, brzuch mu od tego rósł. Postanowił wziąć się za siebie, a że umiał pływać, to wykupił karnet na pływalnię. Gdy zobaczył okrągłe biodra dziewczyny w czarnym stroju i zielonym czepku, to na nic specjalnego nie liczył. Miał przecież czterdziestkę na karku i ogromne zakola na czole, które maskował gustownymi czapkami, kupowanymi jeszcze przez jego eks. Sześć miesięcy temu rozstał się z żoną, bo mu przyprawiała rogi, gdy był w trasie. Cierpiał długo, ale dwa tygodnie temu wszystko się zmieniło. Na wspomnienie bujnych i jędrnych piersi Marty zaczął nucić: „Baśka miała fajny biust”.

Szkoda, że musiał teraz wyjechać. Dostał zlecenie na transport mebli kuchennych do Berlina. Szybka robota. Jutro wróci do Elbląga.

Patrzył ze swojej kabiny na starą trasę siódemki. Przez dwadzieścia kilometrów jechał nią, bo przy okazji w Solnicy odwiedzał siostrę. Po oddaniu nowej drogi tędy jeździli głównie rowerzyści i mieszkańcy okolicznych wsi, dlatego zdziwił się, widząc przed sobą wojskową ciężarówkę.

Usłyszał dźwięk przychodzącej wiadomości. Uśmiechnął się. To na pewno Marta przysłała mu emotkę ze słodkim buziaczkiem. Lepiej, żeby podesłała mu fotkę swojego biustu. Podniósł telefon i zaklął. To był esemes od żony. Oskarżała go o kradzież sztucców, które dostała od matki w prezencie ślubnym. W dupie miał jej sztucce. Postanowił to napisać, ale najpierw rzucił okiem na drogę. Zdziwił się, że aż tak bardzo zbliżył się do jelcza. Dzieliło ich zaledwie sto metrów. Pomiędzy nimi jechał jeszcze motor. Zwolnił i skoncentrował się na pisaniu esemesa. Chwilę później odłożył telefon i aż zamrugał na widok wojskowej ciężarówki, która znajdowała się tuż przed nim. Uderzył w klakson i nacisnął na hamulce. Tirem szarpnęło, ale czterdzieści ton toczyło się dalej. Z przerażeniem patrzył, jak rośnie przed nim naczepa jelcza. Gdzieś w zakamarkach umysłu pojawiła się myśl, że między nimi znajduje się jeszcze motocyklista. Zaraz go zmiażdżą.

Sekunda panicznego lęku, a potem momentalna ulga. Tir Adama zatrzymał się dosłownie metr przed ciężarówką. Niewiele brakowało, aby przywalił w naczepę.

Sprawca niebezpiecznego zdarzenia, trzydziestotonowy jelec ruszył. Jego masywna sylwetka zmniejszała się z każdym kolejnym kilometrem. Adam ze zdumieniem przyswoił sobie fakt, że wojskowy pojazd nie ma numeru rejestracyjnego.

Wyskoczył z kabiny i się rozejrzał. Na drodze leżał motor zgnieciony jak aluminiowa puszka. Obszedł tira i dopiero wtedy zobaczył ciało. Leżało na poboczu. Młody mężczyzna. Szkoda go. Może uda się jeszcze mu pomóc? Nagle coś nadepnął. Schylił się i podniósł pistolet. Znał tę broń, jego szwagier miał taką. To był walther, pistolet policyjny.

MAM KRYMINALNY CHARAKTER

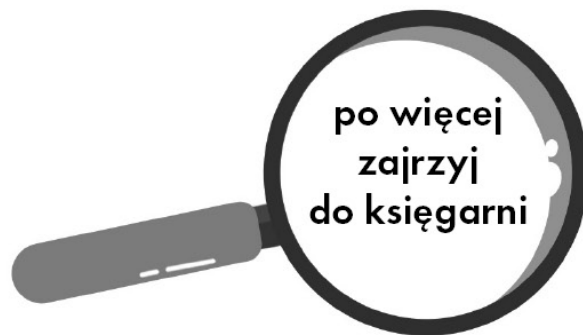
Jeśli masz go i ty, koniecznie sięgnij po nasze kryminały i thrillery.

JEDNO PO DRUGIM RUTH WARE

HANNA GREŃ IMIĘ ŚMIERCI

IZABELA JANISZEWSKA NIEWYBACZALNE

BARTOSZ SZCZYGIELSKI NIM SKOŃCZY SIĘ NOC



www.wydajenamsie.pl

Spis treści

Główni bohaterowie

CZEŚĆ PIERWSZA: Żołnierze

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

CZEŚĆ DRUGA: Policja

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

CZEŚĆ TRZECIA: Żołnierze

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

CZEŚĆ CZWARTA: Policja

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

CZEŚĆ PIĄTA: Żołnierze

Rozdział I

Rozdział II

CZEŚĆ SZÓSTA: Policja

Rozdział I

Rozdział II
Rozdział III
CZEŚĆ SIÓDMA: Żołnierze
Rozdział I
Rozdział II
CZEŚĆ ÓSMA: Policja
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
CZEŚĆ DZIEWIĄTA: Żołnierze
Rozdział I
CZEŚĆ DZIESIĄTA: Policja
Rozdział I
Rozdział II
CZEŚĆ JEDENASTA: Żołnierze
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
CZEŚĆ DWUNASTA: Policja
Rozdział I
CZEŚĆ TRZYNASTA: Żołnierze
Rozdział I
Rozdział II
CZEŚĆ CZTERNASTA: Policja
Rozdział I
Rozdział II
CZEŚĆ PIĘTNASTA: Żołnierze
Rozdział I
Rozdział II
CZEŚĆ SZESNASTA: Policja
Rozdział I
CZEŚĆ SIEDEMNASTA: Żołnierze

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

CZEŚĆ OSIEMNASTA: Policja

Rozdział I

Rozdział II

CZEŚĆ DZIEWIĘTNASTA: Żołnierze

Rozdział I

Rozdział II